



CZARNY PRZYPIŁYW ANDREW GROSS

DWOJE OBCYCH SOBIE LUDZI WCIĄGNIĘTYCH W MIĘDZYNARODOWY SPISEK...



ANDREW GROSS

Miłośnikom powieści sensacyjnej nazwisko Andrew Grossa jest doskonale znane. Wspólnie z Jamesem Pattersonem napisał pięć książek, z których każda osiągnęła pozycję numer 1 na amerykańskich i brytyjskich listach bestsellerów. *Niebieska strefa* i *Czarny przypływ*, pierwsze tytuły wydane przez Grossa wyłącznie pod własnym nazwiskiem, zostały zgodnie ocenione przez krytyków i czytelników jako pierwszorzędne thrillery.

Bomba podłożona na dworcu kolejowym Grand Central w Nowym Jorku zabija przypadkowe osoby, a wśród nich inwestora giełdowego Charlesa Friedmana. Tego samego dnia dochodzi do śmiertelnego wypadku samochodowego w dzielnicy, gdzie mieszkają Friedmanowie – ginie młody mężczyzna. Detektyw Ty Hauck, szef lokalnego wydziału dochodzeniowego, odkrywa dziwne powiązanie między tymi pozornie odmiennymi sprawami. Karen, żonę zabitego biznesmena, zaczynają nachodzić niebezpieczni ludzie sugerujący, iż jej mąż miał długie sięgające setek milionów dolarów. Czy spokojne życie Friedmanów było jedną wielką mistyfikacją? Hauck orientuje się, że intryga, którą próbuje rozwikłać jest znacznie bardziej skomplikowana niż początkowo myślał. Jemu, Karen i jej dzieciom grozi śmiertelne niebezpieczeństwo...



CZARNY PRZYPIŁYW ANDREW GROSS

Z angielskiego przełożył

RAFAŁ LISOWSKI



Tytuł oryginału: THE DARK TIDE

Copyright © Andrew Gross 2008

All rights reserved

Polish edition copyright

© Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2010

Polish translation copyright

© Rafał Lisowski 2010

Redakcja:

Jacek Ring

Zdjęcie na okładce:

Getty Images/Flash Press Media

Projekt graficzny okładki i serii:

Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7359-931-4

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

t./f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009

www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.empik.com

www.merlin.pl

www.ksiazki.wp.pl

www.amazonka.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS

ANDRZEJ KURYŁOWICZ

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

2010. Wydanie I Druk: B.M. Abedik S.A., Poznań

CZEŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

GODZINA 6.10

Kiedy promienie porannego słońca padały ukośnie przez okno sypialni, Charles Friedman zgubił pałeczkę.

Nie miał tego snu już od lat. Jako tyczkowaty dwunastolatek biegł w trzecim odcinku sztafety podczas zawodów lekkoatletycznych na letnim obozie. Pojedynek między Szarymi a Niebieskimi pozostawał wyrównany. Niebo lśniło błękitem, a tłum falował — ostrzyżone najeża głowy, rumiane twarze, których Charles miał już nigdy więcej nie zobaczyć. Jego kolega z drużyny, Kyle Bregman, pokonywał poprzedni odcinek. Zbliżał się, wciąż nieznacznie prowadził. Wydymał policzki, dając z siebie wszystko.

Wyciągnąć rękę...

Charles spał się, gotów wystartować, gdy tylko pałeczka dotknie jego dłoni. Czuł, jak w oczekiwaniu drżą mu palce.

Jest! Już! Wystartował.

Nagle rozległ się przygniatający jęk widzów.

Charles zatrzymał się i z przerażeniem spojrział w dół. Pałeczka leżała na ziemi. Zespół Szarych poprawnie wykonał zmianę. Ich zawodnik minął go w pełnym biegu, by odnieść niespodziewane zwycięstwo. Kibice Szarych skakali z radości. W uszach Charlesa triumfalne okrzyki mieszały się z niezadowolonym buczeniem.

Wtedy się obudził. Tak jak zawsze. Ciężko oddychał, a pościel była mokra od potu. Spojrzał na dłonie — puste. Zaczął oklepywać koldrę, zupełnie jakby po trzydziestu latach pałeczka wciąż gdzieś tu leżała.

Był jednak tylko Tobey, ich biały west highland terier. Usiadł mu okrakiem na klatce piersiowej i patrzył wyczekująco szeroko otwartymi ślepiami.

Mężczyzna z westchnieniem opuścił głowę na poduszkę.

Spojrzał na zegar: szósta dziesięć. Za dziesięć minut włączy się budzik. Żona Charlesa, Karen, leżała skulona tuż obok. Mało spał. Od trzeciej do czwartej nie mógł zasnąć, więc nie chcąc obudzić Karen, oglądał z wyłączonym dźwiękiem mistrzostwa świata najsilniejszych kobiet na kanale ESPN2. Coś nie dawało mu spokoju.

Może chodziło o znaczną sumę, którą w zeszły czwartek zainvestował w akcje kanadyjskich piasków roponośnych i utrzymał przez weekend — bardzo ryzykowny ruch, biorąc pod uwagę, że cena ropy spadała. A może o to, że zajął pozycję długą na sześciomiesięcznych kontraktach na gaz ziemny i jednocześnie krótką na rocznych. W piątek indeks energetyczny wciąż spadał. Charles bał się wyjść z łóżka, bał się spojrzeć w ekran w obawie przed tym, co tam zobaczy.

A może chodziło o Sashę?

Charles od dziesięciu lat prowadził własny energetyczny fundusz hedgingowy na Manhattanie, lewarowany w stosunku osiem do jednego. Z zewnątrz — ze swymi rudawozłotymi włosami, okularami w rogowych oprawkach i spokojem mola książkowego — wyglądał raczej na planistę albo doradcę podatkowego niż na człowieka, którego żołądek (a teraz również i sny!) dowodził, że żyje w piekle akcji najwyższego ryzyka.

Charles, ubrany w bokserki, podniósł się na łóżku i usiadł, opierając łokcie na kolanach. Tobey zeskoczył na podłogę i zaczął gorączkowo drapać w drzwi.

— Wypuść go.

Karen poruszyła się, obróciła i naciągnęła kołdrę na głowę.

— Jesteś pewna? — Charles spojrział na Tobeya. Psiak spuścił uszy po sobie, merdał ogonem i niecierpliwie podskakiwał na tylnych łapach, zupełnie jakby mógł obrócić gałkę zębami.

— Wiesz, co się stanie.

— Daj spokój, Charlie, dzisiaj twoja kolej. Wypuść biedaka.

— Wyryję ci to na nagrobku...

Charles wstał i otworzył drzwi prowadzące na ćwierćhektarowe, ogrodzone płotem podwórko, o przecznicy od cieśniny w Old Greenwich. Tobey błyskawicznie wypadł na patio. Jego nos już zdążył wychwycić woń królika czy wiewiórki, które jeszcze nie podejrzewały, co je czeka.

Pies natychmiast rozpoczął swój piskliwy skowyt.

Karen przycisnęła poduszkę do głowy i zawarczała:

— Wrrr...

Tak zaczynał się każdy dzień. Charles włókł się do kuchni, włączał CNN i nastawiał kawę, słuchając psiego szczekania dobiegającego zza okna. Potem szedł do gabinetu, żeby sprawdzić w Internecie europejskie transakcje spot, a następnie wskakiwał pod prysznic.

Tego ranka wieści nie były pocieszające: siedemdziesiąt dwa dolary dziesięć centów. Wciąż spadały. Charles wykonał w myślach szybkie obliczenia. Będzie zmuszony sprzedać następne trzy kontrakty. Kolejne kilka milionów z głowy. Dopiero minęła szósta rano, a on już znalazł się pod wodą.

Na dworze Tobey kontynuował nieustający jazgot.

Charles pod prysznicem obmyślał porządek dnia. Musiał odwrócić pozycje. Wyprzedać te kontrakty na piaski roponośne, a potem czekało go spotkanie z kredytodawcą. Czy nadzedł czas, żeby się przyznać? Miał także przelać pieniądze na konto szkolne swojej córki, Sam. Jesienią pójdzie do ostatniej klasy liceum.

I wtedy do niego dotarło. Cholera!

Dziś rano powinien odstawić samochód do warsztatu.

Mercedes wymagał przeglądu po piętnastu tysiącach mil. W zeszłym tygodniu Karen w końcu wymogła na Charlesie, żeby umówił się z mechanikiem. To oznaczało, że będzie musiał pojechać do pracy pociągiem. Czyli straci trochę czasu. Miał nadzieję już o wpół do ósmej siedzieć za biurkiem i zająć się tymi pozycjami. W tej sytuacji po południu Karen będzie go musiała odebrać z dworca.

Zwykle po ubraniu się Charles już się spieszył. O wpół do siódmej budził żonę, pukał do drzwi Aleksa i Samantha, aby zbierali się do szkoły, a przy drzwiach przeglądał jeszcze „Wall Street Journal”.

Tego ranka, z uwagi na samochód, miał chwilę, żeby wypić kawę.

Mieszkali w przytulnym, odnowionym domu w stylu kolonialnym na eleganckiej ulicy w miasteczku Old Greenwich, przecnicę od cieśniny. Spłacili go w całości, a był wart chyba więcej, niż ojciec Charlesa, sprzedawca krawatów ze Scranton, zarobił przez całe życie. Co prawda Charles nie mógł się pochwalić takim bogactwem jak niektórzy wysoko postawieni znajomi z superchałupami na North Street, ale dobrze mu się powodziło. Jako absolwent liceum z rocznika liczącego siedmiuset uczniów wywalczył miejsce na Uniwersytecie Pensylwanii. Później wyróżniał się w dziale energetycznym Morgan Stanley, a kiedy założył własną firmę, Harbor Capital, udało mu się zabrać ze sobą kilku prywatnych klientów. Friedmannowie mieli domek narciarski w Vermoncie, opłacili studia dzieci i jeździli na wakacje do egzotycznych krajów.

Więc gdzie, u diabła, popełnił błąd?

Tobey drapał w drzwi balkonowe, usiłując wrócić do domu. No dobrze, już dobrze. Charles westchnął.

W zeszłym tygodniu ich drugą westie, suczkę Saszę, przejechał samochód. Tutaj, na cichej ulicy, wprost przed domem. Znalazł ją właśnie Charles, zakrwawioną, nieruchomą. Wszystkim do dziś

było smutno. A potem ten list. Dzień później przyniesiono go do biura w koszu kwiatów. Wciąż się przez niego poccił. No i powróciły sny.

Przykro mi z powodu psiaka, Charles. Czy następne mogą być twoje dzieci?

Do jasnej cholery, jakim cudem to mogło zajść tak daleko?

Wstał i sprawdził godzinę na zegarze kuchenki: szósta czterdzieści pięć. Liczył, że przy odrobinie szczęścia zdążyłby do warsztatu na wpół do ósmej i na pociąg o siódmej pięćdziesiąt jeden, a niecałą godzinę później siedziałby za biurkiem na rogu Czterdziestej Dziewiątej Ulicy i Trzeciej Alei. Tam wymyśli, co robić. Wpuścił psa do domu. Zwierzak natychmiast go minął, ze skowytem popędził do salonu i pognął przez drzwi frontowe, które Charles przez roztargnienie zapomniał zamknąć. Teraz Tobey budził całą okolicę.

Z tym małym skubańcem było więcej roboty niż z dziećmi!

— Karen, wychodzę! — zawołał Charles, łapiąc teczkę i wychając pod pachę egzemplarz „Wall Street Journal”.

— Buzi, buzi — odpowiedziała owinięta ręcznikiem Karen, która właśnie wyskoczyła spod prysznicza.

Dla Charlesa wciąż wyglądała seksownie — z mokrymi włosami barwy karmelu, lekko zmierzwionymi od kąpieli. Nie można było zaprzeczyć, że jest piękna. Dzięki wieloletnim treningom jogi utrzymywała smukłą, kuszącą figurę, zachowała też gładką skórę i wciąż miała te orzechowe oczy, których spojrzenie błyskawicznie zniewalało. Przez chwilę żałował, że w łóżku nie obrócił się do niej, kiedy Tobey prysnął z koldry, otwierając przed nimi tę niespodziewaną okazję.

Tylko jednak krzyknął coś o samochodzie — że pojedzie do Nowego Jorku koleją dojazdową Metro-North. I może potem zadzwoni i poprosi, żeby po niego wpadła w drodze do domu, a wtedy odbiorą auto.

— Kocham cię! — Karen przekrzyczyła wycie suszarki do włosów.

— Ja ciebie też!

— Po meczu Aleksa pójdziemy coś zjeść...

Cholera, rzeczywiście, Alex miał mecz lacrosse, pierwszy w tym sezonie. Charles wrócił do kuchni i zostawił na blacie kartkę do syna.

Do naszego napastnika nr 1! Daj im popalić, mistrzu!
POWODZENIA!!!

Podpisał się inicjałami, po czym przekreślił je i napisał: „Tata”. Przez sekundę przyglądał się kartce. Musiał z tym skończyć. Nie wiedział, o co chodzi, ale nigdy nie pozwoli, żeby coś im się stało.

Następnie ruszył do garażu. Przez dźwięk automatycznych wrót oraz szczekanie Tobeya przebił się głos żony, któremu wtórowało wycie suszarki:

— Charlie, wpuść tego cholernego psa!

ROZDZIAŁ DRUGI

O ósmej trzydzięci Karen była już na zajęciach jogi.

Do tego czasu zdążyła wygonić Aleksa i Samanthę z łóżek, postawić na stole pudełka z tostami i płatkami, żeby mieli co zjeść na śniadanie, znaleźć bluzkę, która zdaniem Samanthy „totalnie zginęła, mamó” (była w szufladzie komody córki), a także rozstrzygnąć dwie kłótnie o to, kto kogo dziś zawozi oraz kto bardziej napaskudził w umywalce, z której oboje korzystali.

Poza tym nakarmiła psa i sprawdziła, czy strój Aleksa do lacrosse jest wyprasowany. Kiedy sprzeczka o to, kto kogo ostatni dotknął — polegająca na klepaniu się nawzajem po plecach i wykręcaniu sobie palców — zaczęła się przeradzać w bójkę z wyzwiskami, wypchnęła dzieci za drzwi i pokierowała do acury Samanthy, obdarzając każde buziakiem i machając na pożegnanie. Odebrała wiadomość od komitetu ochrony drzew na temat wiązu przeznaczonego do ścięcia oraz wysłała dwa e-maile do członków rady szkoły na temat zbliżającej się akcji zbierania funduszy.

Początek... Karen westchnęła, skinięciem głowy witając kilka znajomych osób, po czym prędko dołączyła do reszty ludzi ćwiczących powitanie słońca w studiu Sportsplex w Stamford.

Popołudnie będzie parszywe.

Karen miała czterdzieści dwa lata i była ładna. Wiedziała, że wygląda co najmniej o pięć lat młodziej. Ze względu na bystre, brązowe oczy i ślady piegów, które wciąż zdobiły jej policzki, ludzie często porównywali ją do Seli Ward o jaśniejszych włosach. Gęste, jasnobrązowe włosy spięła z tyłu głowy i gdy zobaczyła się w lustrze, uznała, że nie ma powodu wstydzić się swego wyglądu w treningowych trykotach, szczególnie jako matka, która w dawnym życiu była jedną z najskuteczniejszych osób zbierających fundusze dla baletu nowojorskiego.

Tak właśnie poznała się z Charliem. Na kolacji na cześć darczyńców. Oczywiście on tam tylko reprezentował firmę, sam nie potrafił odróżnić przysiadu od obrotu. Zresztą do dziś nie potrafi — zawsze mu dokuczała. Był jednak nieśmiały i nieco autoironiczny, a w tych swoich szelkach i okularach w rogowej oprawce, z rudoblond czupryną, wyglądał raczej jak wykładowca nauk politycznych niż młody wilczek w dziale energetycznym Morgan Stanley. Charliemu najwyraźniej podobało się, że ona nie była stąd — w jej głosie jeszcze pobrzmiwał delikatny południowy zaśpiew. Zawsze z zachwytem nazywał go aksamitną rękawiczką na jej żelaznej pięści, ponieważ w życiu nie spotkał nikogo — i to naprawdę nikogo — kto potrafił załatwić sprawę równie skutecznie jak ona.

Cóż, dziś po zaśpiewie nie pozostał ślad, podobnie jak po idealnej smukłości bioder. Nie wspominając o poczuciu, że ma jakąkolwiek kontrolę nad własnym życiem.

Tę straciła po narodzinach dzieci.

Karen skoncentrowała się na oddechu, pochylając się w przód i przyjmując pozycję pałki. Sprawiało jej to trudność, więc skupiła się na wyciągnięciu ramion i wyprostowaniu kręgosłupa.

— Proste plecy — odezwała się monotonnym głosem Cheryl, instruktorka. — Donna, ramiona przy uszach. Karen, postawa. Wykorzystaj kość udową.

— Kość udowa to mi zaraz odpadnie — jęknęła Karen, chwiejąc się.

Kilka osób wybuchło śmiechem. Karen wyprostowała się i odzyskała właściwą pozę.

— Pięknie. — Cheryl klasnęła w dłonie. — Dobra robota.

Karen wychowała się w Atlancie. Jej ojciec był właścicielem małej sieci sklepów z farbami i artykułami renowacyjnymi. Studiowała sztukę na Uniwersytecie Emory'ego. Gdy miała dwadzieścia trzy lata, wraz z przyjaciółką pojechały do Nowego Jorku. Tam znalazła swoją pierwszą pracę w dziale reklamy domu aukcyjnego Sotheby's i od tej pory wszystko poszło jak po maśle. Po ślubie z Charliem nie było łatwo. Rezygnacja z kariery, przeprowadzka tu, na prowincję, założenie rodziny. W tamtych czasach Charlie wciąż pracował albo wyjeżdżał, a nawet gdy był w domu, odnosiło się wrażenie, że telefon ma na stałe przyklejony do ucha.

Na początku sytuacja wyglądała dość niepewnie. Charlie wykonał kilka błędnych posunięć, gdy założył i prawie splajtował. Na szczęście do akcji wkroczył jego mentor z Morgan Stanley i poratował go finansowo. Od tamtej pory układało się całkiem dobrze. Nie prowadzili co prawda wystawnego życia — tak jak niektórzy znajomi, którzy mieszkali na kompletnym odludziu w zamkach w stylu normandzkim, mieli domy w Palm Beach, a ich dzieci nigdy nie latały komercyjnymi liniami. Ale kto by tego chciał? Friedmanowie mieli domek w Vermoncie oraz lekką łódź w jachtklubie w Greenwich. Karen wciąż chodziła do spożywczego i zbierała psie kupy z podjazdu. Zabiegała o prezenty na aukcje na rzecz centrum dla młodzieży i dbała o domowe rachunki. Rumieniec na policzkach świadczył o tym, że jest szczęśliwa. Kochała swą rodzinę bardziej niż cokolwiek na świecie.

A jednak — westchnęła, przechodząc w pozycję krzesła — czuła się jak w rajku ze świadomością, że co najmniej przez godzinę dzieci, pies i sterta rachunków na biurku są o milion kilometrów stąd.

Uwagę Karen przyciągnął widok za szklaną przegrodą. Wokół biurka w recepcji zbierali się ludzie, wpatrzeni w podwieszony pod sufitem telewizor.

— Pomyślcie o pięknym miejscu... — poinstruowała Cheryl.
— Zróbcie wdech. Niech wasz oddech was tam zabierze...

Karen podryfowała ku miejscu, na którym zawsze się koncentrowała. Do odległej zatoczki niedaleko Tortoli, na Karaibach. Ona, Charlie i dzieciaki natrafili na nią, żeglując w pobliżu. Weszli po kolana do turkusowej wody i spędzili tam całym samy dzień. To był świat bez telefonów komórkowych i kanału Comedy Central. Karen nigdy nie widziała męża bardziej odprężonego. Później ciągle powtarzał, że kiedy dzieci dorosną i opuszczą dom, a on nad wszystkim zapanuje, pojedą tam. Jasne. Karen zawsze uśmiechała się w duchu. Charlie obracał się w swoim świecie. Kochał arbitraż, uwielbiał to ryzyko. Zatoczka mogła poczekać, nawet całe życie, jeśli to konieczne. Karen była szczęśliwa. Dostrzegła swoją twarz w lustrze. Uśmiechnęła się do własnego odbicia.

Nagle zorientowała się, że tłum przy recepcji wciąż rośnie. Kilka osób zeszło z bieżni, koncentrując się na podwieszonych ekranach. Podeszli nawet trenerzy i również oglądali przekaz.

Co się stało!

Cheryl klaskaniem próbowała przywołać grupę do porządku.

— Ludzie, skupcie się!

Jednak bez skutku.

Uczestnicy zajęć jeden po drugim przerywali ćwiczenia i patrzyli w telewizor. Przybiegła pracownica klubu, otwierając drzwi na oścież.

— Coś się stało! — powiedziała z twarzą bladą z niepokoju.

— Pożar w Nowym Jorku na stacji Grand Central!

Wybuchła jakaś bomba.

ROZDZIAŁ TRZECI

Karen wybiegła przez szklane drzwi i wcisnęła się przed telewizor.

Wszyscy tak zrobili.

Reporter nadawał z ulicy na Manhattanie, sprzed stacji kolejowej. Pewnym głosem potwierdzał, że w środku doszło do jakiejś eksplozji.

— Możliwe, że do kilku...

Na ekranie pojawiły się zdjęcia lotnicze z helikoptera. Z wnętrza wzbijał się w niebo kłęb czarnego dymu.

— O Jezu — wymamrotała Karen, z przerażeniem oglądając tę scenę. — Boże, co się stało...?

— Coś na torach — powiedziała stojąca tuż obok kobieta w trykocie. — Myślą, że wybuchła jakaś bomba, może w którymś z pociągów.

— Mój syn dziś rano jechał pociągiem — wysapała inna, zakrywając usta dłonią.

Kolejna, z ręcznikiem na szyi, z trudem powstrzymywała łzy.

— Mój mąż też.

Nim Karen zdążyła w ogóle pomyśleć, napłynęły kolejne raporty. Na torach doszło do eksplozji — kilku eksplozji — w chwili gdy pociąg kolei dojazdowej Metro-North wjeżdżał na

stację. Reporter donosił, że teraz szaleje tam pożar. Dym wydostawał się na ulicę. W środku wciąż pozostawały uwięzione dziesiątki osób. Może setki.

— Kto to zrobił? — mruzcili ludzie dokoła.

— Podobno terroryści. — Jeden z trenerów pokręcił głową.

— Nie wiedzą...

Wszyscy już raz przeżyli podobny koszmar moment. Karen i Charlie znali ludzi, którzy jedenastego września nie wydostali się z wieżowców. W pierwszej chwili Karen patrzyła na to z pełnym współczuciem kogoś, kto z boku obserwuje rozgrywaną się tragedię. Chodziło o bezimiennych ludzi bez twarzy, których zapewne widziała setki razy — siedzieli naprzeciw niej w pociągu, czytali w gazecie wiadomości sportowe, biegli ulicą do taksówki. W klubie wszyscy stali ze wzrokiem wbitym w ekran. Wielu chwyciło się za ręce.

Wtedy dotarło do Karen.

Nie błyskawicznie — pierwsze nadeszło uczucie pustki w piersi. Nasilało się, a towarzyszył mu nadciągający lęk.

Rano Charlie coś do niej krzyknął — o tym, że pojedzie pociągiem. Przekrzykiwał wycie suszarki.

Że musi odstawić samochód na przegład i chce, żeby po południu odebrała go z dworca.

O Boże...

Poczuła ucisk w klatce piersiowej. Wzrok pomknął w stronę zegara. Gorączkowo starała się zrekonstruować jakąś chronologię. O której wyszedł Charlie, która teraz była...? Karen zaczęła się bać. Jej serce waliło jak metronom ustawiony na szybkie tempo.

Podano nowe wiadomości. Karen się spięła.

— Wygląda na to, że chodzi o bombę — oznajmił reporter. — Znajdowała się w pociągu Metro-North, który wjeżdżał na stację Grand Central. Właśnie potwierdzono, że był to pociąg ze Stamford.

W klubie rozległ się stłumiony okrzyk wielu gardeł.

Większość trenujących pochodziła właśnie z tych okolic. Każdy znał osoby — krewnych, znajomych — regularnie jeżdżące tą linią. Poblądle twarze, na których malował się szok. Ludzie odwracali się do siebie, nie wiedząc nawet, obok kogo stoją, wzajemnie szukając pocieszenia w swoich spojrzeniach.

— To straszne, prawda? — Kobieta obok Karen kręciła głową.

Karen ledwie potrafiła odpowiedzieć. Nagle przeszedł ją dreszcz.

Pociąg ze Stamford jechał przez Greenwich.

Potrafiła tylko podnieść wzrok na zegar: ósma pięćdziesiąt cztery. Tak mocno ścisnęła ją w klatce piersiowej, że prawie się dusiła.

Kobieta patrzyła na nią.

— Skarbie, wszystko w porządku?

— Nie wiem... — Oczy Karen były pełne przerażenia. — W tym pociągu mógł być mój mąż.

ROZDZIAŁ CZWARTY

GODZINA 8.45

Ty Hauck był w drodze do pracy.

Zredukował prędkość do ośmiu kilometrów i skierował swój siedmiometrowy rybacki skif *Merrily* do portu w Greenwich.

Od czasu do czasu, kiedy pogoda była ładna, Hauck udawał się do pracy łodzią. Tego właśnie rześkiego, jasnego kwietniowego ranka spojrzął z pokładu i w myślach oznajmił: Czas letni uznaję za rozpoczęty! Dwudziestopięciominutowy rejs cieśniną Long Island z okolic Cove Island w Stamford, gdzie mieszkał, na pewno nie trwał dłużej niż powolna, mozolna podróż w porannym ruchu na autostradzie 1-95. A rześki wiatr we włosach budził go dużo szybciej niż jakakolwiek *latte grande* ze Starbucksa. Mężczyzna włączył przenośny odtwarzacz CD. Fletwood Mac. Popłynęły słowa starego przeboju:

Rhiannon rings like a bell through the night? And wouldn't you love to love her.

To dlatego przeprowadził się tutaj cztery lata temu. Po wypadku, po rozpadzie małżeństwa. Niektórzy mówili, że to ucieczka. Że się ukrywa. I może faktycznie tak było, ale tylko w pewnym sensie. No i co z tego, do cholery?

W Greenwich kierował policyjnym wydziałem do spraw przestępstw z użyciem przemocy. Ludzie na nim polegali. Czy

to jest ucieczka? Czasem przed pracą wypływał na godzinę, żeby cieszyć się spokojem różowego wschodu słońca i łowić tasergale i skalniki prążkowane. A to?

Tutaj się wychował. W zamieszkiwanym przez klasę średnią Byram, niedaleko Port Chester przy granicy ze stanem Nowy Jork, zaledwie kilka kilometrów, a zarazem całe życie od ogromnych posiadłości wyrosłych przy drogach na prowincję, od bram, przez które przejeżdżał, żeby sprawdzić jakiegoś bogatego dzieciaka, który dachował swoim hummerem za sześćdziesiąt tysięcy dolarów.

Teraz wszystko się zmieniło. Prowincjonalne rodziny, w młodości Haucka zamieszkujące te okolice od pokoleń, ustąpiły miejsca trzydziestoparolatkom, którzy zbili fortunę na funduszach hedgingowych. Wyburzali stare domy i zamiast nich stawiali gigantyczne zamki za żelaznymi bramami, z prywatnymi kinami oraz basenami wielkości jezior. Zjeżdżali się tu wszyscy zamożni. Obecnie rosyjscy magnaci — kto wie, skąd oni brali te fortuny? — wykupywali tereny jeździeckie w Conyers Farm i budowali lądowiska dla helikopterów.

Miliarderzy rujnują milionerów. Hauck pokręcił głową.

Dwadzieścia lat temu grał jako *running back* w drużynie futbolowej liceum Greenwich High. Potem, w Colby College, grał w trzeciej dywizji. Nie była to, co prawda, uniwersytecka Wielka Dziesiątka, ale dzięki dobremu dyplomowi szybko trafił do programu szkoleniowego dla detektywów nowojorskiej policji, co dla jego ojca, przez całe życie pracownika urzędu wodnego miasta Greenwich, było wielkim powodem do dumy. Hauck rozwiązał kilka głośnych spraw i awansował. Później pracował w policyjnym biurze informacji i wtedy runęły wieże World Trade Center.

A teraz wrócił.

Wpływał do portu przy wtórce pykającego silnika, zostawiając po lewej ręce wypiełgnowane trawniki Belle Haven. Po drodze minęło go kilka małych łodzi, które opuszczały przystań.

Ich właściciele robili to samo co on — podróżowali do pracy na Long Island, po drugiej stronie cieśniny, pół godziny stąd.

Hauck pomachał.

Podobało mu się tu teraz, chociaż po drodze wiele bolesnych wydarzeń odcisnęło na nim silne piętno.

Odkąd rozstał się z Beth, czuł się samotny. Próbował spotykać się z kobietami: z niebrzydką sekretarką prezesa General Reinsurance, z babką od marketingu, która przez jakiś czas pracowała w Altrii. Nawet z paroma babkami z policji. Ale nie znalazł nikogo, z kim znów mógłby dzielić życie. A Beth owszem.

Co jakiś czas widywał się z paroma starymi kumplami z miasta. Kilku dorobiło się na budowie domów, ktoś inny został jedynie hydraulikiem, pośrednikiem kredytów hipotecznych albo prowadził firmę projektującą tereny zielone. „Leg” — tak go wciąż nazywali. Skrót od „Legenda”. Weterani, którzy pamiętali, jak przebił się przez dwóch obrońców i wpadł do strefy końcowej w meczu przeciwko Stamford West, kiedy zdobywali koronę mistrzów hrabstwa Lower Fairfield, wciąż uważali, że to najlepsze spotkanie, jakie tu widzieli od czasów Steve'a Younga, i stawiali Hauckowi piwo.

Przed wszystkim jednak czuł się po prostu wolny. Nie dotarła tu za nim przeszłość. Starał się każdego dnia zrobić coś dobrego, dawać ludziom trochę luzu. Być fair. No i miał Jessicę, która skończyła już dziesięć lat. Odwiedzała go w weekendy, wędkowali, kopali piłkę na plaży Tod's Point i robili tam sobie obiady na świeżym powietrzu. W niedzielne popołudnia swoim ośmioletnim formem bronco odwoził ją tam, gdzie teraz mieszkała, na Brooklyn. Zimą w piątkowe wieczory grywał w hokeja w lokalnej lidze czterdziestolatków.

Ogólnie każdego dnia próbował odrobinę cofnąć czas, żeby w końcu wrócić do okresu, zanim wszystko runęło. Do chwili przed wypadkiem. Zanim rozsypało się małżeństwo. Zanim się poddał.

Po co tam wracać, Ty?

Choćby nie wiadomo jak człowiek się starał, nigdy nie da się całkiem wrócić. Życie na to nie pozwala.

Hauck dostrzegł marinę w jachtklubie Indian Harbor, gdzie kierownik nabrzeża, Hank Gordon, stary kumpel, zawsze pozwalał mu cumować w ciągu dnia. Podniósł radio.

— Gordo, wpływam...

Jednak kierownik marinę czekał na niego na pomoście.

— Co ty tu, do cholery, robisz, Ty?

— Czas letni, chłopie! — odkrzyknął Hauck.

Wrzucił wsteczny bieg i tyłem podprowadził *Merrily* do nabrzeża. Gordo rzucił mu cumę i przyciągnął łódź. Hauck zgasił silnik. Gdy uderzyła o boję, wyszedł na rufę i przeskoczył na pomost.

— Na wodzie jest dziś jak we śnie.

— Jak w złym śnie — rzekł Hank. — Ja się już zajmę resztą. Ty lepiej rusz tyłek na ten pagórek.

W twarzy kierownika nabrzeża było coś, czego Hauck nie potrafił odczytać. Zerknął na zegarek: ósma pięćdziesiąt dwie. Zwykle wraz z Gordo chrzanili przez parę minut o Rangersach albo o tym, co poprzedniej nocy trafiło do policyjnego rejestru.

W tym momencie komórka Haucka zaczęła pikać. Biuro. Dwa trzy siedem.

Dwa trzy siedem to kod na wypadek sytuacji wyjątkowych.

— Miałeś wyłączone radio, prawda? — spytał Gordo, zawiązując linę.

Hauck tępo kiwnął głową.

— Więc nie słyszałeś, co tam się stało, prawda, poruczniku?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Na początku Karen nie spanikowała. To nie w jej stylu. Powtarzała sobie w kółko, że ma zachować spokój. Charlie mógł być wszędzie. Wszędzie!

Nawet nie wiesz, czy na pewno jechał tym pociągiem, myślała.

Tak jak wtedy, gdy Samantha miała cztery, może pięć lat. Już sądzili, że zginęła im podczas zakupów w domu towarowym Bloomingdale's. Po gorączkowych, dramatycznych poszukiwaniach, odtworzeniu całej drogi po sklepie, wezwaniu kierownika i powolnym pogodzeniu się z faktem, że faktycznie stało się coś strasznego — że to nie był fałszywy alarm! — ujrze-
li, jak mała Sammy macha do tatusia i mamusi, siedząc na stercie orientalnych dywanów i przeglądając ulubioną książkę, tak niewinna, jakby grała w szkolnym przedstawieniu.

Karen uspokajała się, że i teraz może tak być. Zachowaj spokój. Do jasnej cholery, Karen, po prostu zachowaj spokój!

Wbiegła z powrotem do studia jogi, złapała torebkę i zaczęła w niej grzebać w poszukiwaniu telefonu. Z łomotem serca wcisnęła przycisk szybkiego wybierania odpowiadający numerowi Charliego. No dalej, dalej... Palce ledwie jej słuchały.

Czekając na połączenie, usiłowała przypomnieć sobie poranny

plan dnia męża. Wyszedł z domu około siódmej. Karen kończyła wtedy suszyć włosy. Dojazd do miasta zajęłby mu dziesięć minut, następne dziesięć w warsztacie na zostawienie samochodu i omówienie koniecznych zabiegów. To by była która, siódma dwadzieścia? Na stację dotarłby mniej więcej w kolejne dziesięć minut. W wiadomościach mówili, że wybuch nastąpił o ósmej czterdzieści jeden. Mógł zdążyć na wcześniejszy pociąg. Na sekundę Karen trochę się uspokoiła. Wszystko było możliwe... Charlie to najbardziej zaradny człowiek, jakiego знаła.

Wreszcie zabrzmiał sygnał. Spostrzegła, że trzęsą jej się ręce. No dalej, Charlie, odbierz...

Ku jej rozpaczycy włączyła się poczta głosowa:

— Mówi Charlie Friedman...

— Charlie, to ja — prawie krzyknęła Karen. — Bardzo się o ciebie martwię. Wiem, że jechałeś pociągiem. Musisz do mnie zadzwonić, jak tylko odsłuchasz wiadomość. Charlie, skarbie, nieważne, co teraz robisz, po prostu zadzwoń...

Zakończyła rozmowę z poczuciem kompletnej bezradności.

Wtedy się zorientowała: miała wiadomość w poczcie głosowej! Krew uderzyła jej do głowy. Gorączkowo otworzyła „nieodebrane połączenia”.

To numer Charliego! Dzięki Bogu! Z radości serce niemal podskoczyło jej do gardła.

Karen z niepokojem wprowadziła kod i przyłożyła telefon do ucha. Usłyszała znajomy głos, był spokojny.

— Posłuchaj, skarbie. Pomyślałem, że skoro będę na Grand Central, to w drodze powrotnej wskoczę do Ottomanelli's po te marynowane steki, które tak lubisz, i zamiast iść do knajpy, zrobimy grilla... Co ty na to? Daj znać. Będę w biurze o dziewiątej. Mam trochę opóźnienia. Młyn w serwisie. Pa.

Karen spojrzała na ekran telefonu: ósma trzydzieści cztery. Kiedy zadzwonił, wjeżdżał na Grand Central. Był jeszcze w pociągu. Znów zaczynała się pocić. Jeszcze raz spojrzała w stronę

recepji na telewizor i chmurę dymu gęstniejącą nad dworcem, na chaos i zamieszanie.

Nagle w głębi duszy już wiedziała. Nie mogła dłużej zaprzeczać.

Jej mąż był w tym pociągu.

Dłużej nie potrafiła nad sobą zapanować. Wybrała numer do jego biura. Szybciej, szybciej, powtarzała przez kilka koszmarne długich sekund przed nawiązaniem połączenia. W końcu odebrała Heather, asystentka Charliego.

— Słucham, biuro Charlesa Friedmana.

— Heather, tu mówi Karen. — Usiłowała nad sobą zapanować. — Jest szansa, że mój mąż już przyszedł?

— Jeszcze nie, proszę pani. Wcześniej wysłał mi e-maila ze swojego blackberry. Miał zabrać samochód do warsztatu czy coś takiego. Na pewno wkrótce się ze mną skontaktuje.

— Wiem, że zabrał samochód do warsztatu! Dlatego się martwię. Widziałas wiadomości? Mówił, że pojedzie pociągiem.

— O mój Boże! — wysapała asystentka, do której wreszcie to dotarło.

Oczywiście, że widziała wiadomości. Wszyscy widzieli. Oglądało je teraz całe biuro.

— Spróbuję się do niego dodzwonić. W okolicach dworca na pewno jest zamęt. Może już tu jedzie, a telefony nie działają. A może pojechał późniejszym pociągiem...

— Heather, on do mnie dzwonił! O ósmej trzydzieści cztery. Mówił, że zaraz wjeżdża na Grand Central. — Jej głos drżał. — O ósmej trzydzieści cztery! Jechał tym pociągiem. Inaczej już by zadzwonił. On chyba naprawdę tam był...

Heather błagała ją, żeby zachowała spokój. Obiecała, że wyśle do Charlesa e-mail, mówiła, że na pewno wkrótce się odezwie. Karen przytakiwała, ale gdy się rozłączyła, nie mogła opanować łomotu serca i dudnienia krwi. Nie miała pojęcia, co teraz robić. Przycisnęła telefon do serca, po czym jeszcze raz wybrała numer męża.

Proszę, Charlie... Proszę...

Reporter stojący przed Grand Central potwierdzał, że wybuchła co najmniej jedna bomba. Z dworca chwiejnym krokiem wyszło kilku ludzi, którzy przeżyli atak. Stali na ulicy, oszołomieni, z twarzami umazanymi krwią i czarnymi od sadzy. Mamrotali coś o torze sto dziewiątym i o tym, że nastąpiły co najmniej dwa silne wybuchy, na dole szalał ogień, a wiele osób wciąż było uwięzionych. Że coś eksplodowało w pierwszych dwóch wagonach.

Karen zamarła. Wtedy wreszcie po jej policzkach pociekły łzy.

Właśnie tam zawsze jeździł Charlie. To taki jego rytuał. Zawsze siadał w pierwszym wagonie!

Charlie, proszę, myślała błagalnie, wpatrzona w telewizor w recepcji. Stamtąd wychodzą ludzie. Patrz, robią z nimi wywiady.

Jeszcze raz wybrała jego numer. Ogarnęła ją panika.

— Kurwa, Charlie, odbierz ten telefon!

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Karen pomyślała o Samancie i Aleksie. Zrozumiała, że musi wracać do domu.

Co ona im powie? Charlie zawsze jeździł samochodem. Miał własne miejsce w biurowym garażu. Parkował tam od lat.

Że też właśnie dzisiaj musiał zabrać samochód do tego cholernego warsztatu!

Wcisnęła bluzę do torby i minawszy ladę recepcji, wybiegła przez szklane drzwi wyjściowe. Popędziła do swojego lexusa z napędem hybrydowym, którego dostała od Charliego zaledwie przed miesiącem. Deska rozdzielcza wciąż pachniała nowością. Karen wyłączyła centralny zamek pilotem przy kluczykach, po czym wskoczyła do środka.

Do domu miała tylko dziesięć minut drogi. Wyjeżdżając z parkingu, włączyła automatyczne wybieranie numeru w bluetoothowym telefonie. Charlie, błagam, odbierz, do jasnej cholery!

Coraz bardziej traciła nadzieję.

— Tu poczta głosowa Charliego Friedmana...

Odsuwała od siebie najgorsze obawy, a łzy ciekły jej po policzkach. To nie może być prawda!

Ostro skręciła w prawo, wyjechała z parkingu Sportspleksu

na Prospect Street, minęła światła i przyspieszyła, wjeżdżając na 1-95. Na drodze utworzył się korek, ruch do centrum Greenwich był spowolniony.

Spływały przeróżne, sprzeczne informacje. W radiu mówili, że doszło do kilku wybuchów, a na torach szalał pożar trudny do opanowania. Że intensywny żar oraz trujące opary uniemożliwiały strażakom zbliżenie się do miejsca katastrofy. Że było wiele ofiar.

To wszystko śmiertelnie przeraziło Karen.

On mógł być tam uwięziony. Gdziekolwiek. Niewykluczone, że był poparzony lub ranny i nie mógł się wydostać. Albo wieźli go do szpitala. Istniała setka pieprzonych scenariuszy, z których każdy mógł się w tej chwili rozgrywać. Karen znów wcisnęła klawisz szybkiego wybierania.

— Charlie, do cholery, gdzie ty jesteś? Proszę cię...

Znów pomyślała o Aleksie i Samancie. Nie mogli niczego podejrzewać. Nawet gdyby dotarły do nich wieści, to nie skojarzyliby faktów. Charlie zawsze jeździł autem.

Karen opuściła autostradę na zjeździe numer pięć do Old Greenwich i wjechała na Post Road. Nagle zapikał telefon w samochodzie. Dzięki Bogu! Serce niemal wyskoczyło jej z piersi.

Ale to tylko Paula, jej najlepsza przyjaciółka, która mieszkała nieopodal w Riverside, zaledwie kilka minut drogi stąd.

— Słyszałaś, co się stało?

W tle hałasował telewizor.

— Oczywiście, że słyszałam. Ja...

— Podobno jechał z Greenwich. Może nawet był w nim ktoś, kogo...

— Paula. — Karen przerwała przyjaciółce. Z trudem cedziła słowa. — Tym pociągiem chyba jechał Charlie.

— Co?!

Karen opowiedziała o samochodzie i o tym, że nie może się dodzwonić do męża. Oznajmiła, że jedzie do domu i nie chce

zajmować linii, na wypadek gdyby zadzwonił Charles albo ktoś z biura.

— Oczywiście, skarbie, rozumiem. Kar, nic mu nie będzie. Charlie zawsze daje sobie radę. Wiesz o tym, prawda, Kar?

— Wiem — odrzekła Karen, świadoma, że okłamuje samą siebie. — Wiem.

Jechała przez miasto, a serce biło jej jak szalone. Skręciła w Shore Road niedaleko cieśniny. Potem w Sea Wall. Pół przecznicy dalej szarpnęła lexusem w bok i wjechała na podjazd. Na trzecim stanowisku garażu stał stary ford mustang Charliego, tak jak go rano zostawiła. Karen przebiegła przez garaż i wpadła do kuchni. Na moment nabrała nadziei, widząc miganie lampki na automatycznej sekretarce. Błagam, modliła się w myślach, wciskając przycisk odtwarzania. Niepokój przyspieszał jej puls.

— Dzień dobry, pani Friedman — w głośniku rozległ się głuchy głos.

To Mal, hydraulik. Zaczął gadać o bojlerze, który chciała naprawić, o jakimś zaszranym zaworze, którego za cholere nie mógł znaleźć. Łzy ciekły Karen po twarzy, nogi się pod nią ugiwały. Oparła się o ścianę i bezsilnie osunęła na ziemię. Nadbiegł Tobey i zaczął się łąsić, machając ogonem. Otarła łzy dłońmi.

— Nie teraz, malutki. Proszę, nie teraz...

Na kuchennym blacie namacała pilota. Włączyła telewizor. Sytuacja się pogorszyła. Na ekranie był Matt Lauer, do którego teraz dołączył Brian Williams. Mówili o dziesiątkach ofiar na torach oraz o rozprzestrzeniającym się, nieopanowanym pożarze. Podobno zawałiła się dolna część budynku. Podczas gdy jakiś ekspert opowiadał o terroryzmie i al Kaidzie, na drugiej części ekranu pokazywano ciemną chmurę, która snuła się po niebie nad Manhattanem.

Karen wiedziała, że gdyby Charliemu nic się nie stało, już by do nich zadzwonił — przynajmniej do Heather w biurze. Może

nawet wcześniej niż do niej. To właśnie najbardziej ją przerażało. Zamknęła oczy.

Charlie, tylko bądź cały, gdziekolwiek jesteś. Tylko bądź cały.

Na dworze trzasnęły drzwi samochodu. Karen usłyszała dzwonek. Ktoś krzyknął jej imię i wbiegł do domu.

To Paula. Zauważyła Karen skuloną na ziemi w pozie, w jakiej jeszcze nigdy jej nie widziała. Usiadła na ziemi tuż obok i po prostu się objęły. Na ich policzkach błyszczały łzy.

— Wszystko będzie dobrze, skarbie. — Paula pogładziła Karen po głowie. — Wiem, że będzie. Tam są setki ludzi. Może telefony nie działają. Może Charlie potrzebował pomocy medycznej. To twardej. Jeśli ktokolwiek stamtąd wyjdzie, to właśnie on. Zobaczysz, kochanie. Wszystko będzie dobrze.

A Karen wciąż tylko kiwała głową i powtarzała: „Wiem, wiem”, rękawem ocierając łzy.

Dzwoniły raz za razem. Co jeszcze mogły zrobić? Na komórkę Charliego. Do biura. Trzydzieści, może czterdzieści razy.

W pewnym momencie Karen nawet się uśmiechnęła.

— Wiesz, jak Charlie się wścieka, kiedy mu zawracam głowę w pracy?

O dziewiątej czterdzieści pięć przeniosły się na kanapę w pokoju dziennym. Właśnie wtedy usłyszały auto podjeżdżające pod dom i kolejne trzaskanie drzwi. Alex i Samantha wpadli przez wejście kuchenne z okrzykiem:

— Lekcje odwołane!

Wetknęli głowy do pokoju telewizyjnego.

— Słyszałaś, co się stało? — spytał Alex.

Karen ledwie mogła odpowiedzieć. Widok dzieci wzmógł w niej paniczny strach. Kazała im usiąść. Widziały, że twarz ma ściągniętą i zmartwioną. Było na niej wypisane, że stało się coś strasznego.

Samantha usiadła naprzeciw Karen.

— Mamo, o co chodzi?

— Rano tata zabrał samochód do warsztatu — powiedziała.
— Na przegląd.

— No i?

Karen przelknęła ślinę, czując, że zaraz się rozplącze.

— Potem — zawiesiła głos — chyba pojechał pociągiem.

Oczy dzieci zrobiły się okrągłe. Popatrzyły na ekran panoramicznego telewizora.

— On tam jest? — zapytał syn. — Na Grand Central?

— Nie wiem, skarbie. Nie możemy się z nim skontaktować. Właśnie to mnie martwi. O ósmej trzydzieści cztery dzwonił i mówił, że jedzie pociągiem. To się wydarzyło o ósmej czterdzieści jeden. Nie wiem...

Karen tak bardzo starała się zachować pozory siły i optymizmu, nie chciała, żeby dzieci wpadły w panikę. Niezachwianie wierzyła, iż lada chwila Charlie zadzwoni, powie, że wyszedł, że nic mu nie jest. Dlatego nawet nie poczuła, że łzy strumieniem ciekną po jej policzkach i kapią na kolana. Nie zwróciła także uwagi na to, że Samantha przygląda się jej z otwartymi ustami, sama bliska płaczu. Natomiast Alex — biedny Alex-macho, błądy jak ściana — nie odwracał wzroku od przerażającej smugi dymu, wzbijającej się w niebo nad Manhattanem.

Przez jakiś czas nikt się nie odzywał. Po prostu patrzyli, każde z nich pogrążone we własnym świecie, zawieszony pomiędzy niedowierzaniem i nadzieją. Sam luźno objęła brata za szyję i niepewnie oparła brodę na jego ramieniu. Alex, po raz pierwszy od lat trzymając dłoń Karen, obserwował ekran telewizora, czekając, aż pojawi się twarz ojca. Paula, z łokciami opartymi o kolana, była gotowa wyciągnąć dłoń i zawołać: „Patrzcie, tam jest!”, i z radością skoczyć na równe nogi. Niezachwianie wierzyła, że telefon zadzwoni, musi zadzwonić.

— Tata wyjdzie z tego cały, prawda, mamo? — spytał Alex.

— Oczywiście, skarbie. — Karen ścisnęła jego dłoń. — Znasz

ojca. Jeśli ktokolwiek się uratuje, to właśnie on. Wyjdzie z tego.

Właśnie wtedy usłyszeli łoskot. Obraz zatrzęsł się od kolejnej, stłumionej eksplozji. Gapie zaczęli krzyczeć na widok gęstej, czarnej chmury świeżego dymu, która buchnęła z dworca.

— O Boże... — zawyla Samantha.

Karen ścisnęło w żołądku. Okryła dłonią pięść Aleksa i ścisnęła mocno.

— Och, Charlie, Charlie, Charlie...

— Wtórne eksplozje... — mamrotał komendant policji, który wyszedł ze stacji, kręcąc głową z rezygnacją. — Tam jest bardzo dużo ciał. Nasi ludzie nie mogą się nawet zbliżyć.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

OKOŁO POŁUDNIA

Kiedy przyszło wezwanie, Hauck właśnie rozmawiał przez telefon z biurem zarządzania kryzysowego nowojorskiej policji.

Możliwe 634. Potrącenie pieszego i ucieczka z miejsca wypadku. Róg West Street i Post Road.

Od rana uważnie monitorował chaos w mieście. Cały dzień telefonowali wystraszeni ludzie, którzy nie mogli nawiązać kontaktu z bliskimi. Nie wiedzieli co robić, więc dzwonili na policję. Kiedy zaatakowano World Trade Center, Hauck pracował w policyjnym biurze informacji. Przez wiele tygodni po zamachu jego robota polegała na wyjaśnianiu losów osób zaginionych — poprzez poszukiwania w szpitalach, w ruinach, w sieci służb ratunkowych. Hauck wciąż miał tam znajomych. Przyglądał się liście nazwisk ludzi z Greenwich, które spisał do tej pory: Pomeroy. Bashtar. Grace. O'Connor.

Poprzednim razem spośród setek zaginionych odnaleźli tylko dwie osoby.

— Ty, możliwe sześćset trzydzieści cztery! — krzyknęła do słuchawki sierżant dyżurna.

Potrącenie pieszego i ucieczka z miejsca wypadku. Na Post Road, niedaleko West Street, w pobliżu barów fast food i salonów samochodowych.

— Nie mogę — odpowiedział Hauck. — Wyślij tam Muñoza. Ja jestem zajęty.

— Muñoz już jest na miejscu, poruczniku. To zabójstwo. Wygląda na to, że czeka tam na ciebie ciało.

W zaledwie kilka minut Hauck wyjechał swoją grand corona z parkingu, popędził na sygnale Mason Street aż na szczyt przy Greenwich Office Park, następnie zjechał Post Road do West Street i dotarł naprzeciwko salonu Acury.

Jako naczelnik wydziału do spraw przestępstw z użyciem przemocy musiał odpowiedzieć na to wezwanie. Jego ludzie zwykle uspokajali bójkę w liceum, od czasu do czasu reagowali na doniesienia o włamaniach czy sprzeczkach małżeńskich. Trupy trafiały się w Greenwich rzadko.

Dużo częstsze były oszustwa giełdowe.

Na dolnym końcu alei cztery niebiesko-białe radiowozy miejscowej policji z migającymi światłami zablokowały arterię handlową. Cały ruch skierowano na jeden pas. Hauck zwolnił i kiwnął głową na powitanie paru znajomym funkcjonariuszom. Kiedy wysiadł, podszedł do niego Freddy Muñoz, jeden z jego detektywów.

— Freddy, chyba sobie żarty robisz. — Hauck z niedowierzaniem pokręcił głową. — Akurat dzisiaj...

Policjant z ponurą miną skinął w stronę niewielkiego wzgórzka pośrodku West Street, ulicy przecinającej Post Road i prowadzącej do Railroad Avenue oraz 1-95.

— Czy to wygląda na żarty, poruczniku?

Radiowozy zaparkowano w taki sposób, że tworzyły swego rodzaju kordon ochronny wokół ciała. Zdążyła także przyjechać karetka, ale technik stał i czekał na przybycie regionalnego zespołu medycznego z Farmington. Hauck przyklęknął i odsłonił folię.

Chryste! Wydał policzki i westchnął przeciągle.

To był jeszcze dzieciak — miał dwadzieścia dwa, może dwadzieścia trzy lata. Białe, ubrany w brązowy uniform roboczy,

długie, rude włosy splecione w warkoczyki ciasno przy skórze jak u rastafarianina. Leżał wygięty, biodra lekko skrecone i uniesione nad chodnikiem, plecy płasko na ziemi, twarz skierowana w górę. Oczy miał szeroko otwarte, moment zderzenia zastygł w jego źrenicach. Z kącika ust na chodnik spływała strużka krwi.

— Kto to?

— Abel John Raymond. Jego szef w tamtym zakładzie tuningu aut powiedział, że mówili na niego AJ. To tam pracował.

Nieopodal stał młody umundurowany funkcjonariusz z notatnikiem w dłoni. Na tabliczce z nazwiskiem napisane było: „Stasio”. Hauck założył, że to on pierwszy przybył na miejsce wypadku.

— Właśnie skończył zmianę — dodał Muñoz. — Mówił, że idzie kupić fajki i gdzieś zadzwonić. — Wskazał na drugą stronę ulicy. — Najwyraźniej kierował się do tamtej knajpy.

Hauck spojrział na znajomy lokal Fairfield Diner, w którym czasami bywali policjanci. Sam parę razy tam jadał.

— Co wiemy o samochodzie?

Muñoz przywołał posterunkowego Stasio, który wyglądał, jakby miesiąc temu zakończył szkolenie. Funkcjonariusz nieco nerwowo odczytał z kołonotatnika:

— Panie poruczniku, wygląda na to, że samochód, który potrącił ofiarę, to biały SUV. Jechał Post Road w kierunku północnym i ostro skręcił w West Street... Uderzył w ofiarę, kiedy przechodziła przez ulicę. Mamy dwóch świadków, którzy wszystko widzieli.

Stasio wskazał na dwóch mężczyzn. Jeden z nich, krępy, z wąsem, ubrany w sportową kurtkę, siedział na przednim siedzeniu otwartego radiowozu i gładził się po włosach. Drugi, w niebieskiej kurtce z wełnianym kołnierzem, rozmawiał z innym policjantem, ponuro kręcąc głową.

— Jednego znaleźliśmy na parkingu Arby's. Okazuje się, że to były gliniarz. Drugi wyszedł z banku po przeciwnej stronie ulicy.

Młody niezłe się spisał.

— Dobra robota, Stasio.

— Dziękuję, panie poruczniku.

Hauck podniósł się powoli, strzeliły mu kolana. Pamiątka z czasów gry w futbol.

Odwrócił się, by spojrzeć na szary, wyjeżdżony asfalt na West Street — dwa pasy gumy ciągnęły się jeszcze sześć metrów od miejsca, gdzie leżały okulary i telefon komórkowy ofiary. Ślady poślizgu. Biegły daleko za miejsce zderzenia. Hauck westchnął z przykrością i aż go skręciło w trzewiach.

Sukinsyn nawet nie próbował się zatrzymać.

Policjant spojrział na posterunkowego Stasio.

— Wszystko w porządku, synu?

Młody funkcjonariusz miał wypisane na twarzy, że to jego pierwszy trup. Kiwnął głową.

— Tak jest.

— Nigdy nie jest łatwo. — Hauck poklepał posterunkowego po ramieniu. — Żadnemu z nas.

— Dziękuję, panie poruczniku.

Hauck wziął Muñoza na stronę. Pokierował wzrokiem detektywa na południe wzdłuż Post Road, zgodnie z trasą, którą pokonał samochód. Następnie wskazał ślady opon na chodniku.

— Widzisz to, co ja?

Detektyw kiwnął głową z ponurą miną.

— Gnój w ogóle nie próbował się zatrzymać.

— Właśnie.

Hauck wydobyl z kieszeni marynarki lateksową rękawiczkę i naciągnął ją na dłoń.

— Dobra. — Znów przykucnął przy nieruchomym ciele. — Zobaczmy, co on nam powie...

Uniósł tułów Abła Raymonda na tyle, żeby wyjąć portfel z kieszeni spodni ofiary. Prawo jazdy wydane na Florydzie na nazwisko Abel John Raymond. Była również legitymacja z

Seminole Junior College sprzed dwóch lat. Na fotografii ten sam szeroki uśmiech i błysk w oczach co na prawie jazdy, tylko włosy nieco krótsze. Może chłopak rzucił szkołę.

W portfelu znajdowała się również karta kredytowa MasterCard na jego nazwisko, karta klienta domu towarowego Sears, kolejne z Costco i ExxonMobil, legitymacja ubezpieczenia społecznego. Czterdzieści dwa dolary gotówką. Odcinek biletu z meczu Orange Bowl 1996. Florida State kontra Notre Dame. Hauck pamiętał to spotkanie. Z przegródki portfela wyjął zdjęcie atrakcyjnej, ciemnowłosej kobiety, dwudziestoparoletniej. Trzymała w ramionach małego chłopca. Podał je Muñozowi.

— Nie wygląda na siostrę. — Detektyw wzruszył ramionami. Ofiara nie miała na palcu obrączki. — Może dziewczyna. Będą musieli sprawdzić kto to taki.

— Ktoś dziś nie będzie szczęśliwy — westchnął Freddy Muñoz.

Hauck schował fotografię z powrotem do portfela i wypuścił powietrze.

— Obawiam się, Freddy, że lista jest długa.

— To szaleństwo, prawda, poruczniku? — Muñoz pokręcił głową. Nie miał już na myśli wypadku. — Brat mojej żony dziś rano pojechał tym pociągiem o siódmej pięćdziesiąt siedem. Wysiadł tuż przed wybuchem. Szwagierka mało nie oszalała. Nie mogła się do niego dodzwonić, póki nie dotarł do pracy. Rano człowiek na parę minut przewróci się na drugi bok, zatrzyma się na światłach, spóźni na pociąg... Wie pan, jakiego on miał farta?

Hauck przypomniał sobie listę nazwisk na biurku oraz nerwowe, pełne nadziei głosy ludzi, którzy dzwonili w sprawie zaginionych osób. Zerknął w stronę świadków, których znalazł Stasio.

— Chodź, Freddy, zidentyfikujemy ten samochód.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Hauck zajął się mężczyzną w sportowej kurtce, a Freddy tym z wełnianym kołnierzem.

Pierwszy okazał się emerytowanym gliniarzem z South Jersey, nazywał się Phil Dietz. Podobno chodził po okolicy, reklamując supernowoczesne systemy zabezpieczeń — „wie pan, »inteligentne« domy, czytniki odcisków palców, czujniki identyfikacyjne, te sprawy” — którymi zajmował się, odkąd przed trzema laty zwrócił odznakę. Właśnie zaparkował przed Arby's, żeby kupić sobie kanapkę, kiedy doszło do wypadku.

— Nadjechał ulicą raczej szybko — powiedział Dietz. Był niskim, przysadzistym mężczyzną o siwych włosach, lekko przeczczonych na czubku głowy, miał gęste wąsy i w podnieceniu poruszał potężnymi dłońmi. — Słyszałem, jak podkręcał silnik. Przyspieszył na tej ulicy i skręcił o tam. — Wskazał w stronę skrzyżowania West Street i Post Road. — Skurczybyk uderzył chłopaka i nawet nie wdepnął hamulca. Jak to zobaczyłem, było już za późno.

— Czy może pan podać markę samochodu? — spytał Hauck. Dietz kiwnął głową.

— Białe SUV, nowy. Chyba honda albo acura, coś takiego.

Może bym rozpoznał na zdjęciu. Tablice rejestracyjne też były białe, zdaje się, że z niebieskimi literami albo może zielonymi. — Pokręcił głową. — Za daleko było. Nie mam już takiego wzroku jak za dawnych czasów w policji. — Potrząsnął okularami w kieszeni na piersi. — Teraz muszę tylko odczytywać zamówienia. Hauck uśmiechnął się, po czym zanotował coś w zeszyście.

— Nie był stąd?

Dietz pokręcił głową.

— Nie. Może z New Hampshire albo z Massachusetts.

Przykro mi. Nie zdążyłem odczytać. Sukinsyn zatrzymał się na sekundę, już po uderzeniu. Krzyknąłem: „Ej, ty!” i zacząłem biec w dół ulicy. Ale on zaraz ruszył. Próbowałem zrobić zdjęcie komórką, ale wszystko działo się za szybko. Już go nie było.

Dietz wskazał na wzniesienie, w stronę szczytu Railroad Avenue. West Street skręcała, mijając otwarty parking i biurowiec. Stamtąd była już tylko jedna, może dwie minuty drogi do 1-95. Hauck wiedział, że musiałoby się im bardzo poszczęścić, żeby ktoś tam widział samochód sprawcy.

Zwrócił się z powrotem do świadka.

— Mówił pan, że słyszał, jak przyspiesza?

— Zgadza się. Właśnie wysiadałem z samochodu. Pomyślałem, że zabiję czas przed następnym umówionym spotkaniem.

— Dietz założył splecione dłonie za głowę. — Poszukam klientów... Niech pan nigdy nie odchodzi z policji.

— Spróbuję. — Hauck uśmiechnął się szeroko, a następnie wskazał na południe. — Nadjechał stamtąd? Śledził go pan wzrokiem, zanim skręcił?

— Tak. — Dietz kiwnął głową. — Zauważyłem go, jak przyspieszał.

— Kierowca był mężczyzną?

— Jestem tego pewien.

— Przyjrzał mu się pan?

Mężczyzna zaprzeczył ruchem głowy.

— Kiedy samochód się zatrzymał, facet na moment się obejrzał. Może miał wyrzuty sumienia. Twarzy nie widziałem, przez te przyciemniane szyby, a szkoda.

Hauck znów spojrzał w górę wzniesienia i podążył wzrokiem wzdłuż przypuszczalnej trasy ofiary. Jeśli pracował w „J&D szyby i felgi”, to żeby dojść do knajpy, musiał przejść przez West Street, a potem na światłach przez Post Road.

— Pracował pan w policji, tak?

— Powiat Freehold. — Oczy świadka rozbłysły. — Na południu New Jersey. Niedaleko Atlantic City. Przez dwadzieścia trzy lata.

— Nieźle. Wobec tego powinien pan zrozumieć to, o co teraz zapytam. Czy może zauważył pan, czy samochód jechał z równą, dużą prędkością, zanim wykonał skręt? Czy też przyspieszył wtedy, gdy ofiara weszła na jezdnię?

— Chce pan stwierdzić, czy to był wypadek, czy celowe działanie? — Ekspolicjant uniósł głowę.

— Próbuję tylko ustalić, co tutaj zaszło — odparł Hauck.

— Słyszałem go stamtąd. — Dietz wskazał w górę ulicy, w stronę Arby's. — Popędził w dół pagórka, potem zawinął w zakręt, zupełnie jakby nie panował nad kierownicą. Wyglądało, jakby był pijany. Nie wiem, podniosłem wzrok dopiero wtedy, gdy usłyszałem huk. Ciągnął tego biednego chłopaka jak worek mąki. Jeszcze widać ślady. Potem stanął. Chyba miał go wtedy pod samochodem i zaraz odjechał.

Dietz zapewnił, że z chęcią rzuci okiem na fotografie różnych SUV-ów, żeby uściślić markę i model.

— Niech pan znajdzie tego skurczybyka, poruczniku. Jeśli tylko będę do czegoś potrzebny, proszę mi dać znać. Chcę być młotkiem, który wbije gwóźdź do jego trumny.

Hauck podziękował mężczyźnie. Mniej wskazówek, niż miał nadzieję uzyskać. Podeszedł Muñoz. Facet, z którym rozmawiał, widział wypadek z drugiej strony ulicy. Był trenerem lekkiej atletyki z Wilton, trzydzieści kilometrów stąd. Miał na nazwisko

Hodges. Zidentyfikował ten sam biały pojazd z rejestracją z innego stanu. „AD albo coś takiego. Może pierwsza cyfra osiem...”. Właśnie wychodził z banku, skorzystawszy z bankomatu. Wszystko rozegrało się tak szybko, że on też niewiele zdążył zobaczyć. Z grubsza opisał zajście tak samo jak Dietz. Muñoz rozczarowany wzruszył ramionami.

— Niewiele mamy, prawda, poruczniku?

Hauck zacisnął wargi poirytowany.

— Prawda.

Wrócił do samochodu i wydał nakaz poszukiwania. Białe, nowe auto typu SUV, prowadzone przez białego mężczyznę, „przypuszczalnie marki Honda lub Acura, rejestracja zapewne z Massachusetts lub New Hampshire, prawdopodobnie rozpoczynająca się od AD8. Możliwe uszkodzenia z przodu wozu”. Roześlą tę informację do policji stanowej oraz warsztatów blacharskich na całym północnym wschodzie. Zamierzali przepyttać ludzi wzdłuż West Street, by sprawdzić, czy ktokolwiek zauważył przejeżdżający wóz. Na autostradzie mogło się znajdować kilka kamer kontroli prędkości. To w tej chwili największa szansa.

Chyba że okazało się, że ktoś upatrzył sobie właśnie Abła Raymonda.

W pobliżu stał skulony z zimna facet w czapce nowojorskich Jankesów. Przyprowadził go Stasio. Dave Corso, właściciel warsztatu tuningowego, w którym pracował AJ Raymond.

— To był dobry chłopak. — Corso kręcił głową, wyraźnie roztrzęsiony. — Pracował u mnie gdzieś od roku. Miał talent. Sam przerabiał stare samochody. Przyjechał z Florydy.

Hauck przypomniał sobie prawo jazdy ofiary.

— Wie pan skąd konkretnie?

Właściciel warsztatu wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Z Tallahassee, Pensacoli... Ciągłe chodził w koszulkach Florida State Seminoles. Jak w zeszłym roku wygrali ten mecz w mistrzostwach, to chyba wszystkich zabrał na piwo.

Jego ojciec, zdaje się, był tam na Florydzie marynarzem czy coś takiego.

— To znaczy służył w marynarce?

— Nie. Pracował na holowniku albo co. Chłopak miał jego zdjęcie na ścianie. Jest w środku.

Hauck kiwnął głową.

— Gdzie mieszkał pan Raymond?

— Dam głowę, że w Bridgeport. Na pewno mamy to w środku w aktach, ale wie pan, jak to jest, wiele się zmienia. Za to wiem, że korzystał z First City Bank...

Corso powiedział policjantom, że może na jakieś dwadzieścia minut przed wyjściem AJ otrzymał telefon. Właśnie był w trakcie barwienia szyb w pewnym aucie. Przyszedł i powiedział, że wychodzi na wcześniejszą przerwę.

— Facet chyba mówił, że nazywa się Marty coś tam. AJ powiedział, że idzie na drugą stronę ulicy po fajki. Chyba do baru. Tam jest automat. — Corso spojrzał na przykryty wzgórek na chodniku. — A potem to... Jak to możliwe, do cholery?

Hauck wyjął portfel ofiary z woreczka na dowody i pokazał Corsowi fotografię dziewczyny oraz jej syna.

— Wie pan, kto to może być?

Kierownik warsztatu wzruszył ramionami.

— Chyba jakaś babka stamtąd... Albo może ze Stanford. Przyjechała tu po niego raz czy dwa. Niech no spojrzę... Tak, to chyba ona. AJ lubił pracować przy klasycznych autach. Wie pan, odnawiał je. Corvette'y, lesabre'y, mustangi. Zdaje się, że w zeszły weekend był na pokazie. Rany...

— Proszę pana. — Hauck wziął mężczyznę na bok. — Czy przychodzi panu do głowy ktokolwiek, kto miał jakiś powód, żeby zrobić panu Raymondowi krzywdę? Czy AJ miał długi? Uprawiał hazard? Brał narkotyki? Każdy szczegół nam pomoże.

— Myślicie, że to nie był wypadek? — Oczy szefa zakładu zrobiły się wielkie ze zdziwienia.

— Po prostu robimy, co do nas należy — odparł Muñoz.

— Rany, nie wiem. Dla mnie to zwyczajnie był porządnym chłopakiem. Przychodził do pracy. Robił swoje. Ludzie go tu lubili. Ale jak już panowie o tym wspomnieli, to ta babka... Chyba miała męża albo niedawno się rozwiodła. Wiem, że AJ kiedyś wspominał o kłopotach z jej byłym. Może Jackie coś wam powie. Jest w środku. Byli ze sobą bliżej.

Hauck skinął głową. Dał znak Muñozowi, żeby to sprawdził.

— A jak już będziemy w środku, to miałby pan coś przeciwko temu, żebyśmy sprawdzili, skąd wykonano ten telefon do pana Raymonda?

Coś mu się w tym wszystkim nie podobało.

Zbliżył się do krawężnika i spojrział w dół pagórka w stronę miejsca wypadku. Było widoczne — i to wyraźnie. Skręcił w West Street. Nic nie przesłaniało widoku. Samochód sprawcy nie zwolnił. Nie próbował się zatrzymać ani ominąć mężczyzny. Żeby trafić prosto w tego chłopaka, kierowca musiałby w poniedziałkowe południe być w sztok pijany.

W końcu przybył zespół medyczny z północy stanu. Hauck zszedł na dół wzniesienia. Podniósł telefon komórkowy ofiary. Miał zamiar sprawdzić spis niedawno wykonanych połączeń. Nie zdziwiłby się, gdyby był wśród nich numer człowieka, który do niego dzwonił.

Sprawy często tak się układały.

Po raz ostatni przykleknął przy zwłokach Abła Raymonda, żeby dobrze się przyjrzeć jego twarzy. W twoim imieniu do-wiem się prawdy, synu, poprzysiągł. Pomyślał znów o zamachu bombowym. Tylu ludzi w mieście nie wróci dziś do domów. To tylko jeden z nich. Ale w jego sprawie Hauck mógł coś zrobić.

Ten jeden — policjant nie odrywał wzroku od długich rudych włosów i wzbierał w nim ból od dawna niezagojonej rany — ten jeden miał twarz.

Hauck już zamierzał się podnieść, kiedy postanowił po raz ostatni sprawdzić kieszenie ofiary. W spodniach znalazł trochę

drobnych i rachunek za benzynę. Potem sięgnął do kieszeni na piersi, ozdobionej inicjałami chłopaka. AJ.

Pogrzebał palcem w środku i wreszcie wyciągnął kawałek żółtego papieru, typową przylepną karteczkę. Widniało na niej nazwisko oraz numer telefonu, miejscowy.

Może AJ Raymond udawał się na spotkanie z tym człowiekiem. A może tę kartkę miał w kieszeni od tygodni. Hauck wrzucił ją do woreczka na dowody wraz z innymi znalezionymi rzeczami. Kolejne ogniwo do sprawdzenia.

Charles Friedman.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nie dotarły do mnie żadne wieści o mężu. Nigdy nie odkryłam, co się stało.

Ogień szalał w podziemiach Grand Central niemal przez cały dzień. W eksplozji zastosowano mocny środek przyspieszający. Użyto czterech bomb. Po jednej w dwóch pierwszych wagonach pociągu, który wyjechał o siódmej pięćdziesiąt jeden z Greenwich. Wybuchły, kiedy się zatrzymywał. Dwie kolejne w śmietnikach na peronie, w każdej po czterdzieści pięć kilogramów heksagenu, co wystarczyłoby do zburzenia sporego budynku. Mówiono, że to jakiś radykalny odłam mścił się za Irak. Wyobrażacie to sobie? Charlie nienawidził wojny w Iraku. Dotarli do nazwisk, fotografii dworca, śladów środków chemicznych w miejscu produkcji bomb. Ogień, który płonął przez prawie dwa dni, osiągnął temperaturę tysiąca dwustu stopni Celsjusza.

Czekaliśmy. Cały pierwszy dzień czekaliśmy na jakąś wiadomość. Na cokolwiek. Na głos Charliego. Wiadomość z kogoś szpitala, że on tam leży. Obdzwoniliśmy chyba cały świat: dzwoniliśmy na policję, na gorącą linię, którą utworzono po zamachu, do naszego miejscowego kongresmena, który znalazł Charliego.

Nie doczekaliśmy się.

Zginęło sto jedenaście osób. W tym trzech zamachowców, którzy, jak podejrzewano, jechali w dwóch pierwszych wagonach. Tam gdzie zawsze siedział Charlie. Wielu osób nigdy nie zidentyfikowano. Pozostały po nich nierozpoznawalne szczątki. Po prostu pewnego dnia wyszli do pracy i zniknęli z powierzchni ziemi. Tak jak Charlie. Mój mąż przez osiemnaście lat. Zawołał „do widzenia”, przekrzykując wycie suszarki, i pojechał odstawić samochód do warsztatu.

I znikł.

Znaleźli natomiast rączkę skórzanej teczki, którą w zeszłym roku dostał od dzieci — wciąż przymocowaną do osmałonej górnej części, odrzuconą z miejsca wybuchu, ze złotym, tłoczonym monogramem, CMF. To był pierwszy decydujący znak, który wywołał lzy.

Charles Michael Friedman.

Przez pierwsze dni byłam pewna, że on się z tego wszystkiego wygrzebie. Charlie ze wszystkiego umiał wyjść cało. Potrafił spaść z dachu, gdy reperował antenę satelitarną, i wylądować na nogi. Zawsze sobie jakoś radził.

Ale nie tym razem. Nikt nigdy nie zadzwonił, nikt nie odnalazł skrawka ubrania, ani nawet garstki prochów.

I nigdy się nie dowiem.

Nie dowiem się, czy zginął w pierwszej eksplozji, czy od płomieni. Czy był przytomny, czy cierpiał. Czy zdążył jeszcze pomyśleć o nas. Czy nas wzywał.

Jakaś cząstka mnie pragnęła chwycić go za ramiona i wrzasnąć: „Charlie, jak mogłeś dać się tam zabić?!”. Jak?

Teraz muszę się chyba pogodzić z tym, że odszedł. Że już nie wróci. Choć to takie cholernie trudne...

Że nie odwiezie Samantha na uczelnię pierwszego dnia studiów. Nie zobaczy, jak Alex strzela bramkę. Nie dowie się, na jakich ludzi oboje wyrosną. Byłby z nich taki dumny.

Mieliśmy się razem zestarzeć. Popłynąć do tej karaibskiej zatoczki. A teraz go nie ma, odszedł w mgnieniu oka.

Osiemnaście lat naszego życia.

Osiemnaście lat...

A ja go nawet nie pocałowałam na pożegnanie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kilka dni później — w piątek, może w sobotę, Karen już straciła rachubę — do domu przyszedł detektyw z policji.

Nie z Nowego Jorku. Tamtejsi gliniarze i ludzie z FBI odwiedzali ją kilkakrotnie, starając się ustalić, co robił Charlie tamtego dnia. Ten policjant był miejscowy. Wcześniej zadzwonił, żeby spytać, czy może krótko porozmawiać na temat niezwiązany z zamachem. Karen chętnie się zgodziła. Teraz wszystko, co pomagało myśleć o czymś innym, było istnym darem niebios.

Kiedy przyjechał, układała w kuchni kwiaty przysłane przez jedną z firm, które obsługiwał Charlie.

Wiedziała, że jest w rozsypce. W tej chwili niezbyt dbała o pozory. Policjanta wprowadził jej ojciec, Sid, który przyjechał z Atlanty i czule się nią opiekował.

— Porucznik Hauck — przedstawił się mężczyzna. Jak na policjanta był ładnie ubrany. Miał sportową, tweedową marynarkę, spodnie oraz gustowny krawat. — W poniedziałek wieczorem widziałem panią w mieście na spotkaniu. Zajmę tylko kilka minut. Proszę przyjąć moje kondolencje.

— Dziękuję.

Karen skinęła głową i odgarnęła włosy. Usiedli na werandzie,

a ona spróbowała poprawić nastrój pełnym wdzięczności uśmiechem.

— Moja córka nie czuje się najlepiej — wtrącił jej ojciec — więc może to, z czym pan przyszedł...

— Tato, nic mi nie jest. — Uśmiechnęła się. Czule przewróciła oczami, po czym spojrzała na policjanta. — Wszystko w porządku. Pozwól mi porozmawiać z panem porucznikiem.

— Dobrze, dobrze — odparł ojciec. — To ja się wynoszę. Gdybyś mnie potrzebowała...

Wrócił do pokoju telewizyjnego i zamknął drzwi.

— Mój ojciec nie wie, co robić — powiedziała Karen, wzdychając głęboko. — Nikt nie wie. Wszystkim nam teraz bardzo ciężko.

— Dziękuję za spotkanie — rzekł detektyw. — Nie zajmę pani dużo czasu. — Usiadł naprzeciw niej i wyjął coś z kieszeni. — Nie wiem, czy pani słyszała, że w poniedziałek doszło w naszym mieście do innego zajścia. Młody człowiek został potrącony przez samochód na Post Road, a sprawca uciekł z miejsca wypadku. Ofiara zginęła na miejscu.

— Nie wiedziałam — odparła zaskoczona Karen.

— Mężczyzna nazywał się Raymond. Abel John Raymond. — Porucznik podał jej fotografię uśmiechniętego, dobrze zbudowanego chłopaka z czerwonymi dreadami, stojącego na plaży obok deski surfingowej. — Mówili na niego AJ. Pracował w warsztacie tuningowym u nas w mieście. Przechodził przez West Street, kiedy został potrącony przez jadący z dużą szybkością SUV, który skręcał w prawo. Facet ciągnął biedaka przez dobre piętnaście metrów, a potem odjechał.

— To straszne — powiedziała Karen, znów spoglądając na twarz na zdjęciu.

Poczuła ukłucie żalu. Niezależnie od tego, co jej się przydarzyło, mieszkała w małym mieście. To mogło spotkać każdego. Syna któregośkolwiek z mieszkańców. Tego samego dnia, gdy ona straciła Charliego.

Ponownie podniosła wzrok na policjanta.

— Jaki to ma związek ze mną?

— Nie widziała go pani może wcześniej?

Karen znowu opuściła wzrok. Przystojna twarz, pełna życia. Długie, rude dredy sprawiały, że trudno by ją było zapomnieć.

— Nie, chyba nie.

— Słyszała pani kiedyś jego nazwisko?

Karen jeszcze raz popatrzyła na zdjęcie i pokręciła głową.

— Chyba nie. Czemu pan pyta?

Detektyw wyglądał na zawiedzionego. Znów sięgnął do marynarki, by wyjąć niewielki żółty kawałek papieru: zmiętą karteczkę samoprzylepną w plastikowym woreczku.

— Znaleźliśmy to w roboczym uniformie ofiary na miejscu przestępstwa.

Gdy Karen spojrzała na kartkę, poczuła, jak ściska ją w dołku, a oczy robią się wielkie ze zdziwienia.

— To nazwisko pani męża, prawda? Charles Friedman. I numer jego telefonu komórkowego.

Podniosła wzrok kompletnie zdumiona i kiwnęła głową.

— Tak. Zgadza się.

— I na pewno nigdy pani nie słyszała, żeby mąż wspominał to nazwisko? Raymond? Lakierował auta i barwił szyby w warsztacie w mieście.

— Barwił szyby? — Karen pokręciła głową i uśmiechnęła się oczami. — No, chyba że Charlie przygotowywał się na kryzys wieku średniego, o którym mi nie wspominał.

Hauck odwzajemnił uśmiech. Dostrzegła jednak jego rozczarowanie.

— Żałuję, że nie mogę panu pomóc. Myśli pan, że to było celowe potrącenie?

— Po prostu jestem dokładny.

Odebrał od niej fotografię i kartkę z nazwiskiem Charliego. Karen pomyślała, że jest przystojny. W taki surowy sposób. Poważne, błękitne oczy. Kryła się w nich jednak pewna troskliwość.

Na pewno nie było mu łatwo tu dziś przyjść, ale musiał ze względu na tego chłopca. Wzruszyła ramionami.

— Zbieg okoliczności, prawda? Nazwisko Charliego na tej kartce. W kieszeni tamtego chłopca. Tego samego dnia... I pan musiał tu przyjść.

— Owszem, ponury zbieg okoliczności. — Mężczyzna kiwnął głową, siląc się na gorzki uśmiech. — Już pani nie przeszkadzam. — Oboje wstali. — Jeśli coś się pani przypomni, proszę do mnie zadzwonić. To moja wizytówka.

— Oczywiście.

Karen wzięła ją do ręki i zaczęła czytać: „Naczelnik wydziału do spraw przestępstw z użyciem przemocy. Komenda policji w Greenwich”.

— Tak mi przykro z powodu pani męża — powtórzył porucznik.

Wzrokiem zablądził na fotografię, którą trzymała na półce. Ona i Charlie w odświętnych strojach na ślubie jej kuzynki Meredith. Karen zawsze uwielbiała to zdjęcie.

Uśmiechnęła się smutno.

— Osiemnaście lat razem. A ja go nawet nie mogłam pocałować na pożegnanie.

Przez moment oboje stali w milczeniu. Ona żałowała, że to powiedziała, a on, lekko spięty, kołysał się lekko i najwyraźniej nad czymś rozmyślał. Wreszcie się odezwał:

— Po jedenastym września pracowałem w biurze informacyjnym policji w Nowym Jorku. Moim zadaniem było odszukiwanie zaginionych ludzi. Wie pani, tych, którzy przypuszczalnie przebywali w wieżowcach. Było ciężko. Widziałem wiele rodzin — zwilżył usta — w tym samym położeniu. Chyba chciałem po prostu powiedzieć, że mam pewne wyobrażenie tego, co pani przeżywa...

Karen poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Podniosła wzrok i spróbowała się uśmiechnąć, nie wiedząc, co powiedzieć.

— Proszę mi dać znać, jeśli mógłbym pomóc. — Policjant zrobił krok do wyjścia. — Wciąż mam tam paru znajomych.

— Dziękuję za troskę. — Poprowadziła go przez kuchnię do tylnego wyjścia, żeby uniknąć ludzi przy drzwiach frontowych. — To straszne. Życzę panu powodzenia w poszukiwaniach tego człowieka. Szkoda, że nie mogłam bardziej pomóc.

— Ma pani na głowie własne problemy — rzekł Hauck, otwierając drzwi.

Karen podniosła wzrok i spojrzała na niego. W jej głosie zabrzmiała nadzieja:

— I znalazł pan kogoś? Wtedy, po jedenastym wrześniu?

— Dwie osoby. — Wzruszył ramionami. — Jedną kobietę w szpitalu świętego Wincentego. Uderzyły ją odłamki. Drugi człowiek tamtego dnia w ogóle nie dotarł do pracy. Zobaczył, co się stało, i przez parę dni nie był w stanie wrócić do domu.

— Czyli kiepskie szanse. — Karen uśmiechnęła się, spoglądając na policjanta, jakby wiedziała, co musi teraz myśleć. — Po prostu byłoby dobrze, wie pan, mieć coś...

— Moje szczere wyrazy współczucia dla pani i pani rodziny. — Porucznik otworzył drzwi. — Bardzo mi przykro.

Opuściwszy dom, Hauck przez chwilę stał na podjeździe.

Liczył, że ten trop okaże się bardziej obiecujący. Właściwie nie miał nic więcej.

Kontrola rejestru połączeń telefonicznych zakładu, w którym pracował AJ, nic nie dała. Ten telefon do Raymonda — od „Marty'ego coś tam”, jak powiedział kierownik — wykonano z prywatnego numeru. Z komórki. Teraz już nie do namierzenia.

To samo z byłym mężem jego dziewczyny. Facet okazał się mętem, możliwe, że bił żonę, ale miał weryfikowalne alibi. W chwili wypadku był na spotkaniu w szkole swojego dziecka, a poza tym jeździł granatową toyotą corolla, a nie SUV-em. Hauck dwa razy to sprawdzał.

Teraz pozostawały tylko sprzeczne zeznania dwóch naocznych świadków i nakaz poszukiwania białego SUV-a.

Czyli prawie nic.

Palilo go to. Jak płomienne rude włosy AJ Raymonda.

Komuś uchodziło na sucho morderstwo. Tyle że Hauck nie potrafił tego udowodnić.

Karen Friedman była atrakcyjna, miła. Żałował, że nie może jej jakoś pomóc. Przykro było patrzeć, jak stara się zachowywać normalnie. I jeszcze ta niepewność w jej oczach. Był w pełni świadom tego, co ona przeżywa, z czym będzie się musiała zmierzyć.

Rozumiał, że wbrew jego słowom, to, co mu ciążyło na sercu, nie miało bezpośredniego związku z ofiarami jedenastego września. Chodziło o coś głębszego, co nigdy na dłużej nie opuszczało jego myśli.

Norah. Teraz miałaby osiem lat, prawda?

Nagle wspomnienie ukuło go tak jak zawsze. Dziewczynka w bładoniebieskiej bluzie, z aparatem na zębach, bawiła się z siostrą na chodniku holownikiem-zabawką.

Hauck wciąż słyszał trel jej głosu. „Merrily, merrily, merily”...

Wciąż widział jej rude warkocze.

Drzwi samochodu uderzyły o krawężnik, wyrывая go z zadumy. Hauck podniósł wzrok i zobaczył, jak ładnie ubrana para z kwiatami w rękach podchodzi do drzwi frontowych Karen Friedman.

Coś mu wpadło w oko.

Jedne z wrót garażowych, zamknięte, kiedy przyjechał, stały teraz otworem. Gospoia wynosiła wór ze śmieciami.

Na jednym ze stanowisk stał miedzianej barwy ford mustang. Hauck przypuszczał, że z sześćdziesiątego piątego, może szóstego roku. Kabriolet. Na tylnym błotniku dostrzegł czerwoną kalkomanie z symbolem serca. Wzdłuż karoserii biegł pas wyścigowy.

Rejestracja brzmiała: CHRLYS BABY.

„Maleństwo Charliego”.

Hauck podszedł i przyklęknął. Przesunął dłonią po gładkim, chromowanym wykończeniu.

Jasna cholera...

To właśnie robił AJ Raymond. Odnawiał stare samochody. Przez moment Hauck o mało nie roześmiał się w głos. Nie miał pewności, jak się z tym czuje — czy to rozczarowanie, czy ulga — ale oto zniknął ostatni trop.

Tak czy inaczej — uznał, przemierzając podjazd w kierunku swego auta — teraz przynajmniej wiedział, skąd chłopak miał numer Charlesa Friedmana.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

PENSACOLA W STANIE FLORYDA

Ogromny, szary tankowiec wyłonił się z mgły i zredukował moc silników u wejścia do portu.

Cienie przemysłu ciężkiego: stalowoszare pomosty, zbiorniki rafineryjne, gigantyczne pompy hydrauliczne, oczekujące na ropę i gaz, wszystko to w milczeniu obserwowało przybycie jednostki.

Na spotkanie wypłynęła jedna łódź motorowa.

Pilot Pappy stojący za sterem skoncentrował się na czekającym statku. Jako zastępca komendanta portu Pensacola miał za zadanie przeprowadzenie jednostki wielkości boiska futbolowego przez piaszczyste, wapienne mielizny wokół Singleton Point, a następnie przez ruchliwe pasy wewnętrznego portu, które z upływem dnia coraz bardziej zagęszczały się od ruchu handlowego. Mężczyzna wprowadzał do portu takie wielkie statki od dwudziestego drugiego roku życia. To zajęcie — albo raczej rytuał — przejął po ojcu, który wykonywał je, odkąd sam miał dwadzieścia dwa lata. Przez prawie trzydzieści lat Pappy robił to już tyle razy, że właściwie mógłby pokierować statkiem przez sen. Zresztą tego ranka, w spokoju mroku przed wschodem słońca, to właśnie by zrobił — gdyby to był zwykły poranek i tankowiec jak każdy inny.

Ma wysoką wolną burłę, zauważył Pappy, przyglądając kadłubowi statku.

Za wysoką. Linia zanurzenia była dobrze widoczna. Mężczyzna wbił wzrok w logo na dziobie jednostki.

Widział już wcześniej te statki.

Zwykle prawdziwa sztuka polegała na ocenie ładunku tankowca, a następnie na nawigacji pomiędzy mierzejami obrzeża portu. Potem trzeba było już tylko podążyć jednym z pasów, które o dziesiątej rano potrafiły być bardziej zatłoczone niż droga do centrum miasta, i wykonać szeroki łuk do akwenu dwunastego, gdzie miała zostać umieszczona *Persefona*, zgodnie z dokumentami przewożąca pełen ładunek wenezuelskiej ropy naftowej.

Ale nie tego ranka.

Motorówka Pappy'ego podpływała do ogromnego tankowca od lewej burty. Zbliżając się, mężczyzna skupił wzrok na logo w postaci skaczącego delfina, umieszczonym na kadłubie *Persefony*.

Dolphin Oil.

Smagłą dłonią podrapał się po brodzie i przejrzał papiery załadunkowe z urzędu morskiego: na pokładzie dwa i trzy dziesiąte miliona baryłek ropy. Statek przyplłynął z Trynidadu w niecałe czternaście godzin. Szybko, doszedł do wniosku Pappy, szczególnie jak na taką przestarzałą kupę złomu klasy ULCC z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku, obciążoną pełnym ładunkiem.

Oni tu zawsze szybko przyplywali.

Dolphin Oil.

Za pierwszym razem po prostu się zaciekawił. Statek przybył z Dżakarty. Pappy zastanawiał się, jak obciążona jednostka może poruszać się tak szybko. Za drugim razem, zaledwie parę tygodni temu, po zadokowaniu wręcz zakradł się pod pokład, mijając zajęte innymi sprawami załogę, żeby obejrzeć przednie zbiorniki.

Były puste. Żadna niespodzianka. Przynajmniej dla niego.
Czyste jak tyłek niemowlęcia.

Pappy wspomniął o tym komendantowi portu, i to niejeden, a dwa razy. Ten po prostu poklepał go po plecach jak jakiegoś starego głupka i spytał, czym chce się zajmować na emeryturze. Jednak tym razem żaden gryzipiórek nie zamiecie tego pod stertę papierów. Pappy miał znajomości. Znał ludzi, którzy pracowali we właściwych miejscach i zainteresowaliby się taką sprawą. Tym razem, kiedy wprowadzi statek do portu, ma zamiar wszystko udowodnić.

Dwa i trzy dziesiąte miliona baryłek...

Gównno, nie dwa i trzy dziesiąte miliona.

Pappy zatrąbił i podpłynął łodzią wzdłuż dziobu tankowca. Jego marynarz, Al, przejął ster. Z głównego pokładu wyciągnięto trap. Mężczyzna przygotował się do wejścia na statek.

W tym momencie jego telefon komórkowy zawibrował. Pappy odpiął go od paska. Było dziesięć po piątej rano. Wszyscy ludzie zdrowi na umyśle jeszcze spali. Na ekranie widniał napis: „Prywatne”. Wiadomość tekstowa.

Ktoś przysłał zdjęcie.

Pappy krzyknął do Ala, żeby poczekał, i zeskoczył z trapu *Persefony*. Zmrużył oczy, żeby w świetle brzasku przyjrzeć się ekranowi.

Zamarł.

To było ciało. Wygięte leżało na ulicy. Pod głową znajdowała się ciemna kałuża i Pappy zrozumiał, że to krew.

Zbliżył telefon do oczu, próbując znaleźć lepsze światło.

— Wielki Boże, nie...

Wzrok mężczyzny przykuły długie, rude dredy ofiary. W klatce piersiowej poczuł taki ból, jakby ktoś przebił go nożem. Odskoczył do tyłu, jakaś wewnętrzna siła miażdżyła mu żebra.

— Pappy! — zawołał Al z mostka. — Wszystko w porządku?

Nie. Nic nie było w porządku.

— To Abel — wydyszał, czując, jak ściska go w krtani. — To mój syn!

Nagle poczuł wibracje oznaczające przybycie kolejnego SMS-a.

Znowu: „Numer prywatny”.

Tym razem na ekranie pojawiły się tylko trzy słowa.

Pappy szarpnął kołnierz i starał się oddychać. Ale to żal tak go dźgnął, a nie atak serca. I gniew — na własną dumę.

Opadł na pokład, a w myślach wciąż pobrzmiwały te trzy słowa.

Dość się napatrzyłeś?

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Miesiąc później – kilka dni po tym, jak wreszcie wyprawili Charliemu uroczystość żałobną, podczas której Karen starała się zachować pogodny nastrój, choć było tak bardzo, bardzo ciężko – kurier z UPS dostarczył pod drzwi przesyłkę.

To stało się w ciągu dnia. Dzieci były w szkole, a Karen właśnie przygotowywała się do wyjścia. Miała w szkole posiedzenie komisji nadzoru. W miarę możliwości starała się powrócić do względnej normalności.

Przesyłkę przyniosła Rita, pokojówka. Zapukała z nią do drzwi sypialni.

Była to duża, usztywniona koperta. Karen sprawdziła nadawcę. Na naklejce widniała jedynie informacja, że przesyłkę nadano z punktu na Brooklynie. Brakowało nazwiska czy adresu zwrotnego. Karen nie kojarzyła żadnych znajomych z Brooklynu.

Poszła do kuchni, wzięła nóż i otworzyła kopertę. Jej wnętrze chroniła folia bąbelkowa, którą Karen ostrożnie rozcięła. Zaciekawiona wyjęła zawartość.

Była to ramka. Może dwadzieścia pięć na trzydzieści centymetrów. Chromowana. Ktoś zadał sobie dużo trudu.

W ramce znajdowała się kartka, która pochodziła chyba

z jakiegoś notatnika. Osmalona, pokryta brudnymi śladami, naderwana w prawym górnym rogu. Widniała na niej masa przypadkowych liczb, naskrobanych na całej powierzchni, a także nazwisko.

Karen poczuła, że braknie jej tchu.

Na kartce napisano: „Z biurka Charlesa Friedmana”.

Charakter pisma Charliego.

— Prezent, si? — zapytała Rita, podnosząc opakowanie.

Karen kiwnęła głową, ledwie mogąc cokolwiek wykrztusić.

— Tak.

Udała się z tym na werandę i usiadła pod oknem. Na dworze padał deszcz.

Papier pochodził z notatnika męża. Rozpoznawała blok listowy, który kupiła mu parę lat temu. Kartka była naderwana. Liczby nie miały dla niej sensu, a nazwiska nie rozpoznawała. Megan Walsh. Róg był osmalony. Wyglądało na to, że papier długo leżał na ziemi.

Ale pismo było Charliego. Karen czuła mrowienie w całym ciele.

Do ramki przyklejono karteczkę. Kobieta odkleiła ją i przeczytała:

Znalazłem to trzy dni po tym wydarzeniu w głównym terminalu Grand Central. Musiało tam przylecieć z wiatrem. Zatrzymałem, bo nie wiedziałem, czy to może pomóc, czy zaszkodzić. Mam nadzieję, że pomoże.

List nie był podpisany.

Karen nie mogła w to uwierzyć. Słyszała w wiadomościach, że po wybuchu cały dworzec pokryły tysiące papierów. Osiadły wszędzie. Jak konfetti po paradzie.

Skupiła się na piśmie Charliego. To tylko kupa nic nieznaczących liczb oraz nazwisko, którego nie kojarzyła, wszystko nabazgrane pod przeróżnymi kątami. Kartka nosiła datę trzeci

marca, wiele tygodni przed jego śmiercią. Na pewno całkiem przypadkowe informacje.

Ale od Charliego. Zapisane jego ręką. Były razem z nim tego dnia, gdy zginął.

Nie oddano jej znalezionej kawałka teczki. Miała tylko to. Przyciskając ramkę do piersi, przez chwilę poczuła się prawie tak, jakby on z nią był.

Jej oczy napełniły się łzami.

— Och, Charlie...

W pewnym sensie to tak, jakby się żegnał.

„Nie wiedziałem, czy to może pomóc, czy zaszkodzić” — napisał nadawca.

Och tak, pomaga. Bardzo pomaga... Karen mocno przycisnęła ramkę do serca. Po tysiącokroć.

Tylko mieszanina głupich liczb i jakieś nazwisko nabazgrane jego ręką. Ale to wszystko, co miała.

Na uroczystości nie potrafiła płakać. Zbyt wielu ludzi. Nad głowami zebranych widniała ogromna fotografia Charliego. A wszyscy chcieli, żeby panował pogodny nastrój, a nie smutek, Karen próbowała być taka silna.

Jednak teraz, gdy siedziała przy oknie z kartką napisaną przez męża przyciśniętą do serca, poczuła, że już wszystko w porządku. Jestem z tobą, Charlie, pomyślała. Wreszcie pozwoliła sobie na łzy.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Na końcu ulicy w nieoświetlonym samochodzie kulił się mężczyzna. Po przedniej szybie ciekły strugi deszczu. Obserwował dom, pałac papierosa. Lekko uchylił szybę, żeby strząsnąć popiół na jezdnię.

Ciężarówka UPS właśnie odjechała. Mężczyzna wiedział, że to, co przywiozła, nada sprawom tempa. Chwilę później z domu pospiesznie wyszła Karen Friedman, ubrana w przeciwdeszczową kurtkę z kapturem. Wsiadła do swego lexusa.

Powinno się zrobić ciekawie.

Wycofała z podjazdu na ulicę, po czym ruszyła w jego kierunku. Mężczyzna zsunął się w fotelu. Światła lexusa odbiły się od jego przedniej szyby, ostro błyskając w deszczu, gdy auto przejeżdżało obok.

Z napędem hybrydowym, pomyślał z uznaniem, obserwując w lusterku wstecznym oddalający się samochód Karen.

Podniósł telefon, który leżał na fotelu pasażera obok walthera P38, i wprowadził prywatny numer. Spojrzenie mężczyzny zatrzymało się na dłoniach. Były grube, szorstkie. Dłonie robotnika. Pora znów je zabrudzić, pomyślał i westchnął w duchu.

— Z planu A nici — powiedział do telefonu, kiedy po drugiej stronie wreszcie odezwał się oczekiwany głos.

— Nie możemy czekać wiecznie.

— *Exactamente.* — Mężczyzna westchnął. Przekręcił kluczyk w stacyjce, strząsnął popiół przez okno i powolnym tempem ruszył za lexusem. — Jestem gotów rozpocząć plan B.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Jedną z rzeczy, z którymi Karen musiała sobie poradzić w ciągu kilku kolejnych tygodni, była likwidacja firmy Charliego.

Nigdy zbyt nie angażowała w interesy męża. Harbor było spółką komandytową. Umowa udziałowa przewidywała, że w sytuacji gdyby główny partner zmarł lub był niezdolny do dalszego pełnienia obowiązków, aktywa firmy miały zostać ponownie rozdysponowane pomiędzy pozostałych partnerów. Charlie zarządzał skromnym funduszem o majątku rzędu dwustu pięćdziesięciu milionów dolarów. Głównymi inwestorami byli Goldman Sachs, gdzie wiele lat temu zaczynał karierę, oraz kilka zamożnych rodzin, które z upływem czasu pozyskał.

Rolę powiernika firmy przyjął Saul Lennick, pierwszy szef Charliego w Goldmanie, który pomagał mu rozkręcić interes.

Karen ciężko było się tym zajmować. Sentyment mieszał się z goryczą. Dla Charliego pracowało zaledwie siedem osób: młodszy kupiec giełdowy i księgowy Sally, która prowadziła administrację firmy i towarzyszyła mu, odkąd rozpoczął działalność. Asystentka Charliego, Heather, zajmowała się sporą częścią spraw osobistych. Karen znała praktycznie wszystkich.

Lennick mówił, że cała procedura zajmie kilka miesięcy.

Nie przeszkadzało jej to. Charlie chciałby, żeby zadbano o wszystkich pracowników. „Choroba, sam wiesz najlepiej, że on właściwie spędzał z wami więcej czasu niż ze mną” — powiedziała, uśmiechając się porozumiewawczo do Saula. Zresztą w tej chwili pieniądze nie miały wielkiego znaczenia.

Ona i dzieci radzili sobie finansowo. Miała w pełni sponaony dom, a także ten domek narciarski w Vermoncie. Poza tym Charlie przez lata zdołał trochę zaoszczędzić.

Niemniej niełatwo było patrzeć na demontaż jego „dziecka”. Sprzedano udziały. Biuro na Park Avenue wystawiono pod wynajem. Pracownicy jeden po drugim znajdowali nowe posady i odchodzili.

To była kropla, która przepełniła czarę. Ostateczny znak, że już go nie ma.

Mniej więcej w tym samym czasie do Karen zadzwonił młodszy kupiec giełdowy, którego Charlie zaledwie przed kilkoma miesiącami wprowadził do firmy, Jonathan Lauer. Nie było jej wtedy w domu. Zostawił wiadomość na automatycznej sekretarce: „Proszę pani, chciałbym z panią porozmawiać. Kiedy pani wygodnie. Jest kilka spraw, o których powinna się pani dowiedzieć”.

Kilka spraw... O cokolwiek chodziło, Karen nie miała wtedy ochoty na rozmowę. Jonathan był nowy, zaczął pracować dla Charlesa dopiero w minionym roku. Charlie zwabił go z Morgana. Karen przekazała wiadomość Saulowi.

— Nie martw się, zajmę się tym — powiedział. — Przy zamknięciu firmy pojawia się masa śliskich spraw. Ludzie dbają o własne interesy. Możliwe, że ustalono jakieś dodatkowe warunki. Charlie nie był zbyt dobry w rejestrowaniu takich rzeczy. Nie powinnaś sobie tym teraz zaprzętać głowy.

Miał rację. Wręcz nie mogła. W czerwcu wyjechała na tydzień zasłużonego odpoczynku do domu Pauli i Ricka w Sag Harbor. Wróciła do klubu książki, na nowo zaczęła treningi jogi. Boże, jak ona tego potrzebowała. Jej ciało znów zaczynało

wracać do formy, znów było żywe. Stopniowo odżywała także jej dusza.

Nadszedł sierpień i Samantha znalazła pracę w lokalnym klubie plażowym. Alex wyjechał na obóz lacrosse. Karen zaczęła się zastanawiać nad wyrobieniem licencji pośrednika w obrocie nieruchomościami.

Jonathan Lauer znów do niej zadzwonił.

Tym razem była w domu. Mimo to nie odebrała. Z głośnika sekretarki usłyszała tę samą enigmatyczną wiadomość: „Proszę pani, bardzo mi zależy na rozmowie...”.

Karen pozwoliła, żeby taśma przewijała się dalej. Nie chciała go unikać. Charlie zawsze mówił o tym młodym człowieku z uznaniem. „Ludzie dbają o własne interesy”...

Po prostu nie była w stanie odebrać. Było jej przykro, kiedy zamilkł.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Nadszedł wrzesień i dzieci wróciły do szkoły. Właśnie wtedy Karen ponownie spotkała porucznika Haucka, tego detektywa z Greenwich.

Rozpoczęła się przerwa w licealnym meczu futbolowym na Greenwich Field. Lokalna drużyna występowała przeciwko Stamford West. Karen podjęła się sprzedaży losów na loterię na rzecz działu sportowego centrum dla młodzieży. Trybuny w ten rześki sobotni poranek były pełne. Na boisku grała orkiestra Huskies. Karen podeszła do straganu z napojami. Kubek kawy powinien ją ochronić przed wczesnojesiennym chłodem.

W pierwszej chwili prawie go nie poznała. Miał na sobie granatowy pulower z polaru oraz džinsy, a na ramionach trzymał małą, ładną dziewczynkę, która jej zdaniem nie mogła mieć więcej niż dziewięć, dziesięć lat. Karen i policjant wpadli na siebie w tłumie.

— Porucznik...?

— Hauck. — Przystanął i obrócił się z radosnym błyskiem w oku.

— Karen Friedman. — Skinęła głową, osłaniając oczy przed słońcem.

— Oczywiście, pamiętam. — Mężczyzna postawił dziewczynkę na ziemi. — Jess, przywitaj się z panią Friedman.

— Dzień dobry. — Dziewczynka trochę nieśmiało pomachała rączką. — Miło panią poznać.

— Mnie też cię miło poznać, skarbie. — Karen się uśmiechnęła. — Pana córka?

Porucznik kiwnął głową.

— Może to i dobrze — jęknął, łapiąc się za plecy — bo robi się za duża, żebym ją nadal nosił na barana. Prawda, kochanie? Biegnij i znajdź koleżanki. Za chwilę do ciebie przyjdę.

— Dobra.

Dziewczynka odbiegła w kierunku linii bocznej boiska i zniknęła w tłumie.

— Dziewięć lat? — spróbowała zgadnąć Karen, z zainteresowaniem unosząc brwi.

— Dziesięć. Ale ciągle mi się pakuje na plecy. Sądzę, że mam jeszcze rok czy dwa, zanim zaczniesz się krzywić na samą myśl.

— To nie dotyczy córeczek i ich tatusiów. — Karen pokręciła głową z szerokim uśmiechem. — To jest trochę taka parabola. W pewnym momencie wszystko jest znów po staremu. A przynajmniej tak słyszałam. Ja wciąż czekam.

Stali tak przez chwilę, opierając się naporowi tłumy. Zwalisty mężczyzna w bluzie Greenwich, przechodząc, klepnął Haucka po ramieniu.

— Cześć, Leg...

— Cześć, Rollie. — Porucznik pomachał tamtemu.

— Właśnie szłam kupić sobie kawę — powiedziała Karen.

— Pani pozwoli, że ja to zrobię — zaproponował Hauck. — Daję słowo, utarguję lepszą cenę.

Stanęli w kolejce. Kobieta obsługująca ekspres najwyraźniej go rozpoznała.

— Cześć, Ty! Jak leci, poruczniku? Wygląda na to, że przydałbyś się dzisiaj na boisku.

— Jasne, nalej mi dwadzieścia porcji jedną po drugiej, wstrzyknij po jednej dawce kortyzonu w każde kolano i będę gotowy.

Wyciągnął kilka banknotów.

— Na koszt firmy. — Kobieta machnęła ręką. — Akcja dobroczynna.

— Dziękuję, Mary. — Hauck puścił do niej oko.

Podał Karen kubek. Nieopodal był wolny stolik. Policjant wskazał go i oboje usiedli na metalowych krzesłach.

— Teraz pani rozumie, co miałem na myśli? — Wypił łyk kawy. — Jedna z niewielu legalnych korzyści, które mi jeszcze zostały.

— Stopień daje przywileje. — Karen mrugnęła do porucznika, udając, że jest pod wrażeniem.

— E tam. — Hauck wzruszył ramionami. — *Running back* w Greenwich High, tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt pięć. Tamtego roku doszliśmy aż do finałów stanowych. Oni tego nie zapominają.

Karen uśmiechnęła się szeroko. Wyciągnęła włosy spod bluzy z kapturem z logo Greenwich High, po czym oplotła dłonie wokół parującego kubka.

— Więc jak się pani miewa? — spytał detektyw. — Kilka razy chciałem do pani zadzwonić. Kiedy się ostatnio widzieliśmy, nie było zbyt dobrze.

— Wiem. — Karen znów wzruszyła ramionami. — Wtedy. Teraz jest lepiej. Czas robi swoje. — Westchnęła i wypila łyk kawy.

— Tak mówią... — Policjant uśmiechnął się i poszedł w jej ślady. — Ma pani dzieci w liceum?

— Dwójkę. Samantha w tym roku kończy szkołę. Alex jest w drugiej klasie. Gra w lacrosse. Wciąż mu ciężko.

— Nic dziwnego.

Ktoś otarł się o niego, przechodząc obok. Hauck kiwnął głową i zacisnął wargi. Co mógł powiedzieć?

— Wtedy prowadził pan dochodzenie w sprawie ucieczki z miejsca wypadku — odezwała się Karen, by zmienić temat. — Zginął jakiś chłopak z Florydy. Znalazł pan sprawcę?

— Nie. Ale dowiedziałem się, dlaczego ofiara miała w kieszeni kartkę z nazwiskiem pani męża.

Opowiedział o mustangu.

— „Maleństwo Charliego”. — Pokiwała głową z uśmiechem. — Ma sens. Zachowałam ten samochód. Charlie prosił w testamencie, żeby go nie sprzedawać. To co pan na to, panie poruczniku? Ma pan ochotę wejść w posiadanie amerykańskiej legendy? To jedyny rocznik, jaki wyprodukowali w miedzianym kolorze o nazwie Embergłow. Wyprowadzanie go z garażu raz na parę miesięcy kosztuje tylko osiem tysięcy rocznie.

— Przykro mi. Ja już mam swoją amerykańską legendę. Konto uczelniane. — Uśmiechnął się szeroko.

Przez głośniki oznajmiono, że zespoły wracają na boisko. Orkiestra zeszła z murawy przy akompaniamencie *Who Says You Can't Go Home?* Bon Jovi w wersji na instrumenty dęte. Córnica porucznika wybiegła z tłumu i zawołała:

— Tato, no chodź! Chcę usiąść z Elyse!

— Zaczyna się druga połowa — oznajmił mężczyzna.

— Ładna ta pana córeczka — powiedziała Karen. — Najstarsza?

— Jedyna — odparł detektyw po chwili. — Dziękuję.

Ich wzrok na sekundę się spotkał. Karen czuła, że za tym spojrzeniem głęboko osadzonych oczu coś się kryje.

— To może się pan skusi na los na loterię? — spytała. — Pieniądze idą na dobry cel. Akcja dobroczynna. — Zachichotała — Proszę, i tak jestem już do tyłu.

— Obawiam się, że ja już swoją cenę zapłaciłem. — Hauck westchnął zrezygnowany i poklepał się po kolanach.

Karen oderwała jeden bilet i wpisała nazwisko policjanta.

— W takim razie na koszt firmy. To, co mi pan wtedy powiedział, było miłe. Że wie pan, co czuję. Chyba tego potrzebo-
wałam. Naprawdę doceniłam te słowa.

— Rany... — Hauck pokręcił głową, biorąc od niej los; prze-
lotnie dotknęli się palcami. — Dzisiaj dostaję prezent za pre-
zenterem.

— To zapłata za dobre uczynki, panie poruczniku.

Wstali. Córka detektywa wołała zniecierpliwiona:

— Tato, no chodź!

— Powodzenia z losami — powiedział. — Wie pani, nie było-
by źle, gdyby kilka dziś pani sprzedała.

Karen się roześmiała.

— Miło było pana widzieć. — Potrząsnęła pięściami w po-
wietrzu jak niewidzialnymi pomponami. — Naprzód Huskies!

Hauck pomachał jej i ruszył tyłem w stronę tłumu.

— Do zobaczenia.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Dotarło to do niego nagle tamtej nocy — tak stwierdził, skrobiąc płótno pędzlem w niewielkim domu z dwiema sypialniami, który wynajmował przy Euclid Avenue w Stamford nad zatoczką Holly Cove.

Kolejna scena portowa. Słup z opuszczonymi żaglami w marinie. W zasadzie ten sam widok z jego pokładu. Zawsze malował to samo. Łodzie...

Jessie siedziała w swoim pokoju i oglądała telewizję, jednocześnie wysyłając SMS-y. Wcześniej byli na pizzy w Mona Lisie i poszli do kina na nowy film animowany. Jess udawała, że się wynudziła. Hauckowi się podobało.

— Tato, to jest normalnie dla trzylatków. — Przewróciła oczami.

— Aha. — Hauck przestał naciskać. — Pingwiny były fajne.

Lubił to miejsce. Od niewielkiej zatoczki tylko jedna przecznicza dzieliła jego mały, dwupiętrowy domek w stylu Cape Cod, wybudowany w latach sześćdziesiątych. Właściciel go odnowił. Z tarasu na drugim piętrze, gdzie znajdował się pokój dzienny, widać było cieśninę Long Island. Obok mieszkało francuskie małżeństwo, Richard i Jacqueline, renowatorzy mebli. Mieli Warsztat w garażu i zawsze zapraszali go na przyjęcia,

na których pełno było ludzi ze zwariowanymi akcentami oraz niezgorszego wina.

Tak, dotarło do niego nagle. To, co czuje. Myślał o jej oczach — brązowych i ujmująco dużych. Uśmiechała się nimi tak naturalnie. O leciutkim zaśpiewie w jej głosie, sugerującym, że nie pochodzi z tych stron. O kasztanowych włosach, związanych w młodzieńczy kucyk.

O tym, jak wcisnęła mu los do kieszeni i próbowała sprawić, żeby się roześmiał.

Inaczej niż Beth. Kiedy jej świat legł w gruzach.

Hauck poprowadził cienką linię od masztu i wtopił ją w błękit morza. Zaczął się wpatrywać w obraz. Był do kitu.

Nikt by go nie pomylił z Picassem.

Zapytała go, czy Jess jest jego najstarszą córką, a on — po chwili milczenia, która zdawała się trwać wieczność — odrzekł, że jedyną. Przecież mógł jej powiedzieć prawdę. Zrozumiałaby. Ona także to przeżywała.

Daj spokój, Ty, dlaczego zawsze musisz do tego wracać?

Wtedy mieli wszystko. On i Beth. Trudno sobie teraz przypomnieć, dlaczego kiedyś tak bardzo się kochali, dlaczego uważała go za najseksowniejszego człowieka na ziemi. A on ją.

Jedyna...

Czego to zapomniał ze sklepu, że musiał wrócić? Deserków budyniowych...

Prędko wrzucił blokadę parkingową. Ile razy to robił — i trzymała? Tysiąc? Sto tysięcy?

„Uważajcie, tata musi wyjechać z garażu”.

Kiedy szedł do samochodu, z rachunkiem w jednej dłoni, portfelem w drugiej, usłyszeli wrzask. Wrzask Jessie.

Nieruchomy wzrok Beth — „O Boże, Ty, nie!” — gdy przez okno w kuchni patrzyła, jak furgonetka stacza się w tył.

Norah nawet nie wydała dźwięku.

Hauck odłożył pędzel. Oparł czoło o dłoń. To go kosztowało

małżeństwo. Zdolność patrzenia na siebie w lustrze bez płaczu. Przez długi czas nie mógł przytulić Jessie.

Wszystko stracił.

W myślach powrócił do tamtego ranka na boisku. Do piegów na jej policzku. Aż się uśmiechnął.

Ty, bądź realistą... Jej samochód jest pewnie wart więcej niż twój plan emerytalny. Właśnie straciła męża. Może w innym życiu miałbyś szansę.

W innym czasie.

Jednak kiedy znów podniósł pędzel, był zaskoczony. Swoimi myślami... i tym, jakie uczucia wywoływały.

Jakby się obudził.

Doszedł do wniosku, że właśnie to jest dziwne. Bo jego już nic nie dziwiło.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

GRUDZIEŃ

Życie rodziny powoli wychodziło na prostą. Sam składała wnioski na uniwersytety Tuftsa i Bucknella, na których najbardziej chciała studiować. Karen towarzyszyła jej podczas obowiązkowych wizyt na uczelniach.

Właśnie w tym czasie do jej drzwi zapukało dwóch mężczyzn z Archera.

— Pani Friedman? — spytał od progu niższy z nich.

Miał wyraziste rysy twarzy i jasne, krótko przystrzyżone włosy. Ubrany był w szary garnitur oraz płaszcz przeciwdeszczowy. Drugi mężczyzna był wysoki i chudy. Na nosie miał okulary w rogowej oprawce, a w dłoni prawniczą aktówkę.

— Proszę pani, jesteśmy z prywatnej firmy audytorskiej. Możemy wejść?

W pierwszej chwili Karen przeszło przez myśl, że mogą reprezentować fundusz rządowy, który utworzono dla rodzin ofiar. W grupie wsparcia słyszała, że ci ludzie bywają chłodni i oficjalni. Otworzyła drzwi.

— Dziękujemy.

Jasnowłosy miał lekki europejski akcent. Podał jej wizytówkę. Archer and Bey Associates. Johannesburg, Republika Południowej Afryki.

— Pani Friedman, nazywam się Paul Roos. A to mój partner, Alan Gillespie. Nie zajmiemy pani dużo czasu. Możemy usiąść?

— Oczywiście... — powiedziała Karen z lekkim wahaniem. W zachowaniu tych ludzi rzeczywiście było coś chłodnego i bezosobowego. Przyjrzała się uważnie ich wizytówkom. — Jeśli chodzi panom o mojego męża, to na pewno wiecie, że dyspozycją funduszy zarządza Saul Lennick z Whiteacre Capital Group.

— Kontaktowaliśmy się już z panem Lennickiem — odparł Roos dość sucho. Zrobił krok w kierunku salonu. — Jeśli można...

Kobieta zaprowadziła ich na kanapę.

— Śliczny dom, pani Friedman — rzekł Roos, rozglądając się uważnie.

— Dziękuję. Mówił pan, że panowie są audytorami — odrzekła Karen. — Wydaje mi się, że moim mężem zajmował się ktoś z Nowego Jorku. Ross and Weiner. Nie przypominam sobie nazwy państwa firmy.

— Pani Friedman, w zasadzie nie przyszliśmy tutaj w imieniu pani męża — mężczyzna skrzyżował nogi — ale niektórych jego inwestorów.

— Inwestorów?

Wiedziała, że zdecydowanie największym inwestorem w firmie Charliego był Morgan Stanley. Następni pod względem udziałów byli O'Flynnowie i Hazenowie, którzy towarzyszyli mu od samego początku.

— Których? — Karen patrzyła na niego zmieszana.

Roos spojrzał na nią z niepewnym uśmiechem.

— Po prostu... inwestorów.

Ten uśmiech zaczynał ją niepokoić.

Drugi mężczyzna, Gillespie, otworzył teczkę.

— Otrzymała pani dochód z likwidacji firmy pani męża, prawda, pani Friedman?

— Teraz to zaczyna przypominać audyt. — Karen się spięła.

— Zgadza się. Czy coś jest nie tak?

Zakończono już rozliczenia. Udział Charliego, po odjęciu ostatecznych wydatków związanych z zamknięciem firmy, wyniósł niecałe cztery miliony dolarów.

— Może po prostu powiedzieliby mi panowie, o co chodzi.

— Przeglądamy historię pewnych transakcji — powiedział Gillespie, kładąc przed sobą na stoliku oprawiony raport sporządzonego przez siebie raportu.

— Proszę posłuchać, nigdy się specjalnie nie angażowałam w interesy męża — odparła Karen. Zaczynała się martwić. — Jestem pewna, że jeśli porozmawiają panowie z panem Lenickim...

— W zasadzie to pewnych deficytów — poprawił się księgowy z błyskiem w oku.

Nie podobali jej się ci ludzie. Nie wiedziała, po co przyszli. Znowu zerknęła na ich wizytówki.

— Mówili panowie, że są audytorami?

— Audytorami śledczymi, pani Friedman.

— Śledczymi...?

— Usiłujemy złożyć w całość pewne aspekty dotyczące firmy pani męża — wyjaśnił Gillespie. — Akta okazują się nieco... nazwijmy to: zagmatwane. Rozumiemy, że ponieważ pani mąż prowadził niezależny fundusz hedgingowy, nie był związany pewnymi formalnościami.

— Myślę, że panowie powinni już iść. Będzie lepiej, jeśli porozmawiacie...

— Jednak nie da się uniknąć tego — ciągnął księgowy — że najwyraźniej brakuje znacznej sumy pieniędzy.

— Brakuje... — Karen spojrzała mu w oczy, powstrzymując gniew. Saul nigdy nie wspominał o brakujących pieniądzech. — To dlatego tu panowie przyjechaliście? Czyż to nie pech? Mój mąż nie żyje, o czym najwyraźniej panowie wiecie. Pewnego ranka osiem miesięcy temu wyszedł do pracy i już nie wrócił. Więc niech mi pan łaskawie powie, pani Gillespie — wstała, świdrując oczami rozmówcę — o jakiej kwocie mówimy. Pójdę po portmonetkę.

— Mówimy o dwustu pięćdziesięciu milionach dolarów, pani Friedman — odparł księgowy. — Posiada pani podobną kwotę w gotówce?

Serce Karen niemalże stanęło. Słowa mężczyzny uderzyły ją jak obuchem. Z powrotem usiadła. Twarz tamtego nawet nie drgnęła.

— Co panowie, u diabła, sugerują?

Roos pochylił się lekko do przodu i znów zaczął mówić.

— Sugerujemy, że w firmie pani męża nie ma śladu po kupie forsy. A nasi klienci chcą, żebyśmy ją znaleźli.

Dwieście pięćdziesiąt milionów dolarów. Karen była tak oszołomiona, że nie potrafiła się nawet roześmiać. Wszystkie rozliczenia sfinalizowano bez problemów. Cała firma Charliego była warta minimalnie więcej.

Znów spojrzała w te matowe, nieruchome oczy. Wiedziała, że ci ludzie coś insynuują. Ale Charlie nie żył. Nie mógł się bronić.

— Panowie, nie wiem, czy mamy jeszcze o czym rozmawiać.

— Karen znowu wstała. Chciała, żeby oni sobie poszli, opuścili jej dom. Natychmiast. — Jak wspominałam, nie angażowałam się w interesy męża. Będą panowie musieli przedstawić swoje wątpliwości panu Lennickowi. Żegnam.

Księgowi wymienili spojrzenia. Gillespie schował dokumenty do teczki i zapiął ją. Wstali.

— Nie chcemy pani urazić — powiedział Roos bardziej pojednawczym tonem. — Pragnę panią natomiast powiadomić, że może zostać wszczęte śledztwo. Na pani miejscu nie zaczynałbym jeszcze wydawać tych pieniędzy. — Uśmiechnął się enigmatycznie i rozejrzał wokoło. — Jak już mówiłem, ma pani śliczny dom... Ale uczciwość wymaga, żebym panią ostrzegł. — Obrócił się w stronę drzwi. — Pani osobiste konta również mogą się znaleźć pod lupą.

Karen zjeżyły się włoski na rękach.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Minęło zaledwie kilka minut, kilka bardzo gorączkowych minut, zanim Karen połączyła się przez telefon z Saulem Lennickiem.

Biuro miało kłopot ze znalezieniem go. Wyjechał z kraju w interesach. Jednak sekretarka słyszała wzburzenie w głosie Karen. W końcu zlokalizowała Lennicka.

— Karen?

— Saul, wybaczone, że ci zawracam głowę.

Była na skraju płaczu. Opowiedziała o niepokojącej wizycie, którą złożyło jej dwóch mężczyzn z Archera.

— Skąd?

— Z jakiejś firmy Archer and Bey Associates. Są audytorami śledczymi. Na wizytówce jest napisane, że mają siedzibę w RPA. Podobno z tobą rozmawiali.

Lennick kazał jej powtórzyć wszystkie szczegóły, co jakiś czas wtrącał nerwowe pytania o ich nazwiska i dokładne słowa.

— Karen, posłuchaj. Po pierwsze chcę cię zapewnić, że nie musisz się niczym martwić. Likwidacja spółki Harbor Capital przebiega bez zakłóceń i daję ci słowo, że wszystko jest w stu procentach zgodne z przepisami. Dla jasności: owszem, Charlie

pod koniec działalności odnotował trochę strat. Mocno zainwestował w kanadyjskie piaski roponośne, których wartość spadła.

— Saul, kim są ci ludzie?

— Nie wiem. Przypuszczam, że jakaś zagraniczna grupa księgową, ale się dowiem. Mogli ich wynająć tamtejsi inwestorzy, chcący wstrzymać proces.

— Saul, oni mówią o setkach milionów dolarów! Wiesz, że Charlie nie postępował z funduszami w ten sposób. Posunęli się do insynuacji, ostrzegali mnie, żebym nie wydawała pieniędzy. Saul, to pieniądze Charliego! To było niepokojące. Powieździeli, że nasze konta osobiste też mogą podlegać kontroli.

— Karen, nic takiego się nie zdarzy. Posłuchaj, w toku są pewne sprawy, które ktoś mógłby zakwestionować, gdyby chciał...

— Jakie sprawy?

O niczym takim wcześniej nie słyszała.

— Możliwe, że ktoś mógłby zakwestionować kilka transakcji. Parę usterek w umowach kredytowych Charliego. Ale nie zapędzajmy się. Nie pora.

— Saul, Charlie nie żyje! Nie może się bronić. Przecież tyle razy słyszałam, jak zamartwiał się jakimiś cholernymi groszami, które był winien klientom. Pieprzonymi ułamkami. I teraz ci ludzie, te ich insynuacje... Oni nie mieli prawa tu przychodzić.

— Karen, zapewniam cię, że ich sugestie są całkowicie bezpodstawne. Kimkolwiek są, po prostu chcą narobić kłopotów. I wzięli się do tego od złej strony.

— Owszem, Saul. — Karen powoli się uspokajała. — Od cholernie złej strony się do tego wzięli. Nie chcę ich więcej widzieć w moim domu. Dzięki Bogu, że Samantha i Aleksa tu nie było.

— Posłuchaj. Chciałbym, żebyś przefaksowała mi tamtą wizytówkę. Już ja się tym dalej zajmę. Obiecuję, zadbam o to, żeby nic podobnego więcej się nie powtórzyło.

— Charlie miał dobrą reputację. Sam wiesz to lepiej niż ktokolwiek inny.

— Wiem. Był dla mnie jak drugi syn. Musisz mieć świadomość, że twoje dobro leży mi na sercu.

Odgarnęła włosy z twarzy, żeby się trochę uspokoić.

— Mam tę świadomość...

— Karen, prześlij mi wizytówkę. A jeśli znów się z tobą skontaktują, chcę o tym wiedzieć pierwszy.

— Dziękuję.

Nagle Karen opanowało jakieś dziwne uczucie i zebrało jej się na płacz. Czasami tak się działo. Przychodziło znikąd. Wystarczyła myśl, że będzie zmuszona bronić męża. Pozwoliła, by na linii przez kilka sekund panowała cisza, podczas gdy ona odzyskiwała panowanie nad sobą.

— Saul, mówię poważnie... Bardzo ci dziękuję.

— Karen, nawet nie musisz tego mówić — odrzekł cicho.

Nie miał serca jej teraz powiedzieć. Ani chęci.

Lennick odłożył telefon na widelki w holu hotelu Vier Jahreszeiten w Monachium.

Przed tygodniem zadzwonił jego kontakt z Królewskiego Banku Szkocji, jeden ze znalezionych przez Saula kredytodawców, który pożyczył Charliemu pieniądze firmy. Rozmowa robiła wrażenie rutynowej, ale bankowiec miał nieco zatroskany głos.

Dotarła wieść o losowej kontroli tankowca przez celników w Dżakarcie.

Serce Lennicka na moment przestało bić. Obrócił się w fotelu z powrotem w stronę biurka.

— Dlaczego?

— Jakaś rozbieżność — wyjaśnił tamten — w oświadczeniu o przewożonym ładunku.

Zgodnie z deklaracją było w nim milion czterysta tysięcy baryłek ropy.

W czasie kontroli okazało się jednak, że tankowiec jest pusty.

Lennick zrobił się szary na twarzy.

— Na pewno po prostu zaszła jakaś pomyłka — powiedział Szkot.

Wydawało się, że milion czterysta tysięcy baryłek ropy po sześćdziesiąt sześć dolarów za sztukę stanowiło wcześniej zabezpieczenie kredytu Charlesa Friedmana.

Mężczyzna w słuchawce odchrząknął.

— Czy istnieje powód do niepokoju?

Lennickowi dreszcz przebiegł po plecach. Powiedział, że zajmie się tym, i taka odpowiedź w pełni uspokoiła bankowca. Gdy tylko jednak odłożył słuchawkę, zamknął oczy.

Pomyślał o niedawnych stratach Charlesa i o presji, która na nim wtedy ciążyła, na nich wszystkich. O tym, jak głęboko się zadłużył.

Charlie, ty głupi sukinsynu, westchnął Lennick. Sięgnął po telefon i zaczął wybierać numer. Ty głupcze, jak mogłeś ulec desperacji, jak mogłeś być tak nieostrożny? Nie miałeś pojęcia, kim są ci ludzie?

Ludzie, którzy nie lubią, gdy się ich sprawdza albo kontroluje ich interesy. Teraz wszystko trzeba zrekonstruować. Wszystko, Charlie.

Nawet teraz, po tygodniu, w holu hotelu Vier Jahreszeiten, nader delikatne pytanie bankowca sprawiało, że Lennickowi robiło się sucho w ustach.

„Czy istnieje powód do niepokoju?”.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Zbliżał się koniec lutego, był drugi dzień treningu hokeja na trawie. Sam Friedman wrzuciła laskę na dno swej szafki.

Grała w drużynie dziewcząt jako prawy napastnik. W zeszłym roku odeszło z tej pozycji kilka najlepszych zawodniczek, więc zapowiadał się ciężki sezon. Sam zdjęła kurtkę z wieszaka i przejrzała parę książek. Jutro miała na angielskim test z opowiadania Tobiasa Wolfe'a, a poza tym musiała przekartkować rozdział o Wietnamie. Odkąd w styczniu w drugiej rundzie wcześniejszej rekrutacji przyjęto ją na Uniwersytet Tuftsa, praktycznie się objęła. Dziś wieczorem całą paczką spotykali się w Thataways na skrzydełkach i może piwie po kryjomu.

Ostatnia klasa — pełnia lenistwa.

Gdy Sam wyszła na dwór, podbiegła do swojej acury SUV-a, którą po lunchu postawiła na zachodnim parkingu. Wskoczyła do kabiny, rzuciła torbę na siedzenie i uruchomiła silnik. Włączyła iPoda do portu samochodowego i wybrała ulubioną piosenkę.

— „I mówię ci, że nie odejdę...” — śpiewała, jak najwierniej naśladowując Jennifer Hudson w *Dreamgirls*.

Wrzuciła bieg.

Właśnie wtedy czyjaś dłoń zakryła jej usta i przyciągnęła głowę do zagłówek.

Oczy Samantha rozwarły się szeroko. Usiłowała wydać z siebie stłumiony krzyk.

— Ani słowa, Samantha — nakazał głos z tylnego siedzenia.

O Boże! Fakt, że ten ktoś zna jej imię, jeszcze bardziej ją przerażał. Dreszcz grozy przebiegł jej po plecach. Oczami strzelała na boki, starała się zerknąć w lusterko wsteczne.

— Oj nie, Samantha. — Napastnik skierował jej twarz na wprost. — Nie próbuj na mnie patrzeć. Tak będzie lepiej dla ciebie.

Skąd on znał jej imię?

Niedobrze. Dziewczyna powtarzała w myślach milion rzeczy, o których podobno należy pamiętać w takiej sytuacji. Nie walcz. Niech robi, co chce. Daj mu pieniądze, biżuterię, nawet coś ważnego. Niech wszystko przebiega po jego myśli.

Wszystko.

— Boisz się, prawda, Samantha? — spytał mężczyzna stłumionym głosem.

Dłonią mocno przyciskał jej usta. Oczy miała szeroko rozwarłe. Kiwnęła głową.

— Nie dziwię ci się. Też bym się bał.

Samantha spojrzała na dwór, modląc się, żeby ktoś przechodził obok. Było jednak już późno i panowała ciemność. Parking był pusty. Na karku czuła gorący oddech mężczyzny. Zamknęła oczy. O Boże, on mnie zgwałci. Albo zrobi coś gorszego...

— Ale dziś jest twój szczęśliwy dzień. Nie zrobię ci krzywdy, Samantha. Chcę tylko, żebyś komuś dostarczyła wiadomość. Zrobisz to dla mnie?

Tak, Samantha kiwnęła głową, tak. Trzymaj się, trzymaj się, błagała samą siebie. On cię wypuści.

— Twojej mamie.

Mojej mamie... Co to ma z nią wspólnego?

— Sam, masz jej powiedzieć, że dochodzenie rozpocznie się

już niedługo. I będzie bardzo osobiste. Zrozumie. I że nie należy do ludzi, którzy cierpliwie czekają bez końca. Myślę, że już zauważyłaś, prawda? Rozumiesz, co mówię, Sam?

Zamknęła oczy. Drżała. Pokiwała głową.

— Dobrze. Nie zapomnij przekazać mamie, że czas upływa. Na pewno nie chciałyby, żeby minął. Słyszysz?

Trochę poluzował uchwyt na jej ustach.

— Tak — wyszeptała Samantha drżącym głosem.

— A teraz się nie oglądaj — powiedział tamten. — Wymknę się tyłem. — Mężczyzna miał bluzę z kapturem, który zasłaniał twarz. — Zaufaj mi, im mniej zobaczysz, tym lepiej dla ciebie.

Samantha siedziała sztywno. Ruszała głową w górę i w dół.

— Rozumiem.

— Dobrze.

Drzwi się otwarły i mężczyzna wysiadł. Dziewczyna nie spojrziała, nie obróciła głowy. Siedziała i patrzyła przed siebie. Dokładnie tak, jak jej kazał.

— Jesteś dziewczynką swojego tatusia, prawda, Sam?

Oczy dziewczyny gwałtownie się rozszerzyły.

— Pamiętaj o sumie. Dwieście pięćdziesiąt milionów dolarów. Powiedz mamie, że nie będziemy długo czekać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Karen obejmowała córkę na kanapie w salonie. Samantha szlochała, ukrywając twarz na ramieniu matki. Ledwie mogła mówić. Zadzwoiła do Karen, kiedy tamten mężczyzna odszedł, a potem w panice przyjechała do domu. Matka natychmiast powiadomiła policję. Cicha ulica była teraz pełna migających świateł.

Karen zarzuciła pretensjami pierwszych funkcjonariuszy, którzy przybyli na miejsce.

— Dlaczego w szkole nie było żadnej ochrony? Jak oni mogli tam wpuszczać, kogo popadnie? — A potem w kompletnej frustracji zwróciła się do Sam: — Skarbie, jak mogłaś nie zamknąć samochodu?

— Nie wiem, mamo.

Jednak w głębi duszy — podczas gdy jej córka ze łzami rozmazanymi na twarzy zaciskała drżące palce — Karen wiedziała, że tu nie chodzi o Samanthę. Ani o ochronę w szkole. Ani o zamknięcie samochodu.

Chodziło o Charliego.

O coś, co zrobił. A Karen coraz bardziej się obawiała, że to przed nią zataił.

Tamci znaleźliby Samanthę w centrum handlowym, w czymś

domu albo w klubie, w którym pracowała. Jednak Karen wiedziała, że nie do Samantha chcieli dotrzeć.

Chcieli dotrzeć do niej.

Najstraszniejsze z kolei było to, że nie miała pojęcia, czego od niej chcą.

Gdy dostrzegła, jak przez drzwi frontowe wchodzi porucznik Hauck, jej ciało niemal nie wytrzymało. Poderwała się i popędziła ku niemu. Musiała się powstrzymać, by go nie objąć.

Położył jej rękę na ramieniu.

— Czy nic jej nie jest?

— Nie. — Karen z ulgą pokręciła głową. — Chyba nie.

— Wiem, że już przez to kilka razy przechodziła, ale ja też muszę z nią porozmawiać.

Karen zaprowadziła go do córki.

— Dobrze.

Hauck przysiadł na stoliku dokładnie naprzeciw Samantha.

— Sam, jestem porucznik Hauck, naczelnik wydziału dochodzeniowego w Greenwich. Poznałem mamę, kiedy twój tata zginął. Chcę, żebyś mi dokładnie opowiedziała całe zdarzenie.

Karen kiwnięciem głowy dała córce znak, usiadła obok niej i wzięła ją za rękę.

Przełykając łzy, Sam jeszcze raz wszystko opisała. Mówiła o tym, jak wyszła z sali gimnastycznej po treningu, wsiadła do samochodu, włączyła iPoda. O mężczyźnie na tylnym siedzeniu, który kompletnie ją zaskoczył. O tym, jak zakrył jej usta, żeby nie mogła krzyknąć, o jego mrozącym krew w żyłach głosie tuż przy uchu, tak blisko, że słowa spływały jej dreszczem po kręgosłupie.

— Mamo, to było takie przerażające.

Karen ścisnęła jej dłoń.

— Wiem, kochanie, wiem...

Dziewczyna powiedziała Hauckowi, że nie przyjrzała się tamtemu.

— Kazał nie patrzeć.

Była pewna, że ją zgwałci albo zabije.

— Dobrze zrobiłaś, skarbie — powiedział policjant.

— Mówił, że wkrótce zacznie się dochodzenie. I że będzie bardzo osobiste. Wspomniał coś o dwustu pięćdziesięciu milionach dolarów. — Samantha podniosła wzrok. — Mamo, co on takiego chciał powiedzieć?

Karen niespokojnie pokręciła głową.

— Nie wiem.

Kiedy skończyli, Karen zostawiła córkę. Poprosiła Haucka, żeby wyszedł z nią na dwór. Daszek nad patiem nie został jeszcze rozstawiony. Wciąż było na to za chłodno. W cieśninie w ciemności migały światła.

— Czy ma pani pojęcie, o czym mówi córka? — spytał porucznik.

Karen mocno wciągnęła powietrze i kiwnęła głową.

— Tak.

I nie...

Opowiedziała mu o wizycie dwóch mężczyzn z Archer and Bey, którzy naciskali na nią w sprawie brakujących pieniędzy.

— Chodziło o dwieście pięćdziesiąt milionów — przyznała.

A teraz to.

— Nie wiem, co się, do cholery, dzieje. — Kręciła głową, oczy jej łśniły. — Powiernik Charliego, nasz przyjaciel, zapewnia, że w spółce wszystko było stuprocentowo zgodne z przepisami. Wierzę mu. Ci ludzie... — Karen spojrzała na Haucka, wytrącona z równowagi. — Charlie był dobrym człowiekiem. Nie obracał takimi pieniędzmi. Panie poruczniku, to zupełnie jakby oni namierzili niewłaściwą osobę. Mój mąż miał garstkę klientów. Morgan Stanley, kilka dobrze sytuowanych rodzin, które znał od lat.

— Rozumie pani, że będę się tym musiał zająć — powiedział Hauck.

Kiwnęła głową.

— Ale muszę powiedzieć, że skoro pani córka nie umie podać rysopisu, będzie bardzo trudno. Przy wejściach do szkoły zamontowano kamery. Może ktoś w okolicy zauważył samochód. Ale o tej porze było ciemno i dosyć pusto. Ci ludzie to zawodowcy, kimkolwiek są.

Karen ponownie skinęła głową.

— Wiem.

Pochyliła się ku niemu. Nagle tak bardzo przytłoczyły ją te wszystkie pytania, że zakreśliło jej się w głowie i miała wrażenie, że nogi się pod nią ugną.

Porucznik położył jej dłoń na ramieniu. Nie odsunęła się.

Musiała sobie radzić ze śmiercią Charliego, długimi miesiącami niepokoju i samotności, rozpadem jego firmy. Ale to było ponad jej siły. Do oczu napłynęły łzy — skutek strachu i dezorientacji. Strachu przed nieznanym. Płynęło ich coraz więcej. Nienawidziła tego uczucia. Tego braku pewności, że jej mąż postępował uczciwie. Nienawidziła tych ludzi, którzy wdarli się w życie jej rodziny.

— Zadbam o to, żebyście mieli ochronę — powiedział porucznik, ściskając ramię Karen. — Postawimy przed domem radiowóz. Przez pewien czas ktoś będzie jeździł za dziećmi do szkoły.

Spojrzała na niego i zdenerwowana odetchnęła głęboko.

— Panie poruczniku, mam uczucie, że może mój mąż coś zrobił. W interesach. Charlie zawsze lubił podejmować ryzyko, a teraz jedna z takich decyzji się na nas mści. Ale on nie żyje. Ja sama nie potrafię nas z tego wypłatać. — Otarła oczy dłonią. — Nie ma go, a my zostaliśmy.

— Będę potrzebował listy klientów męża — powiedział Hauck, wciąż trzymając dłoń na jej ramieniu.

— Dobrze.

— I chcę porozmawiać z Lennickiem, jego powiernikiem.

— Rozumiem.

Karen odsunęła się i zrobiła wdech, próbując się uspokoić. Tusz spływał jej po twarzy. Potarła oczy.

— Coś znajdę. Obiecuję. Zrobię co w mojej mocy, żebyście byli bezpieczni.

— Dziękuję, poruczniku. — Oparła się o niego. — Za wszystko.

Kiedy cofnął dłoń, trzasnął ładunek elektrostatyczny na jej swetrze.

— Niech pani posłucha. — Uśmiechnął się. — Może nie jestem facetem z Wall Street, ale wydaje mi się, że Morgan Stanley nie upomina się w ten sposób o długi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Telefon zadzwonił tamtego wieczoru o jedenastej trzydzięści. Limuzyna akurat przywiozła Saula Lennicka z opery do jego mieszkania na Park Avenue. Żona, Mimi, właśnie zmywała makijaż w łazience.

— Saul, odbierzesz?

Lennick dopiero co ściągnął buty i zdjął krawat. Wiedział, czego zwykle dotyczyły telefony o tak późnej porze. Poirytowany podniósł słuchawkę. Czy to nie mogło poczekać do rana?

— Halo?

— Saul?

Dzwoniła Karen Friedman. Głos jej się łamał, była zdenerwowana. Zrozumiał, że wydarzyło się coś niedobrego.

— Karen, co się stało?

Zrozpaczona opowiedziała mu o tym, co spotkało Samanthę po wyjściu ze szkoły.

Lennick wstał. Sam była dla niego jak przyszywana wnuczka. Był na jej bat micwie. Założył w swojej firmie konta dla niej i dla Aleksa. Każda kość w jego zmęczonym ciele zeszytniała.

— Jezus, Karen, nic jej nie jest?

— Nie... — Karen, zdenerwowana, pociągnęła nosem. — Ale...

Opowiedziała o tym, co napastnik mówił o pieniądzach. O tych samych dwustu pięćdziesięciu milionach dolarów co poprzednio. I o tym, że była córeczką tatusia.

— Saul, co on, do cholery, miał na myśli? Czy to była jakaś groźba?

Lennick usiadł na łóżku w bieliźnie i skarpetkach. Jego myśli podążyły do Charlesa. Do lawiny, którą uruchomił. Ty głupi sukinsynu. Pokręcił głową i westchnął.

— Saul, coś się dzieje. Parę tygodni temu chciałeś mi coś wyjawić. Powiedziałeś, że to nie pora... Cóż, właśnie położyłam córkę do łóżka — powiedziała Karen grobowym głosem. — Była śmiertelnie przerażona. Jak sądzisz, Saul, czy teraz już nadeszła pora?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Archer and Bey okazało się fałszywką.

Jedynie nazwą na wizytówce. Wykazał to jeden telefon do starego znajomego w Interpolu oraz wyszukanie w Internecie firm zarejestrowanych w Republice Południowej Afryki. Nawet adres w Johannesburgu i numer telefonu były zmyślone.

Hauck wiedział, że ktoś usiłuje wyłudzić od Karen pieniądze. Ktoś zorientowany w interesach jej męża. Zgodził się z tym nawet powiernik Friedmana, Lennick, z którym policjant rozmawiał wcześniej. Wyglądał na przyzwoitego gościa.

— Poruczniku, uwaga, pocisk!

Okrzyk dobiegł z zewnątrz, z sali zespołu. Po nim nastąpił udawany huk wybuchającego pocisku moździerzowego.

„Uwaga, pocisk” to było określenie, którego używano, kiedy na linii czekała była żona Haucka.

Zanim porucznik odebrał, zastygł na chwilę z dłonią na słuchawce.

— Witaj, Beth, jak leci?

— W porządku, Ty, całkiem dobrze. A u ciebie?

— Jak Rick?

— Wiedzie mu się. Właśnie poszerzyli mu terytorium. Teraz ma także Pensylwanię i Maryland.

Nowy mąż Beth był kierownikiem regionalnym w firmie hipotecznej.

— To świetnie. Gratulacje. Jess o czymś takim wspominała.

— Właściwie to trochę dlatego dzwonię. Pomyśleliśmy o wycieczce, którą mieliśmy odbyć już dawno temu. Pamiętasz, obiecywaliśmy Jessie, że zabierzemy ją do Orlando, prawda? Do tych wszystkich parków rozrywki.

Hauck się wyprostował.

— Beth, wiesz, że chciałem tam z nią pojechać.

— Tak, wciąż o tym mówiłeś. Ale, no... na tę wycieczkę pojedziemy naprawdę.

Wbiła mu szpilę, ale miała trochę racji.

— No to kiedy macie zamiar jechać?

Kolejna pauza.

— Myśleliśmy, że może w Święto Dziękczynienia.

— W Święto Dziękczynienia?! — Tym razem szpila weszła głęboko i trafiła aż we wnętrzości. — Przecież ustaliliśmy, że w tym roku Święto Dziękczynienia jest moje. Miałem zabrać Jess do mojej siostry do Bostonu, żeby się spotkała z kuzynami. Dawno już tam nie była.

— Na pewno by się jej podobało. Ale wypadła ta wycieczka. No i chodzi o Disney World.

Poirytowany pociągnął nosem.

— Co, Rick ma tam wtedy konferencję czy jak?

Beth nie odpowiedziała.

— Ty, chodzi o Disney World. Możesz ją wziąć na święta.

— Nie! — Rzucił długopis na biurko. — Nie mogę jej wziąć na święta, Beth. Rozmawialiśmy o tym. Wszystko zaplanowaliśmy. Na święta wyjeżdżam. — Wypływał z kolegami ze szkoły na połów albuli u wybrzeży Bahamów. To miał być jego pierwszy wyjazd od bardzo dawna. — Beth, my to wszystko omówiliśmy.

— Ach, tak. — Westchnęła, jakby jakimś cudem ten fakt uciekł jej z pamięci. — Masz rację. Teraz sobie przypominam.

— Może zapytasz Jess?

— O co mam ją zapytać?

— Dokąd chciałyby jechać.

— Nie muszę jej pytać, Ty. Jestem jej matką.

Hauck o mało nie zripostował: „Do cholery, Beth, ja jestem jej ojcem”, ale wiedział, jak by się to skończyło.

— W zasadzie to my już zamówiliśmy bilety. Przepraszam. Naprawdę nie zadzwoniłam po to, żeby się kłócić.

Zdenerwowany policjant odetchnął głęboko.

— Beth, wiesz, że ona tam lubi jeździć. Do kuzynów. Czekają na nas. Byłoby dobrze, żeby się z nimi spotykała raz czy dwa razy w roku.

— Wiem. Masz rację. Następnym razem się z nimi spotka, obiecuję. — Nastąpiła chwila ciszy. — Posłuchaj, Ty, cieszę się, że mnie rozumiesz.

Rozłączyli się. Hauck obrócił się na fotelu, a jego wzrok spoczął na fotografii Jessie i Norah, którą trzymał na szafce. Pięć i trzy latka. Rok przed wypadkiem. Obie uśmiechnięte od ucha od ucha.

Z trudem sobie przypominał, że kiedyś z Beth się kochali.

Ktoś zapukał do drzwi gabinetu, wyrывая go z zamyślenia.

— Hej, poruczniku!

To Steve Christofel, który zajmował się szulerstwem i oszustwami.

— O co chodzi, Steve?

Detektyw przepraszająco wzruszył ramionami. W dłoni trzymał notatnik.

— Szefie, mam wrócić później? Może przyszedłem w złym momencie.

— Nie, wszystko w porządku. Wejdz. — Hauck, wściekły na siebie, obrócił się z powrotem w stronę biurka. — Przepraszam. Wiesz, jak to jest.

— Zawsze coś, no nie? Mogę zerknąć na te akta sprawy, które pan tu zawsze trzyma?

— Akta?

— Wie pan, te schowane na biurku, o tam. — Detektyw

uśmiechnął się szeroko. — Starej sprawy z ucieczką z miejsca wypadku. Raymond.

— A, to. — Hauck wzruszył ramionami, jakby został nakryty.

Zawsze trzymał te dokumenty pod stertą bieżących spraw. Nie zapomniał o tej sprawie ani na chwilę. Po prostu jeszcze jej nie rozwiązał. Podniósł stos papierów i wyciągnął ze spodu żółtą teczkę.

— O co chodzi?

— Trochę mi się to miesza, ale czy z tą sprawą nie było związane jakieś nazwisko? Marty coś tam?

Hauck kiwnął głową.

Chodziło o osobę, która zadzwoniła do AJ Raymonda, zanim wyszedł na drugą stronę ulicy. „Coś jak Marty”, powiedział jego szef. Ta poszlaka donikąd nie zaprowadziła.

— A co?

— Właśnie przyszedł telegram. — Christofel obszedł biurko i położył na blacie swój notatnik. — Wydział przestępstw z użyciem kart kredytowych po tylu miesiącach prowadzi dochodzenie. Kartą American Express na nazwisko Thomas Mardy, przez „d”, zapłacono za przejazd limuzyną do Greenwich. Szofer zostawił klienta przy barze Fairfield Diner tuż przed dwunastą. Dziewiątego kwietnia.

Hauck podniósł wzrok. Krew zaczęła mu szybciej płynąć.

Dziewiąty kwietnia. Dzień wypadku. Mardy, a nie Marty — zgadzało się! Niejaki Thomas Mardy wysiadł naprzeciwko miejsca, gdzie zginął AJ Raymond.

Każda komórka ciała Haucka ożyła.

— Jest tylko jeden haczyk, panie poruczniku. — Detektyw podrapał się w głowę. — Proszę posłuchać... Ten Thomas Mardy, do którego należała karta American Express, sam zginął dziewiątego kwietnia. Na Grand Central, w pociągu...

Hauck patrzył na niego w milczeniu.

— I to było całe trzy godziny — ciągnął detektyw — przed wypadkiem w Greenwich.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Tej nocy Hauck nie mógł spać. Było nieco po dwunastej. Wygramolił się z łóżka. W telewizji leciał program Lettermana, ale go nie oglądał. Podeszedł do okna i popatrzył na cieśninę. W powietrzu unosił się uporczywy, przesywający chłód. W głowie porucznika kłębiły się myśli.

Jak?

Jak to możliwe, że ktoś zginął w pociągu, a jednak kilka godzin później jego karty kredytowej użyto do opłacenia kursu do Fairfield Diner? Dokładnie w miejscu, gdzie zginął ten chłopak, Raymond.

Ktoś do niego zadzwonił na moment przedtem, zanim wyszedł z warsztatu. „Coś jak Marty”...

Mardy.

Jak Charles i AJ Raymond byli powiązani? Jak?

Czegoś tu brakowało.

Hauck wciągnął bluzę i dzinsy, wsunął na nogi jakieś stare mokasyny. Powietrze na dworze było ostre i chłodne. Wskoczył do swego forda bronco. Cała okolica tonęła w ciemności.

Ruszył.

Od czterech dni ochraniano Friedmanów. Postawił pod ich domem samochód, drugi jeździł za dziećmi do szkoły. Nic się

nie wydarzyło. Żadna niespodzianka. Może ten, kto nachodził rodzinę, postanowił się wycofać? I tak zrobiło się już dostatecznie gorąco.

Hauck opuścił autostradę na zjeździe numer pięć. Old Greenwich. Zupełnie jakby kierował nim jakiś wewnętrzny GPS.

Wjechał na Sound Beach Avenue i podążył nią do miasta. Main Street była całkiem ciemna i kompletnie pusta. Skręcił w prawo, w Shore Road, w stronę wody. Następnie znów w prawo w Sea Wall.

Zatrzymał się dwadzieścia metrów od jej domu. Tej nocy dyżur miał ten nowy, Stasio. Po drugiej stronie ulicy Hauck zauważył radiowóz ze zgaszonymi światłami.

Podszedł i postukał w szybę. Młody funkcjonariusz opuścił ją ze zdziwieniem.

— Pan porucznik?

— Wyglądacie na zmęczonego, Stasio. Jesteś żonaty, synu?

— Tak jest — odparł tamten. — Od dwóch lat.

— Jedź do domu. Prześpij się trochę — powiedział Hauck. — Ja przejmę wartę.

— Pan? Nic mi nie jest, panie poruczniku — zaprotestował młody.

— Spokojnie. Śmigaj do domu. — Hauck puścił do niego oko. — Doceniam twoją robotę.

Stasio jeszcze raz zaprotestował, ale w końcu musiał uznać zwierzchnictwo porucznika i poddał się.

Gdy Hauck został sam, zwinął dłonie w pięści i schował je w rękawy bluzy dla ochrony przed zimnem.

W domu po drugiej stronie ulicy panowała całkowita ciemność, jeśli nie liczyć słabego światła, które sączyło się przez zasłonę na piętrze. Spojrzał na zegarek. O dziewiątej miał spotkanie z komendantem Fitzpatrickiem. Zmiana przyjedzie dopiero o szóstej. Wciągnął w płuca rześkie, wilgotne powietrze znad cieśniny.

Zupełnie oszalałeś, Ty.

Wrócił do swego bronco i otworzył drzwi. Już miał wsiąść, kiedy dostrzegł, że na piętrze rozsunęły się zasłony. Ktoś wyjrzał na zewnątrz. Przez moment w ciemności ich spojrzenia się spotkały.

Hackowi wydawało się, że dostrzegł słaby zarys uśmiechu.

To ja, Ty, powiedział ruchem warg, patrząc w okno. Chciał jej to powiedzieć, ilekroć mówiła do niego „panie poruczniku”.

Jestem Ty.

A twój mąż... To, co czujesz, przez co teraz przechodzisz... Znam to.

Cholernie dobrze to znam.

Pomachał i mrugnął do niej, choć nie miał pewności, czy ona to w ogóle dostrzeże. Potem wsunął się do auta i zatrzasnął drzwi. Gdy znów spojrział w górę, zasłony były już zasunięte.

Ale to nic.

Wiedział, że Karen czuje się bezpiecznie, mając świadomość, że on jest na dole. Nie wiadomo dlaczego, ale też czuł się bezpiecznie.

Osunął się w fotelu i włączył radio.

Jestem Ty. Zaśmiał się pod nosem. Tylko tyle chciałem powiedzieć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

KWIECIEŃ

A potem minął rok.

Rok bez męża. Rok samodzielnego wychowywania dzieci. Rok spania w pustym łóżku. Nadchodziła rocznica, której Karen się bała.

Czas leczy rany, prawda? Tak wszyscy ciągle mówią. Na początku nie zamierzała w to uwierzyć. Wszystko przypominało jej o Charliem. Wszystko, co widziała w domu. Każde wyjście z przyjaciółmi. Telewizja. Piosenki. Ból wciąż był zbyt świeży.

Jednak dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, każdego ranka ból jakby słabł. Człowiek po prostu się przyzwyczajał. Niemalże na przekór samemu sobie.

Życie toczyło się dalej.

Sam pojechała z klasą do Acapulco i świetnie się bawiła. Alex zdobył decydującą bramkę w meczu lacrosse i cieszył się, wysoko unosząc kij. Dobrze było znów widzieć ożywienie na ich twarzach. Karen musiała coś zrobić. Postanowiła wyrobić tę licencję pośrednika nieruchomości. Kilka razy poszła nawet na randkę. Próbowała się spotykać z paroma rozwiedzionymi, majątynymi finansistami z Greenwich. Nie przypadli jej do gustu. Jeden chciał ją zabrać na weekend do Paryża swoim

odrzutowcem. Po spotkaniu z nim dzieci przewróciły oczami i jęknęły. Za stary. Zdecydowanie kciuki w dół.

Okazało się, że to wciąż zbyt wcześnie, zbyt dziwnie. Nie czuła się z tym dobrze.

Najlepszą wieścią było to, że sprawa z Archerem ucichła. Może zrobiło się za gorąco. Może ten, kto próbował wymusić pieniądze, stchórzył i zrezygnował. Po jakimś czasie wszystko się uspokoiło. Policja cofnęła ochronę, strach minął. Zupełnie jakby cały przerażający epizod po prostu się zakończył.

A w każdym razie o to każdej nocy modliła się Karen, gdy gasiła światło.

Ósmego kwietnia, w przeddzień rocznicy, w telewizji nadano film dokumentalny o zamachu. Nakręciła go ekipa towarzysząca jednej z jednostek straży pożarnej, które ruszyły na miejsce. Wykorzystano również materiał z kamer osób, które akurat znalazły się w tym czasie na Grand Central lub na ulicy w pobliżu.

Karen do tej pory nie oglądała żadnego programu o tamtym dniu.

Nie mogła. Dla niej to nie było wydarzenie, tylko dzień, w którym zginął jej mąż. I wciąż był obecny: w wiadomościach, w odcinkach *Prawa i porządku*, nawet na meczach.

Wobec tego wszystko omówili — jako rodzina. Postanowili, że następny wieczór spędzą razem, tylko we trójkę, żeby naprawdę uczcić rocznicę śmierci Charliego. Poprzedni wieczór tylko rozpraszał ich uwagę. Sam i Alex nie chcieli tego oglądać, więc spotkali się z kolegami. Paula i Rick zaprosili Karen do restauracji, ale odmówiła.

Sama nawet nie wiedziała dlaczego.

Może chciała pokazać, że ma dość siły, że nie musi się chować. Charlie przez to przeszedł. Naprawdę przez to przeszedł.

Ona też mogła.

Może pewną rolę odgrywało również delikatne pragnienie,

by stać się częścią tego wszystkiego. W pewnym momencie i tak będzie musiała stawić czoło rzeczywistości. Równie dobrze mogła dłużej nie zwlekać.

Niezależnie od przyczyn Karen tego wieczoru przygotowała sobie sałatkę. Poczytała czasopisma, trochę popracowała na komputerze nad wykazami nieruchomości, popijając wino. Cały czas miała wrażenie, że w duchu ani na chwilę nie przestaje pilnować zegara.

Poradzisz sobie, Karen. Byle się nie chować.

Przed dziewiątą wyłączyła komputer. Sięgnęła po pilota i ustawiła kanał NBC.

Kiedy rozpoczął się program, poczuła niepokój. Zebrała się w sobie. Charlie przez to przeszedł, powtarzała w myślach. Ty też potrafisz.

Audycję zapowiedział jeden z prezenterów wiadomości. Program rozpoczął się od pokazania drogi pociągu z siódmej pięćdziesiąt jeden na Grand Central w formie rekonstrukcji wydarzeń, począwszy od wyjazdu ze stacji w Stamford. Ludzie czytali gazety, rozwiązywali krzyżówki, rozmawiali o meczu Knicksów, który rozegrano poprzedniego wieczoru.

Karen czuła, jak serce zaczyna jej łomotać.

Niemalże widziała Charliego w pierwszym wagonie, pogrążonego w lekturze „Wall Street Journal”. Kamera przeniosła się na dwóch mężczyzn o arabskim wyglądem. Mieli plecaki. Jeden z nich wkładał walizkę na półkę. Karen wzięła Tobeya na rękę i mocno przytuliła. Czuła ssanie w żołądku. Może to nie był zbyt dobry pomysł.

Nagle na ekranie pojawił się napis: „8.41”. Godzina wybuchu. Karen odwróciła wzrok. O Boże...

Moment eksplozji uchwyciła kamera umieszczona na toczach. Wstrząs, następnie oślepiający błysk. W pociągu zgasty światła. Za pomocą telefonów komórkowych nagrali to pasażerowie dalszych wagonów. Drżenie. Ciemność. Krzyki ludzi.

Pod wpływem działania dziesiątek kilogramów heksagenu

i środków przyspieszających zawałał się beton. Szalały płomie-
nie o temperaturze ponad tysiąc stopni Celsjusza, dym kłębił
się w głównym holu dworca i wydostawał na ulicę. Pokazano
zdjęcia ze śmigłowca krążącego nad stacją. Te same obrazy,
które Karen oglądała tamtego strasznego poranka. Wracały
wspomnienia. Ludzie w panice, zataczając się, wychodzili ze
stacji, kasłali. Zabójcza chmura czarnego dymu wzbijała się w
niebo.

Nie, to była zła decyzja. Karen zacisnęła pięści i pokręciła
głową. Mocniej przytuliła Tobeya, jej oczy napelniały się łzami.
To błąd. Nie mogła tego oglądać. Pomyślała o Charliem tam, na
dole. O tym, co musiał przeżywać. Siedziała w bezruchu, znów
przeniesiona do horroru tamtego pierwszego dnia. To niemal
nie do wytrzymania. Ludzie umierali. Jej mąż tam umierał...

Nie. Przepraszam, kochanie. Nie mogę.

Karen sięgnęła po pilota, żeby wyłączyć telewizor.

Właśnie wtedy zaczęto pokazywać obrazy z poziomu ulicy.
Jedno z dalszych wyjść przy rogu Czterdziestej Ósmej i Madi-
son Avenue. Zdjęcia nakręcone prywatnymi kamerami: ludzie
w szoku wypadali na ulicę, czarni od ognia i popiołu, dusili się,
padali na chodnik. Niektórzy płakali, inni patrzyli przed siebie
szklistymi oczami, szczęśliwi, że przeżyli.

Koszmar. Karen nie mogła na to patrzeć.

Już miała wcisnąć wyłącznik, gdy coś zwróciło jej uwagę.

Mrugnęła.

To była tylko chwila — króciusiński moment. Wzrok płatał
jej figle. Okrutne figle. To niemożliwe...

Wcisnęła kciukiem klawisz przewijania w tył i odczekała kil-
ka sekund. Potem wcisnęła strzałkę odtwarzania i przysunęła
się bliżej ekranu. Ludzie, ślaniając się, wybierali ze stacji...

Każda komórka jej ciała zamarła.

Gorączkowo jeszcze raz przewinęła nagranie. Jej serce sta-
nęło. Gdy po raz trzeci dotarła do tego momentu, zrobiła
wdech i wcisnęła pauzę.

O mój Boże...

Szeroko otworzyła oczy, jakby ktoś zszywaczem unieruchomił jej powieki w takiej pozycji. Paraliżujący ból ścisnął ją w piersi, przeraźliwie zaschło jej w ustach. Wstała i zbliżyła się do ekranu. Niemożliwe...

Widziała twarz.

Twarz, która — krzyczał jej umysł — nie mogła być prawdziwa.

Na ulicy. Pośród chaosu. Po eksplozji. Lekko odwrócona od kamery.

Twarz Charliego.

Żołądek podszedł Karen do gardła.

Nikt pewnie tego nie zauważył, nikt poza nią. A gdyby choć mrugnęła okiem albo odwróciła się na moment, obraz już by zniknął.

Ale był prawdziwy. Uchwycony przez kamerę. Choćby bardzo chciała temu zaprzeczyć!

Twarz Charliego.

Karen patrzyła na swojego męża.

CZEŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Poranek był jasny i czysty, a podmiejską drogą w stanie New Jersey nic nie jechało, jeśli nie liczyć około trzydziestu rowerzystów ubranych w barwne koszulki, pedałujących jednostajnie.

Jonathan Lauer, który jechał niemal na czele grupy, szybko obejrzał się w tył w poszukiwaniu jasnozielonej koszulki swego przyjaciela Gary'ego Eddingsa, maklera obligacji z Merrill Lynch. Dostrzegł go: był zablokowany przez innych kolarzy. Idealna okazja! Jonathan pochylił się i zaczął mocniej pedałować, lawirując pomiędzy rowerzystami przewodzącymi peletonowi. Kiedy otworzyła się przed nim droga, popędził przed siebie.

Lauer, wykrzyknął wyimaginowany komentator w głowie Jonathana, cóż za śmiały, odważny ruch!

Chociaż w zasadzie wszyscy byli po prostu trzydziestoparoletnimi tatuškami, którzy w niedzielny poranek wypacali nadmiar węglowodanów, on i Gary prywatnie prowadzili pewną grę. Właściwie więcej niż grę – to było wyzwanie. Zawsze zmuszali się nawzajem do maksymalnego wysiłku. Ścigali się na ostatniej prostej. Każdy czekał, aż ten drugi zrobi pierwszy ruch. Zwycięzca mógł się chępić przez cały tydzień i nosić umowną żółtą koszulkę lidera. Przegrany stawiał piwo.

Jonathan pochylił się nad kierownicą swego nowego lemonda z włókna węglowego. Łydki pracowały jak tłoki. Wyrobił sobie przewagę jakichś dwudziestu metrów, po czym swobodnie wjechał w łuk.

Do linii mety, czyli zakrętu za skrzyżowaniem z drogą numer dwieście osiemdziesiąt siedem, został niecały kilometr.

Jonathan obejrzał się do tyłu i dostrzegł, jak Gary usiłuje wyrwać się z peletonu. Krew zaczęła mu żywiej krążyć. Przyspieszył, gdy na ostatnich kilkuset metrach boczna droga zmieniła się w idealną prostą. Uciekł we właściwym momencie!

Pedałował jak szalony, jego uda niemal płonęły. W tej chwili wcale nie myślał o pracy, którą rozpoczął kilka tygodni temu w dziale energetycznym Man Securities, jednej z tych naprawdę dużych firm – to była szansa, żeby wreszcie trochę zarobić po tym chaosie w Harbor.

Nie zastanawiał się również nad zeznaniem, które musiał złożyć w tym tygodniu. Audytor z Banku Szkocji i prawnik z Parker-Kegg zmuszali go, żeby zeznawał przeciwko swej dawnej firmie po przyjęciu atrakcyjnej odprawy, którą dostał, gdy ją zamykano.

Nie, tego ranka jedyną troską Jonathana było dotarcie do niewidzialnej linii mety przed przyjacielem. Gary wyrwał się z peletonu i zmniejszył nieco dystans do Jonathana. Do skrzyżowania pozostało już tylko sto metrów. Jonathan przyspieszył z całej siły, mięśnie czworogłowe przeszywał ból, w płucach go paliło. Po raz ostatni zerknął za siebie. Gary się zatrzymał. Koniec gry. Reszta peletonu majaczyła w oddali. Już go nie złapie.

Jonathan śmignął, nie pedałując, pod estakadą drogi dwieście osiemdziesiąt siedem i wszedł w zakręt z rękami uniesionymi w triumfalnym geście.

Dołożył mu!

Wkrótce Jonathan pedałował w stronę domu przez osiedlowe ulice Upper Montclair.

Ruch był niewielki. Myśli mężczyzny podążyły w stronę skomplikowanej gry na indeksie energetycznym, którą opisywał ktoś w pracy. Jonathan rozkoszował się zwycięstwem i wyobrażał sobie, że opowie swemu ośmioletniemu synowi, Steviemu, jak dzisiaj wszystkim dał popalić.

Ulice stawały się tu bardziej kręte i strome. Zjeżdżał na luzie Westerly, po czym skręcił w Mountain View i ruszył w górę na ostatnie wzniesienie. Sapał, myśląc o tym, że obiecał zabrać Steviego i kupić mu korki do gry w piłkę. Do domu zostało jeszcze pół kilometra.

Właśnie wtedy zauważył samochód. Duże czarne auto. Lincoln navigator albo cadillac escalade czy inny wóz z błyszczącą, chromowaną osłoną chłodnicy.

Jechał wprost w jego kierunku.

Przez moment Jonathan Lauer poczuł irytację. Wciśnij hamulec, koleś. Tutaj mieszkają ludzie. Dzielili ich spora odległość. W okolicy nie było nikogo. Przeszło mu przez myśl, że może kierowca nieco zbyt szeroko wszedł w zakręt.

Jednak Jonathan Lauer nie usłyszał pisku hamulców.

Usłyszał coś innego.

Coś szalonego, co sprawiło, że irytację zastąpiło inne uczucie. Coś przerażającego, kiedy osłona chłodnicy auta zbliżała się coraz bardziej.

Usłyszał, że SUV przyspiesza.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Przez następne kilka dni Karen obejrzała ten dwusekundowy fragment chyba ze sto razy.

Była przerażona. Zdezorientowana. Nie potrafiła zrozumieć, co widzi.

Twarz mężczyzny, z którym żyła przez osiemnaście lat. Którego opłakiwała i za którym tęskniła. Mężczyzny, którego poduszkę wciąż czasem tuliła nocą, którego imię wciąż szeptała.

To był Charlie, jej mąż, uchwycony przez przypadkową, przesuwaną się obok kamerę.

Na ulicy przed Grand Central. Po zamachu.

Do cholery, Charlie, jakim cudem to możesz być ty...?

Nie wiedziała, co robić. Komu mogłaby o tym powiedzieć? Poszła pobiegać z Paulą na Tod's Point. Słuchała, jak przyjaciółka bez końca opowiada o przyjęciu, na którym była wraz z Rickiem w jakimś wspaniałym domu na Stanwich, i przez cały ten czas chciała się tylko zatrzymać. Popatrzeć jej w oczy. Powiedzieć: Paula, widziałam Charliego.

Dzieciom? Widok ojca by je zdruzgotał. Nie przeżyłyby tego. Rodzicom? Jak mogłaby to wytłumaczyć? Wcześniej musiała się upewnić.

Saulowi? Człowiekowi, któremu Charlie wszystko zawdzięczał? Nie.

Zachowała tę informację dla siebie. W kółko oglądała ten moment, aż zaczęła od tego świrować. Dezorientacja przeradzała się w gniew. Gniew — w ból.

Dlaczego? Dlaczego, Charlie? Jak to możesz być ty? Jak mogłeś nam zrobić coś takiego?

Powtórzyła w myślach wszystko, co wiedziała na pewno. Nazwisko Charliego figurowało w dokumentach warsztatu Mercedesa. Znalezione rozerwane fragmenty jego teczki oraz osmaloną kartkę, którą ktoś jej przysłał. Poza tym on do niej dzwonił! O ósmej trzydzieści cztery. To nie miało sensu.

On jechał tym pociągiem!

Na początku usiłowała sama siebie przekonać, że to nie mógł być on. Nigdy, przenigdy by jej czegoś takiego nie zrobił. Ani dzieciom. Nie Charlie... No i dlaczego? Dlaczego?! Przyglądała się zatrzymanemu kadrowi. Wielu ludzi wygląda podobnie. Wzrok i nadzieja potrafią płatać szalone figle. Obraz był trochę nieostry. Jednak za każdym razem, gdy wracała do ekranu i odtwarzała scenę, może po raz tysięczny — była tam jego twarz. Bez cienia wątpliwości. Karen oblewał pot. Narastał w niej gniew. Nogi miała jak z waty.

Dlaczego?

Mijały dni. Próbowwała udawać, że wszystko jest w porządku, ale to doświadczenie tak bardzo ją dezorientowało i doprowadzało do mdłości, że musiała się ukrywać w łóżku. Dzieciom powiedziała, że coś jej dolega. Rocznicą śmierci Charliego. Wszystkie te powracające uczucia. Któregoś wieczoru Sam i Alex przynieśli jej nawet kolację do łóżka. Zupę drobiową ze sklepu oraz filiżankę zielonej herbaty. Karen podziękowała i spojrzała w ich współczujące oczy.

— Słuchaj, mam, wydobrzejesz.

Gdy tylko wyszli, rozpłakała się.

Później, kiedy dzieci spały albo były w szkole, chodziła po

domu, przyglądając się twarzy męża na fotografiach, które znajdowały się wszędzie. I były dla Karen wszystkim. Wszystkim, co miała. Ta, którą powiększyli na uroczystość; był na niej ubrany w plażową koszulę, a na nosie miał ray-bany. Wspólne zdjęcie z Karen, wykonane na ślubie kuzynki; miał wtedy czarny krawat. Kilka rzeczy osobistych, których nie sprzątnęła z komody: wizytówki, rachunki, zegarki.

Nie mógłbyś mi tego zrobić, prawda, Charlie? Nam wszystkim...

Nie ty...

To musiał być jakiś zbieg okoliczności. Dziwaczny zbieg okoliczności. Ufam ci, Charlie... Ufałam ci za życia i, do cholery, zaufam ci teraz. Jej mąż za nic w świecie tak by jej nie zranił.

Karen powracała do tej jednej jego rzeczy, którą miała. Wy-rwanej z notesu kartki, którą ktoś znalazł na Grand Central. „Z biurka Charliego Friedmana”.

Czuła, że tam był. Teraz musiało wygrać zaufanie. Zaufanie wypracowane przez osiemnaście lat. Niezależnie od tego, co zobaczyła na ekranie, w głębi duszy cholernie dobrze wiedziała, kim był jej mąż.

Po raz pierwszy przyjrzała się tamtej kartce. Naprawdę się jej przyjrzała. Nie traktując jej wyłącznie jako pamiątki. Megan Walsh. Przypadkowe nazwisko nabazgrane ledwie czytelnym pismem Charliego. Pospiesznie zanotowany numer: 964-1650. I kolejny, podkreślony jego grubą kreską:

B1254.

Karen zamknęła oczy.

Nawet o tym nie myśl, przestrzegła sama siebie wobec ogarniających ją podejrzeń. To nie Charlie. Niemożliwe.

Jednak wciąż szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w numery na kartce. Targały nią wątpliwości. Pamiętała jego twarz na ekranie. Ta notka była jak część jego przeszłości, więc z Charliem — jedyna więź.

To szaleństwo, ale musisz tam zadzwonić, Karen.

Choćby tylko po to, żeby nie zwariować.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Żeby się na to zdobyć, Karen musiała zebrać wszystkie siły.

W pewnym sensie miała wrażenie, że go zdradza, że zdradza jego pamięć. A jeśli na tym filmie to nie był on? Jeśli to wszystko zmyśliła, gdyż po prostu zobaczyła kogoś podobnego?

Jej mąż nie żył od ponad roku!

Mimo to wykręciła numer, po cichu modląc się, żeby nie okazał się telefonem jakiegoś hotelu, a B1254 numerem pokoju. Do głowy przychodziły jej najdziwniejsze myśli.

— JP Morgan Chase. Oddział na rogu Czterdziestej Ulicy i Trzeciej Alei — odezwała się kobieta w słuchawce.

Karen odetchnęła. Poczowała ulgę zmieszaną z odrobiną poczucia winy. Ale skoro już zaszła tak daleko, równie dobrze mogła dobrnąć do końca.

— Chciałabym rozmawiać z panią Megan Walsh.

— Chwileczkę.

Megan Walsh okazała się menedżerem w dziale bankowości prywatnej. Gdy Karen wyjaśniła jej, że mąż zmarł, a ona jest jego jedyną spadkobierczynią, wyszło na jaw, że B1254 to numer skrzynki bankowej, którą założono w tym oddziale przed dwoma laty.

Na nazwisko Charliego.

Karen pojechała do Nowego Jorku następnego dnia rano. Oddział banku mieścił się kilka przecznic od biura Charliego, w dużym budynku o wysokim stropie. Megan Walsh była atrakcyjną, trzydziestokilkuletnią kobietą, miała długie, ciemne włosy i nosiła gustowny kostium. Zaprowadziła Karen do swojego gabinetu, umieszczonego w rzędzie boksów obok stanowisk pracy innych menedżerów.

— Pamiętam pana Friedmana — powiedziała, zaciskając wargi w wyrazie współczucia. — Sama otwierałam jego konto. Moje kondolencje.

— Robiłam porządki w jego rzeczach — wyjaśniła Karen. — Ta skrytka w ogóle nie figurowała na liście składników majątku męża. Nie wiedziałam nawet o jej istnieniu.

Pracownica banku zapoznała się z kopią aktu zgonu Charliego oraz dowodem egzekucji majątku. Następnie zadała kilka pytań. Najpierw o imię ich psa. Karen się uśmiechnęła. (Okazało się, że Charlie podał Saszę). Potem o nazwisko panięskie jego matki. Wreszcie zaprowadziła Karen do prywatnego pomieszczenia obok sejfu.

— Konto założono osiemnaście miesięcy temu, w październiku.

Pani Walsh podała Karen dokumenty. Podpis z pewnością należał do Charliego.

Pewnie jakieś rzeczy służbowe, pomyślała Karen. Postanowiła zobaczyć, co jest w skrytce, i przekazać wszystko Saulowi.

Megan Walsh na chwilę wyszła i wkrótce powróciła z dużym metalowym pojemnikiem.

— Proszę się nie spieszyć — powiedziała. Postawiła skrzynkę na stole i na oczach Karen otworzyła zamek duplikatem klucza. — Jeśli będzie pani czegoś potrzebować albo zechce przelać jakkolwiek sumę na konto, chętnie pomogę.

— Dziękuję. — Karen skinęła głową.

Drzwi się zamknęły i została sama z tą częścią męża, o której nigdy jej nie powiedział. Przez chwilę się wahała.

Pamiętała doznany szok, gdy zobaczyła jego twarz na ekranie. A teraz pojawiła się ta skrzynka, której nigdy nie wymieniono jako części jego majątku i która nie figurowała w służbowych dokumentach. Ostrożnie przesunęła dłonią po metalowych ściankach. Cóż on tu mógł przed nią ukrywać?

Karen otworzyła wieko pojemnika i zajrzała do środka.

Oczy zrobiły jej się wielkie ze zdziwienia.

Skrzynkę wypełniały równo ułożone paczki pieniędzy. Owinięte pliki banknotów studolarowych. Obligacje na okaziciela oplecione gumką recepturką. Na kartce charakterem pisma Charliego wypisano sumy: siedemdziesiąt sześć tysięcy, dwieście dziesięć tysięcy. Karen uniosła kilka plików, zaparło jej dech w piersiach.

Tutaj było przynajmniej kilka milionów dolarów.

Natychmiast wiedziała, że to jest nie w porządku. Skąd Charlie mógł wziąć tyle gotówki? Przecież wszystkim się dzieliłi. W odrętwieniu wypuściła pieniądze z dłoni; pliki banknotów upadły do skrzynki. Dlaczego mąż miałby to przed nią ukrywać?

Skręcało ją w żołądku. Przypomniła sobie mężczyzn z Archera, którzy odwiedzili ją przed dwoma miesiącami. A potem incydent w samochodzie Samantha. Dwieście pięćdziesiąt milionów dolarów. Tutaj znajdował się tylko ułamek tej kwoty.

Wciąż patrzyła w oszołomieniu na zawartość skrzynki — to ją zaczynało przerażać. Charlie, co tu się, do cholery, dzieje?

Na spodzie było coś jeszcze. Karen wyciągnęła spod banknotów kartonową kopertę. Odpięła zatrzask i wysypała zawartość na stolik. Nie wierzyła własnym oczom.

Paszport.

Nowy, nieużywany. Przekartkowała go. W środku znajdowało się zdjęcie Charliego.

Zdjęcie — ale z zupełnie innym nazwiskiem. Fałszywym.

Weitzman. Alan Weitzman.

W kopercie było również kilka kart kredytowych, wszystkie

wydane na to samo fałszywe nazwisko. Karen rozbolała głowa. Miała odrętwiałą twarz. Charlie, co ty przede mną ukrywasz?

Zdezorientowana osunęła się na krzesło. Musiało istnieć jakieś sensowne wyjaśnienie tego wszystkiego. Może jednak w telewizji widziała kogoś innego, nie Charliego.

Ale to... Nagle nie mogła już udawać, że jest inaczej. Ponownie przejrzała rejestr operacji. Skrzynkę założono przed dwoma laty. Rok przed śmiercią Charliego. Na dokumencie widniał jego wyraźny podpis. Za każdym razem to on ją otwierał. Najpierw kilkakrotnie wkrótce po założeniu. Później raz lub dwa razy w miesiącu, z ogromną regularnością, zupełnie jakby się do czegoś przygotowywał. Karen spojrzała na sam dół kartki, utkwiała wzrok w ostatnim wpisie.

Podpis Charliego. Szybkie, pochylone w przód pismo.

Ale data... Dziewiąty kwietnia. Dzień zamachu na Grand Central.

Spojrzenie Karen zatrzymało się na godzinie: trzynasta trzydzieści pięć. Oblał ją pot.

To było cztery i pół godziny po rzekomej śmierci męża.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Karen powstrzymała torsje. Miała mdłości. Zawroty głowy. Złapała się krawędzi stołu, żeby utrzymać równowagę, niezdolna odwrócić wzroku od tego, co zobaczyła na kartce.

Trzynasta trzydzieści pięć.

W tej chwili z jej punktu widzenia bardzo niewiele rzeczy miało sens. Ale jedna rzecz — owszem. Przypomniała sobie ten ziarnisty obraz z kamery jakiegoś przechodnia.

Jej mąż niewątpliwie żył.

Chwiejąc się na nogach, jeszcze raz przejrzała zawartość skrzynki. W tym momencie pogodziła się z faktem, że wszystko, co czuła przez ten rok, każdy skurcz żalu i tęsknoty, każda bolesna myśl o tym, co Charlie musiał wtedy czuć, każda noc, kiedy Karen przesuwiała się na jego stronę łóżka i tuliła jego poduszkę, powtarzając: „Dlaczego... dlaczego?”—to wszystko było fałszem.

Ukrywał to przed nią. Zaplanował to.

Nie zginął tamtego dnia. Nie stracił życia w wybuchu. Nie pochłonął go potworny pożar.

On żył.

Myśli Karen popędziły ku tamtemu porankowi... Przekrzykując wycie suszarki, Charlie zawołał do niej coś o samochodzie, który zabiera do warsztatu. Ledwie to usłyszała.

On żyje.

Potem przypomniała sobie szok, który przeżyła w studiu jogi, kiedy ze wzrokiem przykutym do ekranu, stopniowo poddając się panice, powoli przyjmowała do wiadomości, że jej mąż jechał tamtym pociągiem. Pamiętała jego nagranie — ostatni dźwięk jego głosu — w którym proponował, że przywiezie jeźdźcę do domu. To było o ósmej trzydzieści cztery. Przed oczami stanął jej uchwyt rozerwanej w wybuchu teczki oraz kartka z notesu, którą ktoś jej przysłał.

Wszystko to powróciło — nabierało siły niczym burza, która rozszalała się w jej myślach. Cały ten ból, całe cierpienie, każda łza...

On tam był. W tym pociągu.

Ale nie zginął.

Na początku to było jak skurcz grypy żołądkowej, który sprawia, że treść pokarmowa podnosi się do gardła. Karen siłą powstrzymywała mdłości. Powinna się cieszyć. Charlie żyje! Ale ona jedynie tępo wpatrywała się w pieniądze i fałszywy paszport. Nie powiadomił jej. Pozwolił jej cierpieć przez cały rok. Dezorientacja zmieniła się w gniew. Siedziała bez ruchu, wpatrując się w zdjęcie paszportowe. Weitzman. Dlaczego, Charlie, dlaczego? Co knułeś? Jak mogłeś mi coś takiego zrobić?

Nam.

Kochali się. Mieli wspólne życie. Rodzinę. Podróżowali. Rozmawiali o tym, co zrobią, kiedy dzieci wyprowadzą się z domu. Wciąż uprawiali seks. Jak to wszystko można udawać? Jak można to zrobić ukochanej osobie?

Nagle pod Karen ugięły się nogi. Te pieniądze, ten paszport, co to oznaczało? Czy Charlie popełnił jakieś przestępstwo? Ściany pokoju zaczęły na nią napierać.

Poczuła, że musi stąd wyjść. Natychmiast.

Zatrzasnęła skrzynkę i wezwała Megan Walsh. Po chwili kobieta weszła do pomieszczenia.

— Chwilowo chciałabym wszystko zostawić tak, jak jest — powiedziała Karen, ocierając pot z policzków.

— Oczywiście — odparła pani Walsh. — Dam pani swoją wizytówkę.

— Czy ktoś jeszcze miał dostęp do skrzynki?

— Nie, tylko pani mąż. — Pracownica banku spojrzała na Karen pytająco. — Czy wszystko w porządku?

— Tak — skłamała. Chwyliła torebkę, lecz zanim wyszła, poprosiła o kopię rejestru operacji. — Wrócę za kilka dni i wtedy postanowię, co dalej.

— Dobrze, proszę mnie tylko powiadomić.

Na ulicy Karen wciągnęła haust chłodnego powietrza. Przytrzymała się znaku drogowego, by zachować równowagę. Powoli odzyskiwała spokój.

Co tu się, do cholery, dzieje, Charlie? Odwróciła się od przechodniów w obawie, że wezmą ją za obłąkaną.

Czy o ciebie nie dbałam? Nie byłam dla ciebie dobra, skarbie? Kochałam cię. Ufałam ci. Oplakiwałam cię. Do jasnej cholery, rozrywała mnie na strzępy myśl, że nie żyjesz.

Jakim cudem przeżyłeś?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Biuro Saula Lennicka znajdowało się nieopodal, na czterdziestym drugim piętrze jednego z tych wysokich, szklanych biurowców przy rogu Czterdziestej Siódmej Ulicy i Park Avenue.

Karen pospieszyła tam, nawet nie dzwoniąc, i modliła się, żeby go zastać. Sekretarka Maureen natychmiast zobaczyła na jej twarzy rozpacz i zdenerwowanie.

— Czy coś pani przynieść? — spytała troskliwie. — Może szklankę wody?

Karen pokręciła głową.

— Proszę wejść. Pan Lennick nie jest zajęty. Może panią teraz przyjąć.

— Dziękuję.

Karen odetchnęła z ulgą. Dzięki Bogu!

Gabinet Saula Lennicka był duży i reprezentacyjny. Wypełniała go kolekcja afrykańskich masek oraz balijskich przedmiotów pogrzebowych. Rozciągał się stąd widok na Manhattan, a w kierunku północnym — na Central Park.

Gdy Maureen zapowiedziała Karen, Lennick właśnie skończył rozmawiać przez telefon. Wstał od biurka z zatroskaną miną.

— Karen?

— Saul, coś się dzieje. Nie wiem co. Ale Charlie coś zrobił... w interesach.

— Co? — spytał Lennick.

Obszedł duże biurko i przysunął Karen krzesło, po czym znów usiadł.

O mało nie wygadała wszystkiego, co wiedziała i odkryła — począwszy od twarzy Charliego w telewizji. I tego, że żył!

W ostatniej chwili jednak się powstrzymała, bo Saul mógłby pomyśleć, że rozmawia z kompletną wariatką. Zdecydowała zatem opowiedzieć jedynie o tym, co zobaczyła tego dnia.

— Coś znalazłam. Coś, co Charlie napisał przed śmiercią. Nawet nie mam pojęcia, od czego zacząć wyjaśnienia, ale wiem, że to pasuje do wszystkich ostatnich szalonych wydarzeń. Ci ludzie z Archera. Samantha. Nie wiedziałam, co z tym zrobić.

— Z czym?!

Karen, rozgorączkowana, opowiedziała o znalezieniu w skrytce bankowej pieniędzy i obligacji, fałszywego paszportu.

— Najpierw myślałam, że może chodzi o inną kobietę. Ale to coś gorszego. Popatrz na mnie, Saul, jestem wrakiem człowieka. — Zrobiła wdech. — Charlie coś zrobił. Nie wiem co. On był moim mężem. Boję się. Mam wrażenie, że tamci ludzie wrócą. Ktoś nas ściga, a teraz na dodatek znalazłam tę skrzynkę pełną gotówki i fałszywych dokumentów. Nie chcę narażać moich dzieci na niebezpieczeństwo. Dlaczego Charlie miałby to przede mną ukrywać? Jestem przekonana, że coś wiesz. Co tu się dzieje, do cholery? Saul, tyle mi jesteś winien: co tu się dzieje?!

Lennick odchylił się w skórzanym fotelu. Za nim, jak na ogromnej fotografii, rozciągała się panorama Nowego Jorku. Głośno odetchnął.

— No dobrze, Karen. Miałem nadzieję, że nigdy nie będę musiał poruszać tego tematu. Liczyłem na to, że jakimś cudem wszystko minęło.

— Co minęło, Saul?

Pochylił się w jej stronę.

— Czy Charles wspominał o Coombsie? Ianie Coombsie?

— Coombs? — Karen pokręciła głową. — Chyba nie. Nie przypominam sobie.

— A firma inwestycyjna Baltic Securities? Mówił coś o niej?

— Dlaczego mnie o to wszystko wypytujesz? Nie angażowałam się w interesy męża. Kto jak kto, ale ty to powinieneś wiedzieć.

— I wiem, tylko że...

— Tylko że co, Saul? Charliego nie ma. Nagle wszyscy insynuują coś na jego temat. Do jasnej cholery, co zrobił mój mąż?

Lennick wstał. Był ubrany w ciemnogrnatowy, prążkowany garnitur ze złotymi spinkami do mankietów. Obszedł biurko, by zbliżyć się do Karen, i usiadł na kancie blatu.

— Karen, czy Charlie przypadkiem nie wspominał kiedykolwiek o innych kontaktach, którymi może zarządzał?

— Innych kontaktach?

Lennick kiwnął głową.

— Zupełnie niepowiązanych z Harbor. Może gdzieś za granicą: na Bahamach albo Kajmanach? Tam nie sięga władza Komisji Papierów Wartościowych i Giełd ani amerykańskie prawo skarbowe.

Spojrzenie mężczyzny było poważne, wyważone.

— Saul, trochę mnie przerażasz. Charlie był porządnym facetem. Niczego przed nikim nie ukrywał. A już na pewno przed tobą.

— Wiem o tym, Karen. I w ogóle bym o tym nie wspominał, ale...

Kobieta wbiła wzrok w Lennicka.

— Ale co?

— Ale znalazłaś to, co znalazłaś. Pieniądze i ten paszport. To nie za bardzo pasuje do porządnego faceta.

Karen się spięła. Myślami powróciła do twarzy na ekranie. Przez całe wspólne życie dzielili się z Charliem praktycznie wszystkim. Problemami z dziećmi, finansami. Złością na siebie nawzajem. Nawet troską o psy. W ten właśnie sposób żyli. Wszystko było kwestią zaufania. Teraz, głęboko w trzewiach, Karen czuła zwątpienie. Paraliżujące zwątpienie w Charliego. Uczucie, którego nigdy dotąd nie zaznała.

— O czyich pieniądzach mówimy?

Saul nie odpowiedział. Po prostu zacisnął usta i odgarnął rzednące, siwe włosy.

— O czyich? — Karen patrzyła wprost na niego.

Odetchnął głośno. Zabębnił palcami w orzechowy blat biurka,

jakby nadawał rytm pieśni żałobnej. Wzruszył ramionami.

— W tym właśnie problem. Nikt co do tego nie ma pewności.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Karen odchodziła od zmysłów. Przez następne kilka dni ledwie wstawała z łóżka, nie wiedząc, co robić. Samantha zaczynała się martwić. Nic dziwnego, Karen od tygodnia zachowywała się nieswojo. W oczach córki widziała obawę.

— Co się dzieje, mamoo?

Chociaż Karen bardzo chciała, jakże mogłaby powiedzieć prawdę?

Że człowiek, którego dziewczyna podziwiała jak nikogo innego na świecie, który zawsze ją utrzymywał i dbał, by była silna, tak ich oszukał? Co mówił Saul? Zakładanie kont. Zarządzanie pieniędzmi ludzi, których nie znała. Za granicą?

Jakich ludzi?

Te wszystkie sumy przerażały Karen. Na co były przeznaczone? Zaczynała myśleć, że Charlie rzeczywiście popełnił jakieś przestępstwo. „Czy Charlie przypadkiem nie wspominał kiedykolwiek o innych kontaktach, którymi może zarządzał?”.

Powiedziała, że nie. „Znasz Charliego, był uczciwym facetem. Zamartwiał się marnymi groszami, które był winien klientom”.

Czy ona przez te wszystkie lata żyła w błędzie?

Minęło parę kolejnych dni. Karen powoli popadała w obłąd, rozmyślając o tym, że Charlie gdzieś tam jest, i zachodząc

w głowę, co to wszystko znaczy. Była późna noc. U dzieci już dawno zgasło światło. Tobey spał na jej łóżku. Karen zeszła do kuchni, żeby zrobić sobie herbaty.

Na blacie stało zdjęcie Charliego. To z uroczystości żałobnej, na którym ubrany był w białą koszulkę polo, szorty barwy khaiki, buty Top-Sider i duże ciemne okulary. Zawsze uważali, że to typowy Charlie, relaksujący się na łodzi pośrodku Morza Karaibskiego — z komórką przyklejoną do ucha.

„Znałeś go, Saul...”.

Karen podniosła fotografię i po raz pierwszy w życiu musiała się powstrzymać, by z wściekłością nie cisnąć nią o ścianę. Wtedy jednak przyszło jej do głowy dziwne wspomnienie. Z zakamarków wspólnej przeszłości.

Wizja Charliego — który machał ręką.

Było to pod koniec cudownego tygodnia na Karaibach. Żeglowali na Saint-Barthelémy, Virgin Gorda, w końcu trafili na Tortole. Następnego dnia dzieci wracały do szkoły.

Wtedy, o dziwo, Charlie oświadczył, że musi zostać. Zmiana planów. Musiał się tam z kimś spotkać.

Tak nagle?

Wobec tego udał się z nimi na miejscowe lotnisko. Niewielki, dwunastoosobowy samolot miał ich zabrać z powrotem do San Juan. Karen zawsze się denerwowała, kiedy musiała lecieć takimi małutkimi maszynami. Podczas startu i lądowania brała Charliego za rękę. Wszyscy trochę z niej żartowali...

Dlaczego teraz wracały te wspomnienia?

Charlie pożegnał się przy prowizorycznym wyjściu, a właściwie szklanych drzwiach, które prowadziły na asfaltowe lądowisko. „Nic ci nie będzie — powiedział, tuląc żonę. — Wrócę za dwa dni”. Zapinając pasy w fotelu dwusilnikowego samolotu, Karen poczuła przypływ irracjonalnego strachu — jakby miała nigdy więcej nie zobaczyć męża. Charlie, dlaczego cię ze mną nie ma? — pomyślała. Nagle poczuła się samotna. Sięgnęła po dłoń Aleksa.

Gdy śmigła samolotu zafurkotały, wzrok Karen podążył do okna. Zobaczyła męża na balkonie małego terminalu, w plażowej koszuli i ray-banach. Jego oczy odbijały słońce.

Machał.

Machał, z telefonem komórkowym przyklejonym do ucha, obserwując oddalający się samolot.

Za granicą, mówił Saul. Na Bahamach albo Kajmanach.

Teraz, gdy Karen patrzyła na fotografię, przepełniał ją ten sam strach. Że jakimś cudem tak naprawdę go nie знаła. Nie od tej istotnej strony. Teraz jego oczy były ciemne, nie odbijały słońca, lecz coś głębszego, nieznanego — niczym jaskinia prowadząca ku wielu rozpadlinom. Rozpadlinom, których jeszcze nigdy nie zgłębiła.

To ją przerażało. Odstawiła fotografię. On gdzieś tam jest. Może teraz o niej myśli. Może w tej właśnie chwili zastanawia się, czy ona wie, czy podejrzewa, czy czuje jego obecność. Przebiegł ją dreszcz. Charlie, coś ty, do cholery, narobił?

Wiedziała, że nie może dłużej tego tłumić. Inaczej oszaleje. Musiała wiedzieć, dlaczego to zrobił i gdzie teraz jest.

Opadła na stół przy ladzie. Oparła głowę na dłoniach. Nigdy w życiu nie czuła się taka zagubiona, taka osamotniona.

Przychodziło jej na myśl tylko jedno miejsce, w które mogła się udać.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Hauck wrócił do swojego gabinetu z aresztu w piwnicy. Razem z Freddym Muñozem przyjęli właśnie zeznanie od przerażonego latynoskiego chłopaka należącego do gangu z Norwalk, kradnącego luksusowe samochody z domów na prowincji Greenwich. To zeznanie mogło pomóc zamknąć sprawę. Joe Horner, detektyw z Norwalk, czekał na linii.

Gdy Hauck skręcił z holu, zawołała go Debbie, sekretarka jednostki.

— Ty, ktoś do ciebie przyszedł.

Siedziała na ławce w zewnętrznej sali. Miała na sobie pomarańczowy golf i lekki beżowy żakiet. Obok leżała duża torba. Na widok kobiety Hauck nie próbował nawet ukryć zadowolenia.

— Deb, powiedz Homerowi, że za chwilę oddzwonię.

Karen wstała. Uśmiechnęła się, lekko zdenerwowana wizytą w tym miejscu. Hauck nie widział jej od paru miesięcy, odkąd ucichła ta historia z nachodzącymi ją ludźmi, a policja wycofała ochronę. Potem jeszcze kilka razy zadzwonił, żeby upewnić się, że wszystko w porządku. Podeszedł do niej uśmiechnięty. Twarz miała bladą i wymizerowaną.

— Mówił pan, że powinnam zadzwonić. — Wzruszyła ramionami. — Gdyby coś się stało.

— Oczywiście.

Podniosła wzrok.

— Właśnie się stało.

— Proszę do mojego gabinetu — powiedział Hauck, biorąc ją pod rękę.

Zawołał do Debbie, że oddzwoni do detektywa z Norwalk, po czym poprowadził Karen wzdłuż rzędu biurka detektywów do swego gabinetu za szklanym przepierzeniem. Od okrągłego stołu konferencyjnego naprzeciwko biurka odsunął tanie metalowe krzesło.

— Proszę usiąść.

Widział wyraźnie, że jest zdenerwowana.

— Podać coś? Wodę? Filiżankę kawy?

Pokręciła głową. Hauck przysunął drugie krzesło i założywszy ręce za plecami, usiadł naprzeciw niej.

— Proszę mi powiedzieć, o co chodzi.

Karen nabrała powietrza i mocno zacisnęła wargi, po czym sięgnęła do torebki. Na jej twarzy malowała się mieszanka ulgi i wdzięczności.

— Ma pan tu komputer?

— Jasne. — Hauck kiwnął głową i przysunął się do szafki, która stała obok biurka.

Podawała mu małą płytę.

— Może pan to uruchomić?

Porucznik sięgnął w dół i wsunął dysk do komputera pod szafką. Napęd się włączył i na ekranie pojawił się obraz programu telewizyjnego czy też reportażu ekipy wiadomości. Masa ludzi na ulicach Nowego Jorku. W panice. Amatorskie nagranie, z kamery trzymanej w tłumie. Hauck natychmiast zrozumiał, że ogląda sceny po zamachu na Grand Central.

— Czy oglądał pan ten dokument, panie poruczniku? — spytała Karen. — W zeszłą środę wieczorem?

Pokręcił głową.

— Nie. Pracowałem.

— Ja oglądałam. — Znowu zwróciła jego uwagę na film: ludzie wybiegali z dworca na ulicę. — To było dla mnie bardzo trudne. Popełniłam błąd. Czułam się, jakbym to wszystko przeżywała od nowa.

— Potrafię to zrozumieć.

Karen wskazała na ekran.

— Mniej więcej w tym momencie nie mogłam dłużej patrzeć. Sięgnęłam po pilota, żeby wyłączyć telewizor. — Wstała i obeszła Haucka z tyłu, nachyliła mu się przez ramię, z twarzą zwróconą w stronę monitora. — Miałam wrażenie, że w głębi duszy szaleję. Oglądałam śmierć Charliego. Znowu.

Policjant nie rozumiał, do czego to zmierza. Wyciągnęła obok niego rękę, by sięgnąć po myszkę. Czekala, pozwalając, by akcja na ekranie się rozwijała. Ludzie z osmalonymi twarzami, zataczając się, wypadali na ulicę przez odległe wyjście ze stacji, dusząc się, krztusząc dymem. Trzymana w ręku kamera zadrżała.

— Wtedy zobaczyłam to. — Karen wskazała palcem na ekran.

Umieściła kursor na pasku narzędzi i kliknęła. Obraz zastygł. Godzina dziewiąta szesnaście.

Stopklatka ukazywała kobietę, która pochylała się, by pomóc komuś, kto upadł na chodnik. Mijał ją jakiś mężczyzna w zabrudzonej marynarce, jego twarz była lekko odwrócona od kamery. Wzrok Karen przywarł do ekranu, w jej spojrzeniu było coś stanowczego, hardego, a zarazem pełnego smutku.

— To mój mąż — powiedziała, usiłując opanować łamiący się głos. Spojrzała Hauckowi prosto w oczy. — To Charlie, panie poruczniku.

Hauckowi stanęło serce. Minęła sekunda, zanim w pełni dotarło do niego znaczenie tych słów. Przecież jej mąż tam zginął. Rok temu. Hauck odwiedzał ją w domu, był na uroczystości żałobnej. To wszystko nie ulegało wątpliwości. Ponownie spojrział na ekran. Rysy twarzy wydawały się dość podobne do

rysów mężczyzny, którego pamiętał z fotografii. Odwrócił się do Karen i zamrugał.

— Co pani ma na myśli?

— Nie wiem, co mam na myśli — odparła kobieta. — On jechał tym pociągiem, tego jestem pewna. Dzwonił do mnie tuż przed wybuchem. Wśród szczątków znaleziono fragmenty jego teczki... — Pokręciła głową. — Ale jakimś cudem nie zginął.

Hauck odsunął się od biurka, znów uważnie wpatrując się w ekran.

— Setki ludzi mogą tak wyglądać. Ten człowiek jest pokryty popiołem. Nie można mieć pewności.

— Tak właśnie sobie to tłumaczyłam na początku. — Wróciła do stołu. — Przez cały zeszły tydzień obejrzałam tę scenę chyba z tysiąc razy. — Sięgnęła do torby i wyjęła z niej kartkę. — Potem coś znalazłam. Nieważne co. Istotne jest natomiast, że doprowadziło mnie to do skrytki bankowej mojego męża na Manhattanie, o której istnieniu nie wiedziałam.

Przesunęła kartkę po blacie stołu i podała ją Hauckowi.

Była to kserokopia formularza aktywacji konta z JP Morgan Chase. Dokument dotyczył skrytki bankowej. Dołączono do niego historię rachunku. Spora aktywność w ciągu dwóch ostatnich lat. Za każdym razem ten sam podpis.

Charles Friedman.

Hauck przejrzał kolejne rubryki.

— Proszę spojrzeć na ostatnią datę — powiedziała Karen Friedman. — I na godzinę.

Detektyw zrobił to i w tej samej chwili poczuł ostry ból w piersi. Nic nie rozumiejąc, spojrzął znów na Karen. Niemożliwe...

— On żyje. — Patrzyła mu w oczy. Jej źrenice lśniły. — Był tam, w tym banku, cztery i pół godziny po zamachu. Cztery i pół godziny po chwili, w której, jak myślałam, zginął. To Charlie. — Skinęła głową ku ekranowi. — To mój mąż, poruczniku.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

— Komu pani powiedziała?

— Nikomu. — Wzrok miała szklisty. — Jak bym mogła? Dzieciom? Po tym wszystkim, co przeszły, nie przeżyłyby tego. Jak mogłyby to wszystko zrozumieć? Przyjaciołom? — Pokręciła głową. — Co ja im mogę powiedzieć? Że to wszystko jakaś szalona pomyłka? „Wybaczcie, Charlie nie zginął. Po prostu oszukiwał mnie przez cały pieprzony rok. Wszystkich nas oszukiwał!”. Najpierw myślałam, że to jeden z tych przypadków, o których się czasem słyszy. Kiedy ludzie wychodzą z traumatycznych wydarzeń, wie pan, dotknęci... Ale potem znalazłam to. — Dotknęła palcem formularzy bankowych. — Zastanawiałam się, czy nie zanieść wszystkiego Saulowi Lennickowi. Traktował Charliego jak drugiego syna. Ale się przestraszyłam. Pomyślałam, że może on rzeczywiście coś zrobił. Wie pan, coś złego. A jeśli postąpiłabym niewłaściwie? Jakie by to miało konsekwencje dla nas wszystkich? Wystraszyłam się. Rozumie pan, o czym mówię?

Porucznik kiwnął głową. Słyszał napięcie w jej głosie.

— Dlatego przyszedłam tutaj.

Hauck wziął dokumenty bankowe. Ponieważ był gliniarzem, przez lata nauczył się opanowania. Najpierw zebrać fakty,

zachowując ostrożność, póki prawda się nie wyklaruje. Spojrzał na formularz. Charles Friedman tam był.

— Czego pani ode mnie oczekuje?

— Nie wiem. — Skonsternowana Karen pokręciła głową. — Nawet nie wiem, co zrobił. Ale to coś... Charlie bez powodu nie postąpiłby z nami w ten sposób. Przecież go znałam. Poruczniku, on nie był takim człowiekiem. — Odgarnęła z twarzy kosmyk włosów i otarła oczy, rozmazując łzy. — Tak naprawdę za cholere nie mam pojęcia, czego od pana oczekuję.

— W porządku — powiedział Hauck, ściskając jej ramię.

Znów zaczął się przyglądać stopklatce na ekranie. Przeanalizował typowe przyczyny. Szok po wybuchu, może amnezja. Jednak dokument z banku wykluczał tę możliwość. Inna kobieta? Defraudacja? Przypomniał sobie, co przydarzyło się córce Karen na parkingu. Dwieście pięćdziesiąt milionów dolarów. A przecież Saul Lennick zapewniał go, że fundusz hedgingowy Charlesa był czysty.

— Jeśli mogę spytać, co pani tam znalazła? — odezwał się, wskazując na rejestr skrzynki bankowej.

— Pieniądze. — Karen wciągnęła głęboko powietrze. — Dużo pieniędzy. I paszport na fałszywe nazwisko ze zdjęciem Charliego. Parę kart kredytowych...

— Wszystko to zostawił? — Rok temu. — To mogło być jakieś zabezpieczenie. — Hauck wzruszył ramionami. — Chyba pani rozumie, że nie zrobił tego pod wpływem chwili. Wszystko zaplanował.

Kiwnęła głową, przygryzając dolną wargę.

— Zdaję sobie z tego sprawę.

Hauck wiedział natomiast, że Charles nie mógł zaplanować sposobu, w jaki wprowadzi to w życie. Aż nadszedł odpowiedni moment.

Detektyw pomyślał teraz o kimś innym — Thomasie Mardym.

— Proszę posłuchać. — Odwrócił się do swej rozmówczyni.
— Muszę panią o to spytać. Czy pani mąż w przeszłości... wie pani...

— Czy mój mąż w przeszłości co? — Karen wbiła wzrok w policjanta. — Czy się zabawiał z kobietami? Nie wiem. Tydzień temu powiedziałabym, że to niemożliwe. Teraz prawie bym się ucieszyła, gdyby się okazało, że właśnie o to chodzi. Miał ten paszport, karty kredytowe... On to wszystko planował. Kiedy spaliśmy w jednym łóżku. Kiedy dopingował dzieci w szkole. Jakimś cudem udało mu się uciec z tamtego pociągu i pośród całego chaosu pomyśleć: Teraz to się dzieje. Teraz mam okazję. Teraz odwrócę się od całego mojego życia.

Na kilka sekund zapanowała kompletna cisza. Hauck zaciśnął wargi, po czym znów zapytał:

— Czego pani ode mnie oczekuje?

— Nie wiem! Z jednej strony chciałam go przytulić i powiedzieć mu, jak bardzo się cieszę, że żyje. Ale z drugiej strony... Otworzyłam tę skrzynkę i zrozumiałam, że trzymał przede mną w tajemnicy ogromny fragment życia. Przed kimś, kogo rzekomo kochał. Do cholery, nie wiem, czego od pana oczekuję! Żeby dał mu pan w zęby. Wsadził do więzienia. Nawet nie wiem, czy popełnił jakieś przestępstwo. Skrzywdził mnie. Ale to nieważne, nie dlatego tu przyszedłam.

Hauck przysunął bliżej krzesło.

— A dlaczego?

— Dlaczego?! — Do oczu znów napłynęły jej łzy. Zacisnęła pięści i bezsilnie uderzyła o blat stołu. Potem znowu podniosła wzrok i popatrzyła na policjanta. — Czy to nie oczywiste? Przyszłam tutaj, bo nie wpadło mi do głowy żadne inne miejsce, dokąd mogłabym się udać!

Hauck podszedł do niej, a wtedy Karen po prostu bezwładnie padła mu w ramiona. Złożyła głowę na jego barku, oparła o niego ręce. Trzymał ją, czując, jak drży. Nie odsunęła się.

— On zginął! Oplakiwałam go. Tęskniłam. Nie spałam, zastanawiając się, czy w ostatnich chwilach myślał o nas. Nie minął dzień, żebym nie chciała jeszcze raz z nim porozmawiać, powiedzieć, że mam nadzieję, iż wszystko w porządku. A teraz on żyje...

Wciągnęła powietrze i otarła łzy z wilgotnych policzków.

— Nie chcę, żebyście na niego polowali. Zrobił, co zrobił, i musiał mieć jakiś powód. Wiem, co pan pewnie myśli, ale to nie jest podły człowiek. Nawet nie chcę, żeby wrócił. Już za późno. Nie mam pojęcia, co teraz do niego czuję... Chyba po prostu chcę wiedzieć... dlaczego mi to zrobił. Co właściwie zrobił! Chcę spojrzeć mu w twarz i zmusić go, żeby mi to wyjaśnił. Chcę prawdy. To wszystko.

Hauck kiwnął głową. Ścisnął ją za ramiona, po czym puścił. Przy biurku miał pudełko z chusteczkami. Wyciągnął kilka i podał Karen.

Pociągnęła nosem i uśmiechnęła się.

— Dziękuję.

— Obowiązek służbowy. W tym gabinecie ciągle ktoś płacze. Zaśmiała się, ocierając oczy i nos.

— Nawet nie wiem, o co ja pana właściwie proszę.

— Ja wiem, o co mnie pani prosi.

— Nie wiedziałam, do kogo jeszcze mogę się zwrócić, panie poruczniku.

— Jestem Ty.

To, co powiedział, najwyraźniej ją zaskoczyło. Przez chwilę oboje stali w milczeniu. Coś ich do siebie ciągnęło. Odgarnęła kasztanowe włosy z wciąż zaczerwienionych oczu.

— Dobrze. — Wciągnęła powietrze i kiwnęła głową. — Ty...

— A odpowiedź brzmi: tak. — Przysiadł na krawędzi biurka i skinął głową. — Pomogę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Zgodził się. Hauck ponownie przeanalizował całą scenę.

Tak, pomoże jej. Tak, wie, co należy zrobić. Chociaż jednocześnie zdał sobie sprawę, że musi się tym zająć prywatnie.

Tamtego wieczoru wypłynął na cieśninę. Siedział w ciemności z wyłączonym silnikiem. Woda była spokojna, na brzegu migotały światła centrum Stamford.

Dlaczego? — spytał sam siebie.

Bo nie mógł przegonić z myśli jej widoku? Wspomnienia miękkości, gdy się w niego wtuliła? Bo wciąż czuł w nozdrzach jej słodki zapach, pamiętał, jak każdy włos na rękach stał na baczność, każdy nerw przebudził się z długiego snu.

O to właśnie chodzi, Ty?

A może raczej o twarz, która stanęła mu przed oczami, kiedy popijał piwo Harpoon Ale, opierając buty o krawędź nadburcia. Twarz, o której Hauck nie myślał już od wielu miesięcy, a teraz znów ożyła, przerażająco prawdziwa.

Twarz Abla Raymonda.

Krew ciekąca spod jego rudych włosów. Hauck pamiętał, jak klękał nad nim, obiecując, że znajdzie winnego.

Charles Friedman nie zginął.

To wszystko zmieniało.

Thomas Mardy. Był kierownikiem w firmie sprawdzającej kredyty. Wsiadł do pociągu o siódmej pięćdziesiąt siedem w Cos Cob i zginął w wybuchu na torach Grand Central.

Jednak jakimś cudem po trzech godzinach jego karty kredytowej użyto do opłacenia przejazdu do Greenwich.

Teraz Hauck wiedział już, jak to możliwe.

Zastanawiał się, czy ten mustang to tylko zbieg okoliczności. „Maleństwo Charliego”... To go zmyliło. Każdego by zmyliło.

Teraz jednak, gdy zobaczył na ekranie twarz Charliego, wiedział — dużo lepiej, niż mogła to zrozumieć Karen Friedman — w jaki sposób jej mąż spędził godziny pomiędzy zarejestrowaniem jego twarzy przez kamerę przed dworcem a pojawieniem się w banku kilka godzin później.

Sukinsyn nie zginął.

Tego popołudnia Hauck przepuścił nazwisko Charliego przez ogólnokrajowy system informacji kryminalnej. Typowa kontrola środków: karty kredytowe, konta bankowe, nawet emigracja. Wyniki przyniósł Freddy Muñoz. Zapukał do drzwi z pytającym wyrazem twarzy.

— Szefie, ten facet nie żyje. Zginął dziewiątego kwietnia. — Jego mina w zasadzie mówiła wszystko. — W zamachu na Grand Central.

Żadnych rezultatów. Hauck nie był zaskoczony.

Charlesa Friedmana i AJ Raymonda coś łączyło. Wcale nie miedziany mustang. Tyle detektyw wiedział na pewno. Prowadzili odmienne życia, egzystowali w odmiennych światach, a jednak coś ich łączyło.

Co to mogło, do cholery, być?

Hauck dopił piwo. Tutaj nie znajdzie odpowiedzi. Ten chłopak miał rodzinę. W Pensacoli, prawda? Po jego rzeczy przyjechał brat. Ojciec był kapitanem w porcie. Hauck przypomniał sobie jego zdjęcie pośród przedmiotów osobistych AJ.

Tak, powiedział, że jej pomoże. Podniósł się z krzesła. Uruchoił silnik. Łódź zakaszła i ożyła.

Pomoże jej. Miał tylko nadzieję, że ona nie będzie żałowała, gdy wszystkiego się dowie.

— Carl, będę potrzebował nieco wolnego czasu. — Hauck zastukał do drzwi gabinetu szefa. — Zebrało mi się trochę urlopu.

Carl Fitzpatrick, komendant policji w Greenwich, siedział przy biurku i przygotowywał się do spotkania.

— Jasne. Wejdz, siadaj. — Obrócił się na fotelu, po czym wrócił z grafikiem. — Co masz na myśli? Parę dni?

— Parę tygodni — odparł Hauck niepewnie. — Może więcej.

— Parę tygodni?! — Fitzpatrick spojrział na niego znad okularów do czytania. — Nie mogę wydać zezwolenia na coś takiego.

Porucznik wzruszył ramionami.

— Może więcej.

— Jezu, Ty... — Komendant rzucił okulary na biurko i popatrzył na podwładnego. — Co się dzieje?

— Nie mogę powiedzieć. W tej chwili właściwie nie mamy spraw. Gdyby coś wyskoczyło, Freddy i Zaro sobie poradzą. Od pięciu lat nie wzięłem więcej niż tydzień urlopu.

— Wszystko w porządku? Nie chodzi o Jess, prawda?

— Nie, Carl, wszystko dobrze. — Fitzpatrick i on byli przyjaciółmi; nie podobało mu się, że musi mówić wymijająco. — Po prostu wyskoczyło coś, czego muszę dopilnować.

— Parę tygodni... — Komendant podrapał się w tył głowy. Zaczął przeglądać grafik. — Daj mi kilka dni. Przełożę parę rzeczy. Kiedy musisz wyjechać?

— Jutro.

— Jutro?! — Oczy Fitzpatricka zrobiły się wielkie ze zdziwienia. — Niemożliwe. To kompletnie nieoczekiwane.

— Może dla ciebie. — Hauck powoli wstał. — Dla mnie w zasadzie spóźnione.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Zadzwonił dzwonek do drzwi. Tobey, szcękając, rzucił się w tamtą stronę. Alex był u kolegi, uczyli się do testu. Samantha siedziała w salonie z nogami przerzuconymi przez oparcie kanapy i rozmawiała przez telefon. W telewizji lecieli *Herosi*.

— Mamo, otworzysz?

Karen właśnie skończyła sprzątać kuchnię. Rzuciła szmatę na podłogę i ruszyła do drzwi. Gdy zobaczyła, kto przyszedł, rozpromieniła się zaskoczona.

— Może pani dla mnie zrobić parę rzeczy — odezwał się porucznik, kuląc się w beżowej nylonowej kurtce przed lekkim deszczem.

— Moja córka jest w domu — powiedziała Karen, oglądając się w stronę salonu. Nie chciała jej w to mieszać. Wzięła z ławy płaszcz przeciwdeszczowy i zarzuciła na ramiona, po czym wyszła przed dom. — Co takiego?

— Może pani przejrzeć rzeczy osobiste męża. Notatki na biurku. Anulowane rachunki, potwierdzenia z kart kredytowych. Wszystko, co jeszcze zostało. Ma pani wciąż dostęp do jego komputera?

Karen kiwnęła głową. Nigdy nie zdobyła się na usunięcie go z gabinetu. Wciąż był niewłaściwy moment.

— Chyba tak.

— Dobrze. Proszę sprawdzić stare e-maile, zobaczyć, czy nie odwiedzał stron biur podróży, sprawdzić billingi telefoniczne. A dokumenty związane z pracą wciąż pani ma?

— W pudle w piwnicy leży trochę rzeczy, które dostałam z biura. Nie wiem, gdzie wylądował jego służbowy komputer. Czego powinnam szukać?

— Wszystkiego, co mogłoby się okazać pomocne w wykryciu, dokąd pojechał. Nawet jeśli teraz już go tam nie ma, to zawsze jakiś trop. Coś, na czym można się oprzeć...

Karen osłoniła głowę przed kroplami deszczu.

— Minął ponad rok.

— Wiem o tym. Ale nadal istnieją rejestry. Niech się pani skontaktuje z jego dawną sekretarką albo z biurem podróży, z którego zwykle korzystał. Może wysyłali mu broszury lub dokonali rezerwacji, których teraz nikt nie uznałby za istotne. Niech pani sama pomyśli: dokąd mógłby się udać? Żyła z nim pani przez osiemnaście lat.

— Myśli pan, że już sobie nad tym nie łamałam głowy? — Deszcz przybrał na sile. Karen objęła się ramionami dla ochrony przed chłodem. — Zajrzę jeszcze raz.

— Jeśli potrzeba, pomogę załatwić część tych spraw — powiedział Hauck — kiedy wrócę.

— Kiedy pan wróci? Skąd?

— Z Pensacoli.

— Z Pensacoli? — Karen zmrużyła oczy. — Co tam jest? Jdzie pan w mojej sprawie?

— Dam znać — odparł policjant z uśmiechem — jak tylko to wyjaśnię. Tymczasem proszę przejrzeć, co tylko pani znajdzie. Niech pani sięgnie myślą w przeszłość. Zawsze można trafić na jakąś wskazówkę. Coś, co ktoś zostawił. Skontaktuję się z panią po powrocie.

— Dziękuję — rzekła Karen.

Położyła dłoń na jego nieprzemakalnej kurtce, deszcz spływał po jej twarzy. Oczy nagle napełniły się łzami.

Minęło dużo czasu, odkąd czuła w swym życiu czyjąś obecność, a teraz pojawił się ten człowiek, mężczyzna, którego ledwie знаła, zjawiał się pośród chaosu po śmierci Charliego i widział ją zagubioną jak łódź niesiona falami sztormu. Był jedyną osobą na tym świecie, której mogła się uchwycić, jedyną kotwicą. Dziwne uczucie.

— Przepraszam, że pana w to wciągnęłam. Na pewno ma pan na służbie dość pracy.

— Nie wciągnęła mnie pani. — Hauck pokręcił głową. — A poza tym nie robię tego na służbie.

— Jak to?

— Nie chciała pani, żebym wywlekał sprawę na jaw, prawda? Żebym wyciągał konsekwencje w związku z tym, czego się dowiem. Na służbie nie mógłbym pani tego obiecać.

Spojrzała na niego zdezorientowana.

— Nie rozumiem.

— Wziąłem kilka tygodni urlopu — powiedział i puścił do niej oko. Deszcz spływał mu po kołnierzu. — Niech się pani nie martwi. I tak nie miałem co zrobić z tym czasem. Ale to tylko ja. Bez odznaki. I nikt inny. — Jego niebieskie oczy zaślniły, gdy uśmiechnął się lekko. — Mam nadzieję, że to pani wystarczy.

Czy to jej wystarczy? Kiedy Karen poszła na posterunek, nie wiedziała nawet, czego oczekuje. Może tylko chciała, żeby ktoś jej wysłuchał. Teraz, gdy dowiedziała się, co gotów jest zrobić, miękło jej serce.

— Dlaczego...?

Wzruszył ramionami.

— Wszyscy inni albo byli bardzo zajęci, albo bardzo im zależało na wypłacie.

Patrząc na policjanta, Karen się uśmiechnęła. W jej piersi narastało ciepłe uczucie wdzięczności.

— Chodziło mi o to, dlaczego pan to robi.

Hauck przestąpił z nogi na nogę.

— Właściwie to nie wiem.

— Wie pan. — Spojrzała na niego. Odgarnęła kosmyk mokrych włosów, który wpadł jej do oczu. — Niech mnie pan powiadomi, kiedy nadejdzie czas. W każdym razie dziękuję, poruczniku. Niezależnie od przyczyny.

— Chyba już to przerabialiśmy — powiedział. — Mam na imię Ty.

— W porządku, Ty.

We wzroku Karen pojawiła się wdzięczność i ciepło. Wyciągnęła dłoń. Uścisnął ją. Stali tak, oblewani deszczem.

— Ja mam na imię Karen. — Ich spojrzenia się spotkały. — Miło mi cię poznać, Ty.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Grigorij Chodoszewski dodał gazu i trzykołowy, wart siedemdziesiąt tysięcy dolarów sportowy t-rex z silnikiem o mocy trzystu koni mechanicznych popędził po prowizorycznej trasie, którą mężczyzna zaaranżował na terenie swej ośmiohektarowej posiadłości w Greenwich.

Tuż za nim, w jasnoczerwonym t-reksie, jechał jego czternaścieletni syn, Paweł, dzielnie usiłując dogonić ojca.

— No dalej, chłopcze! — zaśmiał się Chodoszewski do mikrofonu umieszczonego w kasku, gdy zakręcił wokół słupka i minął syna po drugiej stronie. — Nie pozwolisz, żeby pokonał cię taki *starik* jak ja, no nie?

Paweł ostro ściał zakręt, o mały włos nie dachując. Następnie wyprostował tor jazdy i przyspieszył do prawie stu kilometrów na godzinę. Na pagórku wyskoczył w powietrze.

— Jestem tuż za tobą, staruszkule!

Objechali sztuczny staw, popędzili obok lądowiska helikopterów, po czym wpadli z powrotem na długą prostą. Na wzniesieniu, niczym zamek, stał dom Chodoszewskiego o powierzchni tysiąca sześciuset metrów kwadratowych, wybudowany w stylu georgiańskim z czerwonej cegły. Przed nim rozciągał się gigantyczny dziedziniec z fontanną, a obok stał

ogromny garaż na osiem samochodów. Chodoszewski trzymał tam lamborghini murciélago, żółtego hummera, którym jego żona Ludmiła paradowała po mieście, a także tuningowanego czarnego maybacha z kuloodpornymi szybami oraz instalacją satelitarną Bloomberga. Tylko na ten ostatni wóz wydał ponad pół miliona.

Mimo że Czarny Niedźwiedź, jak czasem nazywano Chodoszewskiego, miał dopiero czterdzieści osiem lat, był jednym z najpotężniejszych ludzi na świecie, chociaż jego nazwiska nie znaleziono by na żadnej liście. W kleptokracji, która nastąpiła wskutek rosyjskiego szaleństwa prywatyzacji w latach dziewięćdziesiątych, mężczyzna przekonał francuski bank inwestycyjny do kupna podupadłej fabryki części samochodowych w Irkucku, a następnie wykorzystał to, by zdobyć decydujący głos w radzie nadzorczej Tazprostu, największego w Rosji, niedomagającego producenta samochodów. Po nagłym zgonie dwóch niezbyt uległych członków rady firma wpadła w ręce Chodoszewskiego. Miał wtedy trzydzieści sześć lat. Później zdobył prawa do otwarcia salonów Mercedesa i Nissana w Estonii oraz na Łotwie, a także rozmieścił w całej Rosji setki stacji benzynowych Gaznost, żeby te samochody miały gdzie tankować.

Pod rządami Jelcyna rosyjską gospodarkę podzielili między siebie nieliczni gorliwi *kapitalisty*. Jeden wielki jebany sklep ze słodyczami, jak zawsze mawiał Chodoszewski. Kiedy w sektorze finansów publicznych zapanował ogólny tumult, otworzył wiele domów towarowych wzorowanych na Harrodsie, w których sprzedawano kosztowne produkty zachodnich marek. Wykupił prawa do dystrybucji drogich francuskich win i szampanów. Później były banki, stacje radiowe. Nawet tanie linie lotnicze.

Obecnie, za pośrednictwem holdingu, Chodoszewski był największym prywatnym właścicielem na Polach Elizejskich!

W toku powiększania swego imperium dopuścił się wielu wątpliwych moralnie czynów. Opłacał ministrów zasiadających

w radach handlowych Putina. Wielu jego rywali trafiało do więzienia. Niemaló zostało wyeliminowanych; przedwcześnie kończyli żywót, wypadając z okien biur lub też ulegając niewyjaśnionym wypadkom samochodowym w drodze do domu. Obecnie Chodoszewski generował większy przepływ gotówki niż gospodarka średniej wielkości państwa. W dzisiejszej Rosji to, czego nie mógł kupić, kradł.

Na szczęście nie należał jednak do tych, których gryzło sumienie i nie pozwalało spać po nocach. Za pośrednictwem wysłanników utrzymywał stały kontakt z garstką potężnych ludzi — z Europy, Ameryki Południowej, krajów arabskich — których kapitał rozrósł się do takich rozmiarów, że praktycznie kierowali światem. Bogactwo, które osiągnęli, spowodowało powstanie swego rodzaju supergospodarki; ceny nieruchomości utrzymywały się na wysokim poziomie, rynek luksusowych marek kwitł, producenci jachtów byli szczęśliwi, a indeksy na Wall Street zwyżkowały. Rozwijali gospodarki w ten sam sposób, w jaki Międzynarodowy Fundusz Walutowy niegdyś rozwijał państwa: wykupując złoża węgla w Smoleńsku, pola trzciny cukrowej przeznaczonej do produkcji etanolu w Kosta-ryce, fabryki stali w Wietnamie. Bez względu na to, jak upadła moneta, ich zawsze było na wierzchu. Chodoszewski stworzył jedyny w swoim rodzaju arbitraż. Fundusz hedgingowy funduszy hedginowych. Tutaj nie dało się przegrać.

Chyba że, pomyślał, zdejmując nogę z gazu, dzisiaj z własnym synem.

— No dalej, Paweł, pokaż, na co cię stać. Gaz do dechy!

Roześmiani wpadli na ostatnią prostą, a potem zrobili okrą-żenie wokół potężnej fontanny na dziedzińcu przed domem. Przegrzane silniki t-reksów warczały jak podrasowane gokarty. Podskakiwały na belgijskim bruku, gdy ojciec i syn ścigali się do mety.

— Mam cię, Paweł! — zawołał Chodoszewski, zrównując się z czerwonym pojazdem.

— Możesz sobie pomarzyć, staruszkule! — Zdeterminowany chłopak dodał gazu, uśmiechając się szeroko.

Na ostatnim zakręcie obaj dali z siebie wszystko. Koła t-reksów ocierały się i obijały o siebie. Poleciały iskry i Chodoszewski runął do basenu gigantycznej barokowej fontanny, którą przywieźli z Francji. Karoseria z włókna szklanego wgięła się jak krepina. Mijając ojca, Paweł uniósł ręce w geście zwycięstwa.

— Wygrałem!

Zesztywniały Chodoszewski wygramolił się z pokierszowanego pojazdu. Nic już z niego nie będzie, zauważył ponuro. Siedemdziesiąt tysięcy dolarów wyrzucone w błoto.

Paweł wyskoczył ze swojej maszyny i podbiegł do fontanny.

— Tato, nic ci nie jest?

— Czy nic mi nie jest? — Mężczyzna zdjął kask i oklepał się, by to sprawdzić. Miał obtarty łokieć. — Nic nie złamane. Nieźle mnie wyprzedziłeś, chłopcze! Fajnie było, co? Jeszcze z ciebie będzie kierowca wyścigowy. A teraz pomóż mi zaciągnąć tę kupę złomu do garażu, zanim matka zobaczy, cośmy narobili. — Zmierzył włosy syna. — Czy ktoś jeszcze ma takie zabawki, co?

W tym momencie zadzwonił jego blackberry. Rosjanin wyjął telefon komórkowy z kieszeni dżinsów. Poznał numer.

— To mi zajmie tylko chwilę. — Pomachał do Pawła. — Niestety, chłopcze, interesy.

Usiadł na krawędzi kamiennej fontanny i otworzył telefon. Przeczesał palcami zmierzwione czarne włosy.

— Chodo przy telefonie.

— Chciałem tylko poinformować — zaczął rozmówca, znany Chodoszewskiemu prywatny bankowiec — że środki, o których mówiliśmy, zostały przekazane. Ostatni transport wiozę sam.

— Dobrze. — Rosjanin parsknął. — On chyba musi mieć pańskie zdjęcia, przyjacielu, skoro mu pan ufa po tym bajzlu, którego narobił rok temu. Niech pan mu dokładnie uświadomi

cenę robienia z nami interesów. Tym razem musi to dokładnie zrozumieć.

— Może pan być tego pewien — odparł niemiecki bankowiec. — Nie zapomnę przekazać pańskich pozdrowień.

Chodoszewski się rozłączył. Nie pierwszy raz, pomyślał, ubrudzi sobie ręce. Na pewno też nie ostatni. Ten człowiek był dobrym przyjacielem. Rosjanin zjadł z nim wiele posiłków, wypił dużo dobrego wina. To jednak nie miało znaczenia. Mężczyzna zacisnął zęby. Nikt nie może stracić takiej sumy pieniędzy i tego nie odczuć.

Nikt.

— Chodź, chłopcze. — Chodoszewski podniósł się i podszedł do Pawła, żeby poklepać go po plecach. — Pomóż mi zaciągnąć tę kupę gówna do garażu. Mam tam drugi taki wóz, nówkę. Co ty na to, żeby może dać staremu szansę na rewanż?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

— Pan Raymond?

Hauck zapukał do drzwi niewielkiego, białego, krytego gontem domu z tanią, zieloną markizą nad wejściem, położonego w zamieszkaney przez klasę średnią okolicy Pensacoli. Przed domem znajdował się mały, suchy trawnik, a w jednostanowiskowym garażu stał pickup marki GMC z naklejką na zderzaku, która głosiła: „Nawet Jezus lubił dobre piwo”.

Drzwi otworzyły się i wyrzła zza nich ciemny, ogorzały mężczyzna.

— Coś pan za jeden?

— Nazywam się Hauck. Jestem porucznikiem policji z Greenwich w stanie Connecticut. Prowadziłem sprawę pańskiego syna.

Raymond był mocno zbudowanym mężczyzną średniego wzrostu o szorstkim, siwym zaroście. Hauck przypuszczał, że ma około sześćdziesięciu lat. Jego pomarszczona cera barwy cedru przypominała wyprawioną zwierzęcą skórę i ostro kontrastowała z jasnoniebieskimi oczami. Na szerokim prawym ramieniu miał wyblakły, niebiesko-czerwony wojskowy tatuaż.

— Wszyscy mówią na mnie Pappy — burknął, otwierając szeroko drzwi. — Tylko ci, co chcą ode mnie pieniędzy, mówią mi „panie Raymond”. Dlatego nie byłem pewien.

Hauck minął drzwi z siatką i wszedł do ciasnego, skromnie urządzonego pokoju dziennego. Stała tam kanapa, która wyglądała na niezmienną od czterdziestu lat, oraz drewniany stół, a na nim kilka puszek budweisera. Grał telewizor — leciała powtórka *Kryminalnych zagadek Las Vegas*. Na ścianie wisiało kilka zdjęć w ramkach. Dzieci. W strojach do beseballu i futbolu.

Policjant rozpoznał jedno z nich.

— Siądź pan — powiedział Pappy Raymond. — Zaproponowałbym coś do jedzenia, ale moja żona wyjechała do siostry w Destin, więc mam tylko jednogarnkowe danie sprzed tygodnia i ciepłe piwo. Co pana sprowadza z tak daleka?

— Pański syn.

— Mój syn? — Raymond sięgnął po pilota i wyłączył telewizor. — Mój syn nie żyje od ponad roku. Przejechali go, sprawca uciekł. Nigdy go nie złapali. Rozumiałem, że sprawa została zamknięta.

— Pojawiły się pewne informacje — powiedział Hauck, przestępując przez stos gazet — które być może pozwolą na nią spojrzeć w nowym świetle.

— W nowym świetle... — Stary zacisnął usta, udając, że jest pod wrażeniem. — Najwyższy, kurwa, czas.

Hauck wbił w niego wzrok. Wskazał na ścianę.

— To AJ, prawda?

— To Abel. — Raymond kiwnął głową i głośno odetchnął.

— Grał jako tylny obrońca, tak?

Pappy długo zwlekał z odpowiedzią.

— Słuchaj no, synu, wiem, żeś przyjechał z daleka i jakimś cudem chcesz pomóc mojemu chłopakowi... — Przerwał i spojrział na porucznika spod ciężkich powiek. — Ale właściwie to po cholere pan tu jesteś?

— Charles Friedman. — To była odpowiedź Haucka. Zdjął z krzesła stosik stron z artykułami sportowymi z lokalnych gazet i usiadł naprzeciw Raymonda. — Zna pan może to nazwisko?

— Friedman. Nie. Nigdy go nie słyszałem.

— Na pewno?

— Już mówiłem, że nie, prawda? Prawa ręka trochę mi nie-
domaga, ale głowę mam w porządku.

Hauck się uśmiechnął.

— Czy na pewno AJ... Abel nie wspominał o tym człowieku?

— Nie mnie. Oczywiście przez ostatni rok, jak pojechał na północ, za często nie rozmawialiśmy. — Mężczyzna potarł twarz. — Nie wiem, czy pan wie, ale pracowałem w porcie przez trzydzieści lat.

— Słyszałem o tym. Mówił mi pański drugi syn, kiedy przyjechał po rzeczy AJ.

— Ciężkie życie. — Pappy Raymond głośno odetchnął. — Tylko pan na mnie spójrz. — Podniósł fotografię, na której stał chyba za sterem holownika, i podał ją policjantowi. — Ale przynajmniej było z tego trochę grosza. Abel dostał to, na co ja nie miałem szansy: znaczy się trochę wykształcenia, chociaż w sumie nigdy jakoś go nie wykorzystał. Postanowił pójść własną drogą. Wszyscy w życiu dokonujemy wyborów, prawda, panie poruczniku? — Odstawił zdjęcie. — W każdym razie nie, chyba nigdy nie wspominał mi o żadnym Charlesie Friedmanie. A co?

— Był powiązany z AJ.

— Tak?

Hauck kiwnął głową.

— Kierował funduszem hedgingowym. Uważano, że w kwietniu zeszłego roku zginął w zamachu na stację Grand Central w Nowym Jorku. Ale tak się nie stało. Uważam, że po tym wydarzeniu pojechał do Greenwich i skontaktował się z pana synem.

— Z Ablem? Po co?

— Właśnie dlatego tu jestem. Żeby się tego dowiedzieć.

Pappy podejrzliwie zmrużył oczy. Hauck znał to spojrzenie. Starszy mężczyzna się zaśmiał.

— A to ci dopiero. Jeden trup pojechał na spotkanie z drugim.

— Czy AJ przed śmiercią nigdy nie wspominał, że był w coś zamieszany? Narkotyki, hazard, może nawet jakiś szantaż?

Raymond zdjął nogi ze stołu i wstał.

— Rozumiem, że pan sporo przejechał, ale nie zgadzam się, żeby pan mówił takie rzeczy o moim synu.

— Nie miałem takiego zamiaru — odparł Hauck. — Przepraszam. Nie interesuje mnie, co robił pana syn, chyba że rzuca to jakieś światło na jego śmierć. Za to ciekawi mnie, dlaczego człowiek, który właśnie o mało nie zginął i który żyje w zupełnie innym świecie niż pana syn, zaraz potem trafia do Greenwich i z nim się kontaktuje.

Pappy Raymond wzruszył ramionami.

— Nie jestem gliniarzem, ale domyślam się, że trzeba by go o to zapytać.

— Chętnie bym to zrobił — odrzekł Hauck. — Tylko że nie wiadomo, gdzie jest. Od ponad roku. Zniknął.

— I na tym bym się skupił, synu. Tutaj marnujesz pan czas.

Porucznik oddał gospodarzowi fotografię. Wstał.

— Myśli pan, że to ten człowiek zabił Abla? — spytał Pappy Raymond. — Ten Charles Friedman? To on go przejechał?

— Nie wiem. Ale sądzę, że wie, co się stało.

— To był dobry chłopak. — Raymond odetchnął głęboko. Jego jasnoblękitne oczy lśniły. — Zawzięty. Wszystko robił po swojemu. Wiadomo, po kim to miał. Szkoda, że nie mieliśmy więcej czasu dla siebie. — Nabrał powietrza. — Ale jedno panu powiem, poruczniku: on by cholernej muchy nie skrzywdził. Nie było powodu... — Pokręcił głową. — Nie było powodu, żeby tak zginął.

— Może jest ktoś, z kim mógłbym porozmawiać? — naciskał Hauck. — Kto mógłby coś wiedzieć. Chciałbym panu pomóc.

— Mnie pomóc?

— Rozwiązać sprawę zabójstwa AJ. Bo za cholerę nie uwierzę, że to był wypadek.

Stary zarechotał chrapliwie.

— Wygląda mi pan na dobrego człowieka i z daleka się pan tu pofatygował. Jak pan ma na nazwisko? Bo zapomniałem.

— Hauck.

— Hauck. — Pappy Raymond włączył telewizor. — Wracaj pan do siebie, poruczniku Hauck. Do swojego Connecticut. Bo żadne „nowe światło”, któreś pan podobno znalazł, za cholerę mi tutaj nie pomoże.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Pappy Raymond coś ukrywał. W przeciwnym razie dlaczego tak zdecydowanie odepchnął Haucka? Policjant wiedział, że stary będzie twardym orzechem do zgryzienia.

Wrócił do hotelu Harbor Inn nad zatoką Pensacola, gdzie nocował. Zatrzymał się w sklepie z pamiątkami, żeby kupić Jess T-shirt z napisem „Pensacola rządzi”, potem poszedł do pokoju, wyjął z minibaru piwo Seminole, rzucił się na łóżko i włączył CNN.

Coś się wydarzyło. W Lagos, w Nigerii, doszło do eksplozji w rafinerii ropy. Zginęło ponad sto osób. Ceny ropy od razu skoczyły.

Hauck wyciągnął numer telefonu brata AJ Raymonda, Pete'a, który po wypadku przyjechał do Greenwich zabrać jego rzeczy.

Zadzwoił do niego. Pete zgodził się na spotkanie następnego dnia w barze, kiedy skończy zmianę.

Lokal o nazwie Bow Line znajdował się w pobliżu portu, gdzie Pete, który dwa lata temu skończył służbę w straży przybrzeżnej, tak jak ojciec pracował jako pilot.

— Zupełnie jakby w tatku coś się wyłączyło — powiedział Pete, popijając budweisera z butelki. — Zginął AJ. Nikt nigdy nie nazwał mojego ojca mięczakiem, ale jednego dnia poszedł

do pracy całkowicie zdeterminowany. Następnego dnia zachowywał się tak, jakby to wszystko była już przeszłość. Nawet mówić o tym nie było wolno. Nigdy się z nami nie podzielił tym, co czuł.

— Myśli pan, że to częściowo z poczucia winy?

— Winy?

Hauck pociągnął łyk piwa.

— Sporo osób w życiu przesłuchiwałem. Myślę, że coś ukrywa.

— Coś związanego z AJ? — Pete wzruszył ramionami i wsunął włosy pod czapkę drużyny Jacksonville Jaguars. — Coś się działo... Ludzie, z którymi gadał, mówią, że miał jedną taką obsesję. Trafił na próbę zatuszowania czegoś tam. Twierdził, że jakieś statki fałszują ewidencję ładunku. Że to niby wielkie zagrożenie bezpieczeństwa narodowego. Cały był nakręcony. Potem zdarzył się ten wypadek AJ. I już. Wszystko się dla niego skończyło. — Pstryknął palcami. — Po sprawie. O cokolwiek chodziło, więcej nie usłyszałem o tym ani słowa. Zupełnie jakby następnego dnia pogrzebał całą sprawę.

— Nie chcę naciskać — powiedział Hauck, popijając piwo. — Chcę tylko znaleźć zabójcę pana brata, bo uważam, że to było morderstwo. Zna pan kogoś, kto mógłby powiedzieć więcej na ten temat?

Pete chwilę się zastanawiał.

— Mogę panu dać parę nazwisk. Jego dawnych kumpli. Ale nie rozumiem, dlaczego pan myśli, że to wszystko jest powiązane.

Hauck rzucił na bar kilka banknotów.

— Bardzo by mi to pomogło.

— Trzydzieści lat... — Pete podniósł się i dopił ostatnie krople piwa. — Tato był tam w porcie jak bóg. O wszystkim albo wiedział, albo sam to robił. A teraz proszę na niego popatrzeć.

Zawsze był twardym facetem, ale nie nazwałbym go zgorzkniałym. Mocno przeżył to, co się przydarzyło bratu. Mocniej, niż bym się spodziewał. Szczególnie że kiedy AJ żył, za cholerę w niczym się nie zgadzali.

Następnego dnia Hauck przeszedł się po nabrzeżu. Wczesnym rankiem do portu wpłynęło kilka dużych frachtowców. Syczały ogromne pomosty wyladowcze i podnośniki hydrauliczne, transportując na brzeg potężne kontenery.

Macka Tylera, ogorzałego, potężnie zbudowanego marynarza holownika, Hauck odnalazł w stacji pilotów. Mężczyzna właśnie wrócił z łodzi.

Z początku Tyler był pełen rezerwy. Tutaj ludzie pilnowali swoich spraw, a teraz nagle pojawił się policjant z północy i zadawał masę pytań. Hauck musiał się wykazać odrobiną finezji, żeby jego rozmówca się otworzył.

— Pamiętam, że jednego dnia z nim wypłynąłem — powiedział Tyler. Oparł się o ściankę oporową i przypalił papierosa. — Właśnie miał wejść na pokład jakiegoś tankowca, który wprowadziliśmy do portu. Pappy ciągle opowiadał o tych statkach z fałszywymi deklaracjami, co to je już wcześniej widział. Że podobno miały bardzo wysoką wolną burtę i na pewno nie mogły być tak wypełnione, jak to stało w papierach. Chyba nawet kiedyś po kryjomu wszedł do ładowni. W każdym razie — Tyler wydmuchnął dym — jednego razu podpłynęliśmy pod statek i właśnie wypuszczali nam trap, a Pappy miał wejść na pokład. No i dostał wiadomość na komórkę. O piątej, kurwa, rano. Przeczytał i nagle nogi się pod nim ugięły, cały zbladł, zupełnie jakby miał atak serca. Wezwaliśmy drugą łódź. Musiałem staruszka tu przywieźć. Odmawiał pomocy lekarza. Zarzekał się, że to tylko nagły napad paniki. Nie chciał powiedzieć, o co chodziło. Gówno, a nie napad paniki.

— Pamięta pan, kiedy to było? — spytał Hauck.

— Pewnie, że pamiętam. — Wielki marynarz wydmuchnął

kolejny kłęb dymu. — Niedługo po tym, jak ten jego chłopak zginął.

Później, przy straganie z kawą niedaleko stoczni marynarki wojennej, Hauck spotkał się z Rayem Dubose'em, jednym z pozostałych pilotów portowych.

— Robiło się wariactwo — powiedział Dubose, potężny mężczyzna o kręconych, siwych włosach, drapiąc się w niewielką łysinę. — Pappy chodził i wszędzie rozповідаł, że jakaś firma naftowa fałszuje ładunki. Mówił o statkach z wysoką wolną burtą. Że niby już wcześniej je widział. Z tej samej firmy. Identyczny znak, chyba jakiś wieloryb czy rekin. Nie pamiętam.

— Co było potem?

— Komendant portu kazał mu dać spokój. — Dubose wypił łyk kawy. — To było potem. Mówił, że to sprawa dla urzędu celnego, nie dla nas. „Pappy, my je tylko wprowadzamy do portu”. Miał to przekazać odpowiednim służbom. Ale Pappy, Bóg z nim, dalej naciskał. Narobił rabanu u celników. Próbował się skontaktować z jakimś miejscowym dziennikarzem, którego znał z baru, zupełnie jakby odkrył wielkie zagrożenie bezpieczeństwa narodowego, a sam był jakimś Bruce'em Willisem.

— Proszę mówić dalej.

Dubose wzruszył ramionami.

— Wszyscy mu powtarzali, żeby sobie dał spokój, i tyle. Ale Pappy zawsze wiedział lepiej. Stary, uparty głupek. Zna pan ten typ, nie? Już się taki urodził. Ale tęsknię za skurczybykiem. Niedługo po śmierci syna po trzydziestu latach rzucił robotę. Ciężko to przeżył. Ale jedno jest dziwne... — Dubose zgniótł kubek i wrzucił go do śmietniczki pod murem. — Kiedy odszedł, nigdy więcej nie usłyszałem od niego ani słowa o tych głupich tankowcach.

Hauck podziękował za rozmowę i pojechał z powrotem do hotelu. Resztę popołudnia spędził na niewielkim balkonie, z którego rozciągał się widok na błękit zatoki Pensacola.

Stary coś ukrywał. Policjant nie miał wątpliwości. Takie udreżone twarze widział już setki razy. „Nic, co pan zrobisz, już mi teraz nie pomoże”...

Może to tylko wyrzuty sumienia z powodu odtrącenia najmłodszego syna i wszystkiego, co później nastąpiło.

A może coś więcej. Abel Raymond nie zginął w wypadku. To dlatego nigdy nie znaleziono SUV-a opisanego przez świadków. To dlatego nikt inny go nie widział. Może ktoś celowo zabił syna Pappy'ego Raymonda.

Hauck był przekonany, że ma to związek z tymi tankowcami.

Niespiesznie popijał piwo. Zastanawiał się, czy zadzwonić do Karen, by powiedzieć jej, czego się dowiedział.

Wciąż jednak powracał myślami do zawziętości, którą dostrzegł w oczach starego marynarza.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Zgodnie z prośbą Haucka Karen przejrzała wszystkie rzeczy Charliego. Otworzyła kartony, które piętrzyły się w piwnicy, starając się przy tym nie zwrócić uwagi dzieci. Były to ciężkie pudła, które Heather, sekretarka Charliego, przysłała z adnotacją: „Nigdy nie wiadomo, co w tym można znaleźć. Może coś będzie pani chciała zatrzymać”. Broszury wycieczek, które odbyli całą rodziną. Domku narciarskiego w Whistler, który wynajęli pewnego roku. Listy. Zatrząsienie listów. Masa rzeczy na temat mustanga, którego, zgodnie z prośbą w testamencie, nie sprzedała.

W zasadzie był to bilans ich wspólnego życia. Rzeczy, których do tej pory Karen nie miała serca ruszyć. Jednak nic pomocnego. W pewnym momencie roztrzęsiona oparła się o betonową ścianę piwnicy i zaczęła go przeklinać: „Niech to szlag, Charlie, dlaczegoś nam to zrobił?”.

Później przejrzała zawartość komputera, który stał na jego biurku. Włączyła go po raz pierwszy od wypadku. To było dziwne uczucie — jakby nieproszona wściubiła nos w jego sprawy. Za żadne skarby nie zrobiłaby tego, gdyby żył. Charlie nie używał hasła. Karen bez problemu dostała się do systemu. Cóż on zresztą mógł ukrywać?

Sprawdziła listę zapisanych plików Worda. W większości były to przygotowane w domu listy — do przedsiębiorców, do czasopism handlowych. Brudnopisy paru wystąpień. Przejrzała jego pocztę. Wszystkie e-maile, które mógł napisać przed zniknięciem, na pewno zostały już dawno usunięte.

Karen czuła bezcelowość tych poszukiwań. Poza tym podczas przeszukiwania jego rzeczy czuła się zbrukana. Siedziała przy biurku Charliego, w zabałaganionym gabinecie, który wciąż był niemal dokładnie w takim stanie, w jakim go zostawił przed rokiem. Przy tym biurku płacił rachunki, czytał prasę i sprawdzał indeksy. Na blacie wciąż pełno było zestawień giełdowych i prospektów emisyjnych.

Nic. On nie chciał, żeby go znaleziono. Mógł się znajdować w dowolnym miejscu na tym zaszranym świecie.

Prawda była zresztą taka, że gdyby Karen nawet go znalazła, nie miała pojęcia, co by wtedy zrobiła.

Skontaktowała się z Heather, która obecnie pracowała w małej firmie adwokackiej, a także z Lindą Edelstein, agentką biura podróży, z której usług wciąż czasem korzystała. Poprosiła obie kobiety, by spróbowały sobie przypomnieć, czy w ciągu ostatnich miesięcy życia Charlie nie dokonał jakichś nietypowych zakupów („wiem, że to brzmi jak zwariowany pomysł, ale może jakieś mieszkanie albo samochód?”) lub też nie zarezerwował wycieczki. Zmyśliła durną gadkę: rzekomo odkryła, że planował podróż-niespodziankę na rocznicę ślubu.

Jakże mogłaby powiedzieć, o co naprawdę chodziło?

Linda, jako dobra znajoma, przejrzała bazę danych w komputerze.

— Niestety, Kar, raczej bym pamiętała. Przykro mi, skarbie. Nie mam tu nic takiego.

To szaleństwo. Karen siedziała pośród rzeczy swojego męża i odchodziła od zmysłów. Wzbierał w niej gniew, żalowała, że w ogóle obejrzała ten program. Wszystko zmienił. Co mogło cię do tego skłonić, Charlie? Coś ty takiego zrobił?

Powiedz mi, Charlie...

Podniosła stos papierów i cisnęła nimi o ścianę. W tym właśnie momencie jej wzrok spoczął na notatce z Harbor, która leżała tam od roku. Przejrzała firmową listę dystrybucyjną. Może ktoś z nich coś wiedział. Zauważyła tam pewne nazwisko, o którym nie myślała od wielu miesięcy.

Skojarzyła z nim głos. Głos, na który nigdy nie odpowiedziała, teraz jednak rozbrzmiał w jej uszach echem jednej, jedynej wiadomości:

„Proszę pani, chciałbym z panią porozmawiać... Jest kilka spraw, o których powinna się pani dowiedzieć”.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

„Jest kilka spraw, o których powinna się pani dowiedzieć”. Dom znajdował się przy Mountain View Drive 3135, w osiedlu na pagórku. W Upper Montclair w stanie New Jersey.

Karen znalazła adres Jonathana Lauera w jednej z teczek Charliego. Sprawdziła, by upewnić się, czy wciąż jest aktualny. Nie chciała rozmawiać przez telefon. Było sobotnie popołudnie.

„Jest kilka spraw, o których powinna się pani dowiedzieć...”.

Saul mówił, że chodziło o sprawy kadrowe, odszkodowanie. Tamten mężczyzna już nigdy więcej nie skontaktował się z Karen. Nie o to chodzi, że nie ufała Saulowi. Po prostu skoro zgodnie z poleceniem Tya przeszukiwała wszystkie zakamarki, uznała, że może również porozmawiać z Lauerem. Nigdy do niego nie oddzwoniła. Minęło już strasznie dużo czasu.

Nagle jednak niejasne słowa kupca giełdowego z firmy Charliego nabrały znaczenia.

Karen zaparkowała na podjeździe. W otwartym, dwustanowiskowym garażu stał biały minivan. Dom był nowoczesną budowlą z cedru i szkła, na frontowej ścianie znajdowało się duże, dwukondygnacyjne okno. Na trawniku leżał dziecięcy

rowerek. Obok — przenośna bramka do piłki nożnej. Po obu stronach kamiennej ścieżki prowadzącej do drzwi rosły ru-
nianka i bukszpan.

Ponieważ upłynęło już tyle czasu, Karen była lekko pode-
nerwowana i czuła się trochę zakłopotana. Zadzwoiła do
drzwi.

— Mamusiu, ja otworzę!

Na progu pojawiła się mała dziewczynka z kucykami. Wy-
glądała na pięć czy sześć lat.

— Cześć. — Karen uśmiechnęła się. — Jest w domu tatuś al-
bo mamusia?

Z wnętrza domu dobiegł głos kobiety:

— Lucy, kto przyszedł?

Do drzwi podeszła Kathy Lauer z wałkiem w dłoni. Karen
widziała ją wcześniej ze dwa razy — najpierw na biurowym
spotkaniu, a później na uroczystości żałobnej Charliego. Była
drobną brunetką z włosami do ramion, miała na sobie zieloną
bluzę z Nantucket. Spojrzała na Karen zaskoczona.

— Nie wiem, czy mnie pani pamięta...

— Oczywiście, że panią pamiętam, pani Friedman — odpar-
ła Kathy Lauer, przytulając córeczkę do uda.

— Karen. Przepraszam, że niepokoję. Na pewno zastanawia
się pani, co mnie tu nagle sprowadza. Pomyślałam, że może
pani mąż jest w domu.

Kathy Lauer spojrzała na nią dziwnie.

— Mój mąż?

Na moment nastąpiła niezręczna cisza. Karen kiwnęła głową.

— Jon dzwonił do mnie kilka razy po tym, jak Charlie... —
Przerwała, nie kończąc zdania. — Trochę mi wstyd. Nigdy do
niego nie oddzwoniłam. Miałam wtedy tyle na głowie. Wiem,
że minęło już trochę czasu. Ale wspominał o pewnych sprawa-
wach...

— Pewnych sprawach? — Kathy Lauer wpatrywała się w nią
bez słowa.

Karen nie potrafiła odczytać jej reakcji: czy to były nerwy, czy irytacja? Kathy kazała córeczce wrócić do kuchni i obiecała, że zaraz przyjdzie i dokończy robić ciasto na herbatniczki. Dziewczynka pobiegła do środka.

— Pewnych sprawach związanych z interesami mojego męża — wyjaśniła Karen. — Jest może w domu? Wiem, że to trochę dziwnie tak was nachodzić...

— Jon nie żyje — powiedziała Kathy Lauer. — Myślałam, że pani wie.

— Nie żyje? — Karen poczuła, że serce przestało jej bić, a krew odpłynęła z twarzy. W odrętwieniu pokręciła głową. — Mój Boże, przepraszam... Nie wiedziałam...

— Prawie od miesiąca. Wracił do domu na rowerze, podjeżdżał naszą ulicą. Przejechał go samochód. Ot tak, po prostu. Kierowca uciekł. Nawet się nie zatrzymał.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Dok 39 był obskurnym barem portowym urządzonym po żeglarsku. Leżał w pobliżu stoczni marynarki wojennej. W oknie na zmianę zapalał się i gasł słabo kontaktujący neon piwa Miller; nad wejściem, na drewnianej fasadzie, wisiała rzeźba dziobu statku. Hauck widział z ulicy telewizor we wnętrzu. Leciał mecz koszykówki. Nadszedł czas rozgrywek *play-off*. Wokół baru zebrał się głośno dopingujący tłumek.

Hauck wszedł do środka.

Lokal był ciemny, zadymiony, wypełniony ludźmi, którzy przyszli wprost ze stoczni. Hałaśliwe towarzystwo przy barze oglądało mecz. Detroit Pistons kontra Miami Heat. Wszyscy wciąż mieli na sobie kombinezony robocze i potrzebowali odreagować. Dokerzy i marynarze. Pracownicy biurowi tu nie bywali. Ray Dubose powiedział, że Hauck tutaj go znajdzie.

Policjant przywołał barmana i zamówił piwo Bass. Zauważył Pappy'ego — skulony przy końcu baru popijał piwo z paroma kolegami. Starego najwyraźniej nie interesował mecz. Patrzył przed siebie, ignorując nagle okrzyki i szturchnięcia łokciem przez sąsiadów, kiedy któryś z zawodników wykonał dobre zagranie. W pewnym momencie obrócił się i dostrzegł Haucka.

Gniewnie zmrużył oczy i zacisnął zęby. Podniósł piwo i wstał, po czym odsunął się od swych towarzyszy.

Przecisnął się przez tłum i podszedł do policjanta.

— Słyszałem, żeś pan o mnie wypytywał. Zdaje się, że mówiłem, żebyś pan wracał do siebie.

— Staram się wyjaśnić zabójstwo — powiedział Hauck.

— Nie musisz pan wyjaśniać żadnego zabójstwa. Masz mnie zostawić w spokoju i wracać do domu.

— Na co się pan natknął? — spytał porucznik. — To dlatego nie chce pan ze mną rozmawiać, prawda? To dlatego rzucił pan pracę... albo został do tego zmuszony. Ktoś panu groził. Nie można udawać, że wszystko minie jak gdyby nigdy nic. Już nie minie. Pański syn nie żyje. To stąd się wziął ten „wypadek” w Greenwich, prawda? To dlatego zginął AJ.

— Odchrząń się pan ode mnie

Pappy Raymond odepchnął ramię Haucka. Porucznik widział, że mężczyzna jest pijany.

— Proszę pana, ja próbuję wyjaśnić sprawę zabójstwa pańskiego syna. I zrobię to, nawet jeśli mi pan w tym nie pomoże. Więc niech mi pan ułatwi robotę i powie, co wie.

Im więcej mówił Hauck, tym spojrzenie Pappy'ego Raymonda stawało się bardziej gniewne.

— Nie słyszysz, co do ciebie mówię, synu? — Pchnął kufel z piwem w tors policjanta. — Na nic mi twoja pomoc. Nie chcę pomocy. Spadaj stąd. Wracaj do domu.

Hauck złapał go za ramię.

— Ja nie jestem twoim wrogiem, stary człowieku. Ale bezczynność i zgoda na to, żeby myśl o śmierci syna pana wyniszczała... owszem. Na tych statkach coś fałszowano. Były puste, prawda? Odchodził jakiś kant. To dlatego zginął AJ. To nie był żaden „wypadek”. Ja to wiem i pan też. I nie mam zamiaru zrezygnować. Jak pan mi nic nie powie, zrobi to kto inny. Cholera, rozbiję sobie namiot na pana trawniku i będę tam mieszkał, póki się nie dowiem.

Od strony baru dobiegł ryk.

— Chodź tu, Pappy! — zawołał jeden z jego kumpli. — Wade właśnie trafił za trzy. Przegrywamy już tylko sześcioma punktami.

— Ostatni raz panu mówię. — Pappy spiorunował Haucka wzrokiem. — Jedź pan do domu.

— Nie. — Hauck pokręcił głową. — Nie pojedę.

Właśnie wtedy stary uniósł rękę i zamachnął się na niego, zahaczając po drodze o ramię mężczyzny stojącego obok, ale był to cios człowieka o dużym doświadczeniu. Zaskoczył Haucka i trafił go w bok twarzy. Kufel wypadł policjantowi z ręki, huknął o ziemię, piwo rozlało się po podłodze. Wszyscy odwrócili się w ich stronę.

— O rany!

— Czego pan ode mnie chcesz? — Pappy złapał Haucka za kołnierz. Znowu uniósł pięść. — Wracaj pan w cholerę, skąd przyjechałeś. Nieważne, co się tutaj stało, daj temu spokój i niech wszyscy o tym zapomną. Nie możesz? Chcesz wyjść na bohatera, chcesz rozwiązać nie swoją sprawę. Zostaw pan moją rodzinę w spokoju.

— Dlaczego pan chroni tych ludzi? Nieważne, kim są, oni panu zabili syna.

Twarz Pappy'ego znajdowała się zaledwie o centymetry od twarzy Haucka. Policjant czuł woń piwa i gniewu. Stary znowu uniósł pięść.

— Dlaczego? — Hauck nie odwracał wzroku. — Dlaczego...?

— Bo mam jeszcze inne dzieci — odparł Pappy, a w jego oczach płonął żal. Pięść drżała. — Nie rozumie pan? I one też mają dzieci.

Nagle gniew w oczach starego zaczął słabnąć, a w jego rozderganym spojrzeniu pojawiło się coś innego. Bezsilność. Desperacja człowieka przygwożdżonego do muru, który nie ma gdzie się już zwrócić o pomoc.

— Pan tego nie rozumie. — Pappy piorunował Haucka wzrokiem. Opuścił pięść, puścił jego kołnierz. — Pan tego po prostu nie rozumie...

— Rozumiem. — Hauck spojrział staremu w oczy. — Dobrze rozumiem. Ja też straciłem dziecko.

Kiedy kilku kolegów Pappy'ego wreszcie podeszło, żeby go odciągnąć, porucznik wcisnął mu coś do ręki. Tamci powiedzieli, że stary za dużo wypił, i zaproponowali Hauckowi drugie piwo. Zabrali Pappy'ego z powrotem do baru, gdzie usiadł z twarzą zaczerwienioną od alkoholu, belkocząc pośród dymu i wrzasków.

Przygnębiony otworzył dłoń i spojrział. Oczy otworzyły mu się szeroko. Potem znów popatrzył na Haucka.

Proszę, mówiło to spojrzenie i tym razem była w nim desperacja. Niech pan już idzie.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

— Mamo?

Samantha zapukała do drzwi sypialni. Karen obróciła się ku wejściu.

— Tak, skarbie?

Leżała na łóżku. Grał telewizor, ale nawet nie wiedziała, co ogląda. Przez całą drogę powrotną do Greenwich ta myśl nie dawała jej spokoju: Jonathan nie żyje. Zginął potrącony przez samochód, który zjeżdżał z pagórka, kiedy on wracał do domu na rowerze. Kupiec giełdowy Charliego usiłował jej coś powiedzieć. Miał rodzinę, dwójkę małych dzieci. Stracił życie w ten sam sposób co ten chłopak, który zginął w Greenwich tego samego dnia, gdy zniknął jej mąż. Potrącenie i ucieczka z miejsca wypadku. Gdyby Karen nie przyszło do głowy z nim się spotkać, nigdy by się o tym nie dowiedziała.

Samantha usiadła obok.

— Mamo, co się dzieje?

Karen ściszyła telewizor.

— W jakim sensie?

— Proszę cię, mamo, nie jesteśmy idiotami. Od ponad tygodnia nie jesteś sobą. Nie trzeba skończyć medycyny, żeby

stwierdzić, że wcale nie masz grypy. Coś się z tobą dzieje. Wszystko w porządku?

— Oczywiście, kochanie.

Karen zdawała sobie sprawę z tego, że jej twarz mówi coś zupełnie innego. Jak mogłaby wyjawić córce prawdę? Sam nie odwracała wzroku.

— Nie wierzę ci. Tylko na siebie spójrz. Od paru dni nie wychodzisz z domu. Nie ćwiczysz, nie byłaś na jodze. Jesteś błada jak ściana. Nie możesz ukrywać przed nami problemów, jeśli są ważne. Nie jesteś chora, prawda?

— Nie, skarbie. — Karen sięgnęła po dłoń córki. — Nie jestem chora, daję słowo.

— To o co chodzi?

Co mogła powiedzieć? Że wszystko zaczynało się układać w przerażającą całość? Że widziała twarz swojego męża po tym, jak rzekomo zginął? Że trafiła na jego pieniądze i fałszywy paszport? Że być może robił coś nielegalnego? Że dwie osoby, które mogły coś na ten temat wiedzieć, nie żyją? Jak można wtajemniczyć własne dzieci w prawdę o tym, że ojciec oszukiwał ich wszystkich w tak potworny sposób? Karen zadawała sobie te pytania. Jak można zadać taki ból komuś, kogo się tak bardzo kocha?

— Może jesteś w ciąży? — Sam naciskała, uśmiechając się z zakłopotaniem.

— Nie, skarbie — Karen odpowiedziała uśmiechem — nie jestem w ciąży. — W kąciку oka pojawiła się łza.

— Jesteś smutna, że jadę na studia? Bo jeśli tak, to nie pojadę. Mogę znaleźć jakąś miejscową uczelnię. Zostanę z tobą i Aleksem...

— Och, Samantho. — Karen przyciągnęła córkę do siebie i przytuliła mocno. — Nigdy, przenigdy bym ci tego nie zrobiła. Kotku, jestem z ciebie taka dumna. Tak dzielnie sobie z tym wszystkim radzisz. Wiem, jak ci było ciężko. Jestem dumna z was obojga. Macie przed sobą całe życie. Los ojca tego nie zmieni.

— No to o co chodzi, mamó? — Sam podwinęła nogę. — Ktoregoś wieczoru widziałam tamtego policjanta. Tego z Greenwich. Staliście na dworze w deszczu. Proszę, mnie możesz powiedzieć. Zawsze oczekujesz ode mnie szczerości. Teraz twoja kolej.

— Wiem — odparła Karen. Odgarnęła włosy z oczu dziewczyny. — Zawsze cię o nią prosiłam, a ty spełniałaś moją prośbę, prawda?

— W sumie tak. — Samantha wzruszyła ramionami. — Parę spraw zachowałam dla siebie.

— W sumie tak. — Karen znów się uśmiechnęła, zaglądając córce w oczy. — O więcej nie mogłabym prosić, prawda, kochanie?

Samantha odpowiedziała uśmiechem.

— Wiem, że teraz moja kolej. Ale nie mogę ci na razie powiedzieć, skarbie. Jeszcze nie. Przepraszam. Są sprawy...

— Chodzi o tatę, prawda? Widziałam, jak przeglądasz jego stare rzeczy.

— Sam, proszę cię, musisz mi zaufać. Nie mogę...

— Mamó, wiem, że cię kochał. — Oczy Samantha lśniły. — Wszystkich nas kochał. Mam nadzieję, że w życiu spotkam kogoś, kto pokocha mnie równie mocno.

— Tak, skarbie. — Karen mocno ją uścisnęła. Gdy się tuliły, po jej policzkach pociekły łzy. — Wiem, kochanie, wiem...

I wtedy przerwała w pół zdania. Przez myśl przeszło jej coś niepokojącego.

Żona Lauera mówiła, że w tygodniu, gdy zginął, miał zeznać przeciwko Harbor. Saul Lennick musiał o tym wiedzieć. „Ja się tym zajmę, Karen...”. O niczym jej nie powiedział.

Nagle zaczęła się zastanawiać. Czy on wie?

Czy on wie, że Charlie żyje?

— Tak, kochanie... — Karen wciąż głaskała włosy córki. — Obyś spotkała.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Saul Lennick czekał na moście Karola w Pradze, patrząc na Wełtawę.

Most był pełen turystów oraz przechodniów, którzy udali się na popołudniowy spacer. Malarze siedzieli przy sztalugach i uwieczniali panoramę. Skrzypkowie grali utwory Dvořáka i Smetany. Wiosna nadawała miastu radosny nastrój. Lennick spojrzął na gotyckie wieże katedry Świętego Wita i zamku na Hradczanach. To jeden z jego ulubionych widoków.

Trzej mężczyźni w garniturach weszli na most tam, gdzie dochodzi do niego Karlova Ulice, i przystanęli pod wschodnią wieżą.

Jeden z nich, o rudoblond włosach i rumianej, radosnej twarzy, ubrany w palto, filcowy kapelusz i w okularach w drucianej oprawce, ruszył naprzód, niosąc w rękę metalową walizkę, podczas gdy pozostali czekali kilka kroków za nim.

Lennick dobrze go znał.

Johann-Pieter Fichte był Niemcem. W przeszłości pracował w działach prywatnej bankowości Credit Suisse i Bundesbanku. Zrobił doktorat z ekonomii na Uniwersytecie Bazylejskim. Obecnie był prywatnym bankierem, obsługującym ludzi z najwyższych kręgów finansjery.

Znany był również z tego, że reprezentował niektóre spośród najbardziej podejrzanych osób na świecie.

Był kimś, kogo w branży określa się mianem „przemysłowca pieniędzy”. Jego szczególny talent polegał na zdolności do przenoszenia okazałych środków — gotówki, kamieni szlachetnych, broni, czasem nawet narkotyków — z dowolnego miejsca na ziemi w inne. Spieniężał je i pojawiały się jako czyste i możliwe do zainwestowania fundusze. Osiągał to za pośrednictwem sieci handlarzy pieniędzmi oraz podstawionych korporacji, zawilej siatki powiązań, która rozciągała się od najciemniejszych zakamarków świata przestępczego do zarządów firm na całej kuli ziemskiej. Do najbardziej zakamuflowanych klientów Fichtego należeli iraccy duchowni i afgańscy watażkowie, którzy grabili amerykańskie fundusze rekonstrukcyjne, kazachski minister do spraw ropy naftowej, kuzyn prezydenta, który zdefraudował jedną dziesiątą rezerw finansowych państwa, rosyjscy oligarchowie, zajmujący się przede wszystkim narkotykami i prostytutką, a nawet kilka kolumbijskich karteli narkotykowych.

Fichte pomachał, przeciskając się przez tłum. Jego dwaj towarzysze — ochroniarze, jak przypuszczał Lennick — pozostawiali kilka kroków za nim.

— Saul! — odezwał się Fichte z szerokim uśmiechem. Postawił teczkę u stóp Lennicka i objął go. — Jak zawsze miło cię widzieć, przyjacielu. Z daleka się musiałeś pofatygować.

— Taka cena pracy. — Lennick wyszczerzył zęby i ścisnął rękę bankiera.

— Tak, jesteśmy tylko dobrze opłacanymi chłopcami na posyłki i księgowymi bogaczy — Niemiec wzruszył ramionami — zawsze na skinięcie ręki. Jak się miewa twoja śliczna żona? A córka? Wciąż jest w Bostonie, prawda? Wspaniałe miasto.

— Wszystko w porządku, Johann. Dziękuję za troskę. Przejdziemy do rzeczy?

— Ach, interesy. — Fichte westchnął i obrócił się w stronę rzeki. — Amerykańska szkoła... Jego ekscelencja generał Mubuto przesyła najszczerze wyrazy szacunku.

— Jestem zaszczycony — skłamał Lennick. — Rozumiem, że przekażesz także moje.

— Oczywiście,

Niemiecki bankier uśmiechnął się jeszcze szerzej. Następnie, patrząc przed siebie, jakby śledził jakiegoś ptaka, który wylądował daleko na powierzchni Wełtawy, cichym głosem wyjaśnił sprawę:

— Środki, o których mówiliśmy, będą miały formę czterech osobnych dostaw. Pierwsza część jest już na koncie w Zurich Bank, gotowa do przekazania w dowolne miejsce na ziemi na twoje polecenie. Druga znajduje się w BalticBanku w Estonii. Ma formę funduszy charytatywnych mających sfinansować unijny transport zboża dla potrzebujących we wschodniej Afryce.

Lennick się uśmiechnął. Fichte zawsze miał rozwinięty zmysł ironii.

— Przypuszczałem, że ci się spodoba. Trzecia transza w tej chwili jest w formie niepieniężnej: sprzęt wojskowy. Podobno część jest wasza. W ciągu tygodnia powinien wyjechać z kraju. Generał nalega na tempo.

— Skąd ten pośpiech?

— Jeśli wzrośnie koncentracja wojsk etiopskich na granicy z Sudanem, Jego Ekscelencja z rodziną mogą być zmuszeni do opuszczenia kraju. — Niemiec puścił oko do Lennicka.

— Zadbam o to, żeby środki zbyt długo nie czekały bezproduktywnie — obiecał Lennick z uśmiechem.

— To by było bardzo mile widziane. — Niemiec się skłonił. Znów przybrał rzeczowy ton. — Zgodnie z umową, każda z dostaw będzie opiewać na kwotę dwustu pięćdziesięciu milionów euro.

Razem znacznie ponad miliard dolarów. Nawet Lennick był pod wrażeniem. Przeszło mu przez myśl, ile głów musiało

spać, ile tysięcy fortun przestało istnieć, żeby zgromadzenie takiej sumy było możliwe.

— Wydaje mi się, że ogólne warunki umowy już przedyskutowaliśmy.

— Mieszanka produktów jest zdywersyfikowana i w razie potrzeby całkowicie czysta — odparł Lennick. — Akcje amerykańskie i zagraniczne, fundusze nieruchomości, fundusze hedgingowe. Dwadzieścia procent pozostanie w naszym prywatnym funduszu akcyjnym. Jak wiesz, w ciągu ostatnich siedmiu lat udało nam się osiągnąć średni roczny zysk rzędu dwudziestu dwóch i pół procent, oczywiście po potrąceniu nieprzewidywanych wahań.

— Wahań... — Niemiec kiwnął głową i nagle ze spojrzenia jego błękitnych oczu znikło ciepło. — Zakładam, że mówisz o tym energetycznym funduszu hedgingowym, który upadł w zeszłym roku. Mam nadzieję, że nie zajdzie potrzeba powrotu do kwestii niezadowolenia moich klientów z rozwoju tej sytuacji, prawda, Saul?

— Jak mówiłem — Lennick przełknął gulę w gardle i spróbował zmienić temat rozmowy — to nieprzewidziane wahanie, Johann. Więcej się nie powtórzy.

W rzeczywistości, biorąc pod uwagę kapitał dostępny w dzisiejszym świecie, Lennick nauczył się zarabiać pieniądze w każdej sytuacji rynkowej, jaką można sobie wyobrazić. W czasach rozwoju gospodarki i stagnacji. Przy dobrych i złych rynkach. Nawet w następstwie aktów terroryzmu. Panika, która nastąpiła po jedenastym września, już się nie powtórzy. Zainwestował miliardy w różnorodne przedsięwzięcia finansowe, co zapewniało odporność na indywidualne sukcesy i porażki. Dzisiejsze zmiany trendów geopolitycznych to tylko drobne utrudnienia globalnego przepływu kapitału. Tak, zawsze zdarzały się wahnięcia — takie jak w przypadku Charliego, który uparcie zawierał kontrakty terminowe na wyższą cenę ropy i poniósł dotkliwe straty, kiedy ceny spadły. Poza tym wystarczyło tylko

spojrzeć na fundusze inwestycyjne z Kuwejtu i Arabii Saudyjskiej, największych producentów ropy naftowej na świecie, które zabezpieczały się, wykupując wszystkie pola trzciny cukrowej przerabianej na etanol. To największa machina powiększania kapitału na świecie.

— Więc to ci nie przeszkadza, przyjacielu? — spytał nagle niemiecki bankier. — Jesteś Żydem, a przecież wiesz, że pieniądze, które przyjmujesz, regularnie trafiają w ręce stron nieprzychylnych twojej rasie.

— Owszem, Johann, jestem Żydem. — Lennick spojrzał na swego rozmówcę i wzruszył ramionami. — Ale dawno już się nauczyłem, że pieniądze są neutralne.

— Tak, pieniądze są neutralne — przyznał Fichte. — A jednak cierpliwość moich klientów nie jest. — Jego twarz znów nabrała surowego wyrazu. — Saul, tacy ludzie nie przyjmują lekko utraty pół miliarda dolarów. Prosił, żebym ci przypomniiał... Twoja córka ma dzieci w Bostonie, czyż nie? — Spojrzał Lennickowi w oczy. — Dwa i cztery latka?

Krew odpłynęła z twarzy Amerykanina.

— Proszono mnie, żebym spytał o ich zdrowie. Mam nadzieję, że dobrze się mają. To tylko wyraz troski moich pracodawców. Proszę, nie rozmyślaj nad tym zbyt wiele. Chociaż z drugiej strony... — Na jego twarz powrócił uśmiech; mężczyzna po przyjacielsku szturchnął Lennicka w ramię. — To zawsze jakaś odrobina motywacji, żeby ograniczyć te... jak je nazwałeś... „wahania” do minimum, prawda?

Po plecach Lennicka, pod prążkowaną koszulą za sześćset dolarów, spłynęła kropla potu.

— Twój człowiek stracił znaczną sumę naszych pieniędzy — powiedział Fichte. — Nie powinienes się tak dziwić, Saul. Wiesz, z kim gramy. Nikt nie jest wolny od odpowiedzialności, przyjacielu. Nawet ty.

Fichte włożył kapelusz.

Lennick poczuł ucisk w klatce piersiowej. Dłonie, nagle śliskie od potu, wpiły się w balustradę mostu. Kiwnął głową.

— Mówiłeś o czterech dostawach. Każda po dwieście pięćdziesiąt milionów euro. Do tej pory wspomniałeś tylko o trzech.

— Ach tak, czwarta... — Niemiecki bankier uśmiechnął się i energicznie poklepał Lennicka po plecach. Ściągnął wzrok mężczyzny ku metalowej walizce u jego stóp. — Czwartą część daję panu dzisiaj, Herr Lennick. W obligacjach na okaziciela. Moi ludzie z chęcią będą ci towarzyszyć do miejsca, gdzie zechcesz je zdeponować.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Do rana ślad po uderzeniu na twarzy Haucka trochę zbladł. Policjant spakował rzeczy i był gotów za kilka minut wymeldować się z hotelu. Nie widział sensu dalszego naciskania na staro. Znał inne sposoby, by zdobyć potrzebne informacje. Spojrzał na zegarek. O dziesiątej miał samolot.

Kiedy otworzył drzwi pokoju, Pappy Raymond opierał się o barierkę.

Twarz miał wynędzniałą, oczy przekrwione i podkrążone. Wyglądał, jakby spędził noc skulony w jakimś zaułku. Albo jakby stoczył pojedynek uliczny z fretką. I fretka wygrała!

— Jak oko? — Stary zerknął na Haucka. W jego głosie pobrzmiwał przepraszający ton.

— Działa — Hauck wzruszył ramionami, pocierając policzek — ale przez to rozlane piwo trochę się wkurzyłem.

— No tak. — Pappy uśmiechnął się z zażenowaniem. — Chyba panu jedno wiszę. — Spod grubych powiek lśnił błękit oczu. — Do domu?

— Pomyślałem, że nie będzie miał pan nic przeciwko temu.

— A skąd ten pomysł? — parsknął Pappy.

Hauck poczekał. Odstawił bagaż.

— Całe życie byłem głupcem — powiedział w końcu Raymond.

Odsunął się od barierki. — Uparty jak nikt. Kłopot w tym, że trzeba się zestarzeć, żeby to zrozumieć. A wtedy już za późno.

Z kieszeni kombinezonu wyjął odcinek biletu z meczu Orange Bowl, który zeszłego wieczoru włożył mu do ręki Hauck. Zacisnął usta.

— Cały dzień jechaliśmy na ten mecz. Dla mojego syna to było jak Super Bowl. To dla niego tam pojechaliśmy. Seminole zawsze byli jego drużyną. — Podrapał się w głowę, nagle oczy mu się zaszklily. — Chyba powinienem panu podziękować. Pamiętam, że wczoraj pan powiedział...

— Moja córeczka miała cztery lata. — Hauck spojrział na Pappy'ego. — Przejechał ją nasz samochód, na naszym podjeździe. Pięć lat temu. Ja prowadziłem go ostatni. Myślałem, że zaciągnąłem hamulec ręczny. Kiedy ból wreszcie minął, przepełniła mnie gorycz. Moja żona wciąż nie może mi spojrzeć w twarz, żeby sobie tego nie przypomnieć. Więc rozumiem... Tylko tyle chciałem powiedzieć.

— To nigdy nie mijają, no nie? — Raymond przesunął się przy barierce.

Hauck pokręcił głową.

— Nigdy.

Raymond westchnął.

— Widziałem, jak te cholerne tankowce wpływały do portu ze trzy, cztery razy. Z Wenezueli, Filipin, Trynidadu. Dwa razy nawet sam je wprowadzałem. Każdy głupi by spostrzegł, że miały za wysoką wolną burtę. Na pokładzie nie było ani kropli ropy. Raz się nawet zakradłem do ładowni, żeby to zobaczyć na własne oczy. — Pokręcił głową. — Czysta jak pupcia niemowlaka. To nie w porządku...

— Poszedł pan z tym do szefa? — spytał Hauck.

— Do szefa, do komendanta portu, do celników... Na ropę nie ma cła, więc mieli to gdzieś. Cholera wie, kto z nich brał w łapę. Każdy tylko mówił: „Stary, ty je po prostu wprowadzają

i ustawiaj. Nie rób awantur”. Ale robiłem. A potem do mnie zadzwonili.

— I kazali przestać?

Pappy kiwnął głową.

— „Nie rób pan fal. Nigdy nie wiesz, gdzie dojdą”. W końcu trafiła się i wizyta.

— Pamięta pan, kto to był?

— Spotkał się ze mną przed barem, tak jak pan. Kanciasta szczeka, czarne włosy, wąsy. Taki skurczybyk, co jak się pojawia, to wiadomo, że będą kłopoty. Wspomniał o moim synu na północy. Nawet pokazał mi zdjęcie AJ z jakąś babką i dzieckiem. Zrozumiałem, co chciał mi powiedzieć. Ale i tak nie odpuściłem. Zadzwoniłem do jednego znajomego dziennikarza. Powiedziałem, że znajdę mu dowody. To wtedy wszedłem na pokład. Tydzień później przysłali mi to.

Pappy wetknął rękę do kieszeni granatowych spodni roboczych, takich samych, jakie nosił w pracy, i wyjął telefon komórkowy. Przeglądał opcje, aż dotarł do zapisanej wiadomości. Podał aparat Hauckowi.

Zdjęcie. Porucznik głośno odetchnął. AJ Raymond leżący na jezdni.

Pappy wskazał palcem.

— Pan patrzy, co mi napisali.

Dość się napatrzyłeś?

Haucka ścisnęło w piersiach — poczuł gniew, a jednocześnie coś zrozumiał.

— Kto to przysłał?

Pappy pokręcił głową.

— Nie wiadomo.

— Zaniósł to pan na policję?

Kolejny przeczący ruch głową.

— Nie. Wygrali.

— Chciałbym przesłać to zdjęcie na mój telefon. Mogę?

— Proszę bardzo. Ja już się w to nie mieszam. Jest pana.

Ty przesłał sobie wiadomość. Poczł wibracje komórki.

— Mój syn to był dobry chłopak. — Pappy spojrzł Hauckowi w oczy. — Lubił surfing i wędkowanie. I samochody. Muchy by nie skrzywdził. Nie zasłużył sobie na taką śmierć...

Hauck oddał mu telefon. Stał obok niego i oparł się o barierkę.

— Ci ludzie mu to zrobili, nie pan. Pan słusznie postępował.

Pappy spojrzł na policjanta.

— Dlaczego to wszystko? Nie pokazałeś mi pan żadnej odznaki. Na pewno nie tylko dla AJ.

— Dla mojej córki — oparł Hauck, wzruszając ramionami.

— Ona też miała rude włosy.

— Czyli jesteście tacy sami. — Pappy się uśmiechnął. — Tak troszkę. Żle pana potraktowałem, panie poruczniku. Bałem się o Pete'a i mojego drugiego chłopaka, Walkera. I o ich rodziny. Że znowu się zacznie. Ale dorwij ich pan. Dorwij tych sukinsynów, którzy zabili mi syna. Nie wiem, dlaczego to zrobili. Nie wiem, co chronili. Ale nic nie mogło być tego warte. Dorwij ich, rozumiesz pan? Nieważne, gdzie to zaprowadzi. A jak już ich będziesz miał — mrugnął z błyskiem w oku — to nawet pan nie myśl, żeby ich wrzucać do więzienia, zrozumiano?

Hauck się uśmiechnął. Ścisnął mężczyznę za ramię.

— To jaką miał nazwę?

Pappy zmrużył oczy.

— Nazwę?

— Ten tankowiec — wyjaśnił Hauck.

— To było jakieś greckie słowo. — Pappy pociągnął nosem.

— Zajrzałem do słownika. Bogini świata podziemnego.

Tankowiec nazywał się *Persefona*.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Jeśli chodziło o pieniądze, Vito Collucci potrafił znaleźć wszystko. Zarabiał na życie jako audytor śledczy, odszukując na zlecenie mściwych byłych żon ukryte środki romansujących mężów. Tropił utajone zyski wielkich firm usiłujących uniknąć pozwów grupowych. Zanim rozpoczął własną działalność, przez piętnaście lat był detektywem w policji w Stamford i właśnie stamtąd znał go Hauck.

Collucci lubił o sobie mawiać, że potrafiłby znaleźć złe nasienie w banku spermy.

— Vito, wyświadczysz mi przysługę? — spytał porucznik przez telefon, jadąc na lotnisko w drodze powrotnej z Pensacoli.

Obecnie Vito prowadził sporą firmę. Często gościł w roli eksperta w telewizji MSNBC, jednak nigdy nie zapomniał, że gdy dopiero rozkręcał interes, Hauck podrzucał mu sprawy.

— Kiedy? — spytał.

Gdy dzwonił Hauck, Vito wiedział, że zazwyczaj chodzi o informacje, do których ciężko dotrzeć.

— Dzisiaj — odparł policjant. — Albo jutro, jeśli potrzebujesz więcej czasu.

— Może być dzisiaj.

Hauck wylądował o drugiej. Zabrał swojego bronco z

parkingu na La Guardii. Kiedy mijał Greenwich i jechał w stronę Stamford, zjazdu oddalonego o niecałe dwa kilometry, dotarło do niego, że pakuje się w coś, co jest nieco bardziej poza prawem, niż mu pasowało. Rozważał, czy nie zadzwonić do Karen Friedman, ale postanowił poczekać. W komórce miał SMS-a.

Tam gdzie zwykle. To od Vita. Odpowiadała mu piętnasta.

Ich zwykłym miejscem spotkań było Stamford Restaurant & Pizzeria, prosty lokal, często odwiedzany przez gliniarzy. Znajdował się na Main Street, za centrum, niedaleko granicy z Darien.

Vito już tam czekał. Siedział przy jednym z długich stołów przykrytych krzasiastym obrusem. Był niskim mężczyzną z wysklepionym torsem, miał grube ramiona zapaśnika i sztywne, siwiejące włosy. Przed nim na talerzu znajdowała się porcja ziti z sosem oraz miska z eskariolą i białą fasolą.

— Zapłaciłbyś za mnie wielki rachunek — powiedział, gdy Hauck wszedł do lokalu — ale masz szczęście, że Ellie goni mnie z tym cholesterolem.

— Właśnie widzę. — Hauck uśmiechnął się szeroko, siadając przy stole. Zamówił to samo. — Co u ciebie?

— Dobrze — powiedział Vito. — Dużo pracy.

— Jesteś szczuplejszy niż w telewizji.

— A ty się nie starzejesz — odparł tamten. — Z wyjątkiem tej śliwy pod okiem. Ty, musisz zrozumieć, że już za późno na szamotaninę z młodzieżkami.

— Będę to miał na względzie.

Na stole obok Vita leżała gruba szara koperta. Podsunął ją Hauckowi.

— Zajrzyj. Powiem ci, co znalazłem.

Porucznik zerknął na zawartość koperty.

— Ze statkiem było łatwo. Sprawdziłem w Jane's Information Group. *Persefona*, tak? — Vito dźgnął widelcem kilka rurek makaronu. — Supertankowiec klasy ULCC. Zbudowany

w Niemczech w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku. Właściwie już przestarzały. Co ci chodzi po głowie, Ty? Chcesz się przestawić na coś bardziej zdatnego do żeglugi?

— Dobrze by wyglądał w cieśninie. — Hauck kiwnął głową.
— Tylko cholernie trudno by się dokowało.

Przejrzał skserowaną stronę z rejestru statków, na której znajdowała się fotografia jednostki. Sześćdziesiąt dwa tysiące ton.

— Przez te wszystkie lata już parę razy był sprzedawany — ciągnął Vito. — Ostatnio kupiła go jakaś grecka linia żeglugaowa: Argos Maritime. Mówi ci to coś?

Hauck pokręcił głową.

— Tak sądziłem. Grzebałem dalej. Udawałem, że jestem asystentem prawnika tej firmy i dochodzę pewnego roszczenia. Przez ostatnie cztery lata tę kupę złomu wynajmowała jakaś firma naftowa, na której temat nigdzie nie znalazłem ani słowa.

Dolphin Oil.

Hauck podrapał się w głowę.

— Co to za jedni?

— Chuj ich wie. — Vito wzruszył ramionami. — Uwierz mi, że szukałem. W Dun & Bradstreet nie ma po nich ani śladu. Sprawdziłem również listę firm eksploatujących i przetwarzających ropę naftową i też na nic nie trafiłem. Jeżeli Dolphin jest graczem w biznesie naftowym i gazowym, to trzymają ten fakt w dużej tajemnicy.

— Sądzisz, że to prawdziwa firma?

— Dokładnie o tym samym pomyślałem — przyznał Vito, odsuwając talerz. — Grzebałem dalej. Sprawdziłem w spisie zagranicznych firm. Ani śladu w Europie czy Azji. Zadałem sobie pytanie: Jakim cudem firma, która w ogóle nie figuruje w branży, wynajmuje cholerny supertankowiec? Zgadnij, co wypłynęło. Możesz przewrócić stronę.

Hauck to zrobił.

Vito uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Założona na Tortoli, Brytyjskie Wyspy Dziewicze. Kto by pomyślał: pieprzony Dolphin Oil!

— Na Tortoli?

Vito kiwnął głową.

— Tam się teraz zakłada dużo przedsiębiorstw. Takie mini-Kajmany. Można uniknąć podatków. Rząd Stanów Zjednoczonych nie ma wglądu w fundusze. Ani komisja papierów wartościowych i giełd, jeśli to spółka publiczna. Z tego, co widzę, a miałem na to tylko parę godzin, Dolphin Oil to w zasadzie holding. Zero przychodów. Zero transakcji. Podstawiona spółka. Kierownictwo to paru dobranych prawników. Zobacz radę nadzorczą: każdy z jakiejś spółki z ograniczoną odpowiedzialnością. W zasadzie Dolphin należy do pewnej firmy inwestycyjnej, która też ma tam siedzibę. Falcon Partners.

— Falcon... nigdy o niej nie słyszałem. — Hauck pokręcił głową.

— Bo nie miałeś słyszeć. Po to właśnie tam jest! To jakaś prywatna spółka inwestycyjna. A przynajmniej była. W tym roku ją rozwiązano, a środki rozdysponowano z powrotem między udziałowców. Trochę mi zajęło, zanim zrozumiałem dlaczego. Miałem nadzieję znaleźć listę tych udziałowców, ale jest ściśle poufna. Pełne utajnienie. Tak czy inaczej pieniądze pewnie już dawno trafiły tam, skąd przyszły.

Hauck przejrzał jednostronicową informację o Falcon Partners. Czuł, że zbliża się do sedna.

Właściciel Dolphin coś tuszował. Używał pustych tankowców i deklarował, że są pełne ropy. Pappy na to trafił, więc próbowano go uciszyć, ale on nie należał do tych, co łatwo ustępują, i w końcu kosztowało go to życie syna. „Dość się napatrzyłeś?”. Trop Dolphin Oil prowadził do Falcon Partners.

Hauck miał wrażenie, że to dosyć blisko. Z podekscytowania włosy zjeżyły mu się na rękach.

— No to jak, do cholery, dobrać się do Falcona?

Vito wpatrywał się w niego.

— O co w tym wszystkim chodzi, Ty?

— Jak to?

Tamten wzruszył ramionami.

— Odkąd się znamy, pierwszy raz nie jesteś ze mną szczerzy. Moi szpiedzy mówią, że wzięłeś urlop z policji.

— A nie powiedzieli ci dlaczego?

— Coś osobistego, i tyle. Gryzie cię jakaś sprawa.

— Nie ma znaczenia, dla kogo pracuję, ale chodzi o morderstwo. A gdyby to było takie osobiste — Hauck zerknął na mężczyznę z krzywym uśmiechem — to skorzystałbym z pomocy serwisu randkowego, a nie twojej.

Vito wyszczerzył zęby.

— Ja tylko ostrzegam starego przyjaciela, żeby nie przekraczał żadnych granic. — Prywatny detektyw wyjął z kieszeni marynarki złożoną kartkę i przesunął ją po stole. — Ktokolwiek stoi za Falconem, chce utrzymać sprawę w tajemnicy. Rada nadzorcza to praktycznie ci sami prawni pełnomocnicy co w Dolphin.

Hauck przejrzał całą stronę. Nic. Bardzo blisko.

— Chociaż jest jedna sprawa — dodał Vito. — Wspomniałem, że Falcon ma komandytariuszy, którzy chcą pozostać nieznanymi. Ale został wymieniony komplementariusz. W umowie inwestycyjnej, czarno na białym. To firma, która zarządza funduszami.

Porucznik przewrócił stronę. Nie mógł przeoczyć tej nazwy. Vito zakreślił ją mazakiem.

Kiedy padło na nią spojrzenie Haucka, serce go zabolowało, choć spodziewał się przyływu radości. Wiedział już, dokąd to zaprowadzi.

Harbor Capital. Komplementariusz.

Harbor to firma należąca do męża Karen Friedman.

— Tego szukałeś? — spytał Vito, widząc, że Hauck nie odwraca wzroku od kartki.

— Tak, właśnie tego, brachu. — Porucznik westchnął.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Mężczyzna przebił lśniąca powierzchnię turkusowej wody w oddalanej od cywilizacji karaibskiej zatoczce.

Wokół ani żywej duszy. To miejsce nie miało nawet nazwy — ot, kropka na mapie. Słyszał tylko krzyki fregat, które pikowały w wodę w poszukiwaniu zdobyczy. Mężczyzna obejrzał się na perfekcyjny półokrąg białej, piaszczystej plaży. Palmy na brzegu kołysały się w leniwych podmuchach wiatru.

Mógł być teraz wszędzie. W dowolnym miejscu na świecie.

Dlaczego wybrał właśnie to?

Dwadzieścia metrów dalej na delikatnej fali unosiła się jego łódź. Przypomniał sobie, że kiedyś — wydawało się, że w całym innym życiu — powiedział żonie, że w takim miejscu mógłby spędzić resztę życia. W miejscu bez rynków oraz indeksów. Bez telefonów komórkowych i telewizji. W miejscu, gdzie nikt cię nie szukał.

I gdzie nikt nie mógłby cię znaleźć.

Z dnia na dzień ta część jego życia coraz bardziej się oddalała. Myśl ta była dziwnie pociągająca.

„Resztę życia”.

Unióśł twarz ku ciepłym promieniom słońca. Włosy miał teraz krótkie, przystrzyżone tak, że jego dzieci pewnie przewróciłyby

oczami: stary facet próbuje wyglądać *cool*. Ciało szczupłe i wysportowane. Nie nosił już okularów. Jego twarz pokrywał krótki zarost. Miał opaleniznę taką jak miejscowi.

I pieniądze.

Dosyć pieniędzy na całe życie. Jeśli tylko będzie nimi dobrze zarządzał. Miał też nowe nazwisko. Hanson. Steven Hanson. Nazwisko, za które zapłacił. Nazwisko, którego nikt nie znał.

Nie znała go jego żona, nie znały dzieci.

Nie znali ci, którzy chcieliby go znaleźć.

W dzisiejszym skomplikowanym świecie rejestrujących wszystko komputerów po prostu zniknął. Puf, zdematerializował się. Jedno życie się zakończyło — z żalem, wyrzutami sumienia, gdyż wiedział, że zadał ból, zawiódł zaufanie. Jednak musiał to zrobić. By ich uratować. By uratować siebie.

Jedno życie się skończyło — inne rozpoczęło.

Kiedy pojawił się dogodny moment, nie mógł go nie wykorzystać.

Teraz już prawie o tym nie myślał. Wybuch. W pewnym momencie poszedł na tył wagonu, żeby zadzwonić, a zaraz potem błysk! Czarna chmura i pomarańczowy żar. Jak w piecu. Ubranie płonęło na plecach. Ciśnięty o ścianę. W gąszczu wrzeszczących ludzi. Wszędzie czarny dym, jakby wszystko zalewała ciemna fala. Był pewien, że nie żyje. Pamiętał, jak oszołomiony pomyślał, że tak będzie najlepiej. To by wszystko rozwiązało.

Po prostu umrzeć.

Kiedy się ocknął, rozejrzał się po spustoszonej wagonie. Żadne miejsce, w którym przed chwilą się znajdował, już nie istniało. Zostało unicestwione. Wagon, w którym siedział. Ludzie wokół czytający gazety czy słuchający iPodów. Zniknęli. W przerażającym morzu ognia. Zakrztusił się dymem. Muszę się stąd wydostać, pomyślał. Dzwoniło mu w uszach. Był otepiąły. Ślaniając się, wydostał na peron. Potworny widok — wszędzie krew, woń kordytu i zwęglonych ciał. Ludzie jęczeli, błagali o

pomoc. Cóż mógł zrobić? Musiał się wydostać, dać znać Karen, że żyje.

Wtedy wszystko stało się zdumiewająco jasne.

To właśnie ten sposób. Właśnie teraz dostał okazję.

Mógł umrzeć.

Potknął się o coś. Zwłoki. Twarz niemal nierozpoznawalna. W całym tym chaosie rozumiał, że musi się stać kimś innym. Przeszukał spodnie mężczyzny. Na ciemnej od dymu, czarnej stacji. Znalazł. Nawet nie sprawdził nazwiska. Co to miało za znaczenie? Zaczął biec. Nagle umysł miał jaśniejszy niż kiedykolwiek w życiu. To właśnie ten sposób! Biegł, objął się o falę ludzi, nie kierował się do wejścia, ale na drugi koniec torów. Byle dalej od płomieni. Pędzili tam pasażerowie z tylnych wagonów. Do wejść z miasta. Byle dalej od płomieni. W głowie miał tylko jedną myśl o rzeczy, którą musiał zrobić. Abel Raymond. Po raz ostatni spojrzął w tył na tłący się wagon.

Mógł umrzeć.

— Panie Hanson!

Głos nagle przywołał go do rzeczywistości, przerywając mroczne wspomnienie. Charles uniósł się w wodzie i spojrzął na łódź. Trynidadzki kapitan pochylał się nad dziobem.

— Panie Hanson, musimy już płynąć, jak chcemy tam zdążyć przed nocą!

„Tam”. Dokądkolwiek płynęli. Kolejna kropka na mapie. Gdzieś, gdzie jest bank. Handlarz kamieniami szlachetnymi. Jakie to miało znaczenie?

— Dobrze, zaraz będę! — zawołał w odpowiedzi.

Brodząc w wodzie, jeszcze jeden, ostatni raz spojrzął na idylliczną zatoczkę.

Dlaczego tu przyjechał? Wspomnienia tylko go raniły. Radosne głosy i wydarzenia z przeszłości napępiały go jedynie żalem i poczuciem wstydu. Miał nadzieję, że znalazła nowe życie, kogoś nowego, kto ją pokochał. A Sam i Alex... To była

teraz jego jedyna nadzieja. Moglibyśmy tu spędzić resztę życia — tak jej kiedyś powiedział.

Resztę życia.

Charles Friedman podpłynął do zacumowanej łodzi. Jej nazwa wymalowana była na rufie złotymi literami. Jedyna więź z przeszłością, na jaką sobie pozwolił. Jedyne przypomnienie.

Emberglow.

CZEŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Dwa razy w tygodniu, we wtorki i czwartki, Ronald Torbor jadał lunch w domu. W te dni od godziny pierwszej do trzeciej przy biurku w banku zastępował go starszy menedżer, pan Car-ty.

Jako zastępca dyrektora oddziału First Caribbean Bank na wyspie Nevis Ronald mieszkał w wygodnym domu z kamienia nieopodal szosy biegnącej z lotniska, dość dużym, by zmieściła się tam jego rodzina — żona Edith oraz Alya, Peter i Ezra, a także teściowa. W banku ludzie przychodzili do niego, by otwierać konta, składać wnioski o kredyt — z punktu widzenia innych miejscowych jego stanowisko miało pewną rangę. Czerpał także przyjemność z obsługi co bogatszych mieszkańców wyspy. Chociaż dorastał, kopiąc piłkę na ziemnych boiskach, to teraz w weekendy grywał w golfa na Saint Kitts. Kiedy główny dyrektor — który wkrótce zostanie przeniesiony — wróci do domu, Ronald będzie miał spore szanse zostać pierwszym pochodzącym stąd dyrektorem oddziału.

Tego wtorku Edith przygotowała jego ulubione danie — duszonego kurczaka w zielonym sosie curry. Był maj. W pracy niewiele się działo. Poza sezonem turystycznym Nevis było małą, senną wysepką. W takie dni Ronald miał wrażenie, że

oprócz konieczności zasygnalizowania panu Carty'emu, że już przyszedł, nic nie zmuszało go do prędkiego powrotu za biurko. Siedząc przy stole, przeglądał gazetę. Czytał wyniki mistrzostw Karaibów w krykiecie, które rozgrywano na Jamajce. Sześciolatek Ezra wrócił ze szkoły. Po lunchu Edith miała go zabrać do lekarza. Chłopiec cierpiał na zespół Aspergera, łagodną postać autyzmu. Na Nevis, pomimo napływu nowych pieniędzy i deweloperów, opieka medyczna nie była zbyt dobra.

— Po pracy możesz przyjść popatrzeć, jak Peter gra w piłkę — powiedziała Edith, siedząca obok Ezry.

Chłopiec bawił się ciężarówką i naśladował dźwięk silnika.

— Dobrze, Edith — westchnął Ronald, rozkoszując się spokojem.

Skupił się na wynikach. Matson zmylił Anguille i zdobył sześć punktów dla Barbadosu!

— I mógłbyś mi przynieść świeży placek od pani Williams?

— Jej piekarnia, najlepsza na wyspie, znajdowała się naprzeciwko banku. — Wiesz, który lubię, ten z cebulą i...

— Dobrze, mam — mruknął znów Ronald.

— Ronaldzie, nie mów tak do mnie przy dziecku, jakbym była jakąś marudną belferką.

Mężczyzna podniósł wzrok znad gazety i puścił oko do Ezry. Chłopiec się roześmiał.

Na dworze zachrząścił żwir; przed dom podjechał samochód.

— To pewnie pan P. — powiedziała Edith. Paul Williams, jej kuzyn. — Powiedziałam mu, że może wpaść w sprawie kredytu.

— Rany, Edith — jęknął Ronald — czy nie mogłaś mu kazać przyjść do banku?

Ale to nie był pan R, lecz dwóch białych mężczyzn w jeepie. Wysiedli z wozu i podeszli do drzwi frontowych. Jeden z nich był niski i krępy, miał półkoliste ciemne okulary oraz gęste wąsy. Drugi był wyższy, ubrany w lekką, sportową kurtę,

narzuconą na barwną plażową koszulę, a na głowie miał czapkę z daszkiem. Ronald wzruszył ramionami.

— Kto to?

— Nie wiem.

Edith otworzyła drzwi.

— Dzień dobry pani. — Mężczyzna z wąsami grzecznie zdjął kapelusz. — Czy mogę porozmawiać z mężem? Widzę, że jest w domu.

Ronald wstał. Nigdy wcześniej ich nie widział.

— O co chodzi?

— Interesy bankowe — powiedział tamten, wymijając żonę Ronalda i wchodząc do domu.

— Bank w tej chwili jest nieczynny. Przerwa na lunch. — Staraj się, by jego słowa nie zabrzmiały nieprzyjaźnie. — Będę o trzeciej.

— Nie. — Mężczyzna z wąsami uniósł okulary i uśmiechnął się. — Obawiam się, że jednak jest czynny. Tutaj. — Zamknął drzwi. — Niech pan to uzna za nadgodziny.

Ronald zadrżał ze strachu. Edith spojrzała mu w oczy, jakby chciała zapytać, co tu się dzieje, po czym cofnęła się za stół i stanęła obok syna.

Mężczyzna z wąsami skinął głową na Ronalda.

— Proszę usiąść.

Ronald usiadł, a tamten obrócił sobie krzesło i postawił je obok, dziwnie się uśmiechając.

— Bardzo przepraszamy, że przerywamy panu lunch, panie Torbor. Będzie pan mógł do niego wrócić, gdy powie nam pan wszystko, czego chcemy się dowiedzieć.

— Czego chcecie się dowiedzieć...?

— Zgadza się. — Mężczyzna sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął złożoną kartkę. — Tutaj jest numer prywatnego konta w pańskim banku. Powinien pan je kojarzyć. Przed paroma tygodniami wpłacono na nie sporą sumę. Przelewu dokonano w oddziale banku Barclays na Tortoli.

Roland popatrzył na kartkę. Oczy zrobiły mu się wielkie ze zdziwienia. Tak, to był numer konta w jego banku, w First Caribbean. Wyższy z mężczyzn postawił sobie krzesło obok Ezry. Uśmiechał się do małego i robił miny. Chłopiec się roześmiał. Ronald spojrział ze strachem na Edith. Co oni tu, do cholery, robią?

— To konto nie jest już aktywne — rzekł ten z wąsami. — Fundusze nie znajdują się już w pańskim banku. Ale tym, czego my chcemy się dowiedzieć, a w czym nam pan pomoże, panie Torbor, jeśli kiedykolwiek chce pan wrócić do lunchu i swojego milutkiego życia, jest to, dokąd te pieniądze zostały przelane. I na jakie nazwisko.

Świeżo wyprasowana biała koszula Ronalda zaczynała nasiąkać potem.

— Musi pan wiedzieć, że nie mogę ujawnić takiej informacji. Jest poufna. Regulują to przepisy bankowe...

— Poufna. — Wąsaty mężczyzna kiwnął głową, spoglądając na towarzysza w plażowej koszuli.

— Przepisy. — Westchnął tamten. — Z tym zawsze do cholery problemów. W zasadzie to się tego spodziewaliśmy.

Nagłym ruchem wyszarpnął Ezrę z krzesła. Zaskoczone dziecko zaskamlało. Mężczyzna posadził je sobie na kolanach. Edith próbowała go powstrzymać, ale odepchnął ją łokciem i przewrócił na podłogę.

— Ezra! — krzyknęła.

Chłopiec zaczął płakać. Ronald zerwał się na nogi.

— Siadać!

Mężczyzna z wąsami złapał go za ramię. Wyciągnął też z kurtki coś metalowego i położył na stole. Coś czarnego i metalowego. Ronald zamarł, gdy zobaczył, co to jest.

— Siadać.

Przerażony z powrotem osunął się na krzesło. Bezradnie spojrział na Edith.

— Nie ma powodu tak się gorączkować, panie Torbor. —

Wąsaty mężczyzna się uśmiechnął. — Ale z drugiej strony nie ma co owijać w bawelnę. Teraz zrobi pan następującą rzecz: zadzwoni do biura i każe pan swojej sekretarce czy chuj wie komu sprawdzić to konto. Niech pan sobie wymyśli dowolne uzasadnienie. Wiemy, że w pana sennym oddziałiku rzadko trafiają się takie sumy. Chcę wiedzieć, dokąd popłynęły, do jakiego kraju, jakiego banku i pod jakim nazwiskiem. Rozumie pan?

Ronald siedział w milczeniu.

— Twój ojciec rozumie, prawda, chłopcze? — Mężczyzna polaskotał Ezrę za uchem. — Bo jeśli nie — jego spojrzenie nabrało teraz mrocznego wyrazu — to obiecuję, że wasze życie nie będzie szczęśliwe, a ten dzień zawsze będziecie wspominać z bólem i żalem. Czy wyrażam się jasno, panie Torbor?

— Zrób to, Ronald, błagam, zrób to — prosiła Edith, podnosząc się z podłogi.

— Nie mogę. Nie mogę — powtarzał, cały drżąc. — Do takich spraw są przewidziane procedury. Nawet gdybym się zgodził, to wszystko regulują międzynarodowe przepisy bankowe. Prawo...

— Znowu te przepisy. — Wąsacz pokręcił głową i głośno westchnął.

Teraz to wyższy z mężczyzn, który w tej chwili trzymał Ezrę, wyjął coś ze swojej kurtki.

Oczy Rolanda o mało nie wyskoczyły z orbit.

To była puszka benzyny do zapalniczki.

Zerwał się z krzesła, by powstrzymać tamtego, ale wąsacz uderzył go pistoletem w skroń i Roland jak długi runął na ziemię.

— Jezu Chryste, nie! — wrzasnęła Edith, usiłując wyrwać napastnikowi syna. Ten odepchnął ją łokciem.

Następnie mężczyzna z uśmiechem na ustach chwycił płaczącego chłopca za kołnierz i zaczął go oblewać benzyną.

Ronald znów rzucił się przed siebie, ale wążacz odbezpieczył broń i wycelował w jego głowę.

— Z tego, co pamiętam, kazałem panu siedzieć.

Ezra ryczał już na cały głos.

— Proszę, panie Torbor, to pańska komórka — powiedział tamten, przesuwając telefon po stole. — Niech pan zadzwoni, to sobie pójdziemy. Natychmiast.

— Nie mogę! — Ronald wyciągnął przed siebie drżące dłonie. — Jezu przenaświętzy, nie róbcie tego. Ja... nie mogę.

— Panie Torbor, ja wiem, że on ma trochę nie po kolei. — Mężczyzna pokręcił głową. — Ale to niewinny chłopiec. Szkoda by go było skrzywdzić przez jakieś głupie przepisy... Poza tym pańska żona oglądałaby niezbyt przyjemny widok, czyż nie?

— Ronald!

Ten, który trzymał Ezrę, wyjął plastikową zapalniczkę. Zapalił ją, rozbłysł równy płomień. Zbliżył go do mokrej koszuli dziecka.

— Nie! — wrzasnęła Edith. — Ronald, błagam, nie pozwól im tego zrobić! Na litość boską, rób, co ci każą. Ronald, błagam...

Ezra krzyczał. Mężczyzna jeszcze bardziej zbliżył płomień. Ten z wężami położył telefon przed Ronaldem i patrzył na niego nieruchomym wzrokiem.

— *Exactamente*, panie Torbor. Jebać przepisy. Pora zadzwonić.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

W tamten wtorek po południu Karen odwiozła Aleksa do centrum dla młodzieży na Arch Street, gdzie odbywała się impreza dobroczynna na rzecz miejscowego schroniska „Dzieciaki w potrzebie”.

Była podekscytowana, gdy zadzwonił Hauck. Umówili się na spotkanie w barze L'Escale, z którego rozciągał się widok na port Greenwich. Lokal znajdował się tuż obok. Nie mogła się doczekać, by powiedzieć policjantowi o swoim odkryciu.

Kiedy weszła do środka, Hauck siedział już przy stoliku nieopodal baru. Pomachał do niej.

— Cześć. — Również pomachała, po czym przewiesiła skórzaną kurtkę przez oparcie krzesła.

Przez chwilę narzekała na ruch samochodowy w mieście, który o tej porze robił się nie do zniesienia.

— Spróbuj znaleźć na głównej ulicy miejsce do parkowania. — Przewróciła oczami, udając frustrację. — Trzeba być gliniarzem!

— Jak dla mnie wszystko w porządku. — Hauck wzruszył ramionami, tłumiąc uśmiech.

— Zapomniałam, z kim rozmawiam! — Karen się zaśmiała. — Nie mógłbyś jakoś temu zaradzić?

— Jestem na urlopie, pamiętasz? Obiecuję, że po powrocie od razu się tym zajmę.

— Świetnie! — Karen beztriosko kiwnęła głową i wyglądała na zadowoloną. — Nie zawieźdź mnie. Liczę na ciebie.

Do stolika podeszła kelnerka. Hauck już popijał piwo, a Karen w sekundę zamówiła pinot grigio. Przed przyjściem na spotkanie umalowała się i włożyła ładny beżowy sweter i obcisłe spodnie. Coś sprawiało, że chciała ładnie wyglądać. Kiedy przyniesiono wino, mężczyzna uniósł w jej kierunku szklanę.

— Powinniśmy wymyślić toast — powiedziała Karen.

— Za prostsze czasy — zaproponował.

— Amen. — Kobieta uśmiechnęła się szeroko.

Lekko stuknęli się szkłem.

Na początku było nieco niezręcznie. Po prostu rozmawiali. Opowiedziała o zaangażowaniu Aleksa w zarządzie „Dzieciaków w potrzebie”. Hauck był po wrażeniu i nazwał to „sprawą naprawdę godną uznania”.

Karen się uśmiechnęła.

— Obowiązkowa praca społeczna, panie poruczniku. Wszystkie dzieci muszą to robić. Rytuał przed złożeniem wniosku na studia.

Spytała, gdzie jego córka chodzi do szkoły, a on odparł, że w Brooklynie. Wybrał krótką wersję, pomijając Norah i Beth.

— Szybko rośnie — powiedział. — Niedługo to ja będę się zajmował tymi pracami społecznymi.

Oczy Karen się rozjaśniły.

— Poczekaj tylko do egzaminów!

Hauck stopniowo się odprężył. Zmniejszył się dystans między nimi, a mężczyzna nagle znów czuł, że żyje — działał na niego blask jej jasnych, orzechowych oczu, piegi rozsiane po policzkach, ślady akcentu, pełne usta, miodowa barwa włosów. Postanowił nie mówić, czego dowiedział się o Dolphin Oil i związkach Charlesa z tą firmą. Ani o Thomasie Mardym oraz tym, w jaki sposób tamtego dnia znalazł się na miejscu wypadku.

Poczeka, aż będzie miał pewność. To by ją tylko bardziej zraniło — skierowało sprawy na drogę, której pewnego dnia by pożałował. Mimo to, kiedy patrzył na Karen Friedman, powracał do części swego życia niezaznaczonej stratą. I wyobrażał sobie — wnioskując z jej swobodnego śmiechu, z zamówionej drugiej lampki wina, z tego, że bawiły ją wszystkie żarty, którymi chciał ją rozbawić — że ona czuje to samo.

W końcu odstawiła kieliszek.

— Mówisz, że ta wycieczka przyniosła jakiś postęp?

Mężczyzna kiwnął głową.

— Pamiętasz ten wypadek, do którego doszło w dniu zamachu? Ten, w którego sprawie do ciebie przyjechałem.

— Oczywiście, że pamiętam. Hauck odstawił piwo.

— Dowiedziałem się, dlaczego ten chłopak zginął.

Otworzyła szerzej oczy.

— Dlaczego?

Zanim przyszła, starannie przemyślał, co powie. Teraz mówił o pewnej firmie naftowej, która dopuściła się tam szwindlu, i o tym, że ojciec chłopaka — pilot portowy — nakrył ją na gorącym uczynku.

— To było ostrzeżenie — Hauck wzruszył ramionami — chociaż trudno w to uwierzyć. Chcieli go zmusić, żeby dał sobie spokój.

— Czyli to morderstwo?! — spytała wstrząśnięta Karen.

Hauck kiwnął głową.

— Aha.

Zaskoczona odchyliła się na oparciu.

— To straszne. Nigdy nie wierzyłeś, że to wypadek. Mój Boże...

— I zadziało.

— Jak to?

— Stary się wycofał. Zostawił sprawę. Nigdy by nie wyszła na jaw, gdybym tam nie pojechał.

Karen zbladła.

— Mówiłeś, że jedziesz tam w mojej sprawie. Jaki to ma związek z Charlesem?

Jak mógł jej powiedzieć prawdę? O Charlesie, Dolphin Oil, pustych statkach? Albo o tym, że Charles był tamtego dnia w Greenwich? Jak mógłby jeszcze bardziej ją zranić, bardziej niż dotychczas, póki nie miał pewności? Absolutnej pewności.

I siedząc z nią teraz, wiedział dlaczego.

— Ta firma — powiedział — ta, która prowadziła lewe interesy, miała związki z Harbor.

Z twarzy Karen odpłynęła krew.

— Z Charliem?

Hauck kiwnął głową.

— Dolphin Oil. Znasz tę nazwę?

Pokręciła przecząco głową.

— Możliwe, że stanowiła jedną z jego inwestycji.

Karen się zawahała.

— Jak to inwestycji?

— Poza granicami kraju.

Karen przykryła dłonią usta i spojrzała na policjanta. To brzmiało jak echo słów Saula.

— Myślisz, że Charlie był w to zamieszany? W potrącenie tego chłopaka?

— Nie chcę wyciągać pochopnych wniosków.

— Proszę, nie chroń mnie. Myślisz, że był zamieszany, prawda?

— Nie wiem. — Głośno odetchnął. Przemilczał fakt, że tamtego dnia Charles pojechał do Greenwich. — Wciąż jest wiele tropów, które muszę zbadać.

— Tropów?

Karen się wyprostowała. Jej oczy miały dziwny, zakłopotany wyraz. Złożyła dłonie przy ustach i kiwnęła głową.

— Ja też coś znalazłam.

— Co?

— Nie wiem, ale trochę mnie to przeraża... zupełnie jak ty teraz.

Opowiedziała o przeszukiwaniu starych rzeczy Charlesa zgodnie z prośbą Haucka, starych dokumentów, o rozmowie z dawną sekretarką i agentką biura podróży. Przyznała, że nic nie znalazła.

Dopóki nie trafiła na pewne nazwisko.

— Ten facet dzwonił do mnie kilka razy tuż po śmierci Charlesa. Pracował u niego.

Karen opisała próby nawiązania kontaktu przez Jonathana Lauera, jego enigmatyczne wiadomości. „Kilka spraw, o których powinna się pani dowiedzieć”...

— Po prostu nie byłam w stanie się tym wtedy zająć. To było dla mnie zbyt wiele. Wspomniałam Saulowi. Powiedział, że to zwykle sprawy kadrowe i że się tym zajmie.

Hauck skinął głową.

— Rozumiem...

— Ale kiedy sobie o tym przypominałam w świetle wszystkiego, co wyszło na jaw, nie dawało mi spokoju. Kiedy cię nie było, pojechałam do niego. Do New Jersey. Chciałam się z nim spotkać. Nie wiedziałam, gdzie teraz pracuje, miałam tylko adres z czasów, gdy był zatrudniony u Charlesa, i prywatny numer telefonu. Zaryzykowałam. Drzwi otworzyła jego żona. — Oczy Karen zrobiły się szkliste. — Powiedziała mi coś potwornego.

— Co?

— On nie żyje. Zginął. W wypadku kilka miesięcy temu. Ale trochę niepokojące jest to, że w tym samym tygodniu miał zeznawać w jakiejś sprawie związanej z Harbor.

— Jakiej sprawie?

— Nie wiem. Zresztą to nie wszystko. Najgorszy jest sposób, w jaki zginął. Biorąc pod uwagę śmierć tego chłopaka, Raymonda, który miał przy sobie kartkę z nazwiskiem Charliego.

Hauck postawił szklankę. Jego wewnętrzny radar, wyczulony na tego typu sprawy, zaczął odbierać sygnały.

— Potrafił go samochód — powiedziała Karen. — Tak samo jak tamtego chłopaka. Sprawca uciekł.

Grupka pracowników jakiegoś biura przy stoliku obok nagle zaczęła głośniej rozmawiać. Karen pochyliła się do przodu. Kolana trzymała razem, wyraz twarzy miała lekko nieobecny.

— Dobrze się spisałaś — pochwalił ją Hauck, okazując zadowolenie. — Naprawdę dobrze.

Policzki Karen zaczynały odzyskiwać barwę.

— Jesteś głodna? — Hauck zaryzykował pytanie.

Wzruszyła ramionami i prędko zerknęła na zegarek.

— Aleksa podwozi do domu sąsiad. Chyba mam jeszcze trochę czasu.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

W drodze do domu Hauck zadzwonił do Freddy'ego Muñoza.

— Poruczniku! — zawołał zaskoczony detektyw. — Dawnośmy się nie słyszeli. Jak tam wakacje?

— Freddy, ja nie jestem na wakacjach. Posłuchaj, chciałbym, żebyś mi wyświadczył przysługę. Potrzebna mi kopia akt sprawy nierozwiązanego zabójstwa w New Jersey. Upper Montclair. Nazwisko ofiary to Lauer. L-A-U-E-R. Jak Matt, ten dziennikarz. Imię: Jonathan. Policja stanowa w New Jersey być może prowadzi równoległe śledztwo.

Muñoz wszystko zapisywał.

— Lauer. Mam powiedzieć, że dlaczego to nam potrzebne?

— Podobny schemat do sprawy, którą my się zajmujemy.

— A jaka to sprawa?

— Nierozwiązana sprawa śmiertelnego potrącenia pieszego i ucieczki z miejsca wypadku.

Muñoz na chwilę zamilkł. W tle słychać było wykrzykujące coś dzieci. Możliwe, że w telewizji leciał mecz Jankesów.

— Jezus, Ty, dla ciebie to jest teraz *modus operandi*?

— Niech ktoś mi to jutro podrzuci do domu. Gdybym teraz pracował, to sam bym to załatwił. Aha, Freddy... — Hauck

usłyszał, jak syn Muñoza, Will, głośno dopinguje zawodników.

— To zostaje między nami, dobra?

— Dobra, poruczniku — odparł detektyw. — Jasne.

Nowe tropy, myślał Hauck.

Jeden z nich z pewnością prowadził do powiernika Charliego Friedmana, Lennicka. Karen mu ufała, niemalże jak członkowi rodziny. Musiał wiedzieć o Lauerze. Czy wiedział również o Dolphin i Falcon?

„Czy Charlie nie wspominał o jakichś kontaktach, którymi zarządzał za granicą?”

Drugi trop wiódł natomiast do New Jersey. Chodziło o tamten drugi wypadek. Hauck nigdy nie był z tych, co wierzą w zbieg okoliczności.

Siedząc za kierownicą swego bronco, wciąż powracał myślami do Karen. Bez zastanowienia potrafił wymenić co najmniej dziesięć dobrych, rozsądnych powodów, by wycofać się teraz, zanim sprawy zajdą między nimi za daleko.

Począwszy od faktu, że jej mąż nie zginął. I że Hauck poprzysiągł, że go znajdzie. I że nie chciał zadać jej niepotrzebnego bólu, ukrywając informacje, gdyż i tak dosyć już wycierpiała.

I że była bogata. Przyzwyczajona do innych rzeczy. Żyła w zupełnie innym świecie.

Jezu, Ty, nie można powiedzieć, żebyś miał mocne karty.

Mimo wszystko nie mógł zaprzeczyć, że w jej towarzystwie coś poczuł. To napięcie, kiedy podczas obiadu raz czy dwa przypadkiem dotknął jej dłoni. To samo napięcie czuł też w tej chwili.

Opuścił autostradę na zjeździe numer dziewięćdziesiąt pięć do Stamford. Zrozumiał, dlaczego nie może powiedzieć Karen, czego się dowiedział. Dlaczego nie wyjawiał jej całej prawdy. Tego, że Charles po zamachu wrócił do Greenwich. Że coś go

łączyło ze śmiercią chłopaka. Może z tym drugim zabójstwem też.

Zrozumiał, dlaczego nie chce angażować w całą sprawę policji. Nie chce wciągać w to innych ludzi.

Hauck zdał sobie bowiem sprawę, że przez ostatnie cztery lata był właściwie samotny, pozbawiony korzeni. W tej chwili tylko z Karen Friedman odczuwał jakąkolwiek więź.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Następnego dnia po południu ktoś zapukał do drzwi. Hauck poszedł otworzyć.

Przyjechał Freddy Muñoz.

Podał Hauckowi jedną z tych dużych kopert używanych w obiegu wewnętrznym.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Pomyślałem, że jeśli można, to sam ci przyniosę materiały.

Porucznik właśnie wrócił z joggingu. Był spocony. Miał na sobie szarą koszulkę Colby College i szorty. Prawie cały ranek spędził przy komputerze.

— Nie przeszkadzasz.

— Ładny dom. — Muñoz z uznaniem pokiwał głową. — Ale potrzebuje kobiecej ręki, nie sądzisz? Może wtedy ta kuchnia jakoś by wyglądała.

Hauck zerknął na stertę naczyń w zlewie i otwarte pudełka po jedzeniu na wynos, które leżały na blacie.

— Zgłaszasz się na ochotnika?

— Nie mogę. — Detektyw pstryknął palcami, udając rozczarowanie. — Dziś wieczorem mam służbę. Ale pomyślałem sobie, że chwilkę posiedzę i poczekam, aż przejrzysz te papiery, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Hauck, podniesiony na duchu, odtworzył kopertę i wysunął zawartość na stolik. W tym czasie Muñoz usiadł wygodnie w fotelu w pokoju dziennym.

Najpierw spojrział na protokół wypadku, sporządzony przez najstarszego rangą funkcjonariusza na miejscu zajścia. Z komendy policji hrabstwa Essex. Dane ofiary. Nazwisko: Lauer. Adres: Mountain View 3135. Rysopis: mężczyzna, rasa biała, lat około trzydziestu, ubrany w żółty kostium rowerowy. Ciężkie urazy głowy, krwawienie. Naoczny świadek opisał czerwony wóz typu SUV, marka nieznana, odjeżdżający z miejsca wypadku z dużą prędkością. Godzina dziesiąta siedem. Data. W załączniku zeznanie świadka.

Wszystko to brzmiało znajomo.

Hauck zerknął na zdjęcia. Fotokopie. Ofiara w koszulce rowerzysty. Uderzona z przodu. Ciężkie, tępe urazy twarzy i torsu. Kilka fotografii roweru, kompletnie pogiętego. Parę ujęć w każdą stronę. W górę pagórka, w dół. Samochód wyraźniejechał w tym drugim kierunku.

Ślady opon już po uderzeniu w ofiarę.

Zupełnie jak przy wypadku AJ Raymonda.

Następnie Hauck przekartkował raport lekarza sądowego. Poważne tępe urazy, zmiądzona miednica, pęknięte kręgi, uszkodzenia głowy. Masywny krwotok wewnętrzny. Lekarz uznał, że śmierć nastąpiła na miejscu.

Policjant przejrzał także raporty detektywów z toku śledztwa. Podjęli te same kroki co Hauck w Connecticut. Przepytali wszystkich w okolicy, powiadomili policję stanową, skontaktowali się z zakładami blacharskimi, starali się zidentyfikować markę opon na podstawie śladów. Rozmawiali z żoną zmarłego, z jego szefem. „Nie znaleziono motywu” sugerującego, że to nie wypadek.

Wciąż brak podejrzaných.

Muñoz wstał i podszedł do stojącego przy oknie płótna, nad którym pracował Hauck. Uniósł obraz ze sztalugi.

— Całkiem niezłe, poruczniku!

— Dzięki, Freddy.

— Może cię jeszcze kiedyś zobaczę w Muzeum Bruce'a. I to nie w kolejce po bilety.

— Jak zobaczysz coś, co ci się podoba, to możesz sobie wziąć

— mruknął Hauck, przerzucając kolejne kartki. — Pewnego dnia te obrazy będą warte miliony.

Wyniki śledztwa były frustrujące — zupełnie tak samo jak tutaj. Policjanci z New Jersey nie wpadli na żaden konkretny trop.

Wszystko sprowadzało się do zbiegu okoliczności. Zbiegu okoliczności, w który Hauck nie wierzył. Takiego, który donikąd nie prowadził.

— Freddy, wydaje ci się to sensowne? — spytał porucznik. — Dwa takie same wypadki. W dwóch różnych stanach. Obie ofiary powiązane z Charlesem Friedmanem.

— Czytaj dalej — odparł Muñoz, siadając na poręczu masywnego fotela.

Pozostały już tylko szczegóły zeznań naocznych świadków. Właściwie świadka. Był tylko jeden.

Kiedy Hauck otworzył dokument, zamarł. Opadła mu szczęka, a oczy jak magnesy przyciągnęło nazwisko świadka na pierwszej stronie zeznania.

— Widzisz to, co ja? — Freddy Muñoz usiadł w fotelu i zdjął nogi z poręczu.

— Tak. — Hauck kiwnął głową i wziął głęboki wdech. — Zdecydowanie widzę.

Jedynym świadkiem zabójstwa Jonathana Lauera był emerytowany policjant z New Jersey. Nazywał się Phil Dietz. Ten sam świadek co przy wypadku AJ Raymonda.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

Podłożył się. Hauck przeczytał zeznanie raz, potem drugi.
Mocno się podłożył!

Porucznik natychmiast sobie przypomniał, jak Pappy Raymond opisał faceta, który spotkał się z nim przed barem i mu groził. Przysadzisty, z wąsami. W tej samej chwili dla Haucka stało się jasne, kto sfotografował ciało AJ Raymonda na ulicy.

Dietz.

Zamarł.

Wrócił myślami do swojej sprawy. Dietz mówił, że pracuje w branży zabezpieczeń. Twierdził, że po wypadku pobiegł na miejsce zajścia. Że był tam za późno, aby się dobrze przyjrzeć samochodowi – białemu SUV-owi na nietutejszych numerach – który prędko odjechał.

Gówno, a nie za późno.

Został tam podstawiony.

To dlatego nie zdołali odnaleźć białego SUV-a na numerach z Massachusetts albo New Hampshire. Dlatego policja w New Jersey również nie natrafiła na podobny wóz.

One nie istniały! To wszystko było ukartowane.

Gdyby Karen nie zobaczyła w telewizji twarzy swojego męża,

szansa, że ktokolwiek skojarzy te dwa wypadki, wynosiła jeden do tysiąca.

Hauck uśmiechnął się szeroko. Dietz był w obu miejscach. Oddalonych o dwa stany, a w czasie o ponad rok.

Oczywiście to oznaczało, że zamieszany był również Charles Friedman.

Policjant podniósł wzrok na Muñoza. Czuł, że wreszcie ruszył z miejsca.

— Czy ktoś jeszcze o tym wie?

— Mówiłeś, żeby zachować sprawę dla siebie. — Detektyw wzruszył ramionami. — Więc to zrobiłem.

Hauck znów spojrział na Freddy'ego.

— I niech tak zostanie.

Muñoz kiwnął głową.

— Chcę jeszcze raz przejrzeć akta Raymonda. Jeszcze dziś przywieź mi kopię.

— Tak jest.

Hauck wpatrzył się w fotografię sympatycznej twarzy z wąsami; twarzy byłego policjanta, która teraz zmieniła się w oblicze wyrachowanego profesjonalnego zabójcy.

Te dwie sprawy się nie połączyły, one się dosłownie zderzyły. Czołowo. I tym razem widzieli to też inni. Policjantowi wrzała krew.

Schrzaniłeś sprawę, powiedział w duchu do Dietza. Mocno schrzaniłeś, sukinsynu!

W pierwszej kolejności Hauck przesłał fotografię Dietza Pappy'emu. Następnego dnia mężczyzna potwierdził, że to ten sam człowiek, który rozmawiał z nim w Pensacoli. To zapewne wystarczyłoby, żeby aresztować Dietza pod zarzutem współudziału w przygotowaniu morderstwa AJ Raymonda, a może też Jonathana Lauera.

Nie wystarczyło jednak, by dotrzeć do Charlesa Friedmana.

Zbieg okoliczności niczego nie dowodził. Dobry prawnik wykazałby, że obecność przy obu zdarzeniach to czysty przypadek. Hauck dał słowo Karen, że zdobędzie informacje o jej mężu. Charles był w Greenwich. Lauer dla niego pracował. Obaj ci mężczyźni mieli powiązania z Dolphin Oil. Dietz również był zamieszany w sprawę. Hauckowi zdecydowanie się nie podobało, w jakim kierunku to wszystko zmierza. Na dobry początek należałoby powiązać Charlesa z Dietzem. W tej chwili obawiał się, że jeśli ujawni całą prawdę, nie wiadomo, dokąd to wszystko prowadzi.

Powinieneś z tym iść do Fitzpatricka, mówił mu wewnętrzny głos. Zdobyć nakaz. Pozwolić, żeby wszystko wyjaśnili federalni. Przecież Hauck składał przysięgę. Całe życie jej przestrzegał. Karen odkryła spisek.

Coś go jednak powstrzymywało.

A jeśli Charles jest niewinny? Jeśli Hauck nie zdoła powiązać go z Dietzem? Jeśli zrani Karen, jej całą rodzinę, po tym jak przysiągł jej pomóc — a wszystko przez to, że usiłował rozwiązać swoją sprawę, a nie jej? Aresztuj go. Przyciśnij Dietza. Będzie gadał.

A może chodziło o nią? Czy właśnie to czuł porucznik, kiedy te dwie sprawy się zderzyły? Chęć, by ją chronić jeszcze przez moment, dopóki nie będzie miał pewności. Czy to właśnie go dręczyło? Przez to nie spał po nocach, pogrążony w rozmyślnościach? Wewnętrzny konflikt. Jako glińiarz wiedział, że uczucia prowadzą go na manowce.

Zadzwoił do Karen nazajutrz, wpatrując się w teczkę Dietza.

— Jadę na jeden dzień do New Jersey. Chyba coś znaleźliśmy.

— Co takiego? — spytała podekscytowana.

— Spojrzałem na akta sprawy Jonathana Lauera. Jedyne świadek, człowiek o nazwisku Dietz, był też jednym z dwóch świadków zabójstwa AJ Raymonda.

Karen wydała stłumiony okrzyk. Nastąpiła chwila milczenia

i Hauck wiedział, że w tym czasie Karen rozważa znaczenie tego faktu.

— Załatwili ich. Ten facet, Dietz, był przy obu wypadkach. Tyle że to nie wypadki. To zabójstwa. Popelnione, żeby coś ukryć. Dobrze się spisalaś. Gdybyś nie pojechała do Lauera, nikt by tego nie powiązał.

Nie odpowiedziała. Zapadła cisza. Cisza oznaczająca, że próbuje ustalić, co to wszystko znaczy dla niej i dzieci. I jaką rolę odegrał w tym Charles.

— Ty, co ja mam, do cholery, myśleć?

— Karen, zrozum, zanim pochopnie...

— Posłuchaj, przykro mi — powiedziała. — Przykro mi z powodu tych ludzi. To straszne. Wiem, że ty od początku tak przypuszczałaś. Ale ja nie mogę przestać myśleć, że tutaj się coś dzieje, i to mnie zaczyna przerażać. Jak to wszystko wiąże się z Charlesem?!

— Nie mam pojęcia. Tego właśnie chcę się dowiedzieć.

— W jaki sposób? Co zamierzasz zrobić?

Wiele spraw przed nią zataił. Powiązania Charlesa z Falcon. Z Pappym Raymondem. To, że był zamieszany w śmierć AJ Raymonda, a może i Jonathana Lauera. Ale jakże teraz mógłby jej o tym powiedzieć?

— Jadę tam — oznajmił — do domu Dietza. Jutro.

— Do Dietza? Po co?

— Zobaczę, czego się dowiem. Spróbuję ustalić, jaki powinien być nasz następny krok.

— Nasz następny krok? Aresztuj go. Wiesz, że załatwił tych biednych ludzi. Jest odpowiedzialny za ich śmierć!

— Karen, chciałaś się dowiedzieć, jaki to wszystko ma związek z twoim mężem! Czy nie dlatego do mnie przysłałaś? Chciałaś wiedzieć, co on takiego zrobił.

— Ten człowiek to morderca. Dwie osoby zginęły.

— Wiem, że zginęły! O tym jednym nie musisz mi przypominać.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Na sekundę zapanowała cisza. Nagle Hauck zdał sobie sprawę, że przyznając, iż nie jedzie do New Jersey po to, żeby aresztować Dietza, w pewnym sensie zdradzał wszystko, co mu drogie: uczucie, które żywił do Karen, rude dredy AJ, od którego wszystko się zaczęło, echo dawnego bólu.

W końcu Karen przełknęła ślinę.

— Nie mówisz mi wszystkiego, prawda? Charles jest z tym wszystkim powiązany bardziej, niż przyznajesz.

— Tak.

— Mój mąż... — Karen zaśmiała się ponuro. — Zawsze obstawiał na przekór trendom. Mówił o sobie, że „chodzi pod prąd”. Wymyślne określenie na kogoś, kto zawsze sądzi, że jest mądrzejszy od całej reszty. Ty, uważaj tam na siebie, cokolwiek zamierzasz.

— Karen, jestem gliniarzem — powiedział Hauck. — Gliniarze to właśnie robią.

— Nie. Ludzi zamieszanych w przestępstwo gliniarze aresztują. Nie wiem, po co tam jedziesz, ale wiem, że częściowo jest to związane ze mną. I to mnie przeraża. Zastanów się, czy słusznie postępujesz, dobrze?

Hauck otworzył teczkę i wbił wzrok w twarz Dietza.

— Dobrze.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Tego wieczoru coś dziwnego wkradło się w myśli Karen. Po rozmowie z Tyem.

W związku z tym, czego się dowiedział.

W pierwszej chwili czuła się podniesiona na duchu. Wypadki były powiązane. Naprawdę pomogła Hauckowi.

Później już nie była pewna, co czuje. Niepokój spowodowany faktem, że dwie osoby powiązane z jej mężem zostały zamordowane w celu zatuszowania jakiejś sprawy, oraz podejrzenie, którego Ty nie umiał rozwiązać, że jest w to zamieszany Charlie.

Jonathan Lauer dla niego pracował. Chłopak przejechany w Greenwich w dniu zniknięcia Charliego miał w kieszeni kartkę z jego nazwiskiem. W skrytce bankowej były paszporty i pełno pieniędzy. Tamten tankowiec miał związek z firmą Charliego. Dolphin Oil...

Nie wiedziała, dokąd to wszystko prowadzi.

Z wyjątkiem tego, że mężczyzna, który od osiemnastu lat był jej mężem, brał udział w czymś, co przed nią ukrywał, natomiast Ty nie mówił jej całej prawdy.

Nie wspominając o tym, że znaczna część jej życia przez ostatnie osiemnaście lat — wszystko, w co wierzyła — okazało się kłamstwem.

Nurtowało ją jednak coś jeszcze. Coś silniejszego nawet niż obawa, że jej rodzinie wciąż zagraża niebezpieczeństwo. Niż współczucie dla tych dwóch ludzi, którzy ponieśli śmierć. Śmierć, która — Karen wbrew sobie zaczynała w to wierzyć — miała nierozzerwalny związek z Charlesem.

Zrozumiała, że się o niego martwi — o Haucka. O to, co zamierza zrobić.

Nigdy wcześniej nie zdawała sobie z tego sprawy, ale teraz do niej dotarło: zaczęła na nim polegać. Natomiast sposób, w jaki na nią patrzył wtedy na meczu, jak rozbłysły mu oczy, gdy zobaczył ją na stacji, jak wszystko dla niej ryzykował... ona go pociągała.

Karen zaś w najbardziej subtelny, niewyczuwalny sposób czuła do niego to samo.

Ale to nie wszystko.

Miała pewność, że Hauck zamierza postąpić pochopnie, złamać reguły. Że narazi się na niebezpieczeństwo. Przecież niezależnie od stopnia swego zaangażowania w tę sprawę Dietz to morderca. Była też przekonana, że porucznik coś przed nią ukrywa — coś związanego z Charliem.

Wszystko to ze względu na nią.

Po rozmowie została w kuchni, żeby odgrzać Aleksowi zapiekankę w mikrofalówce. On nie żywił się prawie niczym innym.

Gdy skończyła, zawołała syna na dół, usiadła z nim przy barku i słuchała opowieści o jego szkolnym dniu. Dostał czwórkę z plusem z prezentacji z historii Europy, która wpływała na pięćdziesiąt procent oceny końcowej. Wybrano go też na współprzewodniczącego tej rady „Dzieciaków w potrzebie”. Karen była z niego bardzo dumna. Ustalili, że później obejrzą razem *Friday Night Lights*.

Lecz kiedy Alex wrócił na górę, ona została w kuchni. Była poruszona.

W dziwny, niewyjaśniony sposób między nią a Hauckiem narodziło się uczucie.

Temu nie mogła zaprzeczyć.

Dlatego gdy skończył się serial i Alex, życząc jej dobrej nocy, wrócił na górę, Karen weszła do gabinetu i sięgnęła po telefon. Skręcało ją w brzuchu jak nastolatkę, ale o to nie dbała. Wybrała numer, dłonie miała spocone. Odebrał po drugim dzwonku.

— Poruczniku? — odezwała się.

Czekała na głos sprzeciwu.

— Tak? — odrzekł.

Nie doczekała się.

— Uważaj na siebie.

Próbował zbyć te słowa, żartując, że robił to już milion razy, ale mu przerwała.

— Nie zachowuj się w ten sposób — poprosiła. — Nie chcę znów tego przeżywać. Po prostu na siebie uważaj. O nic więcej nie proszę. Słyszysz?

Na moment zapanowało milczenie.

— Tak, słyszę — odparł wreszcie.

— Dobrze — rzekła cicho i rozłączyła się.

Długo siedziała na kanapie z kolanami podciągniętymi pod brodę. Gnębiło ją złe przeczucie — tak samo jak wówczas, gdy siedziała na pokładzie małego samolotu na Tortoli, śmigła obracały się coraz prędzej, Charlie machał do niej z balkonu, a słoneczne refleksy odbijały się od jego ciemnych okularów. Nagłe poczucie straty. Dreszcz strachu.

— Po prostu na siebie uważaj — szepnęła ponownie, choć nikt jej nie słyszał.

Przestraszona zamknęła oczy. Nie zniósłabym tego, gdybym i ciebie straciła.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

Droga międzystanowa 1-95, która przebiegała półtora kilometra od domu Haucka w Stamford, na południe od mostu Jerzego Waszyngtona zmieniała się w autostradę New Jersey.

Pojechał nią, mijając bagna Meadowlands, elektryczne kraty i magazyny północnego New Jersey oraz lotnisko Newark, aby ponad dwie godziny później dotrzeć do południowej części stanu, na północ od rozgałęzienia na Filadelfię.

Opuścił autostradę na zjeździe numer pięć w hrabstwie Burlington i znalazł się na bocznych drogach, które przecinały południe stanu. Biegły przez Columbus, Mount Holly, senne miasteczka rozrzucone na rozległych przestrzeniach. Zupełnie inny świat niż przemysłowy ścisk na północy.

Dietz był kiedyś policjantem w gminie Freehold. Przez szesnaście lat. Hauck sprawdził to przed wyjazdem.

Szesnastoletnią służbę przerwało kilka skarg związanych z molestowaniem seksualnym i dwie nagany za nadużycie siły. W grę wchodziła również sprawa z nieletnią dziewczyną, która była świadkiem w dochodzeniu w sprawie handlu metamfetaminą. Uznano, że Dietz wywierał na nią nadmierny nacisk w celu uzyskania zeznania, choć w rzeczywistości wyglądało to bardziej na gwałt na nieletniej.

Wcześniej wszystkie te fakty umknęły Hauckowi. Czy miał jakikolwiek powód to sprawdzać?

Od tamtej pory Dietz pracował we własnej firmie ochroniarzkiej Dark Star. Porucznik ją sprawdził. Trudno było jednoznacznie stwierdzić, czym się zajmowała. Ochrona. Praca najemna na prywatne zlecenia. Na pewno nie instalacja wyszukiwanych systemów alarmowych czy też cokolwiek innego, o czym mężczyzna mówił Hauckowi, gdy zginął AJ Raymond.

Dietz był złym człowiekiem.

Podczas gdy Hauck przemierzał prowincjonalne drogi, jego myśli błądziły gdzie indziej. Był gliniarzem niemal od piętnastu lat. Właściwie tylko to umiał robić. Dość prędko wspiął się po biurokratycznej drabinie nowojorskiej policji. Awansował na detektywa. Przydzielano go do jednostek specjalnych. Teraz kierował własnym wydziałem w Greenwich. Zawsze stał na straży prawa.

Co chciał zrobić, kiedy już tam dojedzie? Nie miał nawet planu.

Pod Medford znalazł drogę okręgową numer sześćset dwadzieścia.

Po obu stronach ciągnęły się pola i białe płoty. Mężczyzna widział kilka reklam stajni i stadniny. Stadnina Merryvale, miejsce pochodzenia Barristera, „rekordzisty świata na dystansie ćwierć mili”. W pobliżu Taunton Lake Hauck sprawdził swój GPS. Adres Dietza to Muncey Road 733, około pięciu kilometrów na południe od miasta. Na zupełnym pustkowiu. Hauck znalazł tę drogę — przylegało do niej ogrodzone pole oraz miejscowa remiza. Skręcił w drogę. Serce zaczęło mu bić szybciej.

Ty, co ty tu robisz, do cholery?

Muncey Road okazało się asfaltową, pełną kolein drogą, która pilnie potrzebowała nowej nawierzchni. W pobliżu rozwidlenia ujrzał kilka małych, oszalowanych domów. Przed nimi, w zarośniętych, zachwaszczonych ogródkach, stały pickupy,

a czasami również przyczepy dla koni. Na jednej ze skrzynek pocztowych Hauck znalazł numer: 340. Jeszcze daleko.

W pewnym momencie kończył się asfalt i zaczynała ubita ziemia. Ford bronco jechał dalej, podskakując na wybojach. Odległości między domami rosły. Na zakręcie Hauck napotkał zestaw skrzynek pocztowych. Na jednej z nich widniał numer 733. Dalej nie jeździł nawet listonosz. Mężczyzna wiedział, że jest już blisko, i przeszedł go dreszcz. Świetnie rozumiał, że wszelkie zasady dawno pozostawił za sobą. Nie miał nakazu. Nie poinformował swojej komendy. Przecież Dietz mógł być zamieszany w dwa morderstwa.

Co ty tu, do cholery, robisz, Ty?

Minał czerwony dom w stylu rancza z lat pięćdziesiątych: 650. Pod kołnierzem i na nadgarstkach zbierała mu się warstwa potu. Był coraz bliżej.

Zajechał tak daleko, że odległości między domami stały się wręcz ogromne. Sięgały prawie pół kilometra. Hauck nie słyszał żadnych dźwięków z wyjątkiem niepokojącego chrzęstu zwiru pod kołami auta.

Wreszcie się pojawił. Za lekkim zakrętem, schowany pod wysokimi wiązami na końcu drogi. Stary, biały dom farmerski. Płot stojący od frontu wymagał gruntownej naprawy. Z dachu zwisała obluzowana rynna. Resztki trawnika wyglądały na niekoszone od miesięcy. Z wyjątkiem stojącego na podjeździe dwuosobowego jeepa z zaczepem do pługa śnieżnego niemalże nic nie wskazywało na to, że ktoś tu mieszka. Przejeżdżając obok, Hauck zwolnił, nie chcąc zwracać na siebie uwagi. Jeep miał z tyłu naklejkę komendy policji gminy Freehold. Numer na słupie werandy potwierdzał:

733.

To tu.

Wrota rozpadającego się dwustanowiskowego garażu były zamknięte. Hauck nie widział w domu żadnych świateł. Tutaj rzadko jeździły samochody. Nie chciał, by zauważono, że

przejeżdża tędy po raz drugi. Mniej więcej pięćdziesiąt metrów dalej dostrzegł odbijającą w bok drogę, choć właściwie należało ją raczej określić jako szlak jezdziecki, na którym ledwie się mieścił samochód. Skręcił i zaczął podskakiwać na nierównym terenie. Przejechawszy kawałek, znów skręcił w lewo, w pole suchego zboża. Auto przesłoniły wysokie, sięgające pasa zarośla. Z odległości kilkuset metrów Hauck miał całkiem niezły widok na dom.

Dobra, to co teraz?

Wyjął z torby lornetkę, opuścił szybę i zaczął obserwować dom. Żadnego ruchu. Z jednego z okien zwisała okiennica. Nic nie wskazywało na to, że ktoś jest w środku.

Z tej samej torby wyjął następnie sig-sauera, odbezpieczył go i upewnił się, że w magazynku znajduje się szesnaście pocisków. Od lat nie sięgał po broń. Pamiętał, jak wbiega w zaułek i oddaje trzy strzały w stronę uciekającego podejrzanego, który ostrzelał jego partnera serią z tec-9. Hauck trafił faceta w nogę i go aresztował. Otrzymał za to pochwałę. Tylko ten jeden raz użył broni.

Odłożył pistolet na siedzenie obok. Następnie otworzył schowek i wyjął stamtąd niewielkie skórzane etui, w którym znajdowała się jego odznaka z Greenwich. Nie za bardzo wiedział, co z nią zrobić, więc schował ją do kieszeni kurtki, a następnie sięgnął po butelkę wody i pociągnął duży łyk. Miał sucho w ustach. Postanowił zbyt wiele nie rozmyślać o tym, co tu w ogóle robi. Jeszcze raz zlustrował dom przez lornetkę.

Nic. Ni cholery.

Następnie zrobił to samo, co przez te wszystkie lata robił już sto razy podczas różnych obserwacji.

Otworzył piwo i zaczął obserwować na zegarze upływające sekundy.

Czekał.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

Obserwował dom przez całą noc. Nie włączyło się żadne światło. Nikt nie przyszedł ani nie podjechał samochodem.

W pewnym momencie Ty wyszukał numer telefonu, który Dietz podał mu wraz z adresem. Zadzwoił. Po czterech sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka:

— Tu Dark Star Security... Proszę, zostaw wiadomość.

Hauck się rozłączył.

Włączył radio Classic Rock 104.3 FM, puszczała The Who. *No one knows what it's like to be the bad man...* „Nikt nie wie, jak to jest być tym złym”. Powieki zaczęły mu ciążyć i wreszcie się zdrzemnął.

Kiedy się obudził, było już jasno. Nic się nie zmieniło.

Włożył pistolet za pas. Na dłonie wciągnął lateksowe rękawiczki. Następnie wziął latarkę i telefon, po czym wysiadł z samochodu. Przeciskał się przez gęste zarośla, aż znalazł ścieżkę.

Postanowił, że jeśli jednak Dietz będzie w domu, to go arestuje. Wezwie policję z Freehold, a szczegóły wyjaśni później.

Jeśli dom będzie pusty, to się rozejrzy.

Drogą gruntową dotarł przed wałący się dom. Na zaniedbanym trawniku stała tabliczka: „Teren prywatny. Zły pies”.

Hauck wszedł po schodach, serce zaczynało mu bić mocniej, dłonie były śliskie od potu. Staął z boku drzwi i zajrzał przez zasłonięte okno. Pusto. Wziął głęboki wdech i jeszcze raz się zastanowił, czy nie robi czegoś szalonego. No to dalej... Położył dłoń na kolbie pistoletu. Drugą ręką ścisnął latarkę i zastukał do drzwi.

— Jest tu kto?

Nic.

Po kilku chwilach zastukał jeszcze raz.

— Chciałbym się spytać o drogę... Jest tu kto?

Odpowiedziała mu tylko cisza.

Weranda zakręcała wokół domu. Hauck postanowił więc pójść za róg. Na trawniku, tuż obok ziemnego podjazdu, zauważył w krzakach skrzynkę kondensatora. Podszedł do niej i uniósł metalową płytkę. Stąd płynął prąd do domu. Policjant pociągnął, odłączając alarm i telefon. Następnie wrócił na werandę. Przez okno widział jadalnię z prostym drewnianym stołem. Nieco dalej była stara kuchnia. Płytki i linoleum jak w latach pięćdziesiątych. Nigdy nieodnowiona. Hauck spróbował otworzyć tylne drzwi.

Również były zamknięte.

Nagle zaszczekał pies. Na ten dźwięk Hauck zeszytniał, wstrzymał oddech. Myślał, że go nakryli. Po chwili zrozumiał, że to z sąsiedniej posesji. Szczeknięcie, które aż poczuł w kościach, dobiegało z odległości setek metrów. Hauck spojrzał na przesłonięte pola. Puls zaczął mu się uspokajać. Nerwy...

Ruszył dalej wokół domu. Minął zamkniętą szopę, kosiarkę do trawy przykrytą brezentem, zardzewiałe narzędzia rozrzucone tu i ówdzie. Jeden schodek prowadził do tylnej werandy z drzewa cedrowego. Stał tam stary grill oraz podłużny stół. Podwójne oszklone drzwi prowadziły do wnętrza domu. Zasłony były zaciągnięte.

Hauck ostrożnie wszedł na werandę i przystanął przed zamkniętymi na zasuwkę drzwiami, niewidoczny za zasłoną.

Wziął latarkę i postukał nią w szybkę przy gałce. Poruszyła się. Była obłuzowana. Przykleknął i uderzył jeszcze raz, mocno. Szybka pękła i wpadła do środka.

Na chwilę zamarł z dłonią na pistolecie, wyczekując jakiegokolwiek dźwięku. Cisza. Nie przypuszczał, żeby Dietz miał powiązania z miejscową policją. Nie chciałby ryzykować, że ktoś będzie mu niepotrzebnie myszkował.

Hauck wsunął dłoń przez otwór. Odblokował zasuwkę i przekreślił gałkę.

Drzwi otwarły się szeroko.

Nie było alarmu, z wnętrza nie dochodził żaden dźwięk. Ty ostrożnie wszedł do środka.

Znalazł się na nędznie urządzonej oszklonej werandzie. Fotele z wypłowiałą tapicerką, drewniany stół. Na blacie rozrzucone kilka czasopism. „Forbes”, „Outdoor Life”, „Security Today”.

Z bijącym sercem ścisnął broń i ruszył przez kuchnię, a z każdym krokiem skrzypiały klepki podłogi. W całym domu wciąż panowały ciemności. Zajrzał do salonu i ujrzał tam nowoczesny telewizor Samsunga z płaskim ekranem.

Wreszcie był w środku. Tylko nie miał pojęcia, czego właściwie szuka.

Znalazł niewielki pokój pomiędzy salonem a kuchnią, wypełniony regałami. Gabinet. Znajdował się tam mały, ceglany kominek, blat z rozrzuconymi papierami, komputer. Na ścianach wisiało sporo zdjęć. Hauck zaczął się rozglądać. Rozpoznał Dietza. W mundurze z innymi policjantami. W stroju wędkarskim z imponujących rozmiarów żaglicą. Kolejna fotografia przedstawiała jakiś żaglowiec o czarnym kadłubie, a na nim ciemnowłosego mężczyznę z nagim torse.

Hauck przejrzał papiery na biurku. Trochę rachunków, kilka notatek na firmowym papierze Dark Star. Nic, co rzuciłoby choć odrobinę światła na sprawę. Komputer był włączony. Hauck zobaczył na pulpicie ikonę Gmaila, ale kiedy ją kliknął, pojawiło się pytanie o hasło. Blokada. Postanowił spróbować

szczęścia i kliknął ikonę Internetu. Pojawiła się strona Google News. Policjant otworzył spis stron, które Dietz niedawno przeglądał. Ostatnia była witryna linii lotniczych American Airlines. Podróże zagraniczne. Nieco niżej na liście figurowało coś o nazwie MSMI. Kliknął — Międzynarodowe Stowarzyszenie Menedżerów Inwestycyjnych.

Hauck poczuł, jak krew się w nim burzy.

Na stronie szukano Harbor Capital, firmy Charlesa Friedmana.

Usiadł na krześle Dietza i spróbował podążyć za tym zapytaniem. Pojawił się internetowy dokument na temat przedsiębiorstwa. Opis działalności, portfele energetyczne. Środki, którymi zarządza firma, kilka wykresów z wynikami. Krótka historia wraz z biogramami członków zarządu. Fotografia Friedmana.

To nie wszystko.

Falcon Partners, ta spółka inwestycyjna z Brytyjskich Wysp Dziewiczych, też była sprawdzana.

Teraz Hauck naprawdę poczuł się podekscytowany. Zrozumiał, że jest na właściwym tropie. Strona MSMI informowała jedynie o istnieniu Falcon. Żadnych danych. Wyłącznie nazwisko i adres kontaktowy na Tortoli, które Hauck zanotował. Następnie odwrócił się i zajął papierami na biurku Dietza. Wiadomości, korespondencja, rachunki.

Tu musiało coś być.

Na plastikowej tacy znalazł coś, co natychmiast włączyło jego wewnętrzny radar. Kserokopię listy nazwisk z Państwowego Zrzeszenia Maklerów Papierów Wartościowych. Spisu osób, które uzyskały licencje na obrót papierami wartościowymi w celach inwestycyjnych. Lista ciągnęła się przez wiele stron, obejmowała setki nazwisk i firm z całego świata. Hauck zmierzył ją wzrokiem — czego mógł szukać Dietz?

Wtedy nagle dotarło do niego, jaka wyjątkowa cecha łączyła pozycje na liście.

Wszystkie licencje wydano w ciągu minionego roku.

Kartkując spis, Hauck zauważył, że niektóre nazwy zakreślono. Inne przekreślono, a na marginesach znajdowały się odręczne notatki. Lista obejmowała setki pozycji. Zawężenie jej musiało być długim, mozolnym procesem.

I wtedy go trafiło, niczym cios w splot słoneczny.

Nie tylko Karen Friedman uważała, że jej mąż żyje!

Na szafce obok biurka stała drukarko-kopiarka. Hauck włożył do niej listę wraz z notatkami Dietza. Szukał dalej. Pośród rozsypanych kartek znalazł odręczną notatkę zapisaną na firmowym papierze Dark Star.

Bank Barclays. Na Tortoli.

Pod spodem widniał długi ciąg cyfr, który musiał być numerem konta, oraz strzałki prowadzące do innych banków: First Carribean Bank. Nevis. Banc Domenica. Nazwiska. Thomas Smith. Ronald Torbor. To ostatnie trzykrotnie podkreślone.

Kim byli ci ludzie? Czego szukał Dietz? Hauck od początku przyjął, że Charles i Dietz byli powiązani. Te tak zwane wypadki...

I wtedy do niego dotarło. Jezu...

Dietz też szukał Friedmana!

Hauck podniósł z tacki kartkę z jakimiś bazgrołami. Trasa podróży. American Airlines. Tortola. Nevis. Zaczynała go świerzbić skóra.

Dietz miał nad nim przewagę. Czy mógł wiedzieć, gdzie jest Charles?

Położył kopię tej kartki na drukarce i wcisnął guzik. Urządzenie zaczęło się rozgrzewać.

Nagle za oknem rozległ się jakiś dźwięk. Hauck zamarł.

Na żwirze zachrząściły koła, a potem trzasnęły drzwi samochodu.

Ktoś przyjechał.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY CZWARTY

Dźwięk zmroził Hauckowi krew w żyłach. Mężczyzna podszedł do okna i zerknął przez zaciągnięte zasłony. Gabinet Dietza wychodził na niewłaściwą stronę; nie dało się stwierdzić, kto przyjechał. Porucznik wyjął zza pasa siga i sprawdził magazynek. Złamał wszelkie zasady — nie miał nakazu, nie miał wsparcia.

W głębi duszy modlił się, żeby to nie był Dietz.

Usłyszał stukanie do drzwi. Ktoś krzyknął:

— Phil?

Potem, po krótkiej chwili, rozległ się dźwięk, od którego puls Haucka przyspieszył. Zgrzyt klucza wkładanego do drzwi, trzask otwieranego zamka. Głos mężczyzny:

— Phil?

Hauck schował się za drzwiami gabinetu. Zacisnął palce na kolbie siga i przylgnął do ściany. Nie miał którejdy uciec. Ten ktoś już wszedł do domu.

Usłyszał zbliżające się kroki i skrzypienie wyginających się klepek.

— Phil? Jesteś tam?

Serce Haucka oszalało. W panice zastanawiał się, czy jego samochód mógł być widoczny. Dotarło do niego, że wcześniej

czy później ten ktoś, jeśli tylko obejdzie dom, zauważy rozbitą szybę w drzwiach ogrodowych. Trafi do gabinetu. Miał swobodny dostęp. Natomiast Hauck był tu kompletnie bezprawnie. Nie miał nakazu. Nie poinformował miejscowej policji. Stałby przed sądem choćby za to, że wziął służbową broń. Kroki się zbliżały. Ty nie wiedział, co robić. Zdawał sobie natomiast sprawę, że wpakował się w całkiem pokaźne gównno, które z każdą sekundą gęstniało. Ten człowiek obchodził dom. Czy uciekać?

I wtedy stało się coś, od czego puls Haucka dosłownie zwałował.

Zasrana drukarka zaczęła drukować.

Kartki, które Hauck wcześniej położył na tacce, były kolejno pobierane. Warkot urządzenia brzmiał jak sygnał alarmowy.

— Phil!

Kroki jeszcze bardziej się zbliżyły. Za drzwiami Hauck ścisnął siga i przysunął lufę do policzka. Urządzenie dalej drukowało. Nie mógł tego przerwać! Myśl, myśl, co robić?

Zastygł, słysząc skrzypienie podłogi w pobliżu. Ten, kto wszedł do domu, wyszedł z za rogu. Zajrzał do gabinetu. Hauck stał nieruchomo.

— Phil, nie wiedziałem, że tu jesteś...

Nieznajomy mężczyzna przystanął w drzwiach. Kartki wsuwały się do drukarki jedna po drugiej.

Hauck wstrzymał oddech. Cholera...

Sekundę później ciężkie drzwi gabinetu grzmotnęły go w tors. Kompletnie zaskoczony, wypuścił z dłoni pistolet.

Podążył wzrokiem za bronią, a tamten zadał drzwiami kolejny cios, uderzając Haucka w bok głowy i oszalałając go. Pistolet z brzękiem pomknął po podłodze.

Nieznajomy mężczyzna uderzył drzwiami ponownie i tym razem wpadł do gabinetu, przytraskując prawą rękę Haucka. Porucznik w końcu napał na drzwi z całym impetem, odpychając je i sprawiając, że tamten zatoczył się na środek pomieszczenia.

Mężczyzna miał krótko przystryżone włosy i duży nos, a policzek zakrwawiony od uderzenia. Spiorunował Haucka wzrokiem.

— Co ty tu robisz? Kto ty, kurwa, jesteś?

Hauck też na niego spojrział i zorientował się, że widział go już wcześniej.

Drugi świadek. Facet w kurtce z wełnianym kołnierzem na miejscu wypadku AJ Raymonda. Trener lekkoatletyki czy coś takiego.

Hodges.

Oszołomieni popatrzyli na siebie.

Hodges równie szeroko otworzył oczy.

— To ty!

Hauck zerknął w stronę broni na podłodze, a Hodges złapał najbliższy przedmiot — ozdobny róg z kości słoniowej, który Dietz trzymał na bocznym stoliku — i rzucił się na policjanta. Oстрыm końcem rozdarł mu bluzę i rozorał skórę.

Porucznik wrzasnął. Róg rozharatał mu tors, poczuł pieczenie na poziomie żeber.

Hodges znów zaatakował, Hauck desperacko zamachał rękami, łapiąc go za ramię, by zablokować cios. Wygiął mu rękę w tył, podczas gdy tamten drugą z całej siły naparł na szyję Haucka.

Kolanem kopnął porucznika w ranę z boku klatki piersiowej.

— Aaa!

— Co ty tu robisz? — znowu wrzasnął Hodges.

— Ja wiem — odwarknął Hauck. — Wiem, co się stało. — Przez rozerwany, wilgotny materiał bluzy sączyła się krew. — To już koniec, Hodges. Wiem o potrąceniach.

Ty z trudem odgiął palce napastnika, usiłując dosięgnąć rogu. Broń wypadła Hodgesowi z ręki i potoczyła się po podłodze.

Hauck złapał się za bok i popatrzył na przeciwnika.

— Wiem, że to zaaranżowaliście. Chcieliście chronić Charlesa

Friedmana i Dolphin Oil. Policja już tu jedzie. — Wciąż był oszołomiony od tych pierwszych ciosów, brakowało mu oddechu. Szyja piekła i pulsowała w miejscu, gdzie Hodges go ścisnął. — Jesteś skończony, człowieku.

— Policja... — Hodges powtórzył sceptycznie. — To ty co, kurwa, jesteś? Awangarda?

Z płonąącym wzrokiem rzucił się w stronę kominka, złapał żelazny pogrzebacz i zamachnął się nim z całej siły, minął głowę Haucka o centymetry i trafił w ścianę tuż za nim. Odłamki gipsu posypały się na podłogę.

Hauck ruszył na Hodgesa głową naprzód i pchnął go na biurko. Posypały się na nich fotografie i ciężkie książki, drukarka runęła z półki na ziemię.

Padli na podłogę, potoczyli się i Hodges znalazł się na górze. Był silny. Może nawet Hauck dałby mu radę, ale wciąż był oszołomiony od uderzeń drzwiami i bolał go bok. Tamten walczył, jakby nie miał nic do stracenia. Wbił Hauckowi kolano w krocze, po czym oburącz złapał pogrzebacz, przygniótł nim klatkę piersiową porucznika i przesunął na szyję.

Hauck zaczął się dusić, rozpaczliwie łapiąc powietrze.

— Myślisz, że zrobiliśmy to, żeby go chronić? — odezwał się Hodges, wciąż naciskając pogrzebacz; twarz mu czerwieniała. — Gównu wiesz.

Hauck czuł, że coraz trudniej mu oddychać. Usiłował zrzucić napastnika, kopnąć go kolanem, ale był przygwożdżony do ziemi, a pod naporem żelaznego pręta uchodziło z niego życie. Czuł krew napływającą do twarzy, opadał z sił, płuca o mało nie eksplodowały.

Hodges zaraz go zabije.

Z najwyższym wysiłkiem zebrał całą pozostałą energię, by odepchnąć pogrzebacz. Oddychał rozpaczliwie, płuca łaknęły powietrza. Miał wrażenie, że za chwilę rozsadzi mu głowę.

Właśnie wtedy poczuł pod plecami twardey kształt pistoletu. Jakimś cudem zdołał unieść ramię i sięgnął. Jedną ręką zwisała luźno, druga na próżno starała się powstrzymać uścisk na gardle. Palce odnalazły ciepłą stal lufy. Hauck obrócił broń, by chwycić za rękojeść.

— Przestań — wydyszał. — Chcę coś powiedzieć. Przestań.

— Jak się tutaj dostałeś?! — wrzasnął Hodges. — Skąd o nas wiesz?

Hauck odniósł wrażenie, że ktoś od wewnątrz rozdrapuje mu gardło żelazną motyką. W końcu udało mu się opleść place wokół rękojeści sigi. Obrócił broń, która wciąż znajdowała się pod nim.

— Skąd?! — powtarzał Hodges, udami przygniatając jego nogi do ziemi i wyciskając mu z płuc resztki powietrza.

Hauck uniósł się odrobinę, żeby wysunąć spod pleców rękę z bronią. Hodges odgadł jego zamiar, kolaniem przygniół mu ramię i mocniej przycisnął pogrzebacz do krtani.

Porucznik miał wrażenie, że zaraz eksplodują mu płuca.

Napastnik tak go unieruchomił, że nie było mowy o celowaniu. Udało mu się opleść palec wokół spustu, lecz lufa była przyciśnięta do ciała. Nie miał nawet pojęcia, gdzie dokładnie mierzy, ale wiedział, że sam gwałtownie opada z sił, brakuje mu powietrza... Nie miał już ani chwili.

Przygotował się na wstrząs przy boku.

I strzelił — rozległ się stłumiony huk.

Hauck poczuł szarpnięcie. Fala wstrząsu rozeszła się po ciałach obu mężczyzn. Spiał się, oczekując przyływu bólu.

Nie nastąpił.

Leżący na gorze Hodges wykrzywił twarz. Żelazny pręt wciąż przygniatał szyję Haucka.

Policjant czuł w nozdrzach ostrą woń kordytu. Nacisk na gardło powoli zelżał.

Hodges spojrział na swój bok. Hauck widział rozrastającą się plamę czerwieni, która sączyła się spod koszuli mężczyzny.

Hodges wyprostował się, dotknął dłonią tego miejsca, po czym obejrzał umazane krwią palce.

— Sukinsynu jebany... — jęknął.

Hauck szarpnął nogami i Hodges ze szklistym wzrokiem stoczył się na podłogę. Porucznik, dysząc ciężko, nabierał do płuc upragnionego powietrza. Palił go bok. Cały był we krwi — nie miał pewności czyjej. Hodges pełził w kierunku drzwi.

— To już koniec — wy dyszał Hauck, patrząc na mężczyznę, ledwie zdolny wycelować broń.

Hodges niezdarnie podciągnął się do pionu. Na koszuli miał mokną, czerwoną plamę. Przycisnął tam rękę.

— Nie masz zasranego pojęcia — odezwał się, kaszłąc i śmiejąc się z trudem.

Skrzywił się. Stał bez ruchu, czekając, aż Hauck pociągnie za spust. Ten, wyczerpany, ledwie mógł unieść pistolet.

— Nie żyjesz! Jeszcze o tym nie wiesz, ale już nie żyjesz. — Hodges spiorunował go wzrokiem. — Nie masz pojęcia, komu, kurwa, podskakujesz.

Zataczając się, skulony wyszedł z pomieszczenia. Hauck nic nie mógł zrobić, żeby go zatrzymać. Całą energię zużył na to, by wstać i wciągnąć powietrze przez zaciśniętą tchawicę. Ubranie miał mokre od potu. Trzymając się za żebra, wypadł na dwór za Hodgesem. Wszystko poszło nie tak. Usłyszał uruchamiany silnik pickupa, zauważył strużkę krwi, która prowadziła z werrandy na podjazd.

— Hodges!

Zszedł po schodach i wycelował broń w auto. Wóz wycofał się z podjazdu i popędził drogą. Porucznik wymierzył w tylne koła, palec mu drżał.

— Stój! — zawołał za odjeżdżającym.

Stój. Nie słyszał nawet własnego głosu.

Stał tylko nieruchomo, patrząc, jak pickup podskakuje na drodze. Celował do oddalającej się chmury kurzu.

Maksimum energii wymagało skoncentrowanie się na jednej myśli.

Że w coś się wplątał. Coś, co eksplodowało mu w rękach.

I że już niczego nie reprezentował. Ani prawa, ani prawdy, ani nawet Karen.

Pragnął tylko dowiedzieć się, dokąd to prowadzi.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY PIĄTY

Bok go palił.

Szyja spuchła tak, że była dwa razy grubsza niż normalnie. Ledwie mógł przetykać.

Przy każdym oddechu żebra tak bolały, jakby nosił ciężary. Na klatce piersiowej miał jasnoczerwony obrzęk.

Nie wiedział, co narobił.

Wrócił do środka, by zabrać skopiowane dokumenty. Potem ruszył do samochodu.

Gdy już siedział za kierownicą, w pierwszej kolejności pomyślał o Jessice — jakie miał szczęście, że w ogóle przeżył.

Jesteś głupi, Ty, po prostu głupi. Starał się ocenić sytuację. Przekroczył swoje uprawnienia. Włamał się do domu Dietza, zabrał służbową broń, nie poinformował miejscowej policji. I Hodges... przeżyje. Hauck zrozumiał jednak, że to nawet nie połowa problemów. O wszystkim dowie się Dietz — a więc także jego pracodawca. Wszystko stanie się jasne. Oczywiście tamci nie mieli pojęcia, że Hauck działał samotnie. Ani — co go nieco uspokoiło — że jest w to zaangażowana Karen.

To był jedyny plus całej tej pieprzonej sprawy.

Powrót do domu zajął mu ponad trzy godziny. Dojechał wczesnym południem. Wycieńczony rzucił się na kanapę

i zbadał ranę w boku. Odchylił głowę i spróbował zrozumieć, co właściwie zrobił. Złamał prawo. W cholernie wielu kwestiach. Naraził Karen na niebezpieczeństwo. Przysięgi, które kiedyś złożył, zobowiązania, by stać na straży prawa, by postępować właściwie — wszystko to w zasadzie legło w gruzach.

Ściągnął z siebie zakrwawione ubranie, zwinął w kłębek i cisnął do spiżarni. Wystarczyło, żeby uniósł ramiona, a wszystko zaczynało go boleć. Ranę na boku oblepiała krew. Na całej szyi i torsie miał jasnoczerwone pręgi. Spojrzał w lustro i skrzywił się. Nie wiedział, czy wymaga opieki medycznej. Głowa mu ciążyła. Chciał tylko zasnąć. Czuł się samotny. Po raz pierwszy w życiu nie wiedział, co robić.

Ostrożnie z powrotem usiadł na kanapie. Do głowy przychodziła mu tylko jedna osoba, do której mógłby zadzwonić.

— Ty...?

— Karen, posłuchaj, potrzebuję cię — wysapał. — Tutaj.

To była bardziej prośba niż stwierdzenie. Głęboko wciągnął powietrze.

— Wszystko w porządku?! — W głosie Karen brzmiał niepokój. — Martwiłam się. Próbowałam do ciebie dzwonić. Nie odbierałaś.

— Karen, coś się stało... Po prostu do mnie przyjedź. Proszę. Ledwie przytomny powiedział jej, gdzie mieszka.

— Już jadę. Przerażasz mnie, Ty, Powiedz tylko, czy ci czegoś trzeba.

— Tak. — Zrobił wydech i bezwładnie odchylił głowę. — Środka dezynfekcyjnego. I bardzo dużo gazy.

Usłyszawszy, jak puka do drzwi, Hauck powłókł się do wejścia. Miał na sobie sportowe spodenki oraz szlafrok frotte, który zakrywał rany. Uśmiechnął się szeroko, twarz miał bladą, a jego mina mówiła coś w stylu: „Przepraszam, że cię w to wszystko wpakowałem”. Następnie zachwiał się, jakby miał upaść.

Karen spojrzała na niego przerażona.

— Co ci się, do cholery, stało?

— Znalazłem dom Dietza. Obserwowałem całą noc. Myślałem, że nikogo nie ma. Rano wszedłem do środka.

— I on tam był?!

— Nie.

Hauck wziął od niej torbę z rzeczami, o które prosił: płynem dezynfekcyjnym, plastrami i gazą. Nicco utykając, wrócił do kanapy i usiadł na niej ostrożnie.

— Ale był Hodges — powiedział.

Karen zmrużyła oczy.

— Hodges?

— Drugi świadek na miejscu wypadku AJ Raymonda. Chyba działali razem. Jako partnerzy.

— Jacy partnerzy?

Właśnie wtedy wzrok kobiety padł na pręgi na szyi Haucka.

— Boże, coś ty sobie zrobił?

Z szeroko otwartymi oczami odsunęła kołnierz jego szlafrocka, delikatnie przesunęła palcami po posiniaczonej skórze, badając obtarcia. Przerażona delikatnie wzięła jego dłonie w swoje.

— Z tej strony jest gorzej.

Hauck wzruszył ramionami i z poczuciem winy wypisanym na twarzy odsunął połą szlafrocka, ukazując zakrzepłą krew i pas rozerwanej skóry pod pachą.

— O Boże!

— To wszystko było zaaranżowane — powiedział, chcąc jej wyjaśnić całą sprawę. — Abel Raymond, Lauer. Te wypadki to tak naprawdę zaplanowane zabójstwa. Dietz i Hodges obu zamordowali, żeby wszystko ukryć.

— Co?!

Twarz Karen zdradzała dezorientację, ale także coś głębszego — strach wywołany świadomością, że ukrywana przez Haucka prawda jej dotyczyła. Że w sprawę zamieszany był Charlie.

— Co się stało z Hodgesem? — spytała, biorąc do ręki środek dezynfekujący i rozrywając opakowanie gazy.

Hauck miał kamienną twarz.

— Hodges został postrzelony.

— Postrzelony? — Odłożyła wszystko i pobladła. — Nie żyje...?

— Żyje. Tak mi się w każdym razie wydaje.

Opowiedział wszystko. O tym, jak wszedł do domu, sądząc, że to bezpieczne. O tym, jak przyjechał Hodges i zaskoczył go w gabinecie Dietza. O szamotaninie, o ranie zadanej rogiem, o duszeniu pogrzebaczem, o tym, jak myślał, że umiera. O postrzeleniu Hodgesa.

— O Boże, Ty... — Szeroko otwarte oczy Karen wyrażały współczucie. Zmieszanie na jej twarzy przerodziło się w prawdziwy strach. — Co powiedziała policja? Przecież to było w obronie własnej, prawda? On próbował cię zabić.

Hauck nie odwracał od niej wzroku.

— Karen, ja nie dzwoniłem na policję.

Zamrugnęła.

— Co...?

— Nie miałem prawa tam przebywać. To wszystko od początku było niezgodne z prawem. Nie miałem nakazu. Nie jest przeciwko nim prowadzone dochodzenie. Do cholery, nawet nie jestem na służbie.

— Ty... — Karen zakryła usta dłonią. Zaczynała rozumieć sytuację. — Nie możesz udawać, że nic się nie stało. Postrzeliłeś człowieka.

— Ten człowiek próbował mnie zabić! Chcesz, żebym zadzwonił na policję? Nie rozumiesz? Twój mąż był z nimi w zмовie. Z Dietzem, z Hodgesem. Tamtego ranka, kiedy Charlie wyszedł z Grand Central, pojechał do Greenwich. Ukradł kartę kredytową komuś, kto zginął na torach. Do AJ Raymonda zadzwoniono z baru po drugiej stronie ulicy. To Charlie wykonał ten telefon. Twój mąż. Albo brał bezpośredni udział w

zabójstwie AJ Raymonda, albo pomagał je zaaranżować.

— Charlie...? — Karen pokręciła głową. — Nie możesz myśleć, że Charlie to zabójca. Nie. Dlaczego?

— Żeby ukryć to, na co natknął się ojciec Raymonda w Pensacoli. Że w jednej z firm, które kontrolował Charlie, fałszowano transporty ropy.

Karen znowu stanowczo pokręciła głową.

— To prawda. Słyszałaś kiedyś o Dolphin Oil? Albo o Falcon Partners?

— Nie.

— To firmy zależne, których właścicielem było jego przedsiębiorstwo. Harbor. Zagraniczne. Chcesz, żebym zawiadomił policję? Bo jeśli to zrobię, wydadzą nakaz natychmiastowego aresztowania Charliego. Są wystarczające podstawy: oszustwa finansowe, pranie brudnych pieniędzy, współudział w zabójstwie. Tego chcesz dla siebie i dzieci? Żebym poinformował policję? Bo wtedy to właśnie się stanie.

Karen przyłożyła dłoń do czoła i w zamyśleniu pokręciła głową.

— Nie wiem.

— Charlie był z nimi powiązany. Przez firmy inwestycyjne, które kontrolował. Przez Dietza. Karen, on jest zamieszany w oba te morderstwa...

— Nie wierzę w to! Nie możesz ode mnie oczekiwać, że uwierzę, że mój mąż to morderca!

— Patrz! — Hauck sięgnął po papiery, które zabrał z gabinetu Dietza, i położył je przed nią. — Jego nazwisko jest wszędzie. Karen, dwóch ludzi nie żyje. A teraz musisz mnie posłuchać i podjąć decyzję, bo na tym może się nie skończyć. Ten facet, Dietz, też szuka Charliego. Nie mam pojęcia, kim on jest ani dla kogo pracuje, ale jakimś cudem tak jak my wie, że Charlie żyje. Znalazłem ślad! Nie wiem, może go chce uciszyć. Ale

mogę ręczyć, że jeśli go znajdzie przed nami, to nie po to, żeby ze łzami w oczach spytać, jak mógł ci to zrobić.

Karen z wahaniem pokiwała głową. Zadrżała zdezorientowana. Hauck wziął ją za rękę. Oplótł palce wokół jej zaciśniętej pięści.

— Powiedz mi, Karen, czy naprawdę chcesz, żebym to zrobił? Poinformował policję? Bo policja już jest w to zaangażowana. Ja jestem zaangażowany. A po tym, co się dzisiaj stało, nie mogę już cofnąć czasu i wrócić z pustymi rękami.

Oczy Karen lśniły od łez.

— On jest ojcem moich dzieci. Nie wiesz, ile razy sama go chciałam zabić, ale to, co mówisz... morderca? Nie, nie uwierzę, póki sam mi tego nie powie.

— Znajdę go dla ciebie, obiecuję. Ale miej świadomość, że po tym, co się teraz stało, ci ludzie wiedzą, że ich rozpracowuję. Na dobre się w to wpakowaliśmy. Jeśli myślisz, że sobie z tym nie poradzisz, a w pełni bym to zrozumiał.

Karen spuściła wzrok. Hauck poczuł dotyk palca na swojej dłoni. Jej małego, drżącego palca. Ścisnęła jego dłoń. Miała przestraszone spojrzenie, ale w jej oczach dostrzegł coś jeszcze, błysk determinacji. Popatrzyła na Haucka i znów pokręciła głową.

— Chcę, żebyś go znalazł.

Lekko pochyliła się nad nim, a jej włosy otarły się o jego policzek. Czuł jej urywany oddech. Ich kolana się zetknęły. Krew w nim zaczęła szybciej krążyć, kiedy jej pierś otarła się o jego ramię. W tym momencie ich usta mogłyby się zetknąć. Wystarczyło tylko ją trącić, a znalazłaby się w jego ramionach. Częścią duszy tego pragnął, ogromną częścią, ale ta druga mówiła: nie. Kiedy wsłuchiwał się w jej oddech, przebiegł go dreszcz.

— Od początku wiedziałeś — powiedziała. — O Charliem. Że wszystko do niego prowadzi. Zataiłeś to przede mną.

— Nie chciałem cię jeszcze bardziej skrzywdzić, dopóki nie nabrałem pewności.

Pokiwała głową. Splotła palce w jego dłoni.

— On by nikogo nie zabił. Mam gdzieś, że mówię jak idiotka. Znam go. Żyłam z nim prawie przez dwadzieścia lat. Jest ojcem moich dzieci. Ja to wiem.

— Więc co chcesz zrobić?

Karen delikatnie rozsunęła szlafrok Haucka. Mężczyzna zeszczywniał. Przesunęła palcami po jego torsie. Sięgnęła po maziło, które ze sobą przywiozła.

— Chcę obejrzeć twoją ranę.

— Nie — powiedział, łapiąc ją za rękę. — Wiesz, o co pytam.

Przez chwilę milczała, a ich dłonie wciąż się stykały.

— Chcę usłyszeć z jego ust, co takiego zrobił, dlaczego od nas odszedł, od rodziny, od żony, po prawie dwudziestu latach. Chcę, żebyś go znalazł. Znajdź Charlesa. Kiedy wyjechałeś, coś się pojawiło. Myślę, że już wiem, jak na niego trafić.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY SZÓSTY

Chodziło o samochód.

Karen już wcześniej dwukrotnie wszystko przetrząsnęła, tak jak prosił Ty. Kiedy jednak on pojechał do New Jersey, postanowiła zrobić coś jeszcze, żeby się nie zamartwiać.

Toteż raz jeszcze przejrzała rzeczy Charliego — stare rachunki, stopy kwitków, które trzymał w szafie, papiery na biurku. Sprawdziła nawet strony internetowe, które odwiedzał przed „śmiercią”.

Szukanie igły w stogu siana, mówiła sobie. Zupełnie tak jak poprzednio.

Tylko że tym razem na coś trafiła. Na teczkę zakopaną głęboko pod stertą dokumentów prawnych na biurku. Teczka, której wcześniej nie zauważyła. Coś sprzed zniknięcia Charliego. Coś, czego nie rozumiała.

Mała karteczka spoczywała w kopercie — zaadresowana do Charlesa. Taka, jaką dołącza się do bukietu kwiatów. Karen otworzyła ją z pewnym wahaniem i zobaczyła pismo, którego nie poznawała.

Znieruchomiała.

Przykro mi z powodu psiaka, Charles. Czy następne mogą być twoje dzieci?

„Przykro mi z powodu psiaka”. Karen spostrzegła, że drżą jej ręce. Temu, kto to napisał, chodziło o Sashę. I o co chodziło w drugim zdaniu?

Ich dzieci...

Nagle Karen poczuła ucisk w piersi. Co ci ludzie zrobili?

I wtedy, w tej samej ukrytej teczce, natrafiła na jedną z kartek świątecznych, które wysyłali jako rodzina przed zniknięciem Charliego. Na zdjęciu cała czwórka siedziała na drewnianym płotku na polu niedaleko ich zimowego domku w Vermoncie. Szczęśliwe czasy.

Otworzyła kartkę.

Niemal dostała torsji.

Twarze dzieci, Samantha i Alexandra — zostały wycięte!

Zakryła twarz dłońmi. Poczowała, jak krew uderza jej do głowy.

— Charlie, co tu się, u diabła, dzieje?

Wciąż patrzyła na kartkę. W coś ty się wmieszał? Co nam zrobiłeś? Niespodziewanie przypomniała sobie o incydencie w samochodzie Samantha przed szkołą, serce zaczęło jej łomotać. Oskarżycielsko. Wstała od biurka. Chciała w coś uderzyć. Dotknęła dłonią twarzy. Rozejrzała się po pokoju.

Jego pokoju.

— Powiedz coś, ty sukinsynu, powiedz coś!

I wtedy to zobaczyła.

Stertę papierów, prospektów i czasopism sportowych, których nigdy właściwie nie sprzątnęła z jego gabinetu.

Ten stos. Równy ułożony stos, który Charlie trzymał na regale. Wszystkie numery. Karen zawsze mówiła, że to się tylko prosi o pożar. Jego wymarzona kolekcja, sięgająca czasów, kiedy osiem lat wcześniej kupił tę swoją zabawkę.

„Mustang World”.

Podeszła do regału — czasopisma sięgały wysoko. Podniosła kilka numerów, a w głowie zaczęła jej świtać pewna myśl.

To jest to! Jedna, jedyna rzecz, której nigdy by nie zmienił

bez względu na to, pod jakim nazwiskiem by się ukrywał. Kimkolwiek by był.

I gdziekolwiek.

Jego głupi samochód. „Maleństwo Charliego”. W wolnych chwilach czytał o tych cholernych maszynach, sprawdzał ceny, dyskutował o nich w Internecie. Zawsze żartowali, że to kawałek jego samego. Jego kochanka, z której istnieniem Karen musiała się pogodzić. Karen nazywała ten samochód „Camilla”. Że niby Camilla i Charles. Charlie wciąż żartował, że jest lepszy niż Camilla. „I do tego ładniejszy”.

„Mustang World”.

Wciąż wystawiał to auto na sprzedaż, ale w końcu nigdy nie sprzedawał. Latem jeździł na zloty. Przeglądał strony internetowe. Karen nie rozumiała, co oznaczały kartki, które znalazła. Przerazały ją. Nie wiedziała, co on takiego zrobił.

— Ale to jest właśnie ten sposób — powiedziała teraz Hauckowi, przystępując do opatrywania jego ran.

Sięgnęła do torebki i rzuciła na stół egzemplarz czasopisma. „Mustang World”.

— Właśnie tak go znajdziemy. „Maleństwo Charliego”.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY SIÓDMY

One Police Plaza na dolnym Manhattanie to administracyjne centrum nowojorskiej policji oraz Połączonej Międzyagencyjnej Grupy Specjalnej, która nadzoruje bezpieczeństwo w mieście.

Hauck czekał na dziedzińcu przed budynkiem i obserwował Frankfort Street, która prowadzi na most Brooklyński. Było ciepłe majowe popołudnie. Po stalowoszarym chodniku przechadzali się spacerowicze i jeździli rowerzyści, pracownicy biurowi szli na lunch lekko ubrani. Kilka lat wcześniej Hauck pracował w tym budynku. Bardzo dawno już tu nie był.

Drobny, łysiejący mężczyzna w granatowym służbowym swetrze pomachał do kolegi z pracy, po czym podszedł do Haucka. Do piersi przypięty miał policyjny identyfikator.

— Chluba Nowego Jorku. — Mężczyzna mrugnął porozumiewawczo, stając przed porucznikiem.

Usiadł obok i szturchnął go pięścią.

— Naprzód, niebiescy. — Hauck odpowiedział szerokim uśmiechem.

Porucznik Joe Velko niegdyś był młodym naczelnikiem wydziału dochodzeniowego w sto piątym dystrykcie, a następnie na Uniwersytecie Nowojorskim zrobił magisterium z kryminalistyki komputerowej. Przez wiele lat Hauck i on grali razem

w policyjnej drużynie hokejowej. Hauck był obrońcą, Joe zaś twardym napastnikiem, który uczył się używać kija na ulicach Elmhurst w Queens. Żona Joego, Marilyn, sekretarka w Cantor Fitzgerald, zginęła jedenastego września. To właśnie Hauck zorganizował wtedy mecz charytatywny na rzecz jego dzieci. Obecnie kapitan Joe Velko kierował jednym z najważniejszych wydziałów w całej nowojorskiej policji.

Strażnik był supernowoczesnym programem komputerowym opracowanym przez Państwowe Centrum Aplikacji Superkomputerowych, napędzany przez dziewięć superkomputerów ulokowanych w podziemnym centrum dowodzenia na Brooklynie, po drugiej stronie rzeki. Zasadniczym celem Strażnika było monitorowanie miliardów bitów danych przesyłanych w Internecie i poszukiwanie losowych powiązań, które mogły się okazać przydatne ze względów bezpieczeństwa. Błogi, e-maile, strony WWW, profile na MySpace — miliardy bitów danych w sieci. Program wyszukiwał nietypowe połączenia nazwisk, dat, zaplanowanych imprez publicznych, a nawet powtarzających się potocznych wyrażań. Następnie generował w centrum dowodzenia dzienne „alerty”, które badał zespół analityków, decydując, które z nich są na tyle ważne, żeby rozpocząć działania lub przekazać je do innych zespołów. Kilka lat wcześniej dzięki Strażnikowi wykryto plany podłożenia bomby pod Citigroup Center przez antyglobalistów — wyłącznie dlatego, że program połączył pozornie niewinną, lecz często powtarzaną frazę „odnowić nasze prawo jazdy” z przypadkową datą dwudziestego czwartego czerwca, kiedy to w budynku miała się odbyć impreza z udziałem prezesa Banku Światowego. Odnaleziono powiązanie z członkiem ekipy cateringowej, który okazał się wtyczką organizacji.

— Czemu zawdzięczam twoją wizytę? — Velko zwrócił się do Haucka. — Wiem, że to miejsce nie należy do twoich ulubionych.

— Joe, muszę cię prosić o przysługę.

Velko, wytrawny gliniarz, dostrzegł w twarzy Haucka coś, co sprawiło, że się wzdrygnął.

— Próbuję kogoś zlokalizować — wyjaśnił porucznik. Spod sportowej kurtki wyjął cienką, kartonową kopertę. — Nie mam pojęcia, gdzie jest. Ani nawet jakim nazwiskiem się posługuje. Najprawdopodobniej przebywa za granicą.

Położył kopertę na kolanach Velko.

— A myślałem, że będę się musiał wysilić. — Ekspert od bezpieczeństwa zachichotał, otwierając zapieczętowaną kopertę.

Wysunął zawartość koperty: kopię zdjęcia paszportowego Charlesa Friedmana oraz kilka rzeczy dostarczonych przez Karen. Frazy: „Mustang, Emberglow, 1966. GT. Tapicerka Pony. Greenwich, Connecticut”. Jakaś miejscowość Ragtops na Florydzie, gdzie Charles kupił ten samochód. Złoty Concours d'Élégance w Greenwich, na którym czasem wystawiał swoje auto. Kilka zapamiętanych przez Karen ulubionych stron motoryzacyjnych Charliego. Wreszcie charakterystyczne wyrażenia, których mógł używać, takie jak „odlotowo” albo „pełen szal”.

— Musi ci się wydawać, że skoro wypchnąłeś z pola bramkowego paru strażaków, którzy chcieli przetrzepać mi dupę, to mam u ciebie dług, co?

— Więcej niż paru. — Hauck się uśmiechnął.

— Mustang z sześćdziesiątego szóstego. Tapicerka Pony. Nie możesz sobie poszukać takiego cacka na eBayu? — spytał Velko, szczerząc zęby.

— Jasne, ale tak jest seksowniej — odparł Hauck. — Słuchaj, ten facet może teraz być na Karaibach albo w Ameryce Środkowej. Aha, Joe... to się i tak pojawi w wynikach, więc równie dobrze mogą ci powiedzieć teraz: on rzekomo zginął. W zamachu na Grand Central.

— Jak to rzekomo?

— Nie każ mi wszystkiego wyjaśniać, stary. Szukam go dla przyjaciółki.

Velko schował kartkę z powrotem do koperty.

— W Internecie przepływa dziennie trzysta miliardów bitów danych, bezpieczeństwo całego miasta jest w naszych rękach, a ja mam wygenerować bursztynowy alert z powodu mustanga należącego do truposza faceta.

— Dzięki, stary. Będę wdzięczny za wszystko, co się pojawi.

— Cholernie wielkie nadużycie Ustawy Patriotycznej — Velko odchrząknął — oto, co się pojawi. My tu nie robimy za system poszukiwania osób zaginionych. — Spojrzał na Haucka. Odnotował ślady na twarzy i szyi oraz sztywną postawę. — Dalej jeździsz na łyżwach?

Hauck kiwnął głową.

— Gram w miejscowej drużynie. W lidze dla facetów po czterdziestce. Głównie gości z Wall Street i sprzedawców kredytów hipotecznych. A ty?

— Nie. — Velko postukał się w głowę. — Nie pozwalają mi. Najwyraźniej są zdania, że mój mózg przyda się na coś więcej niż obtłukiwanie. W mojej nowej robocie to by było zbyt ryzykowne. Ale Michelle gra. Żebyś ją tylko zobaczył. Straszny z niej twardziel. W szkole jest w drużynie chłopców.

— Chętnie bym ją zobaczył — powiedział Hauck z czułym uśmiechem.

Kiedy Marilyn zginęła, Michelle miała dziewięć lat, a Bonnie sześć. Hauck zorganizował mecz charytatywny przeciwko drużynie miejscowych gwiazd. Po spotkaniu na lód wyszła rodzina Joego. Otrzymała bluzę zespołu podpisaną przez Rangersów i Islandersów.

— Ty, wiem, że już to wcześniej mówiłem, ale zawsze byłem ci wdzięczny za to, co zrobiłeś.

Hauck puścił oko.

— No dobra, powinienem się tym zająć, co? Ściśle tajne, specjalistyczne i poufne. — Joe wstał. — Wszystko w porządku?

Porucznik kiwnął głową. Bok wciąż bolał jak cholera.

— Tak.

— Jak coś znaję, to mogę cię znaleźć na komendzie w Greenwich?

Hauck zaprzeczył ruchem głowy.

— Wziąłem sobie trochę urlopu. W paczce jest mój numer komórki. Aha, Joe... Byłbym wdzięczny, gdyby to zostało między nami.

— Och, o to możesz się nie martwić. — Joe uniósł kopertę i przewrócił oczami. — Wziąłeś sobie trochę urlopu... — Wycofując się w stronę budynku, posłał Tyowi zatroskany uśmiech. — W co ty się, do cholery, pakujesz?

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY ÓSMY

Po spotkaniu z Velko Hauck pojechał do biura Media Publishing, mieszczącego się na trzydziestym piętrze wysokiego budynku ze szkła na rogu Czterdziestej Szóstej Ulicy i Trzeciej Alei.

Wydawcy „Mustang World”.

Hauck musiał błysnąć odznaką najpierw recepcjonistce, a potem kilku szeregowym pracownikom z marketingu, żeby wreszcie zaprowadzono go do właściwej osoby. Nie miał tu władzy, a nie chciał dzwonić do kolejnego starego znajomego z policji. Na szczęście gość z marketingu, do którego w końcu trafił, był chętny do pomocy i nie prosił, żeby Hauck wrócił z nakazem.

— Mamy dwieście trzydzieści dwa tysiące prenumeratorów — powiedział, jakby przygnieciony tą liczbą. — Nie dałoby się tego jakoś zawęzić?

— Potrzebuję listy wyłącznie tych, którzy dołączyli w ciągu ostatniego roku — wyjaśnił Hauck.

Dał facetowi wizytówkę. Menedżer obiecał zająć się sprawą jak najprędzej i przesłać wyniki na policyjny adres e-mailowy Haucka.

Jadąc do domu, Hauck obmyślał plan działania. Jeśli się poszczęści, poszukiwania mustanga dadzą jakiś rezultat.

W przeciwnym razie wciąż dysponował wskazówkami, które zdobył w gabinecie Dietza.

Ruch na Major Deegan Expressway był powolny. W pobliżu stadionu Jankesów Hauck trafił na korek.

Wiedziony przecuciem wygrzebał z kieszeni numer telefoniczny banku na Karaibach, który znalazł u Dietza. W Saint Kitts. Gdy wystukiwał w komórce zagraniczny numer, zastanawiał się, czy to na pewno dobry pomysł. Równie dobrze facet mógł być opłacany przez Dietza. Ale skoro już sprawdzał mało obiecujące poszlaki...

Po chwili ciszy zabrzmiał ostry sygnał.

— First Caribbean — zgłosiła się kobieta o silnym wyspiar-
skim akcencie.

— Czy mogę z Thomasem Smithem? — spytał Hauck.

— Proszę poczekać.

Po krótkiej przerwie odezwał się mężczyzna:

— Thomas Smith, słucham.

— Nazywam się Hauck — powiedział policjant. — Jestem detektywem z policji w Greenwich w stanie Connecticut. W Stanach Zjednoczonych.

— Znam Greenwich — rzekł pogodnie mężczyzna. — Studiowałem niedaleko, na Uniwersytecie Bridgeport. W czym mogę panu pomóc?

— Próbuję kogoś znaleźć — wyjaśnił Hauck. — Jest obywatelem amerykańskim. Jedyne nazwisko, którym dysponuję, to Charles Friedman. Możliwe, że ma u państwa konto.

— Nic mi o tym nie wiadomo, żeby jakiś Charles Friedman miał tutaj rachunek — odparł kierownik banku.

— Proszę posłuchać, sprawa jest dość nietypowa. Ma mniej więcej sto siedemdziesiąt siedem centymetrów wzrostu. Szary. Jest średniej budowy. Nosi okulary. Istnieje możliwość, że przelał do państwa środki z banku na Tortoli. Może nie nazywa się obecnie Charles Friedman.

— Jak już mówiłem, proszę pana, nie ma tu właściciela

rachunku o takim nazwisku. Nie widziałem też nikogo odpowiadającego temu rysopisowi. Nevis to mała wyspa. Poza tym na pewno rozumie pan, dlaczego niechętnie wyjawilibym panu taką informację, nawet gdybym nią dysponował.

— Doskonale rozumiem. Ale to jest sprawa policyjna. Gdyby pan mógł popytać i sprawdzić...

— Nie muszę sprawdzać — odparł kierownik. — Już to zrobiłem. — Na dźwięk jego słów Hauck się wzdrygnął. — Jest pan już drugą osobą ze Stanów w ciągu tygodnia, która pyta o tego człowieka.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Michel Issa zmrużył oko, przyglądając się przez lupę błyszczącemu kamieniowi. Prawdziwa piękność. Lśniąca, kanarkowa żółć, fantastyczna luminescencja, co najmniej kategoria C. Kamień stanowił część większej partii zakupionej przez handlarza i był najwspanialszym okazem. Spoglądając przez lupę, Michel wiedział, że właściwy kupiec zapłaci za niego niebagatelną kwotę.

To jego specjalność.

Rodzina Issy zajmowała się diamentami od ponad pięćdziesięciu lat. Kiedy Michel był młody, wyemigrował z Belgii na Karaiby i otworzył sklep na Mast Street, po holenderskiej stronie Sint Maarten. Przez dziesięciolecia Issa et Fils sprowadzało wysokiej jakości kamienie prosto z Antwerpii, a także z kilku „szarych” rynków. Ludzie przyjeżdżali z całego świata — i to nie tylko pary ze statków wycieczkowych przed zaręczynami, choć takich klientów również obsługiwali, żeby zachować pozory. Przede wszystkim jednak ważni ludzie, tacy, którzy mieli coś do ukrycia. W tym fachu Michel Issa, podobnie jak wcześniej jego ojciec i dziadek, znany był jako *négociant*, który Potrafił trzymać język za zębami i był wystarczająco dyskretny, aby przeprowadzić prywatną transakcję niezależnie od skali.

Ponieważ po jedenastym września przepływ pieniędzy między bankami stał się jawny, w dzisiejszych czasach przekształcanie środków w bardziej namacalną — i łatwą do przewiezienia — postać stało się dochodowym biznesem. Szczególnie jeśli ktoś miał coś do ukrycia.

Michel odłożył lupę i przeniósł kamień na tackę z pozostałymi. Na zegarze była dziewiętnasta. Pora zamykać. Jego żona, Marte, przygotowała na kolację tradycyjne belgijskie danie z kielbasy i kapusty. Później, jak w każdy wtorkowy wieczór, mieli w planie grę w karty z kilkorgiem angielskich znajomych.

Michel usłyszał dźwięk dzwonka nad drzwiami. Westchnął. Za późno. Właśnie wysłał do domu sprzedawców. Nawet nie drgnął. Tu nie było przestępczości. Nie tego rodzaju. Każdy go znał, a co ważniejsze, znajdowali się na wyspie, otaczała ich woda. Nie było dokąd uciec. Mimo to sam siebie zganił za nieuprzejmość. Powinien był zamknąć drzwi.

— Monsieur Issa?

— Zaraz przyjdę — zawołał Michel.

Zerknął przez szybę do salonu i zobaczył, że przy drzwiach czeka krępy mężczyzna z wąsami, w ciemnych okularach na nosie.

Michel po raz drugi obrócił zamek pancерnej szuflady. Kiedy wszedł do sklepu, okazało się, że mężczyzn jest dwóch. Ten, który go wcześniej zawołał, podszedł do lady. Na ciemnej twarzy miał powściągliwy uśmiech. Jego towarzysz, wysoki, ubrany w plażową koszulę i czapkę z daszkiem, stał przy wejściu.

— Jestem Issa — powiedział Michel. — Czym mogę służyć?

Lewą nogę postawił niedaleko przycisku alarmowego za ladą, zauważywszy, że ten wyższy wciąż podejrzanie kręci się przy drzwiach.

— Chciałbym, żeby pan na coś spojrział, monsieur Issa — oświadczył ten z wąsami.

Sięgnął do kieszeni koszuli.

— Kamienie? — westchnął Issa. — Tak późno? Właśnie miałem wyjść. Czy nie moglibyśmy się umówić na jutro?

— Nie kamienie. — Tamten pokręcił głową. — Fotografii.

Fotografii. Issa popatrzył na niego spod przymkniętych powiek. Wąsacz położył na ładzie zdjęcie mężczyzny w garniturze. Krótkie, przyprószone siwizną włosy. Okulary. Fotografia wyglądała na wyciętą z jakiejś korporacyjnej broszury. Issa włożył okulary do czytania w drucianej oprawce i przyjrzał się zdjęciu.

— Nie.

Tamten pochylił się ku niemu.

— Fotografię zrobiono jakiś czas temu. Teraz ten człowiek może wyglądać inaczej. Może mieć krótsze włosy, nie nosić okularów. Podejrzewam, że kiedyś tu przyszedł z zamiarem przeprowadzenia transakcji. Taką transakcję na pewno by pan zapamiętał, monsieur Issa. Jestem o tym przekonany. W grę wchodziłaby bardzo duża kwota.

Michel nie od razu odpowiedział. Próbował ocenić, kim są ci ludzie. Zbagatelizował temat skromnym uśmiechem.

Mężczyzna z wąsami uśmiechnął się znacząco. Jednak coś w tym grymasie bardzo nie podobało się Issie.

— Panowie z policji? — spytał.

Z większością policjantów miał umowę. Z miejscowymi, nawet z Interpolem. Nie wchodziłi mu w paradę. Ale ci tutaj nie pasowali na gliniarzy.

— Nie, nie z policji. — Mężczyzna uśmiechnął się chłodno.

— Osoby prywatne. Przychodzimy w sprawie osobistej.

— Przykro mi. — Michel wzruszył ramionami. — Nie widziałem go tutaj.

— Jest pan całkiem pewien? Płaciliby gotówką. Albo może przelewem z First Caribbean Bank albo z Maartens Bank tu na wyspie. Jakies pięć, sześć miesięcy temu. Kto wie, może nawet potem jeszcze tu wrócił.

— Przykro mi — powtórzył Michel; konkrety zaczynały go niepokoić — nie poznaję go. A gdyby tu przyszedł, na pewno bym go pamiętał. A teraz, jeśli panowie pozwolą, muszę...

— W takim razie jeszcze coś panu pokażę — powiedział mężczyzna z wąsami, tym razem bardziej stanowczo. — Inne zdjęcie. Wie pan, jak to czasem działa. Może panu odświeży pamięć.

Wyjął z kieszeni koszuli jeszcze jedną fotografię i położył na blacie obok tamtej.

Michel znieruchomiał. Zaszło mu w ustach.

Drugie zdjęcie przedstawiało jego córkę.

Juliette mieszkała w Stanach. W Waszyngtonie. Wyszła za profesora z Uniwersytetu Jerzego Waszyngtona. Właśnie urodziła im się córeczka, Danielle. Pierwsza wnuczka Issy.

Nieznajomy mężczyzna obserwował, jak opanowanie Michela zaczyna słabnąć. Chyba czerpał z tego przyjemność.

— Zastanawiam się, czy to panu odświeżyło pamięć. — Uśmiechnął się szeroko. — Czy teraz poznaje pan tego mężczyznę. Bardzo ładna kobieta z tej pana córki. No i słyszałem od znajomych, że właśnie urodził się dzidzius. To powód do świętowania, monsieur Issa. Nie powinno się ich mieszać w takie paskudne sprawy, jeśli wie pan, co mam na myśli.

Issa poczuł skurcz w żołądku. Dokładnie wiedział, co tamten ma na myśli. Ich spojrzenia się spotkały. Michel opadł na stół, a twarz mu pobladła.

Kiwnął głową.

— To Amerykanin. — Opuścił wzrok i obliznął usta. — Tak jak pan mówił, teraz wygląda inaczej. Ma krótko przyszczyżone włosy. Wie pan, obecnie takie noszą młodzi ludzie. Miał tylko okulary przeciwsłoneczne, optycznych nie. Przyszedł tu dwukrotnie, za każdym razem z lokalnymi umowami bankowymi. Tak jak pan mówił, było to sześć, może siedem miesięcy temu.

— I w jakiej sprawie przychodził, monsieur Issa? — spytał mężczyzna z wąsami.

— Za każdym razem kupował kamienie. Wysokiej jakości. Najwyraźniej interesowała go zamiana gotówki na coś łatwiejszego w transporcie. Tak jak pan mówił, chodziło o duże kwoty. Raz zadzwonił do mnie z komórki. Nie podawał adresu. Chyba wspominał, że mieszka na łodzi. Był u mnie tylko te dwa razy. — Michel spojrzał na wásacza. — Nigdy więcej go nie widziałem.

— Nazwisko? — spytał tamten stanowczo, patrząc przy tym lodowato, choć jednocześnie się uśmiechał.

— Nigdy nie pytam o nazwiska — odrzekł Michel.

— Nazwisko? — powtórzył mężczyzna. Tym razem przycisnął przedramię handlarza. — Miał czek bankowy, który musiał być na kogoś wystawiony. Dokonał pan sporej transakcji. Musiał pan to zapisać.

Michel Issa zamknął oczy. Nie chciał tego robić. To pogwałcenie wszystkich zasad, którymi się kierował przez pięćdziesiąt lat. Rozumiał, kim są ci ludzie i czego chcą. Widział również determinację w oczach mężczyzny i wiedział, co będzie dalej. Jakież miał wybór?!

— Hanson. — Issa znowu zwilżył usta i odetchnął głęboko. — Steven Hanson, jakoś tak.

— Jakoś tak?

Tym razem tamten oplótł palce wokół jego pięści i ścisnął. To już bolało. Po raz pierwszy Michel naprawdę zaczął się bać.

— Właśnie tak się nazywał. — Issa spojrzał na mężczyznę. — Hanson. Nie wiem, jak się z nim skontaktować, przysięgam. Chyba mieszka na tej swojej łodzi. Mogę sprawdzić datę. To musi być gdzieś odnotowane w porcie.

Mężczyzna z wásami obejrzał się na kolegę. Mrugnął porozumiewawczo, jakby czuł się usatysfakcjonowany.

— Byłoby dobrze — powiedział.

— Więc wszystko w porządku, prawda? — spytał Michel nerwowo. — Nie musicie nas więcej nachodzić? Ani mojej córki?

— Czemuż mielibyśmy to robić? — Wąsacz uśmiechnął się szeroko do partnera. — Przyszliśmy wyłącznie po nazwisko.

Wkrótce potem Michel, wciąż roztrzęsiony, zamknął sklep i wyszedł. Przekręcił klucz w zamku tylnego wejścia. Właśnie tam trzymał niewielkie renault, na małym, prywatnym parkingu.

Otworzył drzwi auta. Nie podobało mu się to, co zrobił. Dzięki zasadom jego rodzina utrzymała się w tym fachu przez pokolenia. A on je złamał. Gdyby się wydało, wówczas wszystko, co przez lata wypracowali, runęłoby w gruzy.

Kiedy wsiadł do samochodu i właśnie miał zamknąć drzwi, poczuł potężną siłę, która naparła od tyłu. Został pchnięty na fotel pasażera. Silna dłoń gwałtownie przycisnęła mu twarz do skórzanej tapicerki.

— Przecież podałem wam nazwisko — jęknął Michel, serce mu łomotało. — Powiedziałem, co chcieliście wiedzieć. Mówiliście, że nie będziecie mnie już nachodzić.

Do tyłu głowy ktoś przycisnął mu twardy metalowy przedmiot. Michel usłyszał pstryknięcie odbezpieczanej broni. W panice pomyślał o Marte, która czekała na niego z kolacją. Zamknął oczy.

— Proszę, błagam, nie...

— Przykro mi, staruszk. — Terkotanie silnika renault zagłuszyło huk wystrzału. — Zmieniliśmy zdanie.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY

Pierwsze przysły dane z „Mustang World”. Spis nowych prenumeratorów, o który prosił Hauck.

Wrócił do domu i przejrzał długą listę nazwisk. Tysiąc sześćset siedemdziesiąt pięć osób. Całość miała kilka stron. Prenumeratory uszeregowani byli według kodu pocztowego, począwszy od Alabamy. Entuzjaści mustangów ze wszystkich stron świata.

Szlak bankowy, na który Hauck natrafił u Dietza, pozwalał przypuszczać, że Charles teraz przebywa na Karaibach lub w Ameryce Środkowej. Karen opowiadała, że tam żeglowali. Kierownik banku w Saint Kitts powiedział, że Charlesa szukał ktoś jeszcze. W którymś momencie również znajdzie dojdzie do tych banków.

Kartkując długą listę, Hauck zrozumiał jednak, że Charles może przebywać wszędzie. Jeśli w ogóle znajduje się w tym spisie...

Powoli zaczął czytać.

Potem zadzwonił do Joego Velko.

Agent Połączonej Międzyagencyjnej Grupy Specjalnej dopadł

Haucka w niedzielny poranek, kiedy ten właśnie podgrzewał porcje, naleśników dla Jessie, która spędzała u niego weekend. Gdy spytała o czerwone ślady na szyi i sztywny chód, Ty powiedział, że poślizgnął się na lodzi.

— Znalazłem dla ciebie trochę wyników — poinformował Joe. — Nic wielkiego. Przefaksuję ci, jeśli chcesz.

Hauck, w szortach i koszulce, podszedł do biurka. Usiadł i z łopatką w ręku obserwował, jak maszyna wypływa kolejno dwanaście stron danych.

— Słuchaj — powiedział mu Joe — nic nie obiecuję. Ogólnie może być tak, że na tysiąc trafień przypada jedno, które dokąś prowadzi. A i to oznacza wyłącznie tyle, że mamy co przekazać analitykom. Wszystkie korelacje z danymi wsadowymi nazywamy „alertami” i szeregujemy je według rangi. Od niskich przez średnie aż do wysokich. Znaczna część ląduje w tym pierwszym przedziale. Oszczędziłem ci większości metodologii i standardowych formułek. Zajrzyj może od razu na trzecią stronę.

Hauck wziął długopis i znalazł miejsce, o którym mówił Velko. Była tam ramka z nagłówkiem: „WYSZUKIWANIE AF12987543. ALERT”.

Joe wyjaśnił:

— To przypadkowe trafienia z internetowego biuletynu, które wykrył komputer. Z jakiegoś Carlyle Antique Car Auction w Pensylwanii. — Zachichotał. — To prawdziwa szpiegowska akcja. Widzisz wpis: „Mustang Emberglow tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt sześć. Stan: Doskonały. Mały przebieg. Osiemdziesiąt jeden i pół. Błyszczący! Frank Bottomly, Westport, Connecticut”?

— Widzę.

— Komputer wychwycił ten samochód i powiązanie z Connecticut. To miało miejsce w zeszłym roku. W zasadzie ktoś po prostu złożył zwykłe zapytanie w sprawie kupna. Jak widzisz, program przydzielił niską rangę. Tu jest sporo podobnych rzeczy. Zwykły szum. Możesz spojrzeć dalej.

Policjant przekartkował następnych parę stron. Kilka e-maili. Program monitorował prywatną korespondencję. Masa dyskusji na stronach poświęconych klasycznym autom, na blogach, eBayu, Yahoo. Wszystko, co wynalazł komputer, kierując się punktami odniesienia dostarczonymi przez Haucka. Kilka trafień na stronie Concours d'Elégance w Greenwich. Wszystko oznaczone rangą niskiego alertu. W Teksasie był nawet zespół rockowy o nazwie Ember Glow, który otwierał koncerty piosenkarza Kinky'ego Friedmana. Priorytet tego trafienia był opisany jako „ZERO”.

Podobne informacje ciągnęły się przez dwanaście stron. Jeden z e-maili dosłownie opowiadał o dziewczynie o imieniu Amber. Autor twierdził, że „ona lśni jak anioł”.

Nic o Charlesie Friedmanie. Nic z Karaibów.

Hauck poczuł rozczarowanie. Nie znalazł niczego, co można by dodać do listy z „Mustang World”.

— Tato!

W nozdrza Haucka uderzyła ostra woń. Jessie stała nad kuchenką w aneksie, a jej naleśniki dymiły.

— O cholera! Joe, poczekaj chwilę.

Hauck pobiegł do aneksu kuchennego i zrzucił naleśniki z patelni na talerz. Jego córka, rozczarowana, zmarszczyła nos.

— Dzięki.

— Zrobię nowe.

— Sytuacja wyjątkowa? — spytał Joe przez telefon.

— Tak, jedenastoletnia. Tata zepsuł śniadanie.

— Ta sprawa ma wyższy priorytet. Słuchaj, przejrzyj ten materiał. To dopiero pierwsza próba. Chciałem ci tylko dać znać, że nad tym pracuję. Gdyby pojawiło się coś nowego, zadzwonię.

— Dzięki, Joe.

ROZDZIAŁ SZEŚCIZIESIĄTY PIERWSZY

Karen zajechała lexusem na podjazd. Zatrzymała się przy skrzynce i opuściła szybę, żeby wyjąć pocztę. Samantha była w domu. Przed garażem stała jej acura.

Dla Sam były to ostatnie dni szkoły. W tym tygodniu kończyła naukę. Potem razem z Alekssem i rodzicami Karen lecieli do Afryki na safari. Karen też by chętnie pojechała, ale kiedy robiono rezerwacje, właśnie zaczynała prowadzić agencję nieruchomości, a teraz, przy tym wszystkim, co się działo, jakże mogłaby zostawić Tya samego. Poza tym, tłumaczyła sobie, cóż jest lepszego od sytuacji, gdy dzieci wyjeżdżają na taką przygodę z dziadkami?

Jak mówią w reklamach: bezcenne!

Karen sięgnęła przez okno samochodu i wyciągnęła pocztę. Jak zwykle pełno czasopism i rachunków, wezwań do spłacenia kart kredytowych. Kilka listów w sprawach działalności charytatywnej. Jednym z nich było zaproszenie z Muzeum Bruce'a. Muzeum miało fantastyczną kolekcję malarstwa amerykańskiego i europejskiego. Mieściło się tu, w Greenwich. Rok wcześniej Charliego wybrano do zarządu.

Przyglądając się kopercie, Karen odpłynęła myślami do zeszłorocznej imprezy. Zdała sobie sprawę, że to było zaledwie

na dwa miesiące przed zniknięciem Charliego. Na przyjęciu obowiązywały smokingi, a wystrój nawiązywał do wesołego miasteczka. Charlie zarezerwował stół. Zaprośili Ricka i Paulę, matkę Charliego z Pensylwanii oraz Saula i Mimi Lennicków. (Charlie wymógł na Saulu pokazny datek). Karen pamiętała, że jej mąż musiał tamtego wieczoru wyjść na scenę w smokingu i wygłosić przemówienie. Była z niego wtedy taka dumna.

We wspomnieniach pojawił się ktoś jeszcze. Jakiś Rosjanin z miasta, którego nigdy wcześniej nie spotkała, ale Charlie najwyraźniej dobrze go znał i nakłonił do złożenia darowizny w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

Pamiętała, że był czarujący: ogorzały, wielki jak byk, z gęstą, czarną czupryną. Klepał Charliego po policzku, jakby byli starymi przyjaciółmi, mimo że Karen nigdy wcześniej nawet o nim nie słyszała. Powiedział, że gdyby wiedział, iż Charles ma tak atrakcyjną żonę, z chęcią dokonałby większej wpłaty. Na parkiecie Charlie wspomniał, że facet był właścicielem największej prywatnej łodzi żaglowej na świecie. Powiedział, że to oczywiście finansista, gruba ryba — znajomy Saula. Jego żona miała brylant wielkości zegarka Karen. Rosjanin zaprosił ich wszystkich do swego domu na prowincji. To raczej pałac, powiedział Charlie, co jej wydało się dziwne. „Byłeś tam kiedyś?” — zapytała. „Tak tylko słyszałem”. Wzruszył ramionami i tańczył dalej. Karen pamiętała swoją myśl, że nawet nie ma pojęcia, skąd on zna tego faceta.

Później, w domu, już po północy, poszli na spacer wzdłuż plaży — on wciąż w smokingu, a ona w sukni. Wzięli ze sobą na wpół opróżnioną butelkę szampana, którą zabrali ze stolika. Popijali z niej na zmianę jak para nastolatków, zdjęli buty, a Charles podwinął nogawki i usiedli na skałach, by patrzeć na dalekie światła Long Island po drugiej stronie cieśniny.

— Kochanie, taka jestem z ciebie dumna — powiedziała Karen, leciutko podpita, ale w pełni świadoma, co mówi.

Objęła go za szyję i pocałowała, przeciągle, z miłością. Ich gołe stopy stykały się na piasku.

— Jeszcze rok albo dwa i będę się mógł z tego wypłatać — odparł. Miał rozwiązany krawat. — Pojedziemy dokądś.

— Uwierzę, jak zobaczę — powiedziała Karen ze śmiechem.

— Nie chraźń, Charlie, przecież ty to kochasz. Poza tym...

— Mówię poważnie.

Gdy się odwrócił, twarz miał nagle bladą i wymizerowaną. W jego spojrzeniu była rezygnacja, której Karen nigdy dotąd nie widziała.

— Ty nie rozumiesz...

Przysunęła się bliżej i odgarnęła mu włosy z czoła.

— Czego nie rozumiem, Charlie?

Znów go pocałowała.

Kilka miesięcy później zniknął.

Karen zaciągnęła hamulec ręczny. Siedziała w aucie przed domem, usiłując powstrzymać nagły, niewyjaśniony napływ łez.

Czego nie rozumiem, Charlie?

Że całe życie zatajałeś przede mną prawdę o tym, kim jesteś? Że kiedy codziennie chodziłeś do biura, jeździłeś ze mną w weekendy do supermarketu, kibicowałeś Aleksowi i Sam na meczach, cały czas planowałeś nas zostawić? Że być może przyłożyłeś rękę do zabójstwa dwóch niewinnych ludzi? W imię czego? Kiedy to się zaczęło? Kiedy człowiek, któremu się oddałam, obok którego spałam przez te wszystkie lata, z którym się kochałam i którego kochałam całym sercem, zmienił się w kogoś, kogo powinnam się bać? Kiedy to się zmieniło?

Czego nie rozumiem?

Otarłszy oczy, zebrała stosik listów i magazynów, który miała na kolanach. Znów wrzuciła bieg i ruszyła do garażu. Właśnie wtedy zauważyła coś, co wyróżniało się spośród całej korespondencji — dużą, szarą kopertę, zaadresowaną na jej nazwisko. Stanęła przed garażem i otworzyła ją, zanim wysiadła z auta.

To była przesyłka z Uniwersytetu Tuftsa, gdzie Sam w sierpniu zaczynała naukę. Na kopercie nie było logo identyfikacyjnego. To jedynie broszura przedstawiająca szkołę, taka, jaką otrzymuje się na początku procesu kwalifikacyjnego.

Na przodzie napisano kilka słów. Długopisem.

Gdy Karen je przeczytała, zamarła.

ROZDZIAŁ SZEŚCÍDZIESIĄTY DRUGI

Następnego dnia Hauck i Karen umówili się na spotkanie. Wybrali lokal Arcadia Coffee House, mieszczący się w bocznej ulicy, niezbyt daleko. Kiedy przyjechała, Hauck siedział już przy stoliku. Karen pomachała mu na powitanie, po czym poszła do baru, żeby zamówić latte. Dołączyła do Tya przy oknie na tyle kawiarni.

— Jak bok? Uniósł ramię.

— Nie ma o czym mówić. Dobrze się spisałaś.

Uśmiechnęła się, słysząc komplement, lecz jednocześnie rzuciła mu spojrzenie pełne przygany.

— I tak powinien na to spojrzeć lekarz.

— Mam parę rezultatów — powiedział, zmieniając temat. Podsunął jej kopię spisu prenumeratorów „Mustang World”.

Karen przewróciła kilka stron i wydeła policzki, zniechęcona rozmiarami listy.

— Udało mi się to trochę zawęzić. Chyba można spokojnie przyjąć, że Charles wyjechał z kraju. Jeśli trzyma środki na Karaibach, to w pewnym momencie musiał do nich sięgnąć. W samym stanie Floryda jest sześćdziesiąt pięć nowych nazwisk, za granicą kolejne sześćdziesiąt osiem. Z tego trzy w Kanadzie,

cztery w Europie, dwa w Azji i cztery w Ameryce Południowej, więc możemy o nich zapomnieć. Dwadzieścia osiem w Meksyku, Ameryce Środkowej i na Karaibach.

Hauck zaznaczył je wcześniej żółtym mazakiem.

Karen oplotła dłonie wokół kubka z kawą.

— Dobrze.

— Mam znajomego, który jest prywatnym detektywem. To od niego uzyskałem te informacje o zagranicznej firmie Charliego na Tortoli, które ci pokazywałem. Z miejsca wyeliminowaliśmy cztery nazwiska. Hiszpańskie. Sześć kolejnych pozycji to firmy: salony samochodowe i dostawcy części. Poprosiłem, żeby poszukał danych finansowych pozostałych.

— I co znaleźliście?

— Kolejnych sześć osób wykreśliliśmy z powodów takich jak długość pobytu i szczegóły zebrane z kart kredytowych. Następnych pięciu mężczyzn jest żonatych, więc jeśli Charlie przez ostatni rok naprawdę ostro nie wziął się do roboty, to chyba ich również można spokojnie wykreślić.

Karen uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

— Pozostaje jedenastu.

Hauck zaznaczył ich nazwiska na każdej stronie. Robert Hopewell, mieszkający na Shady Lane na Bahamach. Niejaki F. March — na Kostaryce. Karen zatrzymała się przy tej pozycji. Ona, Charles, Paula i Rick raz tam byli. Dennis Camp, zamieszkały w Caracas w Wenezueli. Niejaki Steven Hanson, korzystający ze skrytki pocztowej w Saint Kitts. Alan O'Shea z Hondurasu.

Jeszcze pięciu.

— Czy któreś z tych nazwisk wydaje ci się znajome? — spytał Hauck.

Karen przejrzała całą listę i pokręciła głową.

— Nie.

— Kilka osób podało także numery telefonów. Nie wyobrażam sobie, żeby zrobił tak ktoś, kto chce pozostać niewidzialny. Większość adresów to po prostu skrytki pocztowe.

— Zakładając, że on w ogóle jest na tej liście.

— Zakładając, że jest. — Hauck westchnął i kiwnął głową. — Mamy jeden atut w ręku: Charles nie przypuszcza, by ktokolwiek podejrzewał, że on żyje. — Spojrzał na Karen. — Ale zanim przyjdzie ci do głowy zadzwonić, jest jeszcze kilka możliwości.

— Nie o to chodzi.

Karen niespokojnie pokiwała głową i potarła skroń.

— Co się stało?

— Muszę ci coś pokazać. — Sięgnęła do torebki. — W zeszłym tygodniu, kiedy kazałeś mi przeszukać szpargały Charlesa, głęboko w jego szufladzie znalazłam kilka rzeczy. Powinam była ci je pokazać już wtedy, ale były stare i mnie przeraziły. Nie wiedziałam, co robić. To coś sprzed zamachu.

— Pokaż.

Karen wyjęła je z torebki. Jedną z tych rzeczy była karteczka, wciąż w maleńkiej kopercie. Hauck ją otworzył. To taka kartka, którą dołącza się do przesyłek kwiatowych.

Przykro mi z powodu psiaka, Charles. Czy następne mogą być twoje dzieci?

Policjant podniósł wzrok na Karen.

— Chyba nie rozumiem.

— Zanim zginął — kobieta zwilżyła usta — to znaczy odszedł... mieliśmy drugą westie, Sashę. Przejechał ją samochód na naszej ulicy. Tuż przed domem. To było straszne. Właśnie Charlie ją znalazł. Kilka tygodni przed zamachem...

Hauck znów popatrzył na liścik. Grozili mu!

— I jeszcze to...

Karen posunęła po blacie coś kolejnego. Potarła czoło, oczy miała zmęczone.

Była to kartka świąteczna. Fotografia przedstawiała ich rodzinę. W szczęśliwszych czasach. *Od Friedmanów*. Charlie

w niebieskiej kamizelce z polaru i koszuli z dzianiny obejmował ramieniem Karen, ubraną w wiatrówkę i dżinsy. Siedzieli na drewnianym płotku gdzieś na wsi. Kobieta promieniała i wyglądała na bardzo dumną. Była ładna. *Z najlepszymi życzeniami świątecznymi na Nowy Rok...*

Hauck skrzywił się, jakby ktoś przyłożył mu z całej siły w brzuch.

Twarze Samantha i Aleksa wycięto.

Podniósł wzrok.

— Ty, ktoś groził Charliemu. Rok temu. Zanim on odszedł. Charlie to ukrywał. Nie wiem, co zrobił, ale jestem pewna, że to ma związek z ludźmi z Archera i pieniędzmi za granicą.

Ktoś rzeczywiście mu groził, pomyślał Hauck. Położył kartki jedną na drugiej i oddał je Karen.

— A wczoraj dostałam to. — Kobieta sięgnęła do torebki i wyjęła coś jeszcze, tym razem dużą, szarą kopertę. — W poczcie.

Miała zatroskane spojrzenie. Hauck otworzył kopertę kciukiem i wysunął zawartość. Była to broszura. Z Tufta. Pamiętał, że jesienią Sam jechała tam na studia.

Na przodzie ktoś coś napisał. Tym samym pochyłym piśmem co na karteczce od kwiatów:

Karen, wciąż jesteś nam winna kilka odpowiedzi. Nikt nie odszedł. Wciąż tu jesteśmy.

— Ty, oni grożą moim dzieciom. Nie pozwolę na to.

Położył rękę na jej dłoni.

— Tak. Nie pozwolimy.

ROZDZIAŁ SZEŚCÍDZIESIĄTY TRZECI

Komórka Haucka zadzwoniła właśnie wtedy, gdy zbierał się do wizyty u komendanta Fitzpatricka, żeby poprosić o ponowne postawienie radiowozu przed domem Karen.

— Joe?

— Słuchaj — powiedział Joe — mam tu coś ważnego. Właśnie wysyłam faksem.

Kartki zaczęły się wysuwać z urządzenia, zanim jeszcze Hauck wrócił do biurka.

— To zapis serii rozmów ze strony internetowej entuzjastów motoryzacji — wyjaśnił Velko. — Pierwsza korespondencja jest z lutego. — Przed trzema miesiącami. Sądząc po głosie, Joe był podekscytowany. — Chyba coś mamy.

Hauck zaczął czytać, gdy tylko wyszarpnął kartki z faksu. Nagłówek na pierwszej stronie głosił: „ALERT”. W ramce znajdował się numer zapisu oraz data: dwudziesty czwarty lutego. Był również spis „fraz kluczowych”, które podał Hauck: „Ford Mustang 1966. Emberglow. Greenwich, Connecticut. Concours d'Elégance, Maleństwo Charliego”. Kilka ulubionych określeń Charlesa.

W ramce rangi alertu wpisano: „WYSOKI”.

Hauck usiadł przy biurku i zaczął czytać. Nadzieja przyspieszała mu puls.

KlassicKarMania.com:

Mal784: Cześć, zamienię mustanga '66 Emberglow na merca 230 kabrio z '69. Ktoś zainteresowany?

DragsterB: W zeszłym roku widziałem takiego na filmie z Sandrą Bullock. Ślicznotka.

Xpgma: Samochód czy laska?

DragsterB: Bardzo śmieszne, koleś.

Mal784: *Dom nad jeziorem*, oglądałem. Tylko że mój to kabriolet, GT. 100000 kilometrów na liczniku. 280 koni. Stan prawie ideał. Ktoś zainteresowany? Biorę 38,5 tysiąka.

DragsterB: Znam kogoś, kto by się zainteresował.

SunDog: Gdzie ten samochód?

Mal784: Na Florydzie. Boynton Beach. Rzadko jeżdżony.

SunDog: Może. Sam takiego miałem. Na północy. Jaki kod VIN? C czy K?

Mal784: K. Dobrze osiągi. Mucha nie siada.

SunDog: A wnętrze?

Mal784: Skóra Pony, oryginał. Radio też oryginał. Nie ma ani jednej ryski. Człowiek nie może żyć bez tych cacek, no nie?

SunDog: Musiałem mojego sprzedać. Przeprowadziłem się. Kiedyś go wystawiałem na zlotach.

Mal784: Gdzie?

DragsterB: To prywatna rozmowa? Ma ktoś może zamiar na komplet felg Cragera 16 cali???

SunDog: W paru różnych miejscach. Stockbridge w Massachussets. Concours w Greenwich. Raz niedaleko ciebie, w Palm Beach.

Mal784: Ej, ty tu kiedyś nie bywałeś? Ale z inną ksywą. CharlieBoy albo coś takiego, nie?

SunDog: Zmiana w życiu, stary. Pokaż samochód.
Wrzuć fotkę.

Mal784: Daj mi adres.

SunDog: Mai, wrzuć na stronę. Obejrzę.

To wszystko. Hauck ponownie przeczytał tę korespondencję. Wszystko mu podpowiadało, że jest na właściwym tropie. Przerzucił stronę. Zobaczył kolejną rozmowę. Z dziesiątego marca.

Mal784: Gównu wiesz o mustangach, koleś. Sprawdź sobie numer VIN. K mają większą moc silnika. Więcej kosztują. Ty masz J. 27-28 tysięcy, nie więcej.

OpieS: Dobra, sprawdzę.

Mal784: Czegoś się nauczysz. Niektórzy to nawet nie wiedzą, co mają.

SunDog: Ej, Mai, masz jeszcze tego Ember Głowa???

Mal784: Cześć!!! Patrzcie, kogo przywiało. Co z tobą było, stary? Wrzuciłem fotkę, jak chciałeś. Nie odpisałeś.

SunDog: Widziałem. Odlotowa maszyna, bez gadania. Nie pofarciło się, co? Zresztą to teraz nie na moje życie.

Mal784: Możemy się potargować. Mam to we krwi.

SunDog: Nie o to chodzi. Teraz więcej jestem na morzu niż na lądzie. No i musiałbym go tu jakoś przeprowadzić przez kontrolę celną.

Mal784: Gdzie?

SunDog: Karaiby. Nieważne. Tutaj by tylko rdzewiał na słońcu. Ale może się jeszcze zgłoszę. Dzięki.

Mal784: Jak się spóźnisz, to będziesz sobie pluł w brodę, stary. Wystawiam go na aukcję.

SunDog: Facet od krótkich sprzedaży życzy powodzenia. Do następnego. Będę zaglądał.

OpieS: Hej, właśnie sprawdziłem. A VIN, który się zaczyna od N?

— Przeczytałeś już? — spytał Joe Velko.

Hauck przekartkował wydruk.

— Tak. Chyba trafiliśmy w sedno. Więc jak namierzemy tego gościa, SunDoga?

— Już sprawdziłem jego numer IP na serwerze strony. Ty, rozumiesz, że robię to tylko dla ciebie, prawda?

— Wiem o tym, Joe.

— Zwróciłem się do administratorów. Nie stawiali zbyt dużego oporu. Niesamowite, co może załatwić agencja rządowa po jedenastym września, nawet bez wezwania sądowego. Masz długopis?

Hauck zaczął grzebać na biurku.

— Już się czuję bezpieczniej. Dawaj.

— SunDog to tylko nazwa użytkownika. Skojarzyliśmy ją z adresem e-mailowym, który nam podali.

Oilman0716@hotmail.com.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY CZWARTY

Hauck skoncentrował się na pseudonimie. Oilman. Nie potrzebował innych dowodów, już wiedział, że go znaleźli. Był święcie przekonany, że to Charles.

— Czy ten adres da się namierzyć?

— Tak... i nie. Jak wiesz, Hotmail oferuje darmowe konta pocztowe. Dlatego do rejestracji wystarczy nazwisko, ale nie musi nawet być prawdziwe. Ani adres. Ale możemy się skontaktować z administratorami i dowiedzieć, co wpisał w formularzu. Poza tym jest historia korespondencji, na której możemy się oprzeć. Nie możemy natomiast wskazać konkretnego miejsca, gdzie przebywa.

Hauck poczuł przypływ optymizmu.

— Dobra...

— Wygląda na to, że łączył się z rejonu Karaibów. Ale nie z określonego miejsca, tylko przez sieci bezprzewodowe. Między innymi na Sint Maarten, na terenie Brytyjskich Wysp Dziewiczych, nawet w Panamie.

— Facet podróżował?

— Może. Albo pływał łodzią. Łodzią. To chyba miało sens.

— Czy chociaż możemy to jakoś zawęzić?

— W swoim czasie. Możemy zorganizować monitoring,

śledzić aktywność na koncie i namierzyć miejsce pochodzenia. Ale do tego potrzeba ludzi. I formalności. I zaangażowania innych państw. Rozumiesz, co chcę powiedzieć. Domyślam się, że nie masz na to ochoty, prawda?

— Prawda — przyznał Hauck. — Jeśli tylko można tego uniknąć.

— Tak myślałem. Oto druga możliwość: przez ludzi z Hotmaila zdobyliśmy dane z formularza. Tyle mogłem zrobić, ale dalej musisz sobie radzić sam.

— Świetnie!

— Adres użytkownika to skrytka pocztowa na głównej poczcie wyspy Sint Maarten na Karaibach. Zrobiłem wszystko, co dało się zrobić bez angażowania osób trzecich, i to sprawdziłem. Skrytka jest zarejestrowana na niejakiego Stevena Hansona. Mówi ci to coś?

— Hanson? — W pierwszej chwili miał pustkę w głowie, ale potem coś zaskoczyło. — Poczekaj sekundkę...

Obrócił się w fotelu i zaczął przetrząsać stertę papierów. Wreszcie znalazł.

Listę nowych prenumeratorów „Mustang World”.

Zawęził ją do garstki nazwisk. Z całego regionu: Panama, Honduras, Bahamy, Brytyjskie Wyspy Dziewicze... Przejrzenie spisu zajęło kilka sekund. Hopewell, March, Camp, O'Shea.

Był wśród nich!

S. Hanson. Data prenumeraty: siedemnasty stycznia. W tym roku! Podano jedynie skrytkę pocztową na Saint Kitts.

Steven Hanson.

Hauckowi puls przyspieszył. Miał już pewność.

Steven Hanson to Oilman0716. A Oilman0716 to musiał być Charles. Zbyt wiele pasowało.

Samochód. Concours. Krótkie frazy. Karen miała raję. Tej jednej, jedynej części samego siebie nie mógł zmienić. Jego małżeństwo.

Znaleźli go!

ROZDZIAŁ SZEŚCÍDZIESIĄTY PIĄTY

Zabrział dzwonek do drzwi i kiedy Karen je otworzyła, znieruchomiała zaskoczona.

— Ty...

Samantha była w kuchni. Pałaszowała jogurt i oglądała telewizję. Alex przerzucił nogi przez oparcie kanapy w pokoju dziennym i na zmianę to stękał, to wybuchał radością, grając w najnowszą grę na Wii.

Hauck był rozpromieniony.

— Karen, muszę ci coś pokazać — oznajmił z niecierpliwością.

— Wejdz do środka.

Karen wciąż starała się osłaniać dzieci przed tym, co się działo — ukrywać swą zmienność nastroju, zmartwienie, które obecnie stale uwidaczniało się na jej twarzy. Desperackie przeglądanie po nocy starych rzeczy Charlesa.

Lecz to była walka z góry skazana na porażkę. Przecież oni nie byli głupi. Widzieli jej nietypową rozwagę, napięcie, widzieli, że była nieco bardziej nerwowa niż kiedykolwiek. Niezapowiedziana wizyta Tya tylko by wzmocniła podejrzenia.

— Chodź tutaj — powiedziała Karen, prowadząc go do kuchni. — Sam, pamiętasz porucznika Haucka?

Dziewczyna, która siedziała na stołku z podkurczonymi nogami, ubrana w spodnie od dresu i koszulkę Greenwich Huskies, podniosła wzrok, a na jej twarzy malowała się mieszanka zaskoczenia i dezorientacji.

— Dzień dobry.

— Miło cię znowu widzieć — powiedział Hauck. — Słyszałem, że szykujesz się do wręczenia świadectw?

— Tak jest. W przyszłym tygodniu. — Kiwnęła głową.

Rzuciła Karen szybkie spojrzenie.

— Jedziesz na studia do Tuftsa, prawda?

— Tak. Nie mogę się doczekać. Co się stało?

— Skarbie, muszę chwilę porozmawiać z panem porucznikiem. Może sobie pójdziemy...

— Nie trzeba. — Sam zeszła ze stołka. — Już wychodzę. — Wrzuciła kubeczek po jogurcie do śmieci, a łyżeczkę do zlewu. — Miło pana znów widzieć — powiedziała do Haucka, po czym odchyliła głowę w stronę Karen i zmrużyła oczy, jakby chciała powtórzyć: Co się stało?

Hauck jej pomachał.

— Ciebie też.

Karen wyłączyła telewizor i zaprowadziła Tya na oszkloną werandę.

— Chodźmy tutaj.

Usiadła na rogu kanapy w kwiatowe wzory. Ty spoczął obok w obitym fotelu. Karen miała włosy związane w koński ogon, a ubrana była w stary, popielaty T-shirt Texas Longhorns. Nie miała makijażu. Wiedziała, że wygląda jak nieszczęście. Mimo to rozumiała, że Hauck nie przyjechałby niezapowiedziany wieczorem, gdyby nie chodziło o coś ważnego.

— Wiedzą? — spytał.

— O tym, co znalazłam w poczcie? — Karen pokręciła głową.

— Nie. Nie chcę ich martwić. W przyszłym tygodniu na rozdanie świadectw przyjeżdżają moi rodzice. I mama Charliego z Pensylwanii. Parę dni później Sam i Alex jadą z moimi rodzicami

na safari do Afryki. W ramach prezentu dla Sam na ukończenie szkoły. Dużo lepiej się poczuje, kiedy ich już wsadzę do samolotu. Ty pokiwał głową.

— Na pewno. Posłuchaj... — Wyciągnął z kurtki jakieś papiery. — Przepraszam, że w ten sposób ci zawracam głowę. — Położył je przed nią na stoliku. — Powinnaś to sama przeczytać.

Ostrożnie spojrzała na papiery.

— Co to?

— Zapis dwóch rozmów w Internecie. Z jednej ze stron motoryzacyjnych, które odwiedzał twój mąż. Z lutego i marca. Trafiła na nie ekipa, której podałem informacje od ciebie.

Karen zjeżyły się włoski na ramionach.

Zaczęła czytać. Embergłow. Concours. Greenwich. Bicie serca przyspieszało z każdą kolejną znajomą frazą, którą napotykała. Nagle dotarło do niej, co to jest. SunDog. Wzmianka o odmianie życia, o pobycie na Karaibach. Nawiązanie do jego dawnego pseudonimu: CharlieBoy.

Karen miała wrażenie, że niewidzialna, lodowata dłoń ścisnęła ją za serce i nie puszcza. Bardzo długo przyglądała się pseudonimowi. Potem podniosła wzrok.

— Uważasz, że to Charlie, prawda?

— Uważam, że strasznie dużo rzeczy brzmi bardzo znajomo — odparł.

Karen wstała. Zaczynała się denerwować. Do tej pory czuła się bezpieczniej ze świadomością, że to wszystko to jakaś abstrakcyjna łamigłówka. Twarz Charliego na ekranie, skrytka bankowa w Nowym Jorku. Nawet przerażająca śmierć jego pracownika, Jonathana... Wszystko prowadziło w jakimś mglistym kierunku, w stronę czegoś, z czym, jak myślała, nigdy nie będzie się musiała zmierzyć.

Ale teraz... Serce jej łomotało. SunDog. Potrafiła sobie wyobrazić, że wymyślił coś takiego. Teraz pojawiła się możliwość,

że to wszystko zdarzyło się naprawdę. Czytała słowa i zdania, które być może wypowiedział, i niemalże słyszała jego głos — znajomy, żywy. Gdzieś tam — robił takie same rzeczy, prowadził takie same rozmowy jak kiedyś z nią. Poczowała pulsowanie w skroniach.

— Ty, nie wiem, co mam z tym zrobić.

— Mój człowiek namierzył ten pseudonim. SunDog korzysta z darmowej skrzynki pocztowej. Na Hotmailu. Nie jest zarejestrowana na żadne nazwisko. Podał tylko skrytkę pocztową na wyspie Sint Maarten. Na Karaibach.

Karen wstrzymała oddech i kiwnęła głową.

— Skrytkę zarejestrowano na nazwisko Steven Hanson.

— Hanson? — Karen wyglądała na zaniepokojoną.

— Mówi ci to coś?

— Nie.

Hauck wzruszył ramionami.

— Bo nie powinno. Ale ja je z czymś skojarzyłem. Sprawdziłem na liście prenumeratorów „Mustang World”. — Podał jej kolejną kartkę. — Patrz, tutaj jest S. Hanson. Nie ma adresu, tylko skrytka pocztowa. Tym razem na Saint Kitts.

— To jeszcze nie znaczy, że to on — powiedziała Karen. — Po prostu ktoś stamtąd interesuje się samochodami. Takich osób może być dużo.

— I to ktoś, kto bardzo dba o nierzucanie się w oczy. Skrytki pocztowe, pseudonimy. Sprawdziłem kartę kredytową na to nazwisko. Wiesz, z jakim rezultatem? Żadnym.

— To dalej nie oznacza, że chodzi o Charlesa! — W głosie Karen brzmiała nuta desperacji. — Dlaczego? Dlaczego to robisz, Ty? Dlaczego rzuciłeś pracę? — Wróciła do kanapy, usiadła na poręczy i wbiła w niego wzrok. — Co ty z tego masz? Dlaczego, do cholery, mnie do tego zmuszasz?

— Karen...

Hauck położył dłoń na jej kolanie i lekko ścisnął.

— Nie! — Odsunęła się.

Karen przez chwilę myślała, że zaraz się rozplacze. Chciała, żeby ją objął.

— Mówiłeś, że znalazłeś adres e-mailowy.

— Tak.

Hauck podał jej skrawek papieru. Wzięła go drżącymi palcami.

Oilman0716@hotmail.com.

Kilkakrotnie przeczytała ten ciąg znaków. Powoli docierała do niej prawda.

Następnie podniosła wzrok i spojrzała na Haucka lekko skrzywiona, jakby coś ją użądliło, jakby była ranna.

— Oilman...

Pociągnęła nosem. Przez moment poczuła się podniesiona na duchu, lecz jednocześnie rozczarowana. Piekły ją zażawione oczy.

— To on. — Pokiwała głową. — To Charlie.

— Jesteś pewna?

— Tak. — Głośno odetchnęła, jakby zbierała się w sobie, szykując na gwałtowny przyływ łez. — Tych cyfr, zero siedem jeden sześć, zawsze używaliśmy jako hasła. To data naszej rocznicy: szesnasty lipca... Wtedy wzięliśmy ślub. W osiemdziesiątym dziewiątym roku. Ty, to jest Charlie.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SZÓSTY

W domu było ciemno. Karen siedziała w gabinecie Charliego. Dzieci już dawno zamknęły drzwi swoich pokoi i poszły spać.

Karen wciąż wpatrywała się w ten adres: Oilman0716.

Na zmianę ogarniały ją gniew i niepewność. Była wściekła, ale niezdecydowana, co robić dalej. Nawet nie zdawała sobie sprawy, co czuje w głębi duszy. Im dłużej przyglądała się jednak znajomym cyfrom, tym bardziej była przekonana, że to Charlie.

I ta świadomość czegoś ją pozbawiła. Ostatniej isierki wiary w męża, wciąż się w niej tłącej. Wiary w życie, które wiedli. Ostatniej nadziei.

Charlie, ty sukinsynu...

Napisać do niego? Nie wiedziała, co w ogóle mogłaby mu powiedzieć.

Jak mogłeś, Charlie? Jak mogłeś nas tak zostawić? Stawaliśmy zespół. Byliśmy pokrewnymi duszami, prawda? Czyż ciągle nie powtarzaliśmy, że się uzupełniamy? Jak mogłeś zrobić te straszne rzeczy?

Miała wrażenie, że jej głowa waży sto kilo. Pomyślała o AJ Raymondzie i Jonathanie Lauerze. O zabójstwach, w które zamieszany był jej mąż. Czuła obrzydzenie, robiło jej się niedobrze.

Czy to wszystko prawda?

Przez ostatni rok stopniowo pogodziła się z faktem, że jej mąż nie żyje. Zrobiła wszystko, co było konieczne. A teraz wrócił. Żył — tak samo jak ona żyła.

Mogła mu stawić czoło.

Oilman0716.

Cóż mogłaby napisać?

Czy żyjesz, Charlie? Czytasz te słowa? Czy wiesz, co ja czuję? Co wszyscy byśmy czuli, gdyby dzieci się dowiedziały? Wiesz, jak bardzo mnie zraniłeś? Jak zdeprecjonowałaś wszystkie wspólnie spędzone lata? Charlie, jak...?

Zalogowała się na swoje konto w AOL. KFried111. Dwukrotnie zebrała się na odwagę, by wpisać jego adres. Oilman.

Potem się zatrzymywała.

Co mogła zyskać, otwierając te drzwi? Charles powie, że mu przykro. Przyzna, że był kimś innym niż człowiek, którego znała. Że robił to wszystko — żyjąc z nią, spiając z nią. Planował ucieczkę. Będzie się tłumaczył, że kiedyś naprawdę ją kochał, ich kochał...

Po co? Co mogła zyskać? Po co znów wciągać w to rodzinę? Tym razem byłoby jeszcze gorzej.

Po jej policzku spłynęła piekąca łza. Łza pełna wątpliwości, oskarżycielska. Przyglądając się adresowi na ekranie, Karen zaczęła płakać.

— Mamo?

Podniosła wzrok. W drzwiach stała Samantha, w majtkach i zbyt dużym T-shircie z Michigan.

— Mamo, co się dzieje? Co tu robisz po ciemku?

Karen otarła łzę.

— Nie wiem, kochanie.

— Mamo, o co chodzi? — Sam podeszła i klękła obok niej.

— Co robisz przy biurku taty? Nie możesz mi wmawiać, że to nic takiego. Od ponad dwóch tygodni coś cię gnębi. — Położyła dłoń na ramieniu Karen. — Chodzi o tatę, prawda? Wiem, że

tak. Ten policjant znów tu był. A teraz przed domem stoi samochód. Mamo, co się dzieje, do diabła? Spójrz tylko na siebie, ty płaczesz. Ci ludzie znów nas nachodzą, prawda, mamo?

Karen skinęła głową i nabrała powietrza.

— Znowu przysłali list — powiedziała, ocierając mokre oczy.

— Kochanie, ja tylko chcę, żebyś miała swój dzień i żebyśmy wszyscy byli z ciebie dumni. Zasłużyłaś na to. A potem jedź na tę wycieczkę.

— A co później? Co takiego zrobił tata? Mamo, możesz mi powiedzieć. Nie mam sześciu lat.

Jak? Jakże mogła jej powiedzieć? Całą prawdę? W pewnym sensie odebrałaby jej niewinność, ciepłe wspomnienia o ojcu. Opłakiwali go i pożegnali. Nauczyli się żyć bez niego. Charlie, niech cię szlag, kipiała Karen. Dlaczego teraz mnie do tego zmuszasz?

Przytuliła córkę i odetchnęła głęboko.

— Sam, możliwe, że tata coś zrobił. Możliwe, że zarządzał czyimiś pieniędzmi. Złych ludzi. Za granicą. Nielegalnie. Nie wiem, kim są, ale teraz chcą zwrotu.

— Zwrotu czego?!

— Brakujących pieniędzy, kochanie. Które być może stracił tata. To właśnie tę wiadomość kazali ci wtedy przekazać.

— Jak to chcą pieniędzy? Przecież tata nie żyje!

Karen posadziła córkę na kolanach i mocno uścisnęła, tak jak wtedy, gdy Samantha była mała. Nawet tak samo wciągnęła nosem jej świeży zapach. Zadrżała na myśl o tym, co miała teraz powiedzieć.

— Tak, kochanie, tata nie żyje. — Kiwnęła głową.

— Czegoś mi nie mówisz, prawda, mamo? Wiem, że tak. Ostatnio ciągle chodzisz do piwnicy i grzebiesz w jego starych rzeczach. A teraz siedzisz tutaj, w środku nocy, w jego gabinecie, przy jego komputerze. Tata nie zrobiłby nic złego. Był dobrym człowiekiem. Widziałam, jak pracował. Widziałam, jacy

byliście wobec siebie. Nie ma go tutaj i nie może się bronić, więc my to musimy zrobić. Nigdy nie postąpiłby tak, żeby nas skrzywdzić. To prawda, że był twoim mężem, ale był też naszym tatą. Ja też go znałam.

— Tak, kotku, masz rację. — Karen przytuliła Samanthę. — My musimy to zrobić.

Dziewczyna przytuliła się do niej, a ona pogłaskała jej włosy.

My musimy sprawić, żeby to się skończyło. Bez względu na to, czego chcą ci ludzie. Sam miała przed sobą życie. Cała rodzina je miała. Czy ten koszmar już zawsze będzie ich prześladował?

Kochanie, czy rzeczywiście chciałabyś znać prawdę? O tym, co zrobił. Czy naprawdę byś chciała, żeby twoja miłość i twoje wspomnienia zostały zniszczone? Tak jak moje. Czy nie lepiej byłoby po prostu go kochać? Zachować w pamięci takiego, jakiego znałaś? Pamiętać, jak zabierał cię na łyżwy, jak pomagał ci w matematyce. Zatrzymać go w sercu jako ukochanego ojca.

— Mamo, to mnie trochę przeraża — powiedziała Sam, przysuwając się bliźiutko.

— Nie martw się, skarbie.

Karen ucałowała jej włosy. Ale w głębi duszy przyznała: Mnie też.

Charlie, niech cię szlag. Dlaczego musiałam cię zobaczyć na tym ekranie?

Patrz, coś narobił.

ROZDZIAŁ SZEŚCÍDZIESIĄTY SIÓDMY

W końcu nadszedł dzień wyjazdu dzieci. Karen pomogła im się spakować i zawiozła na lotnisko JFK, gdzie w terminalu British Airways spotkali się z jej rodzicami, którzy przyjechali dzień wcześniej.

Zaparkowała samochód i poszła z nimi do stanowisk odpraw, gdzie czekali Sid i Joan. Wszyscy byli podekscytowani. Karen z całych sił ścisnęła Sam i kazała opiekować się bratem.

— Nie chcę, żeby porwało go stado lwów, bo akurat słuchał iPoda.

— Mamo, to jest przenośny odtwarzacz wideo. A jego co najwyżej porwie stado pawianów.

— Ale śmieszne. — Alex skrzywił się i szturchnął siostrę łokciem.

Od początku trzeba go było trochę przymuszać do tej wycieczki. Wciąż narzekał na wielkie owady i zagrożenie malarią.

— Chodźcie tu... — Karen oboje mocno przytuliła. — Bardzo was kocham. Wiecie o tym. Bawcie się dobrze. I bądźcie w kontakcie.

— Mamo, nie możemy być w kontakcie — przypomniał jej Alex. — Będziemy w buszu. Na safari.

— No, to w takim razie zdjęcia — powiedziała Karen. — Oczekuję całej masy zdjęć. Zrozumiano?

— Tak, zrozumiano. — Alex uśmiechnął się zażenowany.

Oboje objęli matkę i mocno ją przytulili. Karen nie mogła się powstrzymać; do jej oczu napłynęły łzy. Alex parsknął.

— Mama już zaczyna.

Karen otarła oczy.

— Przestań.

Przytuliła także swoich rodziców, a potem, machając, patrzyła, jak oddalają się w stronę kontroli: Alex w czapce z daszkiem z logo Uniwersytetu Syracuse i z plecakiem pełnym magazynów motoryzacyjnych, a Sam w spodniach od dresu i ze słuchawkami iPoda w uszach. Ostatni raz pomachała matce. Karen ledwie się trzymała.

Pomyślała o ostrzeżeniu, które właśnie otrzymała, oraz o e-mailu Charlesa. Chciała, aby dzieci były bezpieczne — więc co robi? Wysła je do Afryki. Gdy wróciła do samochodu, minęło trochę czasu, zanim przekręciła kluczyk w stacyjce. Przycisnęła twarz do kierownicy i płakała szczęśliwa, że dzieci wyjechały, lecz jednocześnie bardzo samotna, gdyż wiedziała, że wreszcie nadszedł czas.

Czas, żeby stawić mu czoło.

My musimy to zrobić, prawda?

Tamtej nocy Karen usiadła przy komputerze Charlesa.

Zniknął już strach, zniknęła wątpliwość, co robić. Pozostała tylko determinacja, żeby wreszcie się z tym zmierzyć.

Przyszło jej do głowy, by zadzwonić do Tya. W przeciągu ostatnich tygodni zbliżyła się do niego. Z niepewnością dotyczącą Charlesa mieszały się uczucia, do których lepiej się nie przyznać. Poza tym nigdy w końcu nie odpowiedziała Tyowi, co jest gotowa zrobić, gdyby znalazł jej męża.

Zalogowała się na swoje konto e-mailowe.

KFried111. Nazwa użytkownika, którą Charlie natychmiast by rozpoznał.

Miała zamiar dać mu odpowiedź.

Teraz, Charlie, zostaliśmy już tylko ty i ja. I prawda.

Cóż mogła napisać? Ilekroć o tym myślała, powracały wszystkie wspomnienia. Cierpienie po jego stracie. Szok, gdy zobaczyła go w telewizji, gdy znalazła paszport i pieniądze. Świadomość, że nie zginął, lecz ją zostawił. Strach córki, kiedy została napadnięta w samochodzie.

Wszystko to powróciło, ale Ty miał rację. Samo nie zniknie.

Zginęli ludzie!

Z wahaniem wpisała adres. Oilman0716. Już wcześniej zrobiła to kilkakrotnie, lecz tym razem nie było odwrotu. Z bladym uśmiechem zastanawiała się, jak zmieni się jego świat. Jakie drzwi otwiera.

Dość tego, Charlie.

Karen wystukała na klawiaturze dwa słowa. Przeczytała je i przelknęła ślinę. Dwa słowa, które ponownie zmienią jej świat, otworzą rany, które ledwie się zagoiły.

Kliknęła „wyślij”.

Cześć, Charlie.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY ÓSMY

W miejscu znanym jako Little Water Cay, niedaleko wysp Turks i Caicos, Charles Friedman otworzył laptopa. Komputer nawiązał połączenie satelitarne z Internetem.

Mężczyznę ogarniał coraz silniejszy strach.

Najpierw tydzień temu na Dominice. Kasjerka, z którą czasem flirtował, wspomniała, że tydzień wcześniej do banku przyszedł niski, wąsaty mężczyzna i wypytywał kierowników o Amerykanina, który przelał tam środki. Opisał kogoś podobnego do Charlesa. Pokazywał nawet fotografię.

Potem pojawił się artykuł w gazecie, którą trzymał teraz na kolanach.

W „Caribbean Times”. W dziale wiadomości z regionu. Dotyczył morderstwa na wyspie Sint Maarten. Handlarz diamentami, od pokoleń prowadzący tam sklep, został zastrzelony w swoim samochodzie. Nie włamano się do lokalu, niczego nie skradziono. Mężczyzna nazywał się Issa. Mieszkał na wyspie od pięćdziesięciu lat.

Jego handlarz diamentami. Jego kontakt. W ciągu minionego roku dwukrotnie dokonywał transakcji z Issą. Charles świdrował wzrokiem nagłówek artykułu. Podobna zbrodnia nie zdarzyła się tam od dziesięciu lat.

Oni jakimś cudem wiedzieli. Byli już zbyt blisko. Charles musiał się gdzieś przenieść. Chyba wysłedzili go na podstawie śladów bankowych, odkryli, że konto, na które wpływały wynagrodzenia z Falcona, zostało opróżnione. A teraz ta śmierć handlarza diamentami. Charles czuł smutek, wiedząc, że być może ponosi odpowiedzialność za los staruszka. Lubił Iszę. Zdawał sobie sprawę, że wkrótce będzie potrzebował pieniędzy. Pokazywanie twarzy zaczynało się jednak wiązać ze zbyt dużym ryzykiem. Nawet tutaj.

Zawsze liczył się z tym, że prędzej czy później mogą natrafić na ślad pieniędzy.

Nocą bardzo padało. Na jasnym, błękitnym niebie wciąż unosiło się kilka puszystych obłoków. Charles usiadł na pokładzie łodzi z kubkiem kawy i zalogował się na swoje konto na Bloombergu. To był jego poranny rytuał. Sprawdzał pozycje rolowane, tak jak to robił przez dwadzieścia lat, choć teraz grał tylko na własne konto. Wkrótce i tego będzie musiał zaprzestać. Może oni potrafili namierzyć jego aktywność — każda transakcja nosiła jego ślad inwestycyjny. A jednak tylko to pozwalało mu nie zwariować. Wkrótce miał stracić również i tę możliwość.

Laptop wybudził się z uśpienia. Serwer poinformował, że przyszły cztery nowe wiadomości.

Charles nie otrzymywał na nowe konto zbyt wielu e-maili. Głównie spam, który przedarł się przez filtry — zachęty do zaciągnięcia kredytu i reklamy viagry. Od czasu do czasu elektroniczne uaktualnienie transakcji. Nie śmiał przyciągać uwagi do swej nowej tożsamości. Nie było innego wyjścia.

I tego się właśnie spodziewał — spamu — gdy popijając kawę, przeglądał listę wiadomości.

Aż jego wzrok się zatrzymał.

Nie zatrzymał — raczej wbił w adres nadawcy trzeciego e-maila od dołu. Charlesa ścisnęło w żołądku.

KFried111.

Stopy Charlesa obsunęły się z krawędzi nadburcia. Wygiął

kręgosłup, jakby przebiegł przez niego prąd o wysokim napięciu. Jeszcze raz skupił się na nazwie użytkownika. Czyżby wzrok płatał mu figle?

Karen.

Z walącym sercem sprawdził, czy przez pomyłkę nie załogował się na stare konto, choć wiedział, że to niemożliwe. Ale jakie mogło być inne wytłumaczenie?

Nie, wszystko się zgadzało. Oilman.

Zaschło mu w gardle. Co gorsza, zrozumiał, że w mgnieniu oka wszystko powróciło. Jego przeszłość. Oszustwa. To, co zrobił. Jak to możliwe? Jak ona znalazła jego nazwisko? Jego adres? Nie, zrozumiał, że zadaje niewłaściwe pytania.

Skąd wiedziała, że on żyje?

Minął rok. Perfekcyjnie zatarł wszystkie ślady. Nic go nie łączyło z dawnym życiem. Ani razu nie natknął się na kogoś znajomego — a tego bał się najbardziej. Palce Charlesa drżały. KFried111. Karen. Jak mogła go tutaj namierzyć?

Opanowały go sprzeczne uczucia: panika, strach i tęsknota. Wspomnienia. Widział twarze ich wszystkich, w tej chwili tęsknił za nimi tak bardzo jak w pierwszych, okropnych miesiącach.

W końcu zebrał się na odwagę. Kliknął wiadomość. Pojawiły się tylko dwa słowa. Przeczytał, krew odpłynęła mu z twarzy, oczy zaszklily się łzami, wstydził się i czuł winny.

Cześć, Charlie.

ROZDZIAŁ SZEŚCÍDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Kiedy zadzwonił telefon, Saul Lennick dopiero co położył się do łóżka w swej jedwabnej piżamie. Przeglądał właśnie broszurę finansową na poranne spotkanie i rozpraszały go wieczorne wiadomości w telewizji.

Leżąca obok Mimi, pogrążona w lekturze powieści Alana Fursta, westchnęła ze złością, spoglądając na komórkę.

— Saul, jest po jedenastej.

Lennick niezdarnie złapał telefon z nocnego stolika. Nie rozpoznawał numeru, ale była to rozmowa z zagranicy. Z Barbadosu. Serce mocniej mu zabiło.

— Przepraszam, kochanie.

Zdjął okulary do czytania i otworzył kłapkę telefonu.

— Czy to nie może poczekać do rana?

— Jakby mogło, to by zaczekało — odpowiedział dzwoniący, a był nim Dietz. — Spokojnie, dzwonię z karty, nie do namierzenia.

Lennick usiadł na łóżku i wsunął kapcie. Z miną winowajcy westchnął do żony, udając, że to sprawa służbowa. Wziął telefon do łazienki i zamknął drzwi.

— Dobrze, mów.

— Mamy kłopoty — oświadczył Dietz. — Chodzi o detektywa z wydziału zabójstw w Greenwich, który prowadził tamtą

sprawę. Tego, co mnie przesłuchiwał. Może już o nim wspominałem.

— No i...?

— On wie.

— Co wie?

Lennick stał przed lustrem i skubał policzek.

— Wie o wypadku. I o tej drugiej sprawie w New Jersey. Jakimś cudem włamał się do mojego domu. Skojarzył mnie z jednym z pozostałych świadków. Zaczyna do ciebie docierać, o czym mówię?

— Jezu Chryste! — wyjęczał cicho Lennick.

Już nie przyglądał się policzkowi, ale odbiciu swojej twarzy, która zrobiła się biała jak kreda.

— Siadaj. Mam jeszcze gorsze wiadomości.

— Do cholery, mogą być jeszcze gorsze?

— Pamiętasz Hodgesa? To jeden z moich ludzi.

— Mów dalej.

— Został postrzelony.

Lennick poczuł się tak, jakby zaraz miał dostać ataku serca. Dietz opowiedział, jak Hodges przyjechał do jego domu i zastał tam gliniarza. W środku! Opowiedział o szamotaninie.

— A teraz posłuchaj, Saul, zanim ci pęknie żyłka: jest i dobra wiadomość.

— Co w tym może być dobrego? — Lennick usiadł.

— On nie ma podstaw. Ten policjant z Greenwich. Cokolwiek robi, działa sam. Nie w ramach żadnego oficjalnego śledztwa. Włamał się do mojego domu. Wziął ze sobą broń i jej użył. Nie próbował aresztować Hodgesa. Rozumiesz, co to oznacza?

— Nie — odparł spanikowany Lennick. — Nie rozumiem.

— To znaczy, że przekroczył uprawnienia. Po prostu węszył. Zanim się z tobą skontaktowałem, zadzwoniłem na posterunek w Greenwich. Facet jest, kurwa, na urlopie! Saul, on działa na

własną rękę. Nawet nie jest na służbie. Gdyby wyszło na jaw, co zrobił, to jego by aresztowali, a nie mnie.

W piersi Lennicka zapłonął tępy ból. Dłonią przecesał siwe włosy, zaczynał się pocić. W myślach natychmiast odtworzył Wszystkie drogi, które mogły do niego doprowadzić.

Zrobił wydech. Wszystkie szlaki wiodły wyłącznie do Dietza.

— A teraz najlepsze — ciągnął tamten. — Kazałem znajomemu mieć na niego oko. Nocą we własnym samochodzie pilnował pewnego domu w Greenwich.

— Czyjego?

— Kobiety. Dobrze ci znanej.

Lennick zamarł.

— Karen.

Usiłował poskładać wszystko w całość. Czy jakimś cudem Karen wiedziała? Nawet gdyby się dowiedziała o incydencie z Lauerem, jakże mogłaby go połączyć z tym pierwszym? To było rok wcześniej. Znalazła skrytkę bankową, paszport, gotówkę.

Czy Karen jakimś cudem wiedziała, że Charles żyje?

Lennick zwilżył usta. Musieli przyspieszyć działanie.

— Jak idą sprawy? — spytał Dietza.

— Robimy postępy. Musiałem załatwić parę rzeczy na skrót, jeśli wiesz, co mam na myśli. Ale nigdy ci to chyba nie przeszkadzało. Myślę, że on jest gdzieś na łodzi. Gdzieś niedaleko. Namierzyłem go przez trzy konta bankowe. Będzie potrzebował pieniędzy. Niedługo go dopadnę. Jestem coraz bliżej. Ale słuchaj — rzekł Dietz — możliwe, że ten gliniarz znalazł w moim gabinecie pewne papiery... związane z tym, co tutaj robię. Może nawet coś o tobie. Nie mogę mieć pewności.

Gliniarz? Sprawy przybrały zły obrót i Lennick przestawał się czuć komfortowo. Teraz na pewno przekraczał granicę. Ale czy miał wybór?

— Phil, sam wiesz, jak sobie radzić z takimi rzeczami. Muszę kończyć.

— Jeszcze coś — dodał Dietz. — Jeśli ten policjant wie, to zawsze istnieje prawdopodobieństwo, że ona też. Zdaje sobie sprawę, że jesteście w przyjacielskich stosunkach, że jesteś jakoś związany z jej dziećmi.

— Tak — wymamrotał tępo Lennick.

Darzył Karen dużą sympatią. Ponieważ dla jej dzieci od urodzenia był niczym wujek i zarządzał ich majątkami rodzinnymi, faktycznie można było powiedzieć, że był z nimi związany.

Ale tu chodziło o interesy. Tak samo jak o interesy chodziło w przypadku Lauera. I młodego Raymonda. Zmarszczki na twarzy mężczyzny były głębokie i ostro zarysowane. Sprawiały, że wyglądał starzej — starzej, niż czuł się od wielu lat.

— Po prostu rób, co musisz.

Lennick się rozłączył. Ochlapał twarz wodą, przyglądał włosy. Szurając kapciami, powlókł się z powrotem do łóżka.

Wieczorne wiadomości dobiegły końca. Mimi zgasła światło. W telewizji leciał program Davida Lettermana. Lennick obrócił się do żony, by sprawdzić, czy nie śpi.

— Kochanie, obejrzymy monolog?

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY

Karen czekała dwa dni. Charles nie odpisał.

Nie miała pewności, czy w ogóle to zrobi.

Znała go. Próbowała sobie wyobrazić szok i trwogę, które musiał wywołać jej e-mail.

Ten sam szok, który towarzyszył Karen, kiedy zobaczyła jego twarz na ekranie.

Sprawdzała pocztę kilka razy dziennie. Wiedziała, co teraz przeżywał. Siedział w jakiejś odległej części globu, a jego starannie skonstruowane nowe życie nagle runęło w gruzy. Musiał być zdruzgotany — odtwarzał w myślach każdy krok, analizował tysiące możliwości.

Jakim cudem mogła się dowiedzieć?

Karen zastanawiała się, ile razy czytał te dwa słowa. Odgrywał wszystko w pamięci, łamał sobie głowę, analizował wszystkie przygotowania. Musiało go skręcać w żołądku. Nie spał. Problemy zawsze tak wpływały na Charlesa. Jesteś mi to winien, powiedziała w myślach, rozkoszując się wizją spanikowanego, wstrząśniętego mężczyzny. Jesteś mi to winien po cierpieniu, które mi zadałeś. Po tych kłamstwach...

Mimo to nie potrafiła mu wybaczyć. Nie po tym, co zrobił jej oraz dzieciom. Już sama nie wiedziała, czy choć odrobinę go

jeszcze kocha. Czy pozostało cokolwiek, poza wspomnieniem wspólnego życia. Bez znaczenia. Chciała to usłyszeć od niego. Chciała stanąć z nim — twarzą w twarz.

Charlie, odpowiedz...

W końcu, po trzech dniach, wysłała drugą wiadomość. Zamknęła oczy i zaczęła go błagać.

Proszę, Charlie, błagam... Wiem, że to ty. Wiem, że tam jesteś. Odpowiedz mi, Charlie. Nie możesz się dłużej ukrywać. Wiem, co zrobiłeś.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIERWSZY

Wiem, co zrobiłeś!

Charles siedział w rogu cichej kafejki internetowej w porcie na wyspie Mustique, gdzie zacumował. W przerażeniu patrzył na nową wiadomość od Karen.

Oprócz niego była tylko grupka miejscowych z dredami, popijających jamajskie piwo, i wędrowni niemieccy surferzy z bandanami na głowach i tatuażami na ciele. Nawet tutaj Charles czuł przemożny strach, że wszystko się wokół niego zacieśnia.

Wiem, co zrobiłeś!

Co? Co według ciebie zrobiłem, Karen? I jak? Ukryty za ciemnymi okularami, wypił łyk piwa Caribe i przeczytał wiadomość po raz dziesiąty. Wiedział, że ona nie da za wygraną. Znał ją. Dłużej nie mógł tego ignorować.

Jak ty mnie znalazłaś, do cholery?

Co mam ci powiedzieć, Karen? Że jestem sukinsynem? Że cię zdradziłem? Charles czuł gniew w jej słowach. Nie dziwił

się. Zasłużył na wszystko, co wobec niego czuła, po tym, jak ich zostawił, naraził na takie cierpienie. Utratę męża, ojca. A później, kiedy ból wreszcie ustał, nagle okazało się, że on żyje.

Odpowiedz mi, Charlie.

Co wiesz, Karen?

Gdybyś wiedziała, gdybyś naprawdę wiedziała, zrozumiałabyś. Choć odrobinę. Że nigdy nie chciałem cię skrzywdzić. Że to ostatnia rzecz, jaką byłbym gotów zrobić.

Chciałem cię chronić. Sprawić, żebyś była bezpieczna. Sam i Alex też. Wiedziałaabyś, dlaczego musiałem odejść. Dlaczego, kiedy nadarzyła się okazja, musiałem „umrzeć”.

Proszę, Charlie, błagam... Odpowiedz mi, Charlie.

Surferzy rechotali, komentując po niemiecku coś, co znaleźli na YouTube. Naprzeciwko usiadła przysadzista wyspiarka w barwnej, luźnej sukience, ciągnąc za sobą córeczkę, która popijała fantę. Charles zrozumiał, że niemal cały ubiegły rok spędził w ukryciu, w cieniu, odwracając się od tego, kim naprawdę był. Od wszystkiego, co niegdyś kochał.

Lecz nagle znów poczuł się żywy. Po raz pierwszy od roku! Stało się jasne, że tego nigdy nie da się doszczętnie stłumić. Tego, co ma się w duszy. Kim się jest.

Teraz zrozumiał, że jeśli tylko dotknie klawiatury, ruszy ręką, odeśle wiadomość, odpowie żonie, wszystko na nowo się otworzy. Cały świat znów się zmieni.

Wiem, co zrobięś.

Wypił łyk piwa. Może pora znowu ruszyć w drogę. Do Vanuatu albo na Ocean Indyjski. Albo wrócić do Panamy. Nikt by go nie znalazł. Miał tam pieniądze.

Uniósł ciemne okulary. Uważnie przyjrzał się słowom, które napisał. Puszka Pandory miała zaraz zostać otwarta. Dla Karen i dla niego samego. Tym razem nie będzie można jej zamknąć. Nie pomoże nagły wybuch bomby — nie będzie żadnej kryjówki.

Do diabła z tym wszystkim, pomyślał. Dokończył piwo. Znalazła go. Żelazna pięść w aksamitnej rękawiczce — przypomniał sobie czule.

Ona nigdy nie da za wygraną.

Tak, jestem tu. Tak, to ja, pomyślał. Spoglądając na list ostatni raz, kliknął przycisk „wyślij”, znów sprawiając, że jego świat wpadł w wir.

Witaj, skarbie...

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY DRUGI

Hauck udał się na wieczorny bieg wokół zatoczki. Przez parę dni siedział w domu i wciąż nie miał żadnej wiadomości od Karen. Noc była gorąca, lepka. Brzęczały cykady. Musiał się opanować. Wiedział, że nie należy naciskać. Zdawał sobie sprawę z tego, jakie to musi być dla niej ciężkie — ta konfrontacja z mężem. To tak, jakby nagle postawiono przed nim jakąś cząstkę Norah. Rozdrapano rany, które nigdy się nie zagoiły. Nie miał pewności, czy należy czekać, aż Karen podejmie decyzję w kwestii poszukiwań Charlesa. Czy może teraz, gdy znała prawdę — a przynajmniej jej część — powinien wszystko zgłosić. Pójść z tym, co znalazł, do Fitzpatricka.

Musiałby wznowić sprawę wypadku AJ Raymonda.

W końcu od tego wszystko się zaczęło, prawda?

Biegając Euclid Avenue w kierunku domu, ze zdziwieniem zauważył znajomego lexusa. Na frontowych schodkach siedziała Karen. Gdy się zatrzymał, wstała.

Rzuciła mu nieco zakłopotany uśmiech.

— Cześć...

Miała na sobie czarną, opiętą koszulkę i ładne dżinsy. Jej włosy były w lekkim nieładzie, a na nadgarstku luźno wisiała

gruba, kwarcowa bransoleta. Była ciepła, letnia noc. Karen wyglądała wspaniale.

— Przepraszam, że cię nachodzę — powiedziała, z miną niemalże zrozpaczonej dziewczynki. — Po prostu musiałam z kimś porozmawiać. Zaryzykowałam.

Hauck pokręcił głową.

— Nie nachodzisz mnie.

Wszedł po schodkach i otworzył drzwi. Wziął ręcznik z blatu kuchennego i otarł nim twarz. Spytał Karen, czy chce zimnego piwa.

— Nie. Dzięki.

Przypominała kłębek nerwów. Poruszała się tak, jakby ledwo nad sobą panowała. Podeszła do sztalug przy oknie. Hauck ruszył za nią i usiadł na stołku.

— Nie wiedziałam, że malujesz.

Wzruszył ramionami.

— Dobrze się przyjrzyj, zanim użyjesz takiego określenia.

Karen zbliżyła się do sztalug. Tak blisko, że czuł jej zapach — słodki, kwiatowy — i puls mu przyspieszył. Miał chęć jej dotknąć, ale się powstrzymał.

— Ładne — powiedziała. — Wciąż jest pan pełen niespodzianek, prawda, poruczniku?

— To chyba najmiłsza rzecz, jaką ktokolwiek powiedział o moich obrazach. — Uśmiechnął się.

— Pewnie też gotujesz. Założę się...

— Karen...

Nigdy jeszcze nie widział jej tak spiętej. Obrócił się na stołku i złapał ją za ramię. Odsunęła się.

— To on — powiedziała. Czy miała wilgotne, rozgniewane, niemalże piorunowała go wzrokiem. — Odpowiedział na e-mail. Zajęło mu to trzy dni. Musiałam pisać dwa razy. — Położyła dłoń na karku. — Nie wiedziałam, co napisać. Bo co? „Charles, wiem, że to ty. Proszę, odpowiedz”? I w końcu odpowiedział.

— Co napisał?

— Co napisał? — Pociągnęła nosem i szyderczo parsknęła. —

Napisał: „Witaj, skarbie”.

— To wszystko?

— Tak. — Uśmiechnęła się urażona. — Wszystko.

Zrobiła kilka kroków w kółko, próbując się uspokoić. Sprawdziła widok z tarasu na zatokę. Potem podeszła do szafki pod ścianą. Hauck trzymał tam kilka zdjęć. Obejrzała je po kolei. Fotografia obu dziewczynek we wczesnym dzieciństwie. Widział, jak się jej przygląda. Kolejna fotografia, przedstawiająca jego łódź. *Merrily*.

— Twoja?

— Tak. — Hauck kiwnął głową. Wstał. — Trochę mniejsza niż sułtana Brunei, ale Jessie się podoba. Latem zeglujemy do Newington albo na Shelter Island. Łowimy ryby. Gdy jest ładna pogoda, zdarza mi się...

— Tobie nic nie brakuje, prawda? — Obrzuciła go pospiesznym spojrzeniem. — Takich jak ty nazywają dobrymi ludźmi.

Hauck nie był pewien, czy to komplement. Karen zacisnęła wargi, przeczesała palcami zmierzwione włosy. Zupełnie jakby zaraz miała wybuchnąć.

Mężczyzna zrobił krok naprzód.

— Karen...

— „Witaj, skarbie” — powtórzyła łamiącym się głosem. — Tyle miał mi, kurwa, do powiedzenia. Zupełnie jak: „Co tam u ciebie, kochanie? Co nowego u dzieciaków?”. To Charles! Mężczyzna, którego pochowałam. Obok którego sypiałam przez osiemnaście lat! „Witaj, skarbie”. Co ja mam mu teraz, do cholery, napisać? Co teraz będzie?

Hauck podszedł i wziął ją w ramiona. Tak jak zawsze marzył, przytulił ją mocno do piersi. Puls mu przyspieszył.

Najpierw próbowała się odsunąć, wciąż buzował w niej gniew. Potem uległa, jej łzy rozmazały się na jego koszuli, jej pachnące miodem włosy były w nieładzie, piersi przywarły do jego torsu.

Pocałował ją, a ona się nie opierała. W odpowiedzi rozchyliła usta, jej język zdawał się równie ochoczo poszukiwać jego języka, opanowywało ich coś, nad czym oboje nie mieli kontroli, jej zapach wwiercał mu się w nozdrza — odurzający, coś słodkiego, jaśmin — doprowadzał go do szaleństwa.

Jego dłoń zsunęła się po wgłębieniu jej pleców, palce wpełzły pod pasek dżinsów. Był podniecony. Cofnął dłoń, przesunął po ciepłej odsłoniętej skórze brzucha pod luźną bluzką i ujął jej twarz w dłonie.

— Nie musisz nic robić — powiedział.

— Nie mogę. — Karen popatrzyła na niego, na jej policzkach lśniły łzy. — Nie mogę być tam sama.

Znów ją pocałował. Tym razem ich języki splotły się w słodkim, powolnym tańcu.

— Po prostu nie mogę... Hauck otarł łzy z jej twarzy.

— Nie musisz — powiedział. — Nie musisz nic robić.

Potem wziął ją na rękę.

Kochali się w sypialni.

Powoli rozpiął jej bluzkę, przesunął palcami po czarnych koronkach stanika, czule zsunął dłonie ku jej kroczu. Odsunęła się nieco zalękniona, nikt jej tam od roku nie dotykał.

Ciężko oddychając, oparła głowę o nagi tors Tya.

— Dawno tego nie robiłam.

— Wiem.

Delikatnie ściągnął jej bluzkę, powiodł dłonią po udzie przesyłonym materiałem dżinsów. Zesztywniała w oczekiwaniu.

— Mam na myśli, że z kimś innym — powiedziała. — Byłam z Charlesem przez dwadzieścia lat.

— To nic — odrzekł. — Wiem.

Położył ją na łóżku, nogawka po nogawce ściągnął dżinsy

z jej jędrnych ud, wsunął dłoń pod majtki, czuł, jak drży niecierpliwie. Pulsujące łono doprowadzało Karen do szału. Podniosła wzrok i spojrzała na niego. Był przy niej, uspokajał ją, kiedy wszystko inne stało się jednym wielkim szaleństwem. Tylko w niego mogła wierzyć. Wyciągnęła dłoń i delikatnie dotknęła jego boku, gojących się ran, pocałowała je, czuła słodki smak jego potu. Hauck, spięty, rozpiął spodenki. Tylko dzięki niemu się nie załamała. Nie wiedziała, co by bez niego zrobiła.

Zbliżyła do niego twarz.

— Ty...

Wsunął się na nią, pośladki miał napięte, ramiona silne, wysportowane. Ich ciała złączyły się jak gorąca fala, po kręgosłupie Karen przebiegł prąd. Wygięła plecy. Jej piersi i jego tors zwarły się rozpalone.

Nagle już nic ich nie powstrzymywało. Czuła, jak gdzieś w środku narasta pożądanie. Odchyliła głowę, kołysała nią na boki, gdy w nią wszedł, dreszcz przebiegł ją od koniuszków palców u rąk aż do stóp, niczym wstrząs, od dawna oczekiwana nagroda. Chwyliła go za pośladki i przycisnęła mocno. Kochali się ze zwierzęcą dzikością. Ten mężczyzna wszystko dla niej zaryzykował. Niczego nie chciała przed nim ukryć. Kołysali się. Chciała mu dać wszystko. Częstkę siebie, której nigdy nie dała nikomu. Nawet Charlesowi. Częstkę, którą zawsze ukrywała.

Wszystko.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY TRZECI

Potem leżeli na łóżku wyczerpani. Ciało Karen, śliskie od cudownego potu, wciąż promieniowało żarem. Hauck chłodził ją, dmuchając na piersi, na szyję. Włosy miała w kompletnym nieładzie.

— To chyba twój szczęśliwy dzień — powiedziała, ironicznie przewracając oczami. — Zwykle oddaję się dopiero na trzeciej randce. To żelazna zasada serwisów towarzyskich.

Hauck się roześmiał.

— Słuchaj, jeśli to dla ciebie ważne, obiecuję, że jeszcze ci postawię parę posiłków.

— Uff! — Karen odetchnęła głośno. — Kamień spadł mi z serca.

Rozejrzała się po ciasnej sypialni, chcąc dowiedzieć się o nim czegoś nowego. Proste, drewniane łóżko, stolik nocny, a na nim kilka książek — biografia Einsteina, powieść Dennisa Lehane'a — para dżinsów przerzucona przez oparcie krzesła w rogu pokoju. Mały telewizor.

— Co to ma być? — spytała, wskazując jakiś przedmiot pod ścianą.

— Kij do hokeja — odrzekł Hauck.

Karen oparła się na łokciu.

— Powiedz, że przed chwilą nie spałam z facetem, który trzyma w sypialni kij do hokeja.

Hauck wzruszył ramionami.

— Liga zimowa. Najwyraźniej go nie schowałem.

— Do jasnej cholery, Ty, jest czerwiec!

Kiwnął głową jak mały chłopiec, którego przyłapano na chowaniu ciasteczek pod łóżkiem.

— Masz szczęście, że nie było cię tu w zeszłym tygodniu. Leżały jeszcze moje łyżwy.

Pogładziła go po policzku.

— Miło pana widzieć roześmianego, poruczniku.

— Chyba można powiedzieć, że obojgu nam to dobrze zrobiło.

Przez chwilę leżeli na dużym łóżku jak dwie rozgwiazdy, ledwie przykryci, stykali się jedynie koniuszkami palców, wciąż się poznawali.

— Ty... — Karen się uniosła. — Muszę cię o coś zapytać. Tamtego dnia, kiedy do ciebie przyszedłam, coś zobaczyłam. Zdjęcie na szafce. Dwóch małych dziewczynek. Na meczu poznałam twoją córkę i powiedziałaś, że to twoje jedyne dziecko. A dziś zobaczyłam jeszcze jedno jej zdjęcie. — Przynęła się do niego. — Nie chcę czegoś rozgrzebywać...

— Nie. — Pokręcił głową. — Nie rozgrzebujesz. Patrząc w sufit, opowiedział jej. O Norah. Wreszcie.

— Miałyby teraz dziewięć lat.

Karen poczuła ukłucie żalu.

Opowiedział, że właśnie przyjechali ze sklepu, czegoś zapomnieli i bardzo się spieszyli, żeby wrócić. Miał zmianę, już był spóźniony. Beth się na niego wściekała. Mieszkali wówczas w Queens. Kupił nie ten deser co trzeba.

— Deserek budyniowy...

Że w pośpiechu wysiadł z samochodu, do zmiany miał już tylko pół godziny i popędził z powrotem po rachunek.

— Deserek budyniowy... — powtórzył, wzruszając ramionami i uśmiechając się ponuro.

— Bawiły się przy krawężniku. Holownikiem-zabawką, tak potem mówiła Jessie. — Zaczepnął powietrza. — Samochód zaczął zjeżdżać. Nie zaciągnąłem ręcznego. Słyszeliśmy tylko Jessie. I Beth. Pamiętam, jak na mnie popatrzyła. „Ty, o Boże!”. Wszystko stało się tak nagle. — Podniósł wzrok i spojrzał na Karen. Zwilżył usta. — Miała cztery lata.

Karen usiadła i pogładziła dłonią jego wilgotną twarz.

— Wciąż to w sobienosisz, prawda? Widzę w twoich oczach. Widziałam, kiedy się poznaliśmy.

— Wtedy to ty miałaś się z czym zmagać.

— Tak, ale widziałam. Chyba dlatego ci podziękowałam. Czulałam, że mnie rozumiesz. Chyba nigdy nie zapomniałeś.

— Karen, jak coś takiego można zapomnieć?

— Wiem. — Pokiwała głową. — Wiem... A twoja żona? Beth, prawda?

Hauck oparł się na boku i skulił ramiona jakoś tak bezradnie.

— Nigdy mi nie wybaczyła. Jak na ironię, to z jej powodu pędziłem z powrotem do sklepu. — Odwrócił się i spojrzał na Karen. — Pamiętasz, jak mnie wciąż pytałaś, dlaczego to robię?

Znów kiwnęła głową.

— Tak.

— Z jednej strony chyba już od pierwszego spotkania mnie pociągałaś. Nie mogłem o tobie zapomnieć.

Karen wzięła go za rękę.

— Ale z drugiej — powiedział, kręcąc głową — ciągle pamiętam tego chłopaka, Raymonda, jak leży na jezdni. Od początku wiedziałem, że to wyjątkowa sprawa. Coś sprawiło, że przypomniała mi się Norah. Ciągle jej twarz stawała mi przed oczami. Nadal ją widzę.

— Ich włosy — powiedziała Karen, przyciągając zwiniętą

dłoń Haucka do piersi. — Oboje mieli rude włosy. Od początku próbujesz zrehabilitować się za ten wypadek. Rozwiązując sprawę potrącenia chłopaka. Grając przede mną bohatera.

— Nie, to drugie tylko po to, żeby zaciągnąć cię do łóżka — zażartował z kamienną twarzą.

— Ty. — Spojrzała w jego smutne oczy. — Jesteś dobrym człowiekiem. Dostrzegłam to, kiedy się pierwszy raz spotkaliśmy. Każdy, kto cię zna, musi o tym wiedzieć. Każdego dnia coś takiego robimy: przechodzimy przez jezdnię nie na pasach, siadamy za kierownicą, kiedy trochę za dużo wypiliśmy, zapominamy zdmuchnąć świeczkę przed pójściem spać. I wszystko toczy się swoim rytmem, tak jak zawsze. Aż pewnego razu przestaje. Nie możesz wciąż się osądzać. To się stało dawno temu. To był wypadek. Kochałeś swoją córkę. Dalej ją kochasz. Nic więcej nie możesz zrobić.

Hauck się uśmiechnął. Przycisnął dłoń do policzka Karen i pogładził jej twarz.

— I to mówi kobieta, która dzisiaj przyszła tu do mnie, bo jej niegdyś martwy mąż został jej nowym korespondencyjnym kumplem.

— Owszem, dzisiaj — zaśmiała się Karen. — A jutro... kto to wie?

Znowu opadła na łóżko. Nagle przypomniała sobie, czemu tu przyszła. Złość znów w niej zawrzała. „Witaj, skarbie”... Trochę ją to przytłaczało. Złapała Haucka za rękę.

— I co my teraz, do cholery, zrobimy?

— Opuścimy — odrzekł, przesuwając palcem wzdłuż krzywizny jej pleców i zatrzymując się dłużej na pośladku. — Zresztą to nas nie przybliży.

— Nie przybliży? Do czego nie przybliży? — spytała, świadoma znów narastającego mrowienia w brzuchu.

Odwrócił się do niej i wzruszył ramionami.

— Do zrobienia tego jeszcze raz.

— Jeszcze raz?

Wciągnął Karen na siebie, ich ciała znowu ożyły. Potarła nosem o jego nos, jej włosy opadły mu na twarz jak wodospad i wtedy się roześmiała.

— Czy wiesz, ile czasu minęło, odkąd ostatnio słyszałam te słowa?

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY CZWARTY

Rano Hauck nastawił kawę. Kiedy po dziewiątej siedział na balkonie, dołączyła do niego Karen, ubrana w za duży T-shirt Uniwersytetu Fairfield, który wyciągnęła z szuflady. Ścierała sen z powiek.

— Dzień dobry. — Podniósł wzrok i potarł dłonią o jej udo.

Oparła się o niego i położyła mu głowę na ramieniu.

— Cześć.

Był jasny, ciepły, wczesnoletni poranek. Karen spojrzała w kierunku cieśniny ponad dachami skromnych domów. Na przystani żeglarze przygotowywali łodzie. Wypływał wczesny prom na Cove Island. Na niebie kilka mew trzepotało skrzydłami.

Karen podeszła do barierki.

— Ładnie tutaj. — Skinieniem głowy wskazała obraz, który wciąż spoczywał na sztalugach. — Mam wrażenie, że już go wcześniej widziałam.

Hauck machnął dłonią w stronę stosu płócien pod ścianą.

— Na wszystkich jest ten sam widok.

Karen uniosła twarz do słońca i przeciągnęła dłonią przez zmierzwiłone włosy, rozwiewane morską bryzą. Potem usiadła obok Tya i opłotła dłonie wokół kubka.

— Posłuchaj, jeśli chodzi o tę noc... — zaczął.

Wyciągnęła dłoń i mu przerwała.

— Ja pierwsza. Nie chciałam się na ciebie tak rzucać. Po prostu nie mogłam być sama. Ja...

— Chciałem powiedzieć, że ta noc to był sen — rzekł, patrząc w jej zaspane oczy, i mrugnął porozumiewawczo.

— Też tak uważam. — Uśmiechnęła się zmieszana. — Nie byłam z nikim innym prawie od dwudziestu lat.

— To szaleństwo. Ta cała stłumiona energia...

— Tak, jasne. — Przewróciła oczami.

Hauck obrócił się do niej.

— Znasz tę pozycję w jodze, kiedy tak wyginasz plecy i...

Karen karcąco klepnęła go po dłoni.

— Aleś ty dowcipny!

Ty złapał ją za rękę. Spojrzał jej prosto w oczy.

— Karen, mówiłem poważnie. O tym, dlaczego to wszystko zacząłem. Ze względu na ciebie. Ale to już wiedziałaś. Nigdy nie nadawałem się na pokerzystę.

Znów oparła głowę na jego ramieniu.

— Posłuchaj, Ty, nie wiem, czy w naszej obecnej sytuacji to dobry pomysł.

— Jestem gotów zaryzykować.

— Za dużo się w tej chwili dzieje, zbyt wiele muszę wyjaśnić. Co zrobimy z Charliem? Z moimi dziećmi? Ty, do cholery, gdzieś tam jest mój mąż!

— Czy już się zdecydowałaś?

— W jakiej sprawie? Sprecyzuj. Z tymi wszystkimi decyzjami czuję się jak w zaszranym supermarkecie.

— W sprawie Charlesa — powiedział Hauck. — Czy już wiesz, czego ode mnie oczekujesz?

Karen odetchnęła głęboko. W jej spojrzeniu było coś

stanowczego, co zastąpiło wczorajsze napięcie i niepokój. Kiwnęła głową.

— Zdecydowałam. On mi jest winien odpowiedzi i chcę je usłyszeć. Chcę wiedzieć, kiedy zaczął mnie okłamywać. Kiedy to coś, za czym goił, stało się ważniejsze ode mnie i dzieci. Nie mam zamiaru odwrócić się od prawie połowy swojego życia, dopóki nie usłyszę wyjaśnień. Od niego. Tego mu nie odpuszczę. Chcę go znaleźć.

Gdy Karen wróciła do domu, wzięła prysznic i wyszczotkowała włosy, znów usiadła do komputera. Cały niepokój ostatniej nocy zmienił się w twardą determinację.

Zalogowała się na AOL i znalazła odpowiedź Charlesa. Przeczytała ją jeszcze raz.

Witaj, skarbie...

Zaczęła pisać.

Nie jestem twoim „skarbem”, Charles. Już nie. Jestem kimś, kogo potwornie zraniłeś — tak bardzo, że nie potrafisz sobie tego wyobrazić. Kimś bardzo zdezorientowanym. Ale to już wiesz, prawda? Wiedziałeś to, kiedy mi odpisywałeś. Musiałeś wiedzieć, odkąd odszedłeś. Więc teraz ci powiem, jak będzie: chcę się z tobą zobaczyć. Chcę usłyszeć, dlaczego to zrobiłeś. Dlaczego nas wykorzystałeś, Charlie? Ludzi, których podobno kochałeś. Nie przez Internet. Nie w ten sposób. Chcę to usłyszeć bezpośrednio od ciebie, z twoich ust. Dowiedzieć się, kim naprawdę jesteś.

Musiła się powstrzymać.

Więc powiedz: jak? Powiedz, gdzie mogę się z tobą spotkać. Zrób to, żebym mogła rozpocząć nowe życie – jeśli w ogóle coś takiego jeszcze cię obchodzi. Nawet nie myśl o odmowie, Charlie. Nawet nie myśl o ukrywaniu się. Powiedz mi jak.

Karen

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIĄTY

Kiedy wiadomość od Karen przyszła na jego blackberry, Charles był w placówce South Island Bank na Saint Lucia.

Jej słowa poraziły go jak zastrzyk adrenaliny prosto w serce.

Nie. Nie mógł tego zrobić. Nie mógł się z nią zobaczyć. To nie mogło się udać. Sam otworzył te drzwi, ale to był moment słabości i głupoty. Teraz musi je zatrzasknąć.

Wypełnił formularz przeniesienia konta. Wpisał kody bankowe i numery nowych kont. Robił tu czystki, prznosił fundusze do Banco National de Panama oraz Seitzenbank w Luksemburgu, a stamtąd — do bezpieczniejszego miejsca.

Pora stąd ruszać.

Charles czekał, aż jaskrawo ubrana miejscowa kobieta skończy, a następnie usiadł przy biurku kierownika. Był nim sympatyczny wyspiarz, z którym już wcześniej miał do czynienia raz na kilka miesięcy. Jak zawsze ucieszył się na widok Charlesa.

Był rozczarowany, że klient likwiduje konta.

— Czyli wygląda na to — powiedział, sumiennie wykonując polecenia — że nie będziemy już pana widywać?

— Może przez jakiś czas — odrzekł Charles, wstając. — Dziękuję.

Uścisnęli sobie dłonie.

Wychodząc, przytłoczony myślami o pilnej wiadomości od Karen — postanowił napisać jej, żeby więcej się z nim nie kontaktowała — nie zauważył, że kierownik banku sięga po skrawek papieru, który trzymał ukryty na biurku, i że podnosi słuchawkę, zanim jeszcze jego klient zdążył opuścić placówkę.

Karen wciąż siedziała przy komputerze, kiedy przyszła odpowiedź od Charlesa.

Karen, nie. To zdecydowanie zbyt niebezpieczne. Nie mogę na to pozwolić. To, co zrobiłem — możesz myśleć, że coś o tym wiesz... ale tak naprawdę nie wiesz. Przyjmij to do wiadomości. Wiem, jak się musisz czuć, ale proszę cię, błagam, niech twoje życie toczy się dalej. Nie mów nikomu, że mnie znalazłaś. Nikomu, Karen! Kochałem cię. Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić. Ale teraz już za późno. Przyjmuję to. Ale proszę, proszę, niezależnie od tego, co czujesz, nie pisz do mnie więcej.

W Karen zawrzał gniew. Odpisała:

Owszem, Charlie, obawiam się, że jednak na to pozwolisz! Kiedy napisałam, że wiem, co zrobiłeś, nie chodziło mi tylko o to, że żyjesz. Naprawdę wiem... Wiem o Falconie i pieniądzach, którymi zarządzałeś za granicą. Ukrywałeś to przede mną przez te wszystkie lata. I wiem o Dolphin. O tych pustych tankowcach. O tym człowieku w Pensacoli, który odkrył wasze oszustwo. Co ty mu próbowałaś zrobić, Charlie?

Tym razem odpowiedź przyszła po kilku sekundach. Przebiła z niej panika:

Karen, z kim ty rozmawiałaś?

Co za różnica, z kim rozmawiałam, Charlie?

Teraz wymieniali e-maile w czasie rzeczywistym. Karen i mężczyzna, którego niegdyś uważała za ducha.

Nie rozumiesz. Ważne, że wiem. Wiem o śmierci tego chłopaka w Greenwich. Tego dnia, gdy zniknąłeś. Dnia, kiedy wszyscy tak cierpieliśmy. I wiem, że tam byłeś. Wystarczy? Wiem, że pojechałeś tam po wybuchu. Wybuchu, w którym rzekomo miałeś zginąć. Wiem, że zadzwoniłeś do niego pod przybranym nazwiskiem.

Skąd, Karen, skąd?

I wiem, kim on był, Charlie. Wiem, że był synem tego człowieka z Pensacoli. Twój człowiek, Jonathan Lauer, pewnie się tego dowiedział i chciał mi to powiedzieć. Wystarczy ci, Charlie? Morderstwo. Oszustwo. Zatuszowanie tego wszystkiego.

Kilka sekund później Charlie odpisał:

Karen, proszę...

Otarła łzy.

Nie powiedziałam o niczym dzieciom. Nie przeżyłyby tego. Tak jak ja nie mogę tego, kurwa, przeżyć, Charlie. Teraz wyjechały. Są na safari z moimi rodzicami. To prezent dla Sam na koniec szkoły. Ale ktoś nam groził. Ktoś IM groził! Tego chciałeś? To chciałeś po sobie zostawić?

Zrobiła wdech i pisała dalej.

Wiem, że to ryzykowne. Ale podejmiemy to ryzyko. W przeciwnym razie wszystko przekażę policji. Postawią ci zarzuty. Mówimy o morderstwie. Znajdą cię. Skoro ja mogłam, to i oni dadzą radę. I tak będą o tobie myśleć twoje dzieci, Charlie. Że byłeś mordercą. A nie człowiekiem, którego teraz podziwiają.

Karen już miała wcisnąć przycisk „wyślij”, lecz się zawahała.

Taka jest cena mojego milczenia, Charles. Tyle będzie cię kosztowało utrzymanie tajemnicy. Zawsze lubiłeś uczciwe wymiany. Nie chcę, żebyś do mnie wrócił. Już cię nie kocham. Nie wiem, czy w ogóle cokolwiek do ciebie czuję. Ale spotkam się z tobą, Charlie. Usłyszę, dlaczego nam to zrobiłeś. Z twoich ust, twarzą w twarz. Więc powiedz, jak to zrobimy. Nic więcej. Żadnych przeprosin. Żadnego żalu. Potem będziesz sobie mógł zniknąć na resztę swojego żalosego życia.

Wcisnęła „wyślij”. I czekała. Kilka minut. Odpowiedź nie przychodziła. Karen zaczynała się martwić. A jeśli zbyt wiele zdradziła? A jeśli go wystraszyła? Tak na dobre. Teraz, gdy wreszcie go odnalazła.

Miała wrażenie, że czeka całą wieczność, wpatrując się w pusty ekran. Charles, nie rób mi tego znowu. Nie teraz. Daj spokój, Charlie, udaj, że kiedyś mnie kochałeś. Nie każ mi tego znów przeżywać.

Zamknęła oczy. Może nawet na chwilę się zdrzemnęła, kompletnie pozbawiona sił, wyczerpana.

Usłyszała dźwięk. Gdy otworzyła oczy, zobaczyła, że przyszedł nowy e-mail. Kliknęła.

Sama. To jedyna możliwość.

Karen przyglądała się wiadomości. Na usta wkradł jej się leciutki uśmiech satysfakcji.

W porządku, Charles. Sama.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY SZÓSTY

Minął kolejny dzień. Karen wyczekiwała na wskazówki Charlesa. Tym razem nie denerwowała się i nie bała. Nawet się nie zdziwiła, gdy wreszcie przyszły.

Była jedynie zdeterminowana.

Przyjedź do St. James's Club na Saint Hubert na Brytyjskich Wyspach Dziewiczych.

Karen знаła ten ośrodek. Parę razy tam żeglowali. Śliczne miejsce w zatoczce w kształcie podkowy, garstka krytych strzechą bungalówów bezpośrednio na plaży. Z dala od wszelkiej cywilizacji.

Charles dodał:

Wkrótce, Karen. Dni, a nie tygodnie. Skontaktuję się z tobą na miejscu.

Było wiele rzeczy, które Karen chciała mu powiedzieć. Jednak napisała tylko:

Będę.

Ronald Torbor zmagał się z myślami, nie wiedząc, co robić. Tego ranka podniósł wzrok i zobaczył przed swym biurkiem Stevena Hansona, Amerykanina.

Przyszedł zlikwidować konta.

Kierownik banku starał się ukryć zaskoczenie. Odkąd pojawili się u niego w domu tamci dwaj Amerykanie, modlił się, by nigdy więcej nie' zobaczył tego człowieka. A jednak on przyszedł. Podczas gdy rozmawiali i załatwiali interesy, serce Ronalda o mało nie wyrwało się z piersi. Gdy tylko klient opuścił placówkę, bankier odłożył słuchawkę i popędził do łazienki. Ochlapał piekącą twarz zimną wodą.

Co powinien zrobić?

Wiedział, że złe jest to, co kazali mu zrobić ci straszni ludzie. Wiedział, że narusza każdą przysięgę powierniczą. Gdyby ktoś się dowiedział, Ronald straciłby pracę. Straciłby wszystko, na co pracował przez tyle lat.

Poza tym Ronald lubił pana Stevena Hansona. Mężczyzna zawsze był miły i pogodny. Zawsze miał dobre słowo na temat Ezry, którego fotografia stała na biurku Ronalda i którego Hanson raz spotkał, kiedy Ezra i Edith przyszli do banku w odwiedziny.

Ale jaki miał wybór?

Robił to dla swojego syna.

Mężczyzna z wąsami zapowiedział: jeśli się dowiedzą, że Ronald ich wykiwał, to wrócą. Skoro potrafili namierzyć Hansona aż tutaj, z pewnością zdołają go dalej śledzić. A gdyby się dowiedzieli, że jego fundusze zostały wyprowadzone z banku, byłoby gorzej. Dla Edith i Ezry.

Dużo, dużo gorzej.

Ronald zrozumiał, że gra toczy się o coś znacznie ważniejszego niż jego posada. Chodziło o rodzinę. Oni grozili, że zabiją Ezrę. Ronald poprzysiągł sobie, że nigdy więcej nie chce wiedzieć w oczach żony tego strachu.

„Panie Hanson, niech pan zrozumie. Jaki mam wybór?”

Naprzeciwko banku, po drugiej stronie placu znajdował się automat telefoniczny. Obok ławki, na której naklejono plakat wyborczy. Przedstawiał skorumpowanego ministra sprawującego obecnie urząd na Nevis oraz slogan: „Pora, żeby sobie poszli”.

Ronald wsunął kartę do automatu i wystukał zagraniczny numer, który mu podano. „Ronaldzie, nie omieszkać się ze mną skontaktować — powiedział na odchodnym wąsacz, głaszcząc Ezrę po głowie. — Ładny chłopiec. — Mrugnął. — Na pewno ma przed sobą świetną przyszłość”.

Połączono rozmowę. Ronald opanował strach.

— Halo — odezwał się głos w słuchawce.

Ronald go rozpoznał. Sam jego dźwięk sprawił, że po plecach przebiegł mu dreszcz obrzydzenia i wstydu.

— Mówi Ronald Torbor. Z Nevis. Kazał pan zadzwonić.

— Miło cię słyszeć, Ronaldzie — odrzekł mężczyzna z wąsami. — Jak tam Ezra? Dobrze mu się wiedzie?

— Widziałem go — powiedział Ronald, nie odpowiadając na pytanie. — Człowieka, którego szukacie. Był tu dzisiaj.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY SIÓDMY

— Jadę sama — oznajmiła Karen Hauckowi.

Znów spotkali się na kawie w Arcadii. Karen opowiedziała, że Charles w końcu się z nią skontaktował i przesłał wskazówki.

— Napisał, że mogę się z nim zobaczyć tylko ja. Taką zawarliśmy umowę. Muszę tak zrobić.

— Nie. Nie musisz. — Hauck postawił kubek z kawą i pokręcił głową. — To nie przejdzie. Nie masz zielonego pojęcia, z kim on jeszcze może mieć konszachty. Nie ma mowy, żebym pozwolił ci narażać się na niebezpieczeństwo.

— Taka jest umowa, Ty. Zgodziłam się na nią.

— Karen. — Hauck nachylił się i ściszył głos, tak by nie słyszeli go ludzie przy sąsiednich stolikach. — Ten człowiek odszedł od ciebie i twojej rodziny. Dokładnie wiesz, co zrobił. Wiesz także, co musisz chronić. Karen, to niebezpieczne. Tu nie chodzi o jakiś licealny przekręt. Powiedziałaś Charliemu wszystko, co odkryłaś. Zginęli ludzie. Nigdy w życiu nie puszcę cię tam samej.

— Nie musisz mi przypominać o stawce. — Głos Karen był napięty i coraz głośniejszy. Spojrzała na niego błagalnie. — Kiedy do ciebie przyszedłam, zaufałam ci. Powiedziałam ci o rzeczach, o których nie mogłam mówić z nikim innym.

— Chyba zasłużyłem na to zaufanie.

— Tak. — Karen skinęła głową. — Wiem, że zasłużyłeś. Ale teraz ty też będziesz mi musiał trochę zaufać. Jadę — oświadczyła. Spojrzenie miała jasne i pewne. — To jest mój mąż. Ja go znam, cokolwiek by się mogło wydawać. I wiem, że nigdy by mnie nie skrzywdził. Zgodziłam się. Nie zmarnuję tej szansy.

Hauck głęboko odetchnął. Widział jej upór. Mógłby ją zatrzymać, gdyby jeszcze dziś wszystko upublicznił. Wziął winę na siebie. Jednak na samym początku obiecał jej, że znajdzie Charlesa. Gdy tak rozmyślał nad pozostałymi opcjami, dotarło do niego, że zabrnął już zbyt daleko.

— To musi być w bardzo publicznym miejscu — rzekł w końcu. — Muszę cię obserwować. To jedyne rozwiązanie.

Otworzyła szerzej oczy.

— Ty...

— Sprawa nie podlega dyskusji. Jeśli poznamy wszystkie szczegóły i sytuacja wyda się bezpieczna, pójdiesz się z nim zobaczyć. Sama. Masz moje słowo. Ale będę w pobliżu. Tak się umówimy.

Karen spojrzała na niego ostrzegawczo.

— Nie możesz mnie wykorzystać, żeby do niego dotrzeć. Musisz mi to obiecać.

— Sądzisz, że pojedę tam, żeby go aresztować? Myślisz, że zadzwonię do Interpolu i zorganizuję zasadzkę jak w *Policjantach z Miami*? — Wbił w nią wzrok. — Jadę dlatego, że prawdopodobnie jestem w tobie zakochany, Karen, albo jestem tego cholernie bliski. Nie rozumiesz? Jadę, bo nie ma takiej siły, żebym pozwolił ci się w coś wpakować, żebyś zginęła.

W oczach Karen dostrzegł nieugiętość i determinację. Zwykle lśniące błękitem, teraz przybrały raczej stanowczą, stalową barwę nieustępliwości. Przez chwilę oboje siedzieli nieruchomo. W Haucku wszystko się gotowało.

Wreszcie Karen lekko się uśmiechnęła.

— Powiedziałaś „prawdopodobnie”.

— Tak, prawdopodobnie. — Hauck kiwnął głową. — I skoro już o tym mowa, pewnie też trochę zazdrosny.

— O Charlesa?

— O osiemnaście lat. Bez względu na to, co zrobił, jest to człowiek, z którym ułożyłaś sobie życie.

— Ten etap już się skończył.

— Ja nie wiem, co się skończyło. — Mężczyzna na chwilę odwrócił wzrok, po czym głęboko wciągnął powietrze. — Najważniejsze, że to z siebie wyrzuciłem. Pewnie głupio zabrzmiało, ale mam to gdzieś.

Karen wyciągnęła rękę i ścisnęła jego dłoń. Zaczęła masować miękkie opuszki. W końcu spojrzał jej w oczy.

— Wiesz, ja też cię pewnie kocham. — Wzruszyła ramionami. — Albo jestem blisko.

— Jestem zdruzgotany.

— Ale jeśli mamy myśleć o przyszłości, to nie teraz. Proszę. W tej chwili najważniejsze jest dla mnie spotkanie z Charlesem. Dlatego tam jadę. Potem... — Karen wsunęła kciuk w jego dłoń. — Potem zobaczymy. Umowa stoi?

Oplótł mały palec wokół jej małego palca i niechętnie się zgodził.

— Znasz to miejsce?

— St. James's Club? Raz tam byliśmy. Zawinęliśmy do portu na lunch. — Zobaczyła niepokój na jego twarzy. — Ty, to jest miejsce jak z luksusowego katalogu. Średnio się nadaje na zasadzkę.

— Więc kiedy jedziesz?

— Jedziemy. My. Jutro — powiedziała Karen. — Już zarezerwowałam bilety.

— Bilety?

— Tak, Ty, bilety. — Uśmiechnęła się szeroko. — Naprawdę wierzysz, że myślałam, że puścisz mnie samą?

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY ÓSMY

Pies był u sąsiadów. Rick i Paula wyjechali. Tak jak dzieci Karen. Wysłała e-mail do domku, w którym mieszkali Sam i Alex, by ich poinformować, że przez parę dni jej także nie będzie. Zdała sobie sprawę z tego, że komuś powinna dać znać, dokąd się udaje. Wybrała numer. W słuchawce odezwał się znajomy głos. Rozmawiał z domu.

— Saul?

— Karen? — Lennick sprawiał wrażenie zaskoczonego, ale zadowolonego. — Jak się masz? Jak tam twoja paczka?

— Wszyscy w porządku. Właśnie dlatego dzwonię. Wyjeżdżam na parę dni. Dzieciaki są w Afryce, wyobrażasz sobie? Na safari. Prezent dla Sam na koniec szkoły. Z moimi rodzicami.

— Tak, pamiętam, jak o tym mówiłaś — powiedział radośnie. — Dobrze jest być dziś młodym, prawda?

— Owszem, Saul — odparła Karen — chyba tak. Posłuchaj, trochę trudno będzie się ze mną skontaktować, więc zostawiłam im twój numer do biura. Wiesz, na wypadek gdyby coś wyskoczyło. Nie wiedziałam, do kogo jeszcze mogłabym zadzwonić.

— Oczywiście. To dla mnie przyjemność. Wiesz, że zrobię,

co tylko w mojej mocy. To dokąd się wybierasz? Pytam na wypadek, gdybym musiał się z tobą skontaktować — wyjaśnił.

— Na Karaiby. Brytyjskie Wyspy Dziewicze...

— Doskonale! Wyspy są świetne o tej porze roku. Jakies konkretne miejsce?

— Zostawię ci mój numer komórki. — Karen postanowiła nie zdradzać reszty. — Jeśli będziesz miał sprawę, to pod nim mnie złapiesz.

Saul był mentorem Charliego. Nadzorował zamknięcie jego firmy. Dowiedział się o nim wielu rzeczy. Archer. Zagraniczne konta. Nigdy nie powiedział jej o tym ani słowa. Karen nagle przebiegł dreszcz, gdy pomyślała: Czy on wie o wszystkim?

— Saul, wiem, że Charlie coś knuł.

Mężczyzna na chwilę zamilkł.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Wiem, że operował dużymi pieniędzmi. Na tych kontaktach, o których mówiliśmy. Za granicą. O to chodziło z paszportami i gotówką, prawda? Nie oddzwoniłeś do mnie, Saul, ale ja to wiem. Znałeś go lepiej niż ja. I gdyby coś wynikło, chroniłbyś go, prawda? Nawet teraz?

— Nie chciałem cię martwić. To część mojej pracy. Ciebie też bym chronił.

— Na pewno? — Karen miała wrażenie, że nagle coś zrozumiała. — Nawet gdyby ci to zagrażało?

— Zagrażało mi? Dlaczego miałoby mi to zagrażać? O czym mówisz, Karen?

Miała zamiar zapytać Saula, czy wie. Czy wie, że jej mąż żyje. Czy brał w tym wszystkim udział? Czy to między innymi z jego powodu Charlie się ukrywał albo — Karen przeszła przez głowę złowieszczą myśl — może to właśnie przed nim uciekał? Czy między innymi to on stanął między nią a mężem? Saul? Musiał wiedzieć o Jonathanie Lauerze. Nigdy nic jej nie powiedział. Czowała, jak ogarnia ją zdenerwowanie, zupełnie jakby

wkradła się w zakazane miejsce, do zamkniętej krypty, chłodnej i szczelnie zapieczętowanej. Saul odchrząknął.

— Oczywiście, Karen.

— Oczywiście, że co?

— Że chroniłbym cię. I dzieci. Przecież o to właśnie pytałaś.

Nagle Karen miała już pewność. Wiedział. Dużo, dużo więcej, niż przyznawał. Wyczuwała to w drzeniu jego głosu. Saul był mentorem Charliego.

Wiedział. Musiał wiedzieć.

A teraz rozumiał także, że ona wie.

— Nigdy mi nie powiedziałaś. — Karen zwilżyła usta. — Wiedziałaś, że Jonathan Lauer zginął i że próbował się ze mną skontaktować, że Charlie obracał tymi pieniędzmi. Charlie nie żyje, prawda, Saul? Nie żyje, a ty dalej go chronisz.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Oczywiście, że nie żyje. Charlie cię kochał. Tylko o tym powinnaś teraz myśleć. Chyba najlepiej na tym poprzestać.

— Co zrobił mój mąż? Co jest z wami wszystkimi? Dlaczego coś przede mną ukrywasz?

— Baw się dobrze na wycieczce, Karen. Tam, dokąd jedziesz. Ja zadbam o wszystko. Wiesz o tym, prawda, moja droga?

— Tak — powiedziała Karen.

W ustach miała sucho. Poczwała chłód, jakby od powiewu przez okno otwarte na świat, któremu niegdyś ufała.

— Wiem o tym, Saul.

CZEŚĆ CZWARTA

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Dwunastoosobowa cessna linii Island Air wylądowała na pasie. Koła z trudem odnalazły skrawek lądu pośród turkusowego Morza Karaibskiego. Mały samolot zatrzymał się pod terminalem, który w zasadzie był blaszakiem w kształcie półwalca z wieżą oraz wiatromierzem.

Hauck puścił oko do Karen siedzącej po drugiej stronie korytarza.

— Gotowa?

Gdy tylko śmigła przestały się obracać, w stronę samolotu wybiegli dwaj bagażowi, ubrani w szorty i T-shirty.

Młody pilot w półkolistych okularach pomógł pasażerom wysiąść na asfaltową płytę lotniska u stóp schodków.

— Przyjemny lot — powiedział Hauck.

— Witamy w raju — odparł tamten z szerokim uśmiechem.

Rano wystartowali z lotniska JFK do San Juan, skąd złapali połączenie American Eagle na Tortole, a teraz awionetką przelecieli nad szklistą powierzchnią morza na Saint Hubert. Przez Większą część podróży Karen milczała. Trochę spała, trochę kartkowała książkę, którą zabrała z domu. Była zdenerwowana. W oczach Haucka nie mogła wyglądać ładniej — w brązowym, obcisłym bezrękawniku i białych spodniach do pół łydki, z

onyksowym wisiorkiem na szyi i okularami przeciwsłonecznymi w szylkretowych oprawkach na głowie.

Hauck pomógł jej zejść po schodkach i sam zsunął na oczy ciemne okulary. Bez względu na to, po co przyjechali na wyspę, było tu pięknie. Słońce oślepiało. Chłodny pasat od morza pieścił skórę.

— Friedman? Hauck?

Zawołał ich pracownik ośrodka ubrany w białą koszulę z pagonami. W rękę miał notatnik. Hauck pomachał do niego.

— Witamy na Saint Hubert. — Młody czarnoskóry mężczyzna uśmiechnął się uprzejmie. — Zabiorę państwa do ośrodka.

Załadowali bagaże do hotelowego land cruisera. Łąd wydawał się jedynie cienką wstążką piasku i roślinności pośrodku morza. Od jednego końca do drugiego było raptem kilka kilometrów. Wyspę dzieliła na pół niewielka góra. Wokół stały prowizoryczne kramy z jedzeniem, miejscowi sprzedawali owoce i rum własnej roboty, w pobliżu kręciły się kozy. Kilka barwnych billboardów reklamowało piwo Caribe oraz miejscową firmę wypożyczającą auta.

Wyboista droga do hotelu zajęła nie więcej niż kwadrans. Wkrótce zajechali pod St. James's Club.

Miejsce było piękne, pełne bujnej roślinności i wysokich palm. Hauck potrzebował dwóch sekund, by stwierdzić, że sam nie mógłby sobie pozwolić na pobyt w takim ośrodku. Tydzień tutaj kosztował zapewne więcej, niż on zarabiał przez miesiąc. W recepcji na świeżym powietrzu, pod daszkiem krytym strzechą, Karen poprosiła o dwa sąsiednie pokoje, które zarezerwowała w hotelowej części ośrodka. Omówili to wcześniej. Hauck nie miał nic przeciwko temu. Nie przyjechali na wakacje. Należało pamiętać, dlaczego się tu znaleźli.

— Czy są dla mnie jakieś wiadomości? — spytała Karen, gdy się meldowali.

Ładna recepcjonistka zajrzała do komputera.

— Przykro mi, proszę pani, żadnych.

Boy hotelowy zaprowadził ich do pokoiów. Oba były gustownie urządzone, w każdym stało duże łóżko z baldachimem oraz drogie, rattanowe meble. Miały też przestronne marmurowe łazienki z okazałymi wannami. Tuż za tarasem kołysały się palmy. Roztaczał się z niego widok na idealną plażę z białym piaskiem.

Spotkali się na przylegających balkonach. Spoglądali na morze. Tu i ówdzie na piasku stały kabiny plażowe. Na przystani cumował przepiękny, dziesięciometrowy jacht.

— Pięknie tu — powiedział Hauck, rozglądając się wokół.

— Tak — przyznała Karen, wdychając morską bryzę. — Rzeczywiście.

— Nie ma sensu siedzieć bezczynnie i wyczekiwać, aż on się z tobą skontaktuje. — Hauck wzruszył ramionami. — Idziemy popływać?

— A co tam! — Karen się uśmiechnęła. — Jasne.

Chwilę później Karen zeszła w gustownym, jednoczęściowym brązowym kostiumie oraz nierównomiernie farbowanym sarongu. Włosy spięła na czubku głowy. Hauck miał na sobie „markowe” kąpielówki Colby College.

Woda była ciepła i spieniona. Łagodne białe fale obmywały im stopy. Na plaży praktycznie ani żywej duszy. W czerwcu w ośrodku nie roilo się od ludzi. Kilkaset metrów od brzegu znajdowała się niewielka rafa. Opalała się tam grupka ludzi. Młoda para odbijała piłkę raketkami. Morze pozostawało prawie nieruchome.

— Boże, tu jest cudownie — westchnęła Karen wniebowzięta, brodząc w wodzie.

— O rany — przytaknął Hauck i zanurkował w morzu. Gdy się wynurzył, wskazał przed siebie. — Płyniemy do rafy?

— Płyniemy? A może się pościgamy? — Karen uśmiechnęła się szeroko.

— Ze mną? Wiesz, z kim rozmawiasz, paniusiu? — zaśmiał się. — Jestem trzecim wśród najlepszych graczy ofensywnych w historii liceum Greenwich High.

— Ojej, już się boję. — Karen, niezrażona, przewróciła oczami. — Uważaj na rekiny.

Pierwsza z wdziękiem zanurkowała. Hauck dał jej fory w postaci kilku ruchów, a następnie ruszył za nią. Karen bez wysiłku przebijała kraulem fale. Ty wcale jej nie doganiał. Chociaż dawał z siebie wszystko, nie mógł nadrobić dystansu. Parę razy próbował złapać ją za nogi. Wyścig trwał około trzech minut. Karen go pokonała. Gdy wreszcie wypelzł na rafę, łapczywie wdychając powietrze, już czekała.

— Poległem.

Kobieta puściła do niego oko.

— Amatorska mistrzyni Atlanty w stylu dowolnym do lat dwunastu. — Wytrząsnęła wodę z włosów. — Co tak długo?

— Natknąłem się na rekina — parsknął, uśmiechając się z fałszywą skromnością.

Karen położyła się na drobniutkim piasku. Hauck usiadł i objął kolana ramionami. Odwrócił się, by spojrzeć na kryte strzechą dachy i kołyszące się palmy na tej pięknej, tropikalnej wyspie.

— To w czym jeszcze jesteś dobra? — spytał, udając zniechęcenie.

— Chili. Tenis. Wyciąganie dużych sum od darczyńców. — Uśmiechnęła się od ucha do ucha. — W swoim czasie byłam znana ze skuteczności w tej konkurencji. A ty?

— W czyszczeniu pola bramkowego. Ściąganiu kotów z drzew. Wcinaniu pączków — odparł. — Łapaniu doła raz na jakiś czas.

— No i malujesz — podkreśliła Karen.

— Sama widziałas.

— To prawda. — Figlarnie dźgnęła go dużym palcem u nogi. — Można to tak nazwać!

Hauck obserwował, jak na jej mokrej skórze wysychają kropelki wody.

— I co teraz? — spytała, a ton jej głosu sugerował, że zmieniła temat. — Po tym?

— Po tym?

— Po spotkaniu z Charlesem. Co z nim wtedy będzie? To, co zrobił...

— Nie wiem. — Hauck nabrał powietrza. Osłonił oczy od słońca. — Może dasz radę go przekonać, żeby oddał się w ręce policji. Znaleźliśmy go, więc komuś innemu też się uda. Charles nie może uciekać w nieskończoność.

— Chcesz powiedzieć, że poszedłby do więzienia, prawda? Wzruszył ramionami.

— Wątpię, żeby do tego doszło, Ty. Nie wyobrażam sobie. Cisnął kamyk do wody.

— Najpierw zobaczymy, co ma do powiedzenia.

Kiwnęła głową. Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę i żadne z nich nie chciało ująć w słowa swych obaw o nieznaną przyszłość. Potem Karen uśmiechnęła się i znów szturchnęła go stopą.

— To może... rewanż do brzegu?

— Nie ma mowy. Musisz wiedzieć, że kiepsko znoszę porażkę.

— Twoja strata! — zawołała z przebiegłym uśmieszkiem, oglądając się na Haucka, po czym podniosła się i skoczyła w fale.

Ruszył w jej ślady.

— Z drugiej strony, kiedy ktoś mnie ośmiesza, też to kiepsko znoszę.

Później spotkali się na obiedzie. Na tarasie restauracyjnym, który wychodził na zatokę, tylko połowa stolików była zajęta. Kilka par w podróży poślubnej oraz rodziny z Europy.

Hauck zamówił miejscowe pikantne danie rybne, Karen homara. Uparł się, że zapłaci, i zamówił butelkę wykwintnego

meursault. Ona zdążyła już się nieco opalić i włożyła czarną koronkową sukienkę. Hauck zdawał sobie sprawę z ustalonych reguł, ale nie mógł od niej oderwać wzroku.

Później ruszyli ścieżką w kierunku recepcji. Sprawdziła pocztę na swoim blackberry. Rozczarowała się. Następnie spytała recepcjonistkę, czy nie zostawiono dla niej wiadomości.

Również bez rezultatu.

— To był przyjemny dzień — powiedział Hauck.

Karen uśmiechnęła się słodko.

— Tak.

Na górze odprowadził ją do drzwi. Nastąpił niezręczny moment, kiedy Karen nachyliła się i delikatnie pocałowała go w policzek.

Znów się do niego uśmiechnęła, po czym wdzięcznym ruchem ręki i z błyskiem w oku zamknęła drzwi. Hauck dostrzegł jednak w jej spojrzeniu zafrasowanie.

Charles wciąż nie dał żadnego znaku.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY

Następnego dnia również nie przysłała żadna wiadomość. Karen była coraz bardziej spięta.

Hauck także to odczuwał. Rano poszedł pobiegać poza terenem ośrodka. Potem wrócił i podnosił ciężary w siłowni. Następnie spróbował zabić czas lekturą dokumentów, które przed wyjazdem zabrał z komisariatu.

Karen siedziała w swoim pokoju i chyba ze sto razy sprawdzała wiadomości na blackberry.

A jeśli go wystraszyłam, zastanawiała się. Jeśli Charles znów zaczął się ukrywać? W tej chwili mógł się znajdować tysiące kilometrów stąd.

Da znać, mówiła sobie. Nie będzie jej ponownie torturował.

Po południu Hauck znów popłynął do rafy. Unosił się na plecach na powierzchni wody chyba przez godzinę. Rozmyślał o słowach Karen: o tym, co on zrobi w sprawie Charlesa — potem. W domu.

Wiedział, że będzie musiał wszystko wyciągnąć na światło dzienne. Dietza. Hodgesa. Pieniądze za granicą. Puste tankowce. Pappy'ego Raymonda. Zaażonowane wypadki.

Wszystko.

Nawet gdyby błagała, żeby tego nie robił. Rozpocznie się

dochodzenie. Zbadają postępowanie Haucka. Na pewno go zawieszą. Może nawet straci pracę.

Zostawił ten temat na później, wrócił do pokoju i położył się na łóżku. Miał wrażenie, że ktoś przeciąga mu przez wnętrzności drut kolczasty. Milczenie Charlesa oboje ich wycieńczyło. A także myśl o tym „co potem”. Nagle przyszłość oraz wszystko, co ze sobą niosła, nie wydawały się tak odległe.

Cisnął stos służbowych papierów na łóżko, rozsunął drzwi i wyszedł na balkon.

Po drugiej stronie zobaczył Karen. Stała twarzą do oceanu i ćwiczyła jogę, ubrana w obcisłe legginsy i krótki bawełniany bezrękawnik.

Patrzył.

Z gracją przechodziła z jednej pozycji do następnej, jakby pogrążona w tańcu. Wygięcie delikatnie wyrzeźbionych ramion, palce skierowane ku niebu. Równy rytm oddechów, pierś przeżyła się i zapadała, głęboki łuk pleców współgrał z ruchami ramion.

Serce zabiło mu mocniej.

Wiedział, że jest w niej zakochany. Nie prawdopodobnie, jak żartował — ale definitywnie. Obudziła go z głębokiego snu, kusząc słodko czymś, co umarło w nim dawno temu, a teraz buzowało.

Na początku go nie zauważyła, maksymalnie skupiona na precyzji ruchów. Wygięcie nogi, uniesienie miednicy, rozciągnięcie ciała. Opadający w przód koński ogon. Błysk odsłoniętego brzucha.

Ty, do jasnej cholery...

Szerokim półkolem przeniosła ręce za plecy i chyba otworzyła oczy. Ich spojrzenia się spotkały.

W pierwszej chwili tylko się uśmiechnęła, jak gdyby przyłapał ją na jakiś intymnym rytuale, czymś takim jak na przykład kąpiel w wannie.

Hauck widział plamę potu na jej bluzce, zsunięte ramiączko, kosmyk miodowych włosów, który opadł jej na oczy.

Nie mógł tego dłużej znieść. Miał wrażenie, że trawi go ogień. Skinął jej głową i była w tym ogromna niecierpliwość. Nic nie powiedzieli, ale nie musieli, rozumieli się bez słów.

— Karen...

Znalazł się przy drzwiach w tej samej sekundzie, gdy się rozwarły, otworzył je na oścież, chwycił ją, wepchnął do pokoju i przycisnął do ściany, zanim zdążyła wyszeptać:

— Ty, czego ty ode mnie chcesz, do cholery?

Przycisnął usta do jej warg, tłumiąc wszelki sprzeciw, smakując słodycz jej uśmiechu. Karen z tą samą niecierpliwością wyciągnęła mu koszulę ze spodni, szarpnęła szorty. Szorstką dłoń przyłożył do krągłości jej ciała pod materiałem legginsów, z każdego pora jej skóry promieniował żar. Hauck nie mógł się opanować.

Jej pierś uniosła się w oddechu.

— Jezu, Ty...

Jednym szarpnięciem ściągnął jej legginsy. Od ćwiczeń na dworze miała śliską, spoconą skórę. Podniósł ją, oparł o rattanowy fotel z wysokimi plecami, słyszał jej pomruk, rękoma obejmowała go za szyję, uniósł ją, aż w końcu znalazł się w niej, nogami oplatała jego uda, byli jak dwoje wygłodniałych ludzi, którzy rzucają się na jedzenie.

Tym razem nie było czułości ani łagodności, tylko pragnienie, które zrodziło się głęboko w nich obojgu. Oparła mu twarz na piersi i kołysała się w jego ramionach. On trzymał ją kurczowo, mocniej, niż trzymał cokolwiek w życiu. A kiedy było po wszystkim, z ostatnim, pozbawionym wstydu tchem nie puszczał jej, przyciskał do niej swe ciało, pozwalając, by łagodnie opadła w obszerny fotel. Sam oparł się o ścianę i wycieńczony osunął na podłogę.

— No i tyle, jeśli chodzi o naszą umowę — jęknęła Karen i odgarnęła z twarzy mokre włosy.

— Nie najlepiej nam to wyszło — wydyszał Hauck, zginając nogę. — Moglibyśmy wyjechać — powiedział. — Nie musimy na

niego czekać. Wiem, że są rzeczy, które chcesz od niego usłyszeć, ale do diabła z tym, Karen, to cię tylko zrani. Możemy po prostu wyjechać. Niech Charles wraca w cholerę, tam gdzie chce.

Karen kiwnęła głową. Zmusiła się do uśmiechu.

— Teraz nie mówisz jak policjant.

— Może dlatego, że nie za bardzo czuję się jak policjant. Może dlatego, że pierwszy raz od pięciu lat czuję się spełniony. Całe moje zasrane życie postępuję właściwie i ten jeden raz boję się, co będzie, kiedy się z nim spotkasz. Karen, to, co tutaj robimy, to być może największe kłamstwo świata. Ale i tak nie chcę, żeby się skończyło.

— Ja też nie.

Przerwał im ostry dzwonek. Dochodził ze stolika, na którym leżała jej torebka. Oboje natychmiast spojrzeli w tym kierunku. Karen naciągnęła bezrękawnik, podbiegła do stolika i zaczęła szukać swojego blackberry.

Urządzenie wibrowało.

Zdenerwowana podniosła wzrok.

— To on. — Otworzyła wiadomość. — „O ósmej rano do przystani w St. James's Club przypływie łódź” — zaczęła czytać na głos. — Kapitan nazywa się Neville. Zabierze cię do mnie. Tylko ciebie, Karen. To jedyna możliwość. Nikogo innego. Charles”.

Kobieta podeszła do Haucka i podała mu telefon. Policjant sam odczytał wiadomość. Czuł, jak wszystko wymyka mu się z rąk.

— To mój mąż — powiedziała Karen. Osunęła się na podłogę obok niego. — Przykro mi, Ty. Muszę to zrobić.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY PIERWSZY

Sześćdziesiąt pięć kilometrów dalej Phil Dietz sącył margarite z sokiem z czarnego kaktusa w Black Hat Bar na Tortoli. Zespół grał kawałki Jimmy'ego Buffeta i Wyclefa Jena, tłum młodych ludzi tańczył i rozlewał piwo, a w ich bez troskich głowach buzował rum. Na drugim końcu baru Dietz zauważył ładną babkę w wiązanej na szyi bluzce z dużym dekoltem. Pomyślał sobie, że co tam, później może nawet spróbuje, choć sądząc po jej wyglądzie, będzie musiał zapłacić. Zasłużył sobie. Postanowił, że potrąci to z konta Lennicka. Trochę poświętuje, bo jutro koniec zabawy.

Znalazł faceta.

Bez trudu wyśledził trasę podróży Karen Friedman. Lennick dał mu sygnał. Wiedział, że ryba połknęła haczyk. Skoro wybierała się na Wyspy Dziewicze, prawdopodobnie musiała lecieć przez San Juan, więc zadzwonił i zapytał o rezerwację. Linie lotnicze wciąż ujawniały takie rzeczy. To ułatwiało robotę. Kazał więc Lenzowi — facetowi, który prowadził tamten samochód w Greenwich, ale którego twarz nie była nikomu znana — czekać na nią na Tortoli. Śledził lot jednosilnikowego samolotu na Saint Hubert. Tam mogli się udać tylko w jedno miejsce.

Nie wziął natomiast pod uwagę tego gliniarza. Wiedział, że

to nie jest wycieczka pary kochanków. Charles musiał być gdzieś w pobliżu.

Zaprowadził ich tam.

Cokolwiek by teraz nastąpiło, Dietzowi było na rękę. Umieścił Lenza w klubie, żeby miał na nich oko. Wynajął mały samolot. Reszta to formalność. To, za co mu płacono. Zdolności, jakie były tu potrzebne; doskonalił całe życie.

Dietz wypił kolejny łyk drinka. Dziewczyna w wiązanej bluzce uśmiechnęła się do niego. Zaczynał czuć podniecenie.

Wiedział, że nie jest zbyt przystojny. Był niski i przysadzisty, a całą długość grubych ramion pokrywały wojskowe tatuaże. Ale kobiety zawsze go zauważały i przyciągał je w jakiś surowy, szorstki sposób.

Pomyślał o tym policjancie. Jego obecność komplikowała sprawę. Jeśli wiedzieli o Dolphinie, być może dowiedzieli się również o tym staruchu z Pensacoli. A skoro tak — to biorąc jeszcze pod uwagę sprawę Lauera — wizyta gliniarza w jego domu nie była może taka przypadkowa.

Charles wiele wiedział. Więcej, niż mogło wyjść na światło dzienne. Był niedbały, ale to niedbalstwo musiało wreszcie dobiec końca.

Dietz podrapał się po wąsach i wypluł kawałek tytoniu z cygara. Pora na zapłatę, Charles.

Jeszcze raz zerknął na dziewczynę, po czym dokończył drinka. Otworzył komórkę. Musiał wykonać ostatni telefon.

Wybrał numer, który znał na pamięć. Odezwał się chropawy głos z mocnym akcentem. Zawsze warto grać na dwa fronty, pomyślał. Miał polecenie pozostawać w kontakcie i donosić o postępach.

— Dobre wieści — powiedział, nie spuszczać oka z dziewczyny. — Chyba go znaleźliśmy.

— Doskonale — odrzekł głos. — Po śladach kont?

Banki, przelewy elektroniczne. Handlarz diamentów, którego z wysiłkiem namierzyli.

— Nie było potrzeby — wyjaśnił Dietz. — W końcu znalazłem inny sposób. Jego żona zaprowadziła nas prosto do niego.

Wstał i rzucił na bar banknot dwudziestodolarowy. Jutro... jutro powróci do interesów. Ale dziś... Dziewczyna rozmawiała z wysokim blondasem, który musiał być surferem. Dietz minął grupkę rybaków przechwalających się zdobyczami. Kiedy przed nią stanął, podniosła wzrok.

— Gdzie pan jest? — powiedział do telefonu.

— Już ty się nie martw — odparł szorstki głos. — W pobliżu.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY DRUGI

Nastał ciepły i mglisty ranek.

Karen obudziła się wcześniej i zjadła lekkie śniadanie w pokoju. Siedziała na balkonie i sączyła kawę, obserwując słońce wschodzące nad spokojnym morzem. Starła się pokonać zdemerowanie. Nad rafą krążyło stado ptaków, które skrzeczały i nurkowały w poszukiwaniu wczesnego posiłku.

Okolo siódmej trzydzieści zauważyła małą łódź motorową, która wpłynęła do przystani St. James's Club. Zeskoczył z niej kapitan. Karen wstała, usiłując opanować niepokój. To już teraz...

Włożyła sukienkę na ramiączkach z drukowanej tkaniny oraz espadryle. Upięła włosy, nałożyła odrobinę różu na policzki i błyszczyku na usta, żeby ładnie wyglądać. Następnie spakowała do torby krem do opalania, balsam do ust i kilka butelek wody. Wzięła też parę zdjęć dzieci, które zabrała z domu.

Na dole, przy dróżce prowadzącej na plażę, czekał Ty. Mrugnął, żeby dodać jej otuchy. Cóż jeszcze można było powiedzieć?

— Mam coś dla ciebie — oznajmił. Zaprowadził ją w ustronne miejsce pod loggią i posadził na drewnianym krześle plażowym. Wsunął jej w dłoń niewielki krążek. — To silny odbiornik

GPS. Schowaj go do torebki. Dzięki niemu będę cię mógł znaleźć. Chcę, żebyś do mnie dzwoniła o pełnej godzinie. Co godzinę. Żebym wiedział, że jesteś bezpieczna. Obiecujesz, że to zrobisz?

— Ty, nic mi nie będzie. To Charles.

— Masz mi obiecać — powiedział.

Tym razem to nie było pytanie, raczej polecenie.

— Dobrze. — Uległa i uśmiechnęła się. — Obiecuję.

Hauck wyjął z kieszeni coś jeszcze — ciemny metalowy przedmiot, tak mały, że mieścił mu się w dłoni. Na jego widok kobietę przeszedł dreszcz.

— Karen, chcę, żebyś wzięła jeszcze to.

— Nie.

— Mówię poważnie. — Wcisnął jej ten przedmiot do ręki. — Na wypadek gdyby coś się stało. To beretta kalibru dwadzieścia dwa. Odbezpieczona. Może ci się nie przydać, ale tego nigdy nie wiesz. Sama mówiłaś: zginęli ludzie. Dlatego weź to. Proszę. Na wszelki wypadek.

Karen spojrzała na pistolet. Serce jej przyspieszyło. Spróbowała odepchnąć broń.

— Ty, proszę cię, przecież to Charles...

— Owszem, Charles — przyznał mężczyzna. — A poza tym nie masz pojęcia, na kogo jeszcze się natkniesz. Weź pistolet. To nie prośba, to rozkaz. Oddasz mi go dziś po południu.

Patrzyła na broń i ten widok przypomniawszy jej, że niezależnie od tego, co powie, on miał rację — trochę się bała.

— Nie chcę wziąć pistoletu, bo obawiam się, że go zastrzelę.
— Zaśmiała się, ale schowała broń do torebki.

— Karen, posłuchaj. — Ty uniósł ciemne okulary. — Ja naprawdę cię kocham. Chyba odkąd pierwszy raz przyszedłem do twojego domu. Zdajesz sobie z tego sprawę. Nie wiem, co po tym wszystkim będzie między nami. Jakoś sobie poradzimy. Ale teraz moja kolej i chcę, żebyś mnie uważnie wysłuchała.

Uważaj na siebie. Chcę, żebyś trzymała się najbardziej uczęszczanych miejsc, jeśli to możliwe. Nie idź z nim nigdzie po rozmowie. Nie ryzykuj, rozumiesz?

— Tak jest. — Kiwnęła głową, a na jej usta, pomimo zdenerwowania, wkradł się delikatny uśmiezek.

— Karen, co mam ci, do cholery, powiedzieć? Jestem gliniarzem.

Kapitan, czarnoskóry mężczyzna koło trzydziestki, ubrany w szorty i czapkę z daszkiem, wyskoczył z łódki. Nazywała się *Sea Angel*. Spoglądał na zegarek.

— Chyba muszę już iść — powiedziała Karen.

Nachyliła się do Haucka, a on ją przytulił. Pocałowała go w policzek i mocno uściśnęła.

— Nie martw się o mnie. — Wstała i uśmiechnęła się z wysiłkiem. — Przecież to Charlie. O dziesiątej pewnie będziemy pili piwo w jakiejś kawiarni.

Popędziła ku nabrzeżu, po drodze raz jeszcze odwróciła się i pomachała, ale serce jej łomotało. Ty ruszył za nią i zrobił kilka kroków po piasku, także do niej machając. Karen podbiegła do kapitana łodzi, przyjaźnie wyglądającego mężczyzny.

— Pan jest Neville?

— Zgadza się — powiedział. Wziął od niej torbę. — Powinniśmy ruszać. — Zauważył Tya, który zrobił kilka kroków w ich kierunku. — On mówił, że tylko pani. Inaczej nie płyniemy.

Karen wzięła go za rękę i wsiadła na pokład.

— Tylko ja. Dokąd płyniemy?

Neville wszedł na łódź i rzucił cumę na pomost.

— Powiedział, że pani będzie wiedziała.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY TRZECI

Rzeczywiście wiedziała. Gdzieś w głębi serca. Dotarło to do niej, gdy płynęli, a wyspy stawały się coraz bardziej znajome. Niecierpliwiła się.

Kierowali się na zachód. Kiedy minęli rafę, dwusilnikowa łódź przyspieszyła. Karen przeszła na tył. Pomachała do Haucka, który wyszedł na pomost. Po minucie łódź zakręciła i kobieta straciła go z oczu.

Teraz Charlie miał ją w ręku.

Podróż była wspaniała. Mijali wiele wysepek z białymi plażami — małych, niezamieszkanymi skrawków piasku porośniętych palmami. Woda o delikatnym odcieniu turkusu była usiana białymi grzywami. Słońce prażyło, jasne i ciepłe. Łódź pruła fale, pozostawiając za sobą szeroki kilwater. Na miejscowych wodach kapitan wyraźnie czuł się jak w domu. Słona bryza rozwiewała włosy Karen.

— Zna pan Charlesa?! — zawołała do Neville'a, przekrzykując ryk silników.

— To znaczy pana Hansona? — zapytał. — Tak. Służę na jego łodzi.

— Na tej?

— O nie, psze pani. — Mężczyzna uśmiechnął się szeroko, jakby go to rozbawiło. — Zupełnie innej.

Motorówka mijąca bezлюдne plaże. Nieliczne osady wciśnięte w zatoczki. Miejsca, które kiedyś wspólnie odwiedzili. Co jakiś czas na otwartym morzu przepływali obok pięknych jachtów lub też niewielkich łodzi rybackich, na których pracowali rozebrani do pasa tubylcy. Raz Neville uśmiechnął się i wskazał w stronę horyzontu.

— Żaglica.

Niepokój, który czuła Karen, zaczynał narastać.

Podróż trwała pięćdziesiąt minut. Łódź zbliżała się do mniejszych, niezamieszkanym wysepek.

Nagle kobieta zrozumiała, że Neville miał rację. Ogarniało ją dziwaczne poczucie, że zna to miejsce. Rozpoznała plażową restaurację, w której kiedyś się zatrzymali — ot, kryta strzechą chatka z grillem na wolnym powietrzu, gdzie jedli homara i kurczaka. Cumowało tam kilka małych łodzi. Nieco dalej stała latarnia morska, którą również pamiętała, pomalowana w biało-niebieskie pasy. Karen przypomniała sobie nazwę.

Bertram's Cay.

Teraz już wiedziała, dokąd ją wiezie. Jeszcze jedna błękitna zatoka i wreszcie zobaczyła to miejsce.

Poczwała ciepło w sercu.

Odcięta od świata zatoczka, gdzie kiedyś rzucili kotwicę. Przypomniała sobie Charliego za sterem, z włosami opadającymi na czoło i ray-banami na nosie. Do plaży musieli dotrzeć wpław, zabrali kosz jedzenia, trochę piwa, leżeli na drobnym, białym piasku, osłonięci przez rozkołysane palmy.

Ich zatoczka. Jak nazwali to miejsce? Laguna Nieważne.

Dokąd, u diabła, pojechali Karen i Charlie? — pytaliby wszyscy.

Gdy łódź zwolniła, Karen przeszła na dziób i osłoniła oczy. Z coraz szybciej bijącym sercem rozejrzała się po niewielkiej plaży w kształcie podkowy. Neville podpłynął motorówką, która musiała mieć z metr zanurzenia, na odległość kilku metrów od plaży.

Wszystko wyglądało tak samo. Tak jak wtedy, gdy odkryli to miejsce przed ośmioma laty. Na piasku leżał żółty ponton. Serce Karen zaczęło mocniej bić. Rozejrzała się. Nikogo nie widziała. Usłyszała jedynie skrzek — nad drzewami krążyło kilka mew i pelikanów.

Charlie...

Sama nie wiedziała, co czuje. Nie wiedziała, jak zareaguje. Zdjęła sandały, wspięła się na dziób i oparła o barierkę. Obejrzała się na Neville'a, który ruchem dłoni polecił, żeby zaczekała. Podpłynął bliżej i ustawił łódź bokiem. Wtedy skinieniem głowy, pokazał, że może iść. Już...

Karen zeskoczyła, z torbą przewieszoną przez ramię. Woda była ciepła i spieniona, sięgała połowy jej uda, moczyła dół sukienki. Brodząc, dotarła do plaży. Nikogo tam nie widziała. Obejrzała się za siebie. Neville powoli odpływał od brzegu. Pomachał do niej. Karen znowu się obróciła i po raz pierwszy naprawdę zaczęła się bać.

Była sama. Na tym bezludnym kawałku lądu. Ledwie figurującym na mapach.

A jeśli on tu do niej w ogóle nie przyplynał?

Przypomniała sobie, że nie zadzwoniła do Tya. Nalegał, żeby pozostawała w miejscach publicznych. Publicznych? To przecież najbardziej opuszczone miejsce na całym zaszranym świecie.

Karen ostrożnie weszła na niewysoką wydmę. Poranne słońce świeciło na piasek, który pod bosymi stopami był ciepły i miękki. Do jej uszu nie dochodził żaden dźwięk, z wyjątkiem świergotu dobiegającego od strony drzew oraz cichego szumu fal.

Właśnie sięgała do torby po telefon, gdy po jej skórze przebiegł leciutki dreszcz.

Usłyszała szelest krzaków, a potem głos, zanim jeszcze zobaczyła jego postać.

Łagodny, dziwnie znajomy.

— Karen.

Poczuła ucisk w piersi, a potem się obróciła.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY CZWARTY

Niczym duch Charles wyłonił się z gęstych zarośli. Serce Karen na moment przestało bić. Na ustach miał dziwny, niepewny uśmiech. Spojrzał na nią i zdjął ciemne okulary.

— Witaj, skarbie.

Zamurowało ją.

— Charles...?

Patrząc na nią, kiwnął głową.

Karen zasłoniła dłonią usta. W pierwszej chwili nie wiedziała, co robić. Zaparło jej dech. Patrzyła jak oniemiała. Wyglądał inaczej. Zupełnie się zmienił. Może by go nawet nie rozpoznała na ulicy. Głowę przykrywała mu czapka z daszkiem w kolorze khaki, jednak Karen widziała, że włosy pod nią były niemal kompletnie zgolone. Na policzkach miał kilkudniowy zarost, oczy ukrył za okularami. Ciało szczuplejsze, lepiej wymodelowane. I opalone. Był ubrany w kwieciste różowo-zielone plażowe szorty, sandały do chodzenia po wodzie oraz biały T-shirt. Nie potrafiła stwierdzić, czy wyglądał starszej, czy młodziej. Po prostu inaczej.

— Charles?

Zrobił krok w jej stronę.

— Witaj, Karen.

Cofnęła się. Nie wiedziała, co powinna czuć. Zobaczyła mężczyznę, z którym dzieliła każdą radość i każdy ważny moment w swym dorosłym życiu, którego opłakiwała i wobec którego czuła teraz odrazę jak wobec kogoś obcego, winnego opuszczenia jej oraz dzieci, targały nią sprzeczne uczucia. Coś ją odepchnęło. Sam dźwięk jego głosu. Głosu człowieka, którego pochowała. Jej męża.

Wtedy przystanął. Odruchowo zrobiła w jego stronę kilka kroków. Rzucił jej niepewne spojrzenie, niespokojne. Karen świdrowała go wzrokiem.

— Charles, wyglądasz zupełnie inaczej.

— Taki los. — Wzruszył ramionami, uśmiechając się lekko zdenerwowany.

— Na pewno. Przyjemne miejsce wybrałeś na spotkanie, Charlie.

Wciąż szła w jego stronę, nie spuszczając go z oka. Mrugnął.

— Pomyślałem, że ci się spodoba.

— Tak. — Karen podeszła bliżej. — Zawsze miałeś skłonność do ironii, prawda, Charles? Tym razem rzeczywiście przeszedłeś sam siebie.

— Karen — zmienił się na twarzy — tak mi przykro...

— Nie! — Pokręciła głową. — Nie mów tego, Charles. — Teraz już gotowała się w środku, szok minął. Przypomniała sobie prawdę, powód, dla którego tu przybyła. — Nie mów mi, że ci przykro. Ty tego w ogóle nie rozumiesz.

Zalała ją silna fala gniewu i niedowierzania zarazem. Czuła, że zaciska pięści. Charles kiwnął głową, przyjął ten cios. Zdjął okulary. Karen patrzyła z zaciśniętymi zębami, mrużyła powieki, patrząc w jego znajome, szare oczy.

Spoliczkowała go. Mocno. Skrzywił się, zrobił krok w tył, lecz się nie osłonił.

Uderzyła go jeszcze raz — mocniej, dezorientacja znalazła upust, przeradzając się w nieposkromiony gniew.

— Jak mogłeś? Niech cię diabli! Jak możesz stać tu przede mną? — Uniosła dłoń i znów go uderzyła. Tym razem pięścią w pierś, tak że zatoczył się w tył. — Niech cię szlag trafi! Jak mogłeś mi to zrobić? Nam! Aleksowi, Sam, twojej rodzinie. To nas zniszczyło. Zabrałeś ze sobą kawałek nas wszystkich. A ty, ty jesteś tutaj... Nigdy nie zrozumiesz. Opłakiwaliśmy cię. Tak bardzo, jakby umarła częśćka nas samych. — Znów uderzyła go w pierś, w jej oczach lśniły łzy wściekłości. Charles teraz osłaniał się przed ciosami, lecz się nie odsuwał. — Płakaliśmy za tobą przez cały cholerny rok. Paliliśmy ci lampki. Charles, jak możesz tutaj stać?!

— Wiem, Karen — powiedział, pochylając głowę. — Wiem.

— Nie, Charles, nie wiesz. — Piorunowała go wzrokiem. — Nie masz zasranego pojęcia, z czego nas okradłeś. Sam i Aleksa. I to w imię czego? Ale ja wiem. Dokładnie wiem, co zrobiłeś. Wiem, w jakim kłamstwie żyłeś. Wiem, co przede mną ukrywałeś. Dolphin. Falcon. Te tankowce. Ten stary w Pensacoli...

Charles utkwiał w niej wzrok.

— Karen, z kim rozmawiałeś?

Znowu go uderzyła.

— Niech cię szlag, Charles. Po to mnie tu ściągnąłeś? Żeby ci powiedziała, co wiem?

Wreszcie złapał ją za rękę i zacisnął palce na jej nadgarstku.

— Mówisz, że wiesz! Ale nie wiesz. Karen, musisz mnie wysłuchać. Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić. Bóg mi świadkiem, że nigdy w życiu nie chciałem, żebyś się dowiedziała. Karen, wszystko, co zrobiłem, zrobiłem właśnie po to, żeby cię chronić. Żeby chronić was wszystkich. Wiem, jak bardzo musisz mnie teraz nienawidzić. Wiem, co musisz czuć, widząc mnie tutaj. Ale zrób dla mnie jeszcze jedną rzecz. Proszę, wysłuchaj mnie. Bo wszystko, co uczyniłem, i sam fakt, że teraz tu stoję i ryzykuję życie, uczyniłem dla ciebie.

— Dla mnie?

— Tak, dla ciebie, Karen. I dla dzieci.

— Dobrze, Charles. — Kobieta przełknęła łyżę. Przeszli w stronę rzucających cień zarośli. Usiedli na piasku, tam było chłodniej. — Zawsze potrafiłeś mnie zauroczyć, prawda? Posłucham, jak próbujesz się zbliżyć do prawdy.

Przełknął ślinę.

— Mówisz, że wiesz, co zrobiłem. Handel za granicą, Falcon, Dolphin Oil... To wszystko prawda. Przyznaję się. Przez lata zarządzałem pieniędzmi, nic ci o tym nie mówiąc. Wpakowałem się w kłopoty. Problemy z płynnością środków. Duże problemy. Musiałem to jakoś ukryć. Spanikowałem. Wymyśliłem skomplikowane oszustwo.

— Te puste tankowce... Falszowałeś transporty ropy.

Charles kiwnął głową i wziął wdech.

— Musiałem. Miałem zbyt małe rezerwy; gdyby dowiedziały się o tym banki, zakwestionowałyby moje umowy kredytowe. Mój fundusz był lewarowany w stosunku osiem do jednego. Musiałem stworzyć zabezpieczenie.

— Po co, Charlie, po co? Po co musiałeś to wszystko robić? Czy ja cię wystarczająco nie kochałam? Nie mogłeś na mnie liczyć? Nie mieliśmy dobrego życia? Dzieci...

— Karen, nigdy nie chodziło o to. Nie miało z tobą związku. — Pokręcił głową. — Pamiętasz, kiedy wiele lat temu byłem zadłużony i Harbor znalazł się na skraju upadłości?

Karen kiwnęła głową.

— Całkowicie byśmy zbankrutowali. Zostałbym z niczym. Wylądowałbym znowu w jakimś dziale handlowym z podkulonym ogonem i usiłował się odkuć. Latami spłacałbym ten dług. Ale wszystko miało swoją cenę, Karen.

— Cenę?

— Tak. — Opowiedział jej o funduszach, którymi zarządzał. — Nie gównianymi rachunkami, które miałem w Harbor. — Prywatne spółki. Falcon. Utworzone za granicą. — Miliardy dolarów, Karen.

— Charles, ale to była brudna forsa. Zajmowałeś się praniem

pieniędzy. Dlaczego nie nazwiesz tego po imieniu? Kto ci to zrobił?

— Nie, Karen! Nie prąłem pieniędzy. Nie rozumiesz... Takich środków się nie ocenia. Nimi się po prostu zarządza. I ja się tym zajmowałem. To był nasz ratunek. I skorzystałem z niego, robiłem to przez cholerne dziesięć lat. Nie wiedziałem, skąd się brały ani komu je, kurwa, ukradli. Po prostu były. Inwestowałem je w ich imieniu. Dokładnie tak samo jak dla Levinsonów, Coumierów i pieprzonego Smith Barney. Karen, ja nigdy nie poznałem tych ludzi. Saul ich dla mnie znajdował. I co, myślisz, że nie ma innych? Że inni codziennie nie robią tego samego, szanowani ludzie, którzy co wieczór wracają do domu, grają z dziećmi w piłkę, oglądają *Ostry dyżur*, zabierają żony do Metropolitan Opera. Ludzie tacy jak ja! Karen, to wszystko istnieje naprawdę. Finansiści karteli narkotykowych, mafiosi, ludzie odciągający ropę z państwowych rurociągów. Więc skorzystałem. Tak jak zrobiliby każdy na moim miejscu. To był nasz ratunek. Karen, ja nigdy nie uprałem ani jednego brudnego centa. Ja tylko zarządzałem kontami.

Patrzyła na męża, w zasadzie świdrowała go wzrokiem niczym laserem, wytapiając prawdę.

— Ty nie zarządzałeś tylko ich kontami, Charlie. Wygodnie tak mówić, prawda? Ale się mylisz. Ja wiem... To chciał mi przekazać Jonathan Lauer. Po tym, jak dogodnie „zginąłeś”. Ale teraz to on nie żyje, Charlie. I to naprawdę. On już nie wróci na którąś z wysp. Tak jak ty... Parę tygodni temu miał zeznawać w jakimś procesie, ale zginął, został przejechany, tak samo jak ten niewinny chłopak w Greenwich.

Charles odwrócił twarz.

— Ten, do którego pojechałeś po wybuchu na Grand Central, kiedy ukradłeś tożsamość jakiemuś człowiekowi. Chłopak, którego pomogłeś zabić. A może i sam zabiłeś, kto to wie. Nie mam, kurwa, pojęcia. Co on chciał zrobić, Charlie? Wydać cię? Wyciągnąć twoje krętaństwo na światło dzienne? Ty nie jesteś

człowiekiem, który prał brudne pieniądze. Jesteś kimś o wiele gorszym. Ci ludzie już nie wrócą. Nie mówiąc o tysiącach osób, którym zrujnowano życie i które zamordowano w imię pieniędzy, tak pieczołowicie przez ciebie inwestowanych. Och, Charlie... coś ty, do cholery, zrobił? Jak się zagubiłeś? To był twój wspaniały ratunek, prawda, skarbie...? No i spójrz na siebie! Zobacz, co z tego wyszło.

Charles patrzył na nią błagalnym wzrokiem. Pokręcił głową i zwilżył zaschnięte wargi.

— Karen, ja tego nie zrobiłem. Tego, co myślisz. Przysięgam. Jeśli chcesz, możesz mnie nienawidzić, ale nie za to, czego faktycznie nie uczyniłem. — Zdjął czapkę i pogładził dłonią ogoloną głowę. — Ja nie zabiłem tego chłopca, choćbyś nie wiem co myślała. Pojechałem tam, żeby go uratować.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY PIĄTY

— Uratować? — W Karen zawrzał gniew. — Tak jak mnie chciałeś uratować?

— Pojechałem tam, żeby go powstrzymać! Wiedziałem, czym grozili.

— Kto taki? — Karen zdenerwowana pokręciła głową. — Powiedz mi.

— Nie mogę ci tego szczegółowo wyjaśnić. Cholera, ja w ogóle nie chcę, żebyś coś na ten temat wiedziała. — Zasepił się. Z trudem wziął oddech, po czym wydał policzki i powoli wypuścił powietrze. Wcześniej raz się z nim spotkałem. Próbowałem go przekonać, żeby namówił swego upartego ojca do zostawienia całej sprawy w spokoju. Gdyby się wydało, co robiliśmy z tankowcami, wszystko mogło wyjść na jaw. Nie masz zielonego pojęcia, co by się wtedy stało. Pojechałem z powrotem do Greenwich. Po wybuchu. Byłem kompletnie skołowany. Jakaś częśćka mnie uważała, że to idealny moment, żeby zniknąć. I tak powinienem był tam zginąć. Karen, ci ludzie mi grozili. Nawet sobie nie wyobrażasz. Inna część chciała, żeby to wszystko już się skończyło. Więc się z nim skontaktowałem. Z Raymondem. Poprosiłem, żeby się ze mną spotkał. Zadzwo-niłem z drugiej strony ulicy, używając nazwiska tamtego trupa.

I siedziałem w tej cholernej budce, nie wiedząc, co robić ani co powiedzieć. Powtarzałem sobie tylko, że to wszystko musi się skończyć. Natychmiast. To źli ludzie. Nie mogę mieć na rękach krwi tego biednego chłopaka. I wtedy to zobaczyłem. — Charles patrzył na nią nieobecny wzrokiem. — Przez to cholerne okno widziałem chłopaka z rudymi włosami związanymi w ogon, szedł w moją stronę, przez ulicę, otwierał telefon... Zobaczyłem samochód, czarny SUV, nadjeżdżał Post Road równoległe do niego, przyspieszał. Wyskoczył zza rogu. Chłopak zrozumiał, co się zaraz stanie. W tamtej chwili wiedziałem, że dla mnie klamka zapadła. Straciłem tamte pieniądze. Sfałszowałem rezerwy. Te sukinsyny chciały krwi. A teraz to ja miałem na rękach krew tego chłopca. — Spojrzał na Karen. — Musisz to zrozumieć. Groziło mi niebezpieczeństwo. Tobie groziło, dzieciom... Nie mogłem już niczego cofnąć. Nie było mowy, żebym poszedł do więzienia na dziesięć lat. Mogłem przecież zginąć w pociągu, więc zginąłem.

— W imię czego? Chronienia tych potworów?

— Nic nie rozumiesz! — Charles pokręcił głową. — Karen, straciłem ponad pół miliarda dolarów! Każdego dnia obserwowałem rosnący spread i wykladałem fortunę, by utrzymać długie pozycje. Wyczerpałem rezerwy. Nie mogłem pokryć kredytów. Karen, oni by mnie zabili. Musiałem ich powstrzymać. No i wpadłem na ten numer z tankowcami. Rozsyłałem je po całym zaszranym świecie: do Indonezji, na Jamajkę, do Pensacoli... Wszystkie puste! A tamten cholerny zakuty łeb z Pensacoli nie chciał dać za wygraną...

Karen dotknęła jego ramienia. Wzdrygnął się nieco.

— Mogłeś mi powiedzieć. Byłam twoją żoną. Byliśmy rodziną. Mogłeś się tym ze mną podzielić.

— Karen, jak ja się tym mogłem z tobą podzielić? Oni mi przysłali kartki świąteczne z wyciętymi twarzami dzieci. Chciałabyś, żebym się tym z tobą podzielił? Zabili Saszę. Przysłali mi list, w którym mówili, że następne będą dzieci.

Więc może tym? Takim ludziom nie wysyła się po prostu raportu z obietnicą poprawy w następnym kwartale. Tym się miałem z tobą podzielić? Tym, kim byłem? Co robiłem? Karen, ci ludzie to mordercy. Taką zawarłem umowę.

— Umowę? Do jasnej cholery, Charlie, popatrz, jak to teraz wygląda. Popatrz na nas. Cieszysz się?

Charles wziął głęboki, bolesny wdech.

— Wiesz, sto razy myślałem o tym, żeby wyjechać. Zabrać was ze sobą. Raz nawet załatwiłem nam wszystkim paszporty. Fałszywe. Pamiętasz, kiedy wszyscy poszliśmy do fotografa? Mówiłem, że to zdjęcia wizowe do Europy, gdzie w końcu nigdy nie pojechaliśmy.

Karen zamrugła oczami, powstrzymując łzy.

— Och, Charlie...

— Powiedz mi — kontynuował — czy powinienem był przyjść z tym do ciebie? Czy chciałabyś takiego życia? Żeby ci powiedział, kim jestem i co robię, w ciągu kilku dni zburzył życie dzieciom, tobie. Zabrał je ze szkoły w tajemnicy, pozbawił wszystkiego co znajome. Naraził was na niebezpieczeństwo. Wciągnął w ten świat. Jak byś wtedy zareagowała? Powiedz, kochanie, zgodziłabyś się? — Charles przyglądał się jej, a w jego oczach widać było, że zna odpowiedź. — Ci ludzie potrafią namierzyć każdego. Zawsze byłabyś zagrożona, dzieci też... Kiedy nastąpił wybuch, to było niemal jak dar niebios. Nagle rozwiązanie stało się takie proste. Wiem, że ty widzisz to inaczej. Wiem, myślisz, że istniały inne sposoby, żeby sobie z tym poradzić. Może rzeczywiście. Ale żaden z nich nie był równie bezpieczny. Dla was.

— Ależ my nie byliśmy bezpieczni!

Roztrzęsiona opowiedziała o wizycie ludzi z Archera, która przeraziła ją na samym początku, a potem o mężczyźnie, który zaskoczył Sam w aucie. I o przysłanej niedawno broszurze z Tuftsa ze słowami: „Wciąż tu jesteśmy”.

— Oni wciąż domagają się pieniędzy.

— Karen, z kim rozmawiałas?

— Z nikim. Z tym policjantem, który mi pomaga. Z Saulem.

To wszystko.

Charlie zacisnął zęby. Wziął Karen za rękę.

— Jak mnie tu znalazłaś? Skąd wiedziałaś, że żyję?

— Zobaczyłam twoją twarz!

Oczy Karen lśniły, wilgotne i szeroko otwarte. Patrzyła na niego, walcząc z napływającymi łzami.

— Moją twarz...?

— Tak.

Opowiedziała o filmie dokumentalnym. O tym, jak przez rok opłakiwała go, jak pozostawiła fragmenty jego życia nietknięte, nie potrafiąc zdobyć się na ich usunięcie. Jak próbowała ukoić ból krwawiącego serca.

— Nie masz pojęcia, co czułam, Charlie.

A potem ten program w rocznicę zamachu. Zmusiła się do oglądania, ale to było zbyt wiele i już chciała wyłączyć telewizor.

I wtedy mignął jej przed oczami. Na ulicy. Po wybuchu. Odwrócony bokiem do kamery.

— Zobaczyłam cię. Pędziłeś razem z tłumem. Oglądałam ten fragment chyba z tysiąc razy. Ale to byłeś ty, chociaż nie mogłam w to uwierzyć. Widziałam, że żyjesz.

Charles odchylił się, prostując ręce za plecami. Zachichotał z niedowierzaniem, w pierwszej chwili niemalże rozbawiony. Ich ścieżki, rozdzielone śmiercią, przecięły się w momencie zapisanym na taśmie pomimo tysiąca środków ostrożności.

— Zobaczyłaś mnie.

— Nie wiedziałam, co robić. Odchodziłam od zmysłów. Nie powiedziałam dzieciom. Jakżebym mogła? Kochają cię. Nie przeżyłyby tego.

Kiwnął głową i oblizał wargi.

— Potem znalazłam twoją skrytkę bankową.

Charles szeroko otworzył oczy.

— Tę z drugim paszportem. Na inne nazwisko. I z tymi wszystkimi pieniędzmi.

— Jak ją znalazłaś?

Karen opowiedziała o oprawionej kartce z notesu. Z wybuchu. Ktoś znalazł ją na dworcu. Z tymi wszystkimi bazgrołami.

— Część to była informacja na pudełku. Nie miałam nic innego, czym mogłabym się kierować.

Charles znów na nią spojrzał. Jego twarz świadczyła o tym, że jest w szoku. Była niemal szara. Notatnik. To on ją do niego doprowadził. Coś, co nie uległo zniszczeniu podczas wybuchu. Potem zeszywniał. Oczy mu pociemniały. Ścisnął Karen za rękę, tym razem jednak nie uspokajająco, ale mocniej, chłodno.

— Karen, kto jeszcze o tym wie?

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY SZÓSTY

Hauck, niespokojny, postanowił pobiegać. Opuścił teren hotelu i równym truchtem ruszył wzdłuż nadmorskiej drogi. Musiał coś zrobić. Siedząc na miejscu, gapiąc się w odbiornik GPS i błędząc myślami ku nieuniknionym wnioskom, odchodził od zmysłów.

GPS zatrzymał się jakiś czas temu. Stał w miejscu. 18.50 stopni szerokości północnej, 68.53 stopni długości zachodniej. Jakaś maleńka piaszczysta rafa pośrodku Morza Karaibskiego. Trzydzieści kilometrów stąd. Najmniej publiczne miejsce na świecie. Prosił, żeby zadzwoniła i dała mu znać, że jest na miejscu.

To było dwie godziny temu.

W swym zawodzie Hauck wraz z partnerami brał udział w dziesiątkach obserwacji. Niespokojnie czekał w samochodach, podczas gdy koledzy nadstawiali karku. Zawsze lepiej być tym, który sam wkracza do akcji. Mimo to nigdy jeszcze nie czuł się aż tak odpowiedzialny i podobnie bezradny jak teraz. Biegł nierówno utwardzoną drogą, która okalała małą wysepkę. Musiał coś zrobić.

Ruszać się.

Przyspieszył tempo. Przed nim wyrastało strome wzniesienie.

Wyłaniało się z morza, zielone od roślinności. Hauck ruszył pod górę. Serce biło mu coraz szybciej, cienka warstwa potu wsiąkała w koszulkę na plecach, odkładała się na skórze. Słońce prażyło. Jeśli od morza w ogóle wiał wietrzyk, sięgał tylko do plaży.

Co jakiś czas przystawał i sprawdzał ekran odbiornika GPS, którzy przypiął sobie w pasie. Wciąż 18,50 i 68,53 stopni. Wciąż to samo miejsce i ciągle ani słowa. Już prawie od dwóch godzin. Próbował zadzwonić. Od razu włączyło się nagranie. Może tam nie było zasięgu. Co jeszcze mógł zrobić, wysłać za nią łódź? Dał słowo.

Dlatego tylko biegł. Widok na morze był piękny: szeroka panorama na otwarte przestrzenie turkusowej wody, tu i ówdzie z plaż wyrastały spiczaste zielone pagórki, po morzu rozrzucone nieliczne, białe łodzie, a na horyzoncie majaczył niewyraźny zarys odległej wyspy.

Hauck jednak nie chłonał tego wszystkiego. Był zły na siebie, że puścił ją samą. Że jej uległ. W miarę jak wznosił się teren, mięśnie ud piekły coraz bardziej. Ściągnął koszulkę i przewiązał ją w pasie. Skórę pokrywał mu pot. No dalej, Karen, zadzwoń... Zadzwoń! Płuca go paliły.

Jeszcze sto metrów...

Wreszcie dotarł na szczyt wzniesienia. Zatrzymał się, zgiął wpół, był wściekły, bezsilny, czuł się odpowiedzialny za Karen.

Krzyknął, choć nikogo nie było w pobliżu:

— Niech to szlag!

Ochlapał się wodą. Chyba znalazł się w najwyższym punkcie. Spojrzał za siebie i ujrzał ośrodek, małeńki, daleki, jakby wiele kilometrów stąd.

Coś na morzu zwróciło jego uwagę nieopodal przeciwległego brzegu wyspy. Hauck przyłożył dłoń do oczu, osłaniając je przed słońcem.

Był to ogromny, czarny szkuner. Nigdy w życiu nie widział czegoś podobnego. Wielki, chyba długości boiska futbolowego,

ultranowoczesny, z trzema lśniącymi, metalicznymi masztami, odbijającymi promienie słońca. Hauck patrzył jak oczarowany.

Sięgnął do torby i wyjął lornetkę, którą ze sobą zabrał. Skierował wzrok na wodę i spojrzał na łódź.

Imponująca. Smukła i lśniąca czernią. Na rufie znajdowała się nazwa. Hauck wyregulował ostrość.

Black Bear. „Czarny niedźwiedź”.

Łódź wywoływała podziw, lecz mężczyzna czuł również dziwny niepokój. W najdalszych zakamarkach pamięci odnalazł wspomnienie tej jednostki. Gdzieś już ją widział.

Wyjął telefon i zrobił zdjęcie.

Na pewno już ją widział — próbował sobie przypomnieć.

Nie potrafił tylko sobie uzmysłwić gdzie.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY SIÓDMY

— Charles, posłuchaj, to ważne. — Karen wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia. — Nie tylko my wiemy, że żyjesz.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

— „My”?

Skinęła głową.

— Tak, „my”. — Opowiedziała o Haucku. — To policjant. Z Greenwich. Próbował rozwiązać sprawę potrącenia Raymonda. Chłopak miał w kieszeni kartkę z twoim nazwiskiem i numerem telefonu. Hauck trochę się mną opiekował przez te dni, kiedy nie byliśmy pewni, czy zginąłeś. A potem zaczęły się dziać te wszystkie szalone rzeczy.

— Jakie szalone rzeczy?

— Nagle zaczęli cię szukać jacyś ludzie. W każdym razie tych pieniędzy. Już ci powiedziałam, mówili o milionach dolarów. Przychodzili do domu. Potem grozili Samancie. W szkole. Nie wiedziałam, do kogo się zwrócić.

Charles wyglądał na zaniepokojonego.

— Jacy ludzie?

— Nie wiem. Nie dowiedzieliśmy się tego. Ani policja, ani Saul. Ale teraz to nie ma znaczenia. Liczy się to, że ten detektyw, Hauck, się dowiedział. Posłuchaj, oni też cię szukają. Nie

tylko pieniędzy. Ciebie! Namierzają cię przez tutejsze konta bankowe. Ten człowiek, nazywa się Dietz... Znasz go?

— Dietz? — Charles pokręcił głową.

— Brał udział w potrąceniu Raymonda. Podawał się za świadka w Greenwich. Ale sęk w tym, że był też przy wypadku Jonathana Lauera! Charles, to były zaplanowane zabójstwa. Żadne wypadki. Ale ty to wiesz, prawda? Wiesz, co oni próbowali zataić. A teraz chyba są tutaj i cię szukają. Jakimś cudem wiedzą. Charles, jesteś w niebezpieczeństwie.

Mężczyzna uniósł czapkę i rozmasował skroń, jakby odtwarzał w myślach sekwencję wydarzeń, i zaniepokoił go wniosek, do którego doszedł.

— Wiedzą o opłatach — powiedział, spoglądając na Karen ponuro.

— Jakich opłatach?

— Dużych pieniądzech. Pieniądzech, które zarobiłem — podkreślił — a nie ukradłem. Jeden procent i dwadzieścia pięć setnych od kilku miliardów dolarów. Odkładane przez ostatnie osiem lat. Zawsze trzymałem je za granicą. Zbierałem je na naszą wyspę — powiedział. — Pamiętasz? Karen, mówimy o ponad sześćdziesięciu milionach dolarów.

Szeroko otworzyła oczy.

— Mnie nigdy nie zależało na pieniądzach, Charlie. Ani na twojej głupiej wyspie. To nigdy nie mogło się spełnić. Mieliśmy tylko takie głupie marzenie. — Spojrzała na niego. — Zależało mi wyłącznie na tobie. Na nas, na naszej rodzinie. Ci ludzie wpadli na twój ślad. Odnajdą cię tak samo jak ja. Co masz zamiar zrobić? Uciekać do końca życia?

Charles spuścił głowę. Zmęczony przesunął dłonią po czaszce. W szarych oczach pojawił się smutny uśmiech.

— Wiesz, Karen, raz wróciłem. Na uroczystość wręczenia dyplomów, kiedy Samantha kończyła szkołę. Sprawdziłem datę na stronie szkoły.

— Byłeś tam?!

Rozczulony kiwnął głową.

— W pewnym sensie. Pojechałem tam samochodem i partryłem z drugiej strony ulicy, jak wychodzicie po ceremonii. Byłaś ubrana w krótką, żółtą sukienkę. Sam miała kwiat za uchem. Widziałem moich rodziców, Aleksa... Tak bardzo urósł...

— Byłeś tam! — Karen poczuła, jak coś ściska ją za serce. — Och, Charlie, jak długo jeszcze pozwolisz, żeby trwało to szaleństwo?

— Nie wiem. Nie wiem. Powiedz — odezwał się z błyskiem w oczach — jak mu idzie lacrosse?

— Jak mu idzie lacrosse?! — W oczach zdezorientowanej Karen pojawiły się łzy. — Nie wiem, Charlie, jest w drugim składzie, w ataku. Zwykle siedzi na ławce. Ale Sam miała dobry rok. Strzeliła zwycięską bramkę w meczu przeciwko Greenwich Academy. Ona... — Karen ugryzła się w język. — Charlie, dlaczego my to robimy? Chcesz wiedzieć, jak było? Ciężko. Kurewsko ciężko. Wiesz, jak by się czuły, gdyby cię teraz zobaczyły? To by je zabiło. Sam, Alex... nie przeżyliby tego.

— Karen...

Popchnięta jakąś dziwną siłą, nachyliła się do Charlesa, zmieszanego i przestraszonego, i objęli się nawzajem. Karen dziwnie się czuła w jego ramionach. To było tak znajome, a jednak tak niezręczne. Jakby tulenie ducha.

— To było piekło. Najpierw zginąłeś, a potem... Tak bardzo mnie zraniłeś. — Odsunęła się. W jej oczach błysnęło coś pomiędzy bólem a oskarżeniem. — Nie mogę ci wybaczyć, Charlie. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę mogła. Do cholery, Charles, mieliśmy wspólne życie!

— Wiem, że było ciężko. — Pokiwał głową i przełknął ślinę. — Wiem, co zrobiłem.

Karen pociągnęła nosem, przełykając łzy. Otarła oczy.

— Nie. Nie, nie wiesz. Nawet nie masz pojęcia, co zrobiłeś. Spojrzała na nią. Po raz pierwszy chyba naprawdę jej się

przyglądał. Jej twarzy, sylwetce, sukience. W jego oczach pojawił się delikatny uśmiech.

— Wciąż ładnie wyglądasz.

— Tak, a ty już nie nosisz okularów?

— Laserowa korekta wzroku. — Wzruszył ramionami. — Konieczność zawodowa.

Karen się uśmiechnęła.

— Wreszcie się odważyłeś, co?

— Tu mnie masz.

Uśmiech Karen stał się jeszcze szerszy, a jasny promień słońca oświetlił jej piegi.

— Chcę, żebyś była szczęśliwa. Chcę, żebyś żyła dalej. Pokochała kogoś. Zaslugujesz na szczęście w życiu.

— No cóż, wybrałaś świetny moment na tę całą troskę.

Uśmiechnął się smutno.

— Posłuchaj, Charlie, to nie musi tak być. Możesz się zgłosić na policję. Ten detektyw, Hauck, jest tutaj ze mną.

Charles zdawał się zatroskany.

— Możesz mu ufać. Daję słowo. To przyjaciel. Nie przyjechał cię aresztować. Ty nikogo nie zabiłeś. Sfałszowałaś zabezpieczenie kredytu. Kłamałeś. Zapłacisz grzywnę. Nawet gdybyś musiał iść na trochę do więzienia, to i tak możesz odzyskać swoje życie. Dzieci zasługują na to, żeby mieć ojca. Nawet jeśli my już nie wrócimy do tego co dawniej, one ci wybaczą. Na pewno. Możesz to zrobić.

— Nie. — Bezsilnie pokręcił głową. — Nie mogę.

— Owszem, możesz. Charlie, ja cię znam.

— Nie mogę, Karen. Poszedłbym do więzienia na dwadzieścia lat. Nie mogę. Poza tym nigdy nie byłbym bezpieczny. Ty też. Tak jest lepiej, nawet jeśli myślisz inaczej. — Spojrzał na nią i uśmiechnął się. — I szczerze mówiąc, Karen, żadne z nas nie chciałoby tego wyjaśniać dzieciom.

— One chciałyby mieć ojca, Charlie. — Wciągnęła powietrze. — Co masz zamiar robić? Uciekać całe życie?

— Nie. — Pokręcił głową. Potem jego oczy rozświeciły się, jakby coś zrozumiał. — Posłuchaj, Karen, są pewne sprawy. Mówisz, że ci ludzie mnie szukają. Gdyby coś mi się stało, mam skrytki bankowe w różnych miejscach. Saint Kitts. Panama. Tortola...

— Nie chcę twoich pieniędzy, Charles. Chcę tylko...

— Cii... — Chwyił ją za rękę i powstrzymał. Ścisnął. — Wciąż masz mustanga, prawda?

— Oczywiście, Charlie. To była twoja wola. W testamencie.

— Dobrze. Są sprawy, o których powinnaś wiedzieć. Ważne sprawy, Karen. Na wypadek gdyby coś mi się stało. Prawda zawsze była w moim sercu. Rozumiesz to, Karen. Obiecuj, że poszukasz. To wiele wyjaśni.

— Charlie, o czym ty, do cholery, mówisz? Musisz jechać ze mną. Możesz zeznawać przeciwko tym ludziom. Dasz się aresztować, jeśli to konieczne. Ale w przeciwnym razie oni cię znajdą. Nie możesz ciągle uciekać.

— Nie będę uciekał, Karen.

— Jak to?

Spojrzał na zegarek.

— Pora wracać. Pomyślę o tym, co powiedziałaś. Niczego nie obiecuję.

Wstał, spojrzął na morze i pomachał ręką. Neville na pokładzie *Sea Angel* odpowiedział tym samym. Karen usłyszała dźwięk uruchamianego silnika. Dalej, za zakrętem, pojawiła się większa jednostka.

— To moja łódź. — Charlie wskazał palcem. — W zasadzie mój dom przez ostatni rok. Przyjrzyj jej się w drodze powrotnej. Może ci się spodoba nazwa.

Karen zaczęło mocniej bić serce. Z niepokojem obserwowała zbliżającą się motorówkę. Była pewna, że czegoś nie powiedziała.

— Obiecuj mi z samochodem.

— Co mam ci obiecać?

— Będziesz musiała dostać się do wnętrza. — Wziął ją za ramiona i delikatnie dotknął policzka. — Zawsze uważałem, że

jesteś piękna. Najpiękniejsza na świecie. Może z wyjątkiem koloru oczu mojego maleństwa.

— Charlie, nie mogę cię tutaj po prostu zostawić.

Mężczyzna zerknął w niebo.

— Musisz.

Neville podpłynął do brzegu. Charles wziął Karen pod ramię i poprowadził w ciepłą wodę zatoczki. Ruszyła naprzód przez łagodne fale. Kapitan łódki, uśmiechnięty od ucha do ucha, wciągnął ją na pokład. Odwróciła się w stronę Charliego. Motorówka zaczęła się oddalać. Karen patrzyła na mężczyznę, który stał na brzegu. Zalała ją fala smutku. Czowała, że coś zostawia, cząstkę siebie samej. On był taki samotny. Bez wątpienia widzi go po raz ostatni.

— Charlie! — zawołała, przekrzykując ryk silnika.

— Przemyślę to. — Pomachał ręką. — Obiecuję. Gdybym zmienił zdanie, jutro przyślę po ciebie Neville'a. — Zrobił krok w płytką wodę. — Karen, mustang...

Potem znów opuścił na oczy ciemne ray-bany.

Karen trzymała się barierki. Dwa silniki łodzi zwiększały obroty. Neville obrócił motorówkę, a wtedy Karen przebiegła na rufę. Postać Charliego na plaży coraz bardziej malała. Pomachał do niej po raz ostatni. Karen wreszcie dała za wygraną i zaczęła płakać.

— To prawda, że za tobą tęskniłam, Charlie — powiedziała cicho. — Tak bardzo tęskniłam.

Oddalając się od zatoczki, *Sea Angel* minął nadpływającą łódź Charliego — większą, taką, o jakiej zawsze marzył. Z niewielkiej odległości Karen przeczytała nazwę wypisaną ozdobnymi, złotymi literami na drewnianym kadłubie.

Emberglow.

Niemal się roześmiała. Ciepłe, czułe łzy napłynęły jej do oczu. Wyjęła komórkę i zrobiła zdjęcie na pamiątkę, chociaż nie wiedziała, co z nim zrobi i komu pokaże.

Nie zauważyła niewielkiego samolotu, który krążył po niebie.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY ÓSMY

Karen wróciła do hotelu dopiero po południu. Hauck siedział w swoim pokoju, na plecionym fotelu, opierając stopy na łóżku. Dla zabicia czasu przeglądał służbowe papiery. Minęły najgorsze obawy. Karen zadzwoniła, gdy tylko dotarła na otwarte wody, aby dać znać, że nic jej nie jest. Mówiła ogólnikowo, była nawet trochę chłodna, ale obiecała, że więcej opowie po powrocie do hotelu.

Rozległo się pukanie do drzwi.

— Otwarte — powiedział.

Karen weszła do pokoju. Wyglądała na nieco znużoną i niespokojną. Włosy miała zmierzwiłone. Torbę, którą niosła, położyła na stoliku przy drzwiach.

— No i jak poszło? — zapytał.

Spróbowała się uśmiechnąć.

— Jak poszło? — powtórzyła.

Potrafiła odczytać, o co tak naprawdę pytał. Każdy by potrafił. Czy coś się zmieniło?

— Masz — powiedziała, kładąc na stoliku przy łóżku pistolet, który od niego otrzymała. — On nie zabił tych ludzi. Dopuszczył się oszustw z tankowcami, żeby ukryć straty, i przyznał się, że tak jak mówileś, po wybuchu pojechał do Greenwich

z dowodem tamtego człowieka. Żeby się spotkać z Raymondem, a nie żeby go zabić. Chciał go namówić do nakłonienia ojca, żeby ten w końcu przestał węszyć.

Hauck kiwnął głową.

Karen usiadła naprzeciw niego na brzegu łóżka.

— Ja mu wierzę. Powiedział, że wszystko widział i wtedy zrozumiał, że nie ma dla niego odwrotu. Ci ludzie mu grozili. Pokazywałam ci tę kartkę świąteczną, a także tę, gdzie pisali o naszym psie. Wiem, jak to brzmi, ale myślał, że nas ratuje. Wszystko, co powiedział, pasuje.

— Wiesz, co pasuje? Że wpadł w niezłe gównno.

— Też wie o tym. Próbowалаm go przekonać, żeby wrócił. Nawet opowiedziałam o tobie. Powiedziałam, że nikogo nie zabił, dopuścił się tylko oszustwa. Może zwrócić pieniądze, zapłacić grzywnę, odsiedzieć wyrok, zrobić, co będzie trzeba. Zeznawać.

— No i...?

— I obiecał, że się zastanowi. Ale sama nie wiem. Jest wystraszony. Boi się stawić czoło temu, co zrobił. Stanać przed rodziną. Chyba łatwiej uciekać. Kiedy odpływałam, pomachał. Mam wrażenie, że to była jego odpowiedź. Chyba nigdy więcej go nie zobaczę.

Hauck zdjął nogi z łóżka, odrzucił papiery.

— Chcesz, żeby wrócił?

— Czy chcesz? — Spojrzała na niego wilgotnymi oczami i pokręciła głową. — Nie w tym sensie, o którym myślisz. Nie mogłabym do niego wrócić. On do mnie też. Ale coś tam rozumiałam, gdy go słuchałam...

— Co takiego?

— Moje dzieci. Zaslugują na to, żeby poznać prawdę. Zaslugują na ojca bez względu na to, co zrobił. Ważne, że żyje.

Hauck pokiwał głową. Rozumiał to. Miał Jessie. Bez względu na to, co zrobił. Odetchnął głęboko.

Karen spojrzała na niego zbolalym wzrokiem.

— Wiesz, jakie to było dla mnie trudne? Coś go powstrzymywało.

— Tak, wiem.

— Zobaczyć go. — Oczy miała już pełne łez. — Zobaczyć mojego męża, stojącego tuż przede mną. Wysłuchać go. Po tym, co zrobił...

— Wiem, co czułaś, Karen.

— Co? Co czułam, Ty?

— Co ja mam teraz zrobić?

— Masz mnie przytulić, do cholery! Masz mi powiedzieć, że postąpiłam właściwie. Nie rozumiesz? — Położyła dłoń na jego udzie. — W każdym razie kiedy tam byłam, dotarło do mnie coś jeszcze.

— Co takiego?

Podniosła się i usiadła mu na kolanach.

— Zrozumiałam, że naprawdę cię kocham. Nie „coś mniej więcej takiego”. Tylko tak w ogóle.

— Tak w ogóle?

— Owszem. — Karen skinęła głową i przytuliła się do jego piersi. — Tak w ogóle.

Objął ją, przycisnął jej twarz do ramienia. Zrozumiał, że płacze. Nie mogła się powstrzymać. Trzymał ją, czuł jej rozgrzane ciało, a w sercu rósł żar, kiedy jej serce biło równo tuż obok. Kilka ciepłych łez zmoczyło mu szyję.

— Naprawdę — szepnęła, przytulając się mocniej. — Chociaż to się wydaje niemożliwe.

Wzruszył ramionami, delikatnie przysuwając jej twarz do piersi.

— Nie takie znowu niemożliwe.

— Owszem. Zupełnie, kurczę, niemożliwe. Nie przypuszczasz, że ja potrafię cię rozszyfrować, szanowny panie, prawda? Ale czytam w tobie jak w otwartej książce. — Po chwili się odsunęła. — Nie mogę mu pozwolić znowu zniknąć. Chcę go

sprowadzić do domu, do dzieci. Bez względu na to, co zrobił. Ich ojciec żyje.

Hauck kciukiem otarł kroplę z jej piegowatego policzka.

— Znajdziemy sposób — powiedział. — Obiecuję.

Delikatnie pocałowała go w usta, oparła czoło o jego czoło.

— Dziękuję, Ty.

— Dla mnie to wcale nie takie niemożliwe — powtórzył. — Z kolei oczywiście dla dzieci...

— O rany! — Karen pokręciła głową i odgarnęła włosy z twarzy. — Będę im miała co tłumaczyć, kiedy wrócą, no nie?

Tamtą noc spędzili razem w jego pokoju. Nie kochali się. Po prostu leżeli, on obejmował ją w talii, ona mocno się do niego przytulała. Sprawa jej męża mąciła im spokój niczym front burzowy nadciągający nad morzem.

Około pierwszej Hauck wstał. Karen leżała skulona na łóżku, pogrążona w głębokim śnie. Zsunął kołdrę, włożył szorty i podszedł do okna, by wyrzucić na morze skąpane w blasku księżyca. Coś nie dawało mu spokoju.

Black Bear.

Szkuner, który widział. Pojawił się we śnie. Mroczna sylwetka. I we śnie zrozumiał, gdzie go wcześniej widział.

W gabinecie Dietza. Tam wisiało zdjęcie.

Dietz obejmował paru koleśi, pomiędzy nimi wisiała żaglica.

Dietz był na pokładzie tego szkunera!

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Charles Friedman siedział na pokładzie *Emberglow*, zacumowanej teraz niedaleko brzegu Gavin's Cay. Noc była cicha. Opierał nogi na górnej części nadburcia i wypił już pół butelki rumu Pyrat xo Reserve, który miał mu pomóc w podjęciu decyzji.

Powinien się po prostu zwinąć. Jeszcze dziś. To, co Karen powiedziała o ścigających go ludziach, bardzo go zmartwiło. Miał dom na Bocas del Toro w Panamie. Nikt o nim nie wiedział. Nikt by go tam nie odnalazł. Gdyby musiał, mógłby stamtąd ruszyć na Pacyfik...

To, jak na niego patrzyła. Co masz zamiar zrobić, Charles? Uciekać do końca życia?

Nie powinien ich w to teraz wciągać.

A jednak rosło w nim nowe uczucie. Świadomość tego, kim jest, kim był. Obudził ją widok Karen. Nie chodziło o nią — ta część życia należała już do historii. Nigdy nie odzyska jej zaufania. Zresztą nie zasługiwał na nie. Tyle wiedział.

Ale o dzieci. Aleksa i Sam.

Wciąż słyszał jej słowa: One ci wybaczą...

Czy rzeczywiście?

Przypomniał sobie widok, gdy wychodzili ze szkoły po

uroczystości. Jakże trudno było spojrzeć i z bólem jechać dalej. Jakże głęboko ten widok wrył się w jego pamięć, a tęsknota w nim pozostała. Miło byłoby odzyskać dawne życie. Czy to tylko fantazja? Czy to pijacka nadzieja? Odzyskać je bez względu na koszty. Przeciwstawić się tym ludziom.

Dlaczego oni mają wygrać?

Cóż on zrobił? Przecież nikogo nie zabił. Mógł to wyjaśnić. Odsiedzieć wyrok. Spłacić dług. Odzyskać dawne życie.

Wizja tego, co utracił, uzmysłowiła Charlesowi, jak bardzo żałuje, że musiał odejść.

Neville był na brzegu. Na marynarskiej imprezie. Rano mieli płynąć na Barbados. Tam chciał zostawić łódź i polecieć do Panamy.

Spotkanie z Karen nagle wszystko utrudniło.

Rok temu musiał podjąć podobną decyzję. Patrzył, jak ginie ten chłopak. Przejechany na jego oczach. Z przerażeniem oglądał, jak oddala się czarny SUV. Coś w głębi duszy mówiło mu, że nie może już zawrócić. Że tamten świat został dla niego zamknięty. Grób już wykopano. Więc czemu z niego nie skorzystać? Przez chwilę rozmyślał nad wezwaniem samochodu. Kazałby kierowcy pojechać Post Road. Do jego miasteczka — Old Greenwich. Dalej w dół Soundview Drive, skręcić w Shore Road — w stronę morza. Do domu... Byłaby tam Karen. Martwiła się, panikowała na wieść o zamachu, kiedy nie zadzwonił. Powiedziałby, że był zdezorientowany. Do wszystkiego by się przyznał. Dolphin. Falcon. Nikt nie musiałby wiedzieć, gdzie przebywał. Tam było jego miejsce.

Zamiast tego uciekł.

To pytanie wciąż go dręczyło: Dlaczego oni mają wygrać?

W myślach Charlesa pojawił się obraz Sam i Aleksa, a także odpowiedź: Nie muszą. Przypomniawszy sobie radość, jaką czuł w obecności Karen, gdy wymawiała jego imię.

Nie muszą. Charles odstawił rum. Nagle odpowiedź się wyklarowała.

Zbiegł pod pokład. W kabinie znalazł swoją komórkę i zostawił Neville'owi wiadomość ze szczegółowymi instrukcjami. W głowie wciąż brzmiały mu te słowa: Nie muszą. Podeszedł do niewielkiego, wyciąganego blatu, który służył mu za biurko, włączył laptopa. Odnalazł e-mail Karen i szybko wystukał kilka słów od serca.

Przeczytał. Tak. Rósł w nim entuzjazm. Po raz pierwszy od roku nie czuł się jak trup. Nie muszą. Myśl, że znów ją zobaczy. Znów uściska dzieci. Mógł odzyskać dawne życie.

Wcisnął „wyślij”.

Usłyszał jakiś dźwięk dochodzący z góry, z pokładu. Jakby przywiązywanej łodzi. To Neville wracał z hulanki. Charles zawołał do kapitana po imieniu. Podniecony ruszył na pokład. Serce mu łomotało. Wybiegł spod mostka.

— Zmiana planów...

Zamiast Neville'a natknął się na dwóch mężczyzn. Jeden z nich, wysoki, chudy, ubrany w plażową koszulkę i szorty, trzymał w ręku broń. Drugi był niższy, miał potężną klatkę piersiową i krótkie włosy.

Obaj wyglądali na bardzo zadowolonych, jak gdyby zakończyli żmudne poszukiwania i właśnie oglądali nagrodę, na którą długo czekali. Ten z włosami uśmiechał się szeroko.

— Witaj, Charles.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘCDZIESIĄTY

— Ty, obudź się! Patrz!

Karen stała przy krawędzi łóżka i szarpała go za ramię.

Hauck usiadł. Przez większą część nocy nie mógł z powrotem zasnąć, gdy przypominał sobie, gdzie widział tę wielką, czarną łódź.

— Mam wiadomość od Charliego — oznajmiła podekscytowana Karen. — Chce, żebyśmy przyjechali.

Mężczyzna zerknął na budzik. Dochodziła ósma. Nigdy nie sypiał tak długo.

— Dokąd?

Karen, ubrana w hotelowy szlafrok, podetknęła mu przed nos swój blackberry, podczas gdy on usiłował się otrząsnąć ze snu.

Karen, rozmyślałem o tym, co mówiłaś. Nie powiedziałem ci wszystkiego, co wiem. Neville będzie w porcie o dziesiątej, przywiezie Cię do mnie. Możesz wziąć, kogo chcesz. Może to już czas. Ch.

Karen chwyciła dłoń Haucka i ścisnęła ją triumfalnie.

— Ty, on z nami wróci.

Szybko się ubrali i spotkali na parterze na śniadaniu. To wtedy Hauck, zaniepokojony, że zmąci jej entuzjazm, poinformował, że będzie musiał aresztować Charlesa. Podczas golenia stwierdził, że to mogło zadziałać tylko w jeden sposób: mężczyzna musiał wrócić z nimi do Stanów z własnej woli. Dopiero tam Hauck by go aresztował. Tutaj Charles musiałby czekać w areszcie na ekstradycję. Potrzebny byłby nakaz, a to oznaczało konieczność opisanie w kraju wszystkich wydarzeń, włącznie z postępowaniem Haucka. To mogło zająć wiele dni, a nawet tygodni. Ekstradycję można podważyć. Charles mógł dostać pietra. A Dietz i jego ludzie już krążyli w pobliżu.

Tuż przed dziesiątą razem z Karen ruszyli do portu. Neville, za sterami *Sea Angel*, właśnie dobijał do przystani.

Karen pomachała mu z pomostu.

— Dzień dobry pani.

Łódź zbliżyła się, a kapitan odpowiedział gestem dłoni. Przystaniowcy z hotelu złapał linę. Pomógł Karen wsiąść na pokład, a Hauck wszedł samodzielnie.

— Zabierze nas pan do pana Friedmana?

— Do pana Hansona, psze pani. O to mnie prosił — odparł posłusznie Neville.

— Płyniemy w to samo miejsce?

— Nie, psze pani. Nie tym razem. Łódź jest na morzu. Niedaleko.

Hauck usiadł z tyłu, a Karen naprzeciwko. Przystaniowcy rzucił Neville'owi linę. Hauck namacał w kieszeni berettę, którą ze sobą zabrał. Wszystko mogło się zdarzyć.

Płynęli na zachód, oddalając się od lądu maksymalnie na pół kilometra. Trzymali się wybrzeży malutkich, rozsianych po morzu wysepek. Choć niebo było bezchmurne, wiał wietrzyk i motorówka podskakiwała na falach, a dwa silniki pozostawiały szeroki ślad.

Po drodze rzadko się odzywali. Opanował ich niepokój. Charles mógł dostarczyć Hauckowi informacji na temat zabójcy

AJ Raymonda, a przecież właśnie dlatego policjant w ogóle zaangażował się w całą sprawę. Karen również milczała. Być może rozmyślała nad tym, jak to wszystko wytłumaczy dzieciom.

Za czwartą wyspą od Saint Hubert Neville zwolnił. Hauck spojrzął na mapę. Znajdowali się w pobliżu skrawka lądu znanego jako Gavin's Cay. Na północnym skraju wyspy leżało miasto o nazwie Amysville. Oni jednak byli na ledwie zamieszkaney stronie południowej. Wyłynęli z za zakrętu.

Neville wskazał przed siebie.

— Tam jest!

Duża, biała łódź cumowała w odosobnionej zatoczce.

Hauck oparł się o barierkę i ruszył na dziób. Karen za nim. Łódź miała jakieś dwadzieścia metrów długości. Hauck szacował, że mogła pomieścić ośmiu ludzi. Na rufie powiewała flaga Panamy.

Neville zwolnił do niecałych dziesięciu węzłów. Umiejętnie zawinął wokół rafy — najwyraźniej dobrze znał drogę. Następnie podniósł krótkofalówkę.

— *Sea Angel* dopłynął, panie Hanson.

Żadnej odpowiedzi.

Łódź Charliego znajdowała się w odległości pół kilometra. Zacumowana. Hauck nie widział nikogo na pokładzie. Neville znów sięgnął po krótkofalówkę. Dźwięk był charczący.

— Co się dzieje?! — zawołał do niego policjant.

Trynidadzki kapitan zerknął na zegarek i wzruszył ramionami.

— Nikogo nie ma.

— Co się stało, Ty? — spytała zaniepokojona Karen.

Pokręcił głową.

— Nie wiem.

Powoli podpłynęli do kołyszącej się łodzi od strony lewej burty. Z dziobu wychodziła lina kotwiczna. Na pokładzie ani śladu życia. Nic.

— Kiedy pan z nim ostatnio rozmawiał? — zawołał Hauck do Neville'a.

— Nie rozmawiałem. — Kapitan wzruszył ramionami. — Wczoraj wieczorem zostawił mi wiadomość na komórcie. Kazał zabrać was o dziesiątej i przywieźć tutaj.

Podpłynął motorówką na odległość piętnastu metrów. Wciąż nikogo nie widzieli.

Hauck wspiął się jak najwyżej na reling i zająrzył na pokład. Neville podpłynął jeszcze bliżej.

— Panie Hanson?

Odpowiedziała tylko cisza. Niepokojąca cisza. Karen położyła dłoń na ramieniu Haucka.

— Nie podoba mi się to.

— Mnie też.

Hauck wyjął z kieszeni beretkę. Kiedy *Sea Angel* zrównał się z większą łodzią, chwycił jej reling. Powiedział do Karen:

— Nie ruszaj się stąd.

Następnie wskoczył na pokład.

— Jest tu kto?

Główny pokład jednostki Charliego był pusty. Panował tam jednak niepokojący nieład. Powywracane poduszki na siedzeniach. Wysunięte szuflady. Hauck zauważył pustą butelkę po rumie. Schylił się i dotknął palcem niewielkiej plamy, którą dostrzegł na jednej z poduszek. Nie spodobało mu się to, co zobaczył.

Ślady krwi.

Obrócił się do Karen, która czekała z zatroskaną miną.

— Zostań na motorówce.

Odbezpieczywszy broń, Hauck zszedł pod pokład. Pierwszym, na co natrafił, był duży kambuz. Ktoś tu musiał być. Zlew wypełniały kubki i garnki. Szafki zostały splądrowane, przyprawy rozrzucono po podłodze. Nieco dalej w kierunku rufy Hauck natrafił na trzy kabiny. W dwóch pierwszych przetrząsnęto łóżka, wyciągnięto i opróżniono szuflady. Ta większa

robiła wrażenie, jakby przeszedł przez nią sztorm. Materac przekrzywiony, pościel rozerwana, szuflady pootwierane, wszędzie ubrania.

Hauck przyklęknął. Jego uwagę zwróciły czerwone ślady, takie same jak na pokładzie.

Wrócił na górę.

— Pusto! — zawołał do Karen. Neville przeciągnął linę i pomógł kobiecie wejść na pokład. — Nikogo nie ma.

— Jak to nikogo nie ma? Gdzie jest Charles? — pytała Karen, teraz już zdenerwowana.

— Wciąż jest zodiac — rzekł Trynidadczyk.

Wskazał na żółty ponton, ten sam, który widziała dzień wcześniej. To oznaczało, że Charles nie udał się na brzeg.

— Kto wiedział, że on tu przebywa? — spytał Hauck Neville'a.

— Nikt. Pan Hanson z nikim nie utrzymywał kontaktów. Właśnie wczoraj się przenieśliśmy.

Na twarzy Karen malowało się coraz większe zdenerwowanie.

— Ty, to mi się nie podoba. On chciał, żebyśmy do niego przyjechali.

Hauck spojrział na drugą stronę zatoki, w kierunku wyspy oddalonej o dwieście, może trzysta metrów. Charles mógł być wszędzie. Mógł nie żyć. Mógł zostać porwany. Znajdować się na innej łodzi. Nie chciał mówić Karen o krwi, co bardzo komplikowało sprawę.

— Gdzie jest najbliższy posterunek policji? — spytał Neville'a.

— W Amysville — odparł kapitan. — Jakies dziesięć kilometrów stąd. Po północnej stronie.

Hauck ponuro kiwnął głową.

— Niech pan ich wezwie przez radio.

— Och, Charlie... — Karen pokręciła głową i westchnęła nerwowo.

Policjant przeszedł na dziób i obejrzał poduszki na przednim siedzeniu, przyglądając się śladom krwi. Prowadziły aż do krawędzi. Wychylił się przez burzę. Z tego miejsca do wody zwisała lina kotwiczna. Hauck przesunął dłonią po sznurze.

— Neville, chwileczkę!

Stojący na mostku kapitan odwrócił się z radiem w dłoni.

— Wie pan, jak podnieść tę kotwicę? — spytał Hauck.

— Oczywiście.

— Proszę to zrobić.

Karen, zdenerwowana, odetchnęła głęboko.

— Co?

Neville także spojrzął na Tya pytająco, po czym uruchomił przełącznik przy sterze. Lina kotwiczna natychmiast zaczęła się powoli zwijać. Hauck wychylił się jak najdalej, przytrzymując się relingu.

— Nie zbliżaj się! — powiedział do Karen.

— Jak myślisz, co się dzieje? — spytała nie na żarty wystraszona.

— Po prostu się nie zbliżaj !

Silnik wciągający kotwicę warczał. Grubo pleciony sznur nawijał się na szpulę. Wreszcie coś wynurzyło się nad powierzchnię. Jakiś drut, jakby linka wędkarska opleciona wodrostami.

— Ty...?

Kiedy Hauck wyrzwał za burzę, przeszedł go dreszcz. Linka oplatała rękę.

— Neville, stop! — zawołał Hauck, unosząc dłoń.

Odwrócił się do Karen. Jego poważne spojrzenie mówiło wszystko.

— O Jezu, Ty, nie...

W panice podbiegła do burty. Hauck wrócił, złapał ją i przycisnął jej twarz do swej piersi, zasłaniając ten okropny widok.

— Nie...

Trzymał ją, gdy się szarpała i usiłowała wyrwać z jego ramion. Dał znak Neville'owi, żeby uniósł kotwicę nieco wyżej.

Lina owinęła się wokół szpuli jeszcze kilka razy. Dłoń, która wychynęła z wody, mocno trzymała sznur. Powoli zaczęła się wyłaniać reszta ciała.

Hauck stracił wszelką nadzieję.

Charlesa widział wyłącznie na fotografiach. W tej chwili patrzył na upiorną, spuchniętą wersję tego człowieka. Oslonił twarz Karen i przycisnął ją mocno do piersi.

— To on? — spytała, nie odwracając wzroku, niezdolna spojrzeć w tym kierunku.

Nad powierzchnią wody ukazała się wzdęta, biała twarz Charlesa — z szeroko otwartymi oczami.

Hauck uniósł dłoń, dając znak Neville'owi, żeby nie wciągał wyżej kotwicy.

— Ty, czy to on?! — powtórzyła Karen, powstrzymując łzy.

— Tak, on. — Kiwnął głową. Przycisnął jej twarz do swej piersi i ścisnął ją, całą rozdygotaną. — To on.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘCDZIESIĄTY PIERWSZY

Po godzinie przyплыła motorówka z ubranymi w białe mundury funkcjonariuszami z miasta Amysville wraz z miejscowym policjantem z pionu śledczego.

Wspólnie go wyłowili.

Karen i Hauck stali obok i patrzyli, jak ciało Charlesa zostaje wyciągnięte na pokład, oczyszczone z wodorostów i wyplątane z drutów, którymi przymocowano je do liny kotwicznej.

Hauck przedstawił się jako detektyw policji ze Stanów Zjednoczonych. Rozmawiał z miejscowym funkcjonariuszem o nazwisku Wilson, podczas gdy Karen stała nieruchomo, zakrywając twarz dłońmi. Powiedział, że to była żona Hansona, która po roku odnowiła kontakt z mężem. Razem przyjechali do niego w odwiedzin. Oboje twierdzili, że nie mają pojęcia, kto mógłby się dopuścić tak ohydneho czynu. Może złodzieje. Wystarczy spojrzeć na łódź. To było najprostsze wytłumaczenie, pozwalające nie ujawniać prawdy. Niezależnie od dalszego rozwoju wypadków Hauck nie miał wątpliwości, że dochodzenie musi być prowadzone z terytorium Stanów. Gdyby byli szczerzy wobec miejscowych służb, stałoby się to niemożliwe. Podali swoje nazwiska i adresy w Stanach Zjednoczonych. Złożyli krótkie zeznania. Wyjaśnili policjantowi, czym zajmował

się Hanson — inwestycjami. Hauck wiedział, że kiedy to sprawdzą, nowe nazwisko Charlesa nie dostarczy zbyt wielu informacji.

Wilson serdecznie podziękował, chyba jednak podchodził do ich wyjaśnień dość sceptycznie.

Dwaj jego ludzie unieśli Charlesa i włożyli do żółtego worka na zwłoki. Karen poprosiła, żeby na chwilę zostawili ją samą. Zgodzili się.

Przyklękła przy ciele. Myślała, że już wiele razy żegnała i opłakiwała męża. Jednak teraz, gdy patrzyła w tę dziwnie spokojną twarz, na wzdęte, błękitnawe ciało, przypominała sobie jego ból i zrezygnowany uśmiech, które widziała dzień wcześniej, i znów popłynęły łzy. Tym razem już nie oskarżycielskie. Po jej policzkach spływały ciepłe strugi.

Och, Charlie... Wyjęła z jego włosów kawałek wodorostu.

Powracało tyle obrazów. Wieczór, gdy się poznali na artystycznej imprezie charytatywnej. Charlie miał na sobie smoking i jaskrawoczerwony krawat, a na nosie te swoje okulary w rogowej oprawce. Co on takiego powiedział, że ją zauroczył? „Co pani zrobiła, że posadzili panią z tymi nudziarzami?”. Ich ślub w Pierre. Dzień, gdy otworzył Harbor, pierwsza transakcja — z Halliburtonem — tyle szans i nadziei. Mecze Aleksa, kiedy Charlie biegł wzdłuż linii bocznej, szalał po każdej bramce, wykrzykiwał: „Dalej, Alex, dalej!” i klaskał z entuzjazmem.

Ten ranek, gdy była w łazience, a on zawołał, że musi pojechać pociągiem.

Karen przesunęła palcami po jego twarzy.

— Jak to się stało, Charlie? Co ja powiem dzieciom? Kto teraz będzie po tobie płakał? Co ja mam, u diabła, z tobą zrobić?

Choć bardzo się starała, nie potrafiła mu wybaczyć. Niemniej wciąż był mężczyzną, z którym dzieliła życie przez niemal dwadzieścia lat. Był częścią każdego ważnego momentu w tym życiu. Pozostawał ojcem jej dzieci.

Skrucha, którą dostrzegła wczoraj w jego oczach, pozwoliła jej zrozumieć, za czym tak bardzo tęsknił. Za Sam. Za Aleksem. Za nią. Charlie, co ja, u diabła, mam z tobą zrobić?

— Karen... — Hauck podszedł z tyłu i delikatnie oparł dłonie na jej ramionach. — Czas pozwolić tym ludziom robić, co do nich należy.

Kiwnęła głową. Zamknęła Charliemu oczy. Tak lepiej. Taką twarz chciała zachować w pamięci. Wstała i bardzo delikatnie oparła się na Haucku.

Jeden z policjantów podszedł i zasunął zamek worka.

I to wszystko. Charles odszedł.

— Wypuszczą nas — szepnął jej do ucha Ty. — Podaliśmy im kontakt do siebie. Jeśli coś wyjdzie na jaw, a na pewno tak się stanie, wezwą nas na kolejną rozmowę.

Karen skinęła głową.

— Wiesz, on przyjechał do Stanów. — Spojrzała na niego. — Na uroczystość Samantha. Siedział w samochodzie po drugiej stronie ulicy i patrzył. Chcę, żeby wrócił do domu. Z nami. Chcę, żeby dzieci wiedziały, co się stało. Był ich ojcem.

— Możesz poprosić o przesłanie ciała, kiedy skończy je badać lekarz sądowy.

Karen pociągnęła nosem.

— W porządku.

Wrócili na *Sea Angel*. Stamtąd obserwowali, jak ciało Charlesa przenoszone jest na policyjną motorówkę.

— Ci ludzie w końcu go znaleźli... — Karen powstrzymywała narastający gniew. — Wróciliby z nami. Jestem tego pewna. To dlatego nas wezwał.

— Nie, Karen, oni go nie znaleźli. — Niepokojące wspomnienie ogromnego, czarnego szkunera stało się bardzo wyrazne. — My to zrobiliśmy. Doprowadziliśmy ich wprost do Charlesa. — Zerknął na splądrowaną łódź. — Tylko czego oni, do cholery, szukali?

ROZDZIAŁ DZIEWIĘCDZIESIĄTY DRUGI

Może rzeczywiście, przyznała w końcu Karen, gdy w ciągu następnych kilku dni wciąż przypominała sobie koszmary widok Charlesa.

Może rzeczywiście zostali wrobieni. Może faktycznie ich do niego doprowadzili.

Ale kogo?

Hauck opowiedział o czarnym żaglowcu, który widział dzień wcześniej. Szkunerze, który pamiętał z fotografii w gabinecie Dietza. Karen przypominała sobie nawet, że gdy żegnała się z Charlesem, wysoko nad wyspą krążył samolot, ale wówczas nie zwróciła na to uwagi.

Tak czy inaczej to wszystko nie miało teraz dla niej znaczenia.

Widok Charliego, jego biednego, wzdętego ciała — bez względu na to, co zrobił, ile bólu jej sprawił — oto co ją teraz prześladowało. Spędzili razem pół życia. Dzielili właściwie każdy szczęśliwy moment. Karen trudno było rozdzielić ich losy, tak bardzo się splatały. Powróciły łzy, ale dręczyły ją dziwne, niezrozumiałe uczucia. Dla niej on umarł ponownie. Straciła go przed rokiem, a potem była na niego tak wściekła, że nie wyobrażała sobie, iż będzie to tak bolesne. Kto i dlaczego go zabił, to już musiał wyjaśnić Ty.

Następnego dnia polecili do domu. Hauck chciał wrócić do kraju, zanim śledztwo wykaże, że Hanson nie ma żadnej przeszłości. Zanim pojawi się konieczność złożenia pełnych wyjaśnień.

A Karen... chciała czym prędzej wydostać się z tego koszmarne go świata. Gdy wrócili do Stanów, Hauck zostawił ją z przyjaciółką Paulą. Nie mogło być mowy o tym, by została sama. Wreszcie musiała się przed kimś otworzyć.

— Nawet nie wiem, od czego zacząć — powiedziała. Paula wzięła ją za rękę. — Musisz przysiąc, że to zostanie między nami. Wyłącznie. Nie możesz o tym nikomu mówić. Nawet Rickowi.

— Oczywiście, że nie powiem — przyrzekła Paula.

Karen przełknęła ślinę. Pokręciła głową i odetchnęła. Miała wrażenie, że ten oddech tkwił uwięziony w jej płucach od tygodni. Spojrzała na przyjaciółkę z nerwowym uśmiechem.

— Pamiętasz ten program dokumentalny o zamachu?

Tego samego popołudnia Hauck pojechał do Greenwich. Na posterunek. Nie przywitał się nawet ze swoimi ludźmi, ruszył wprost do gabinetu komendanta Fitzpatricka na czwartym piętrze.

— Ty! — Uradowany Fitzpatrick podniósł się z fotela. — Wszyscy się zastanawialiśmy, kiedy cię znów zobaczymy. Czeka na ciebie parę ciekawostek, jeśli jesteś już gotowy wrócić. Gdzie ty się podziewał?

— Carl, usiądź.

Komendant powoli powrócił na miejsce.

— Chyba mi się nie podoba ten ton, stary.

— I słusznie. — Zanim Hauck rozpoczął opowieść, spojrzał szefowi prosto w oczy. — Pamiętasz tę sprawę, którą prowadziłem? Potrącenie pieszego i ucieczka z miejsca wypadku.

— Pamiętam.

— No cóż, mam trochę nowych informacji.

Opowiedział wszystko. Od samego początku.

Powiedział o Karen. O numerze telefonu Charlesa w kieszeni ofiary. Podróży do Pensacoli. O znalezieniu zagranicznych kont, które prowadziły do Friedmana. Spokojnie streścił wypad do domu Dietza. Oczy komendanta coraz bardziej się rozszerzały. Hauck powiedział o starciu z Hodgesem.

— Poruczniku, wy sobie chyba, kurwa, jaja robicie. — Fitzpatrick odsunął się od biurka. — Jakie miałeś dowody? To, co tam zrobiłeś, nie wspominając już o zatajeniu, że kogoś, kurwa, postrzeliłeś... to wszystko było kompletnie bezprawne.

— Carl, nie potrzebuję powtórki z podręcznika.

— Nie wiem, Ty. — Komendant patrzył na niego otępiały. — Może jednak potrzebujesz.

— Ale najpierw pozwól, że skończę.

Hauck opowiedział o drugim wypadku, do którego doszło w New Jersey. I o tym, że Dietz również tam podał się za świadka.

— Carl, to były zaplanowane morderstwa. Żeby uciszyć tych ludzi i ukryć straty w inwestycjach. Wiem, że źle postąpiłem. Wiem, że mogą mnie spotkać konsekwencje. Ale te wypadki były zaaranżowane. To morderstwa!

Komendant zakrył twarz dłońmi i ucisnął skronie.

— Dobra wiadomość jest taka, że chyba masz podstawy do wznowienia śledztwa. Zła, że to może być część śledztwa przeciwko tobie. Kto jak kto, ale ty powinienesz być mądrzejszy.

Dlaczego wtedy się nie powstrzymałeś?

— To jeszcze nie koniec.

Fitzpatrick zamrugał oczami.

— Jezus, Maria...

Hauck streścił ostatni etap. Wyjazd na Saint Hubert. Z Karen. Odnalezienie Charlesa.

— Jak go namierzyliście?

— To nie ma znaczenia. — Hauck wzruszył ramionami. — Ważne, że nam się udało.

Opowiedział przełożonemu o znalezieniu zwłok Charlesa na łodzi. I o tym, że trochę wprowadził w błąd tamtejszą policję.

— Jezu, Ty, czyś ty świadomie próbował złamać każdą możliwą zasadę?

— Nie. — Hauck uśmiechnął się i pokręcił głową, wreszcie skończywszy opowieść. — To stało się samo z siebie.

— Chyba muszę cię prosić o broń i odznakę.

Przed wyjściem Hauck podszedł do komputera na drugim piętrze. Otoczyli go podekscytowani ludzie z jego ekipy.

— Odzyskaliśmy pana, poruczniku?

— Niezupełnie — odparł jakby zrezygnowany. — Jeszcze nie.

Wyszukał coś w Google. Męczyło go to od wielu dni. *Black Bear*.

Otrzymał szereg wyników. Kilkanaście witryn o zwierzętach. Wizytówkę hotelu w Vermoncie.

Dopiero na trzeciej stronie trafił na to, czego potrzebował. Informację z witryny włoskiej stoczni Perini Navi.

BLACK BEAR. LUKSUSOWY JACHT ŻAGLOWY. 88-METROWY KLIPER TO NAJWIĘKSZY PRYWATNY JACHT ŻAGLOWY NA ŚWIECIE. UŻYWA NOWATORSKIEGO NAPĘDU DYNARIG. DWA SILNIKI DEUTZ O MOCY 1800 KM. PRĘDKOŚĆ MAKSYMALNA: 19.5 WĘZŁA. ULTRANOWOCZESNA, CZARNA KONSTRUKCJA, TRZY 58-METROWE MASZTY Z WŁÓKNA WĘGLOWEGO, POWIERZCHNIA OŻAGLOWANIA: 2396 M². JACHT MA SZEŚĆ LUKSUSOWYCH KABIN, ZESTAW TELEWIZJI SATELITARNEJ, BLOOMBERG, WĘZEŁ KOMUNIKACYJNY, DUŻE TELEWIZORY PLAZMOWE, PEŁNĄ SIŁOWNIE, 50-CALOWY TELEWIZOR PLAZMOWY W GŁÓWNYM SALONIE, NAGŁOŚNIENIE. 10-METROWA DWUSILNIKOWA ŁÓDŻ POMOCNICZA PASCOE. MIEJSCA W KABINACH DLA 12 OSÓB, 16-OSOBOWA ZAŁOGA.

Imponujące, pomyślał Hauck i sprawdzał dalej. To, czego szukał, znalazł na następnej stronie wyników, w internetowym magazynie miłośników łodzi.

Hauck odsunął się od komputera. Na dłuższą chwilę zatrzymał się na nazwisku. Dotarło do niego. Raz był nawet w jego domu. Niekiepski dom.

BLACK BEAR JEST WŁASNOŚCIĄ ROSYJSKIEGO FINANSISTY, GRIGORIJA CHODOSZEWSKIEGO.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

„Karen, doprowadziliśmy ich wprost do Charlesa”.

Przez cały pierwszy dzień, po tym, jak opowiedziała o wszystkim Pauli i wymogła na niej absolutną dyskrecję, zachodziła w głowę, w jaki sposób to się mogło stać.

Kogo doprowadziliśmy?

Nikomu nie zdradziła, dokąd się udawali. Sama dokonała rezerwacji. Usiłując odwrócić myśli od Charlesa, odtworzyła w pamięci wszystko od samego początku.

Film dokumentalny. Koszmarny widok jego twarzy na ekranie. A potem ta kartka z notatnika, którą ktoś przysłał, nie podając adresu zwrotnego. To doprowadziło do paszportu i pieniędzy.

Następnie wizyta ludzi z Archera i ten bydlak, który napadł Sam w aucie. Straszne rzeczy znalezione w biurku Charlesa — kartka świąteczna i liścik o Sashy. Myśli Karen nieubłaganie powracały do męża. Na plaży. Potem na łodzi.

Czego ktoś mógł tam szukać?

— Kto? Charlie, kto? Powiedz!

Przed kim uciekałeś? Dlaczego wciąż cię gonili? Karen wiedziała, że Ty pojechał do komendy, wszystko opowiedział. Będą musieli wznowić śledztwo w sprawie potrażeń. Dowiedzą się, kim byli inwestorzy jej męża.

Powiedz, Charlie. Skąd wiedzieli, że żyjesz? Mówił, że zobaczyli opróżnione konto z wynagrodzeniem. Podążyli tropem bankowym. Czego mogli chcieć po roku? Co ich zdaniem miał przy sobie? Te pieniądze?

Karen zamyśliła się, wyglądając przez okno gabinetu. Odpisała na kilka e-maili od dzieci. Cieszyła się, bo dzięki temu było normalnie. Bawiły się fantastycznie.

Drzwi do garażu stały otworem. Zauważyła mustanga Charliego. Zaparkowanego na dalszym stanowisku.

Nagle sobie przypomniała słowa Charliego: „Prawda zawsze była w moim sercu”.

Charlie, coś ci się jednak stało.

Dlaczego nie mogłeś mi powiedzieć? Dlaczego musiałeś to ukrywać, tak jak wszystko inne? Co on powiedział, gdy go przycisnęła? „Nie rozumiesz? W ogóle nie chcę, żebyś wiedziała”.

Czego mam nie wiedzieć, Charlie?

Już miała się wylogować po wysłaniu wiadomości do dzieci, kiedy myślami znów wróciła do tamtej rozmowy.

Tym razem dreszcze wstrząsnęły całym jej ciałem.

„Prawda... zawsze była w moim sercu”.

Karen wstała. Oblewał ją pot. Wyrzała przez okno.

Na auto Charliego.

„Wciąż masz mustanga, prawda?”

Myślała, że on tak tylko plecie.

O Boże!

Wybiegła z gabinetu, a za nią Tobey. Popędziła przez drzwi frontowe do otwartego garażu.

Tak jest. Na tylnym zderzaku mustanga. Tam gdzie była od zawsze. Naklejka. Widziała ją, przechodziła obok — każdego dnia przez cały rok. A na niej słowa: „Miłość mojego życia”.

Na tle jaskrawoczerwonego serca.

Całym ciałem Karen wstrząsnęły gwałtowne dreszcze.

— Och, Charlie — jęknęła. — Jeśli nie to miałeś na myśli,

proszę, nie uważaj mnie za największą zasraną idiotkę na świecie.

Przyklękła przy tylnym zderzaku mustanga. Ciekawski Tobey zaczął się łąsić. Karen go odepchnęła.

— Proszę, skarbie, daj mi chwileczkę.

Położyła się na plecach, wsunęła dłoń pod chromowany zderzak i zaczęła szukać.

Nic. Czego ona się spodziewała? Tylko brud i smar. Całą dłoń miała w czarnych smugach. Sama przed sobą udawała, że nie czuje się jak kompletna kretyńska.

„Karen, to wiele wyjaśni”.

Znów sięgnęła w górę. Tym razem głębiej.

— Staram się, Charlie — powiedziała. — Staram się.

Grzebała po omacku tuż za „wnętrzem” serca.

Natrafiła na coś. Coś małego. Przymocowanego we wgłębieniu zderzaka.

Serce zaczęło jej łomotać. Wsunęła się głębiej pod podwozie i oderwała przedmiot od chromowanej krawędzi. Cokolwiek to było, zostało jej w dłoni. Niewielkie zawiniątko, ściśle oplecione folią pęcherzykową. Karen patrzyła z niedowierzaniem na Tobeya.

— O Boże.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘCDZIESIĄTY CZWARTY

Zaniosła to do kuchni. Przetrzęsnęła szufladę, znalazła nóż do tektury i przecięła taśmę, po czym ostrożnie odwinęła opakowanie. Wzięła przedmiot do ręki.

Był to telefon komórkowy.

Nigdy wcześniej go nie widziała. Przypominała sobie, że Charlie używał blackberry. Urządzenia nigdy nie znaleziono. Karen patrzyła na telefon, jakby bała się go trzymać w dłoniach.

— Charles, co ty mi chcesz powiedzieć?

W końcu wcisnęła włącznik. O dziwo, po tak długim czasie ekran ciekłokrystaliczny się podświetlił.

Blokada aparatu.

Karen próbowała sobie przypomnieć, jakiego hasła mógł użyć Charlie. Przychodziło jej do głowy kilka możliwości, włącznie z tą najbardziej oczywistą. Wprowadziła datę rocznicy ślubu: 0716. Dzień, w którym ruszył Harbor. Kod z adresu e-mailowego. Wcisnęła „enter”.

Nic. *Blokada aparatu.*

Cholera. W takim razie spróbowała 0123 — to data jego urodzin. Znów bez skutku. Następnie 0821. Jej urodziny. Kolejny błąd. Urodziny dzieci: najpierw 0330, potem 1112. Bez powodzenia. Wpadała w desperację. Nawet jeśli właściwie

rozumowała, istniała setka możliwych wariacji. Liczba trzycyfrowa — bez zera przy miesiącu. Albo pięciocyfrowa — z rokiem.

Cholera.

Karen usiadła. Z blatu wzięła notatnik. To musiała być któraś z tych kombinacji. Była gotowa wypróbować je wszystkie po kolei.

I wtedy do niej dotarło. Co on jeszcze mówił? Coś w stylu: „Karen, wciąż jesteś piękna”.

Coś o kolorze oczu mojego maleństwa.

Maleństwo Charliego.

Karen od niechcienia wprowadziła słowo — nazwę koloru jego „maleństwa”. *Emberglow*.

Ku jej zaskoczeniu, ikona blokady zniknęła.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘCDZIESIĄTY PIĄTY

Saul Lennick siedział w bibliotece swego domu na Deerfield Road, na terenie Greenwich Country Club.

Słuchał *Turandota* Pucciniego, to go wprawiało w dobry nastrój. Przeglądał właśnie protokół zebrania zarządu Metropolitan Opera, w którym wziął udział. Siedząc w skórzanym fotelu, spojrział przez okno na rozległy ogród na tyłach domu, wysokie drzewa i pergole prowadzącą do pięknego punktu widokowego nad stawem. Wszystko było podświetlone jak w teatralnej scenografii.

Zabrzęczała komórka.

Lennick otworzył klapkę telefonu. Czekał na tę rozmowę.

— Wróciłem — powiedział Dietz. — Możesz już odetchnąć. Załatwione.

Lennick zamknął oczy i skinął głową.

— Jak?

— Już ty sobie tym głowy nie zawracaj. Wygląda na to, że twój stary kumpel Charlie miał słabość do wieczornych kąpeli.

Wiadomość przyniosła Lennickowi ulgę. Nagle zdjęto mu

ciężar z barków. To wcale niełatwe. Charlie był jego przyjacielem. Saul znał go od dwudziestu lat. Dzielili wiele wzlotów i upadków. Odczuł smutek, gdy dowiedział się o zamachu. Teraz nie czuł nic. Charles już dawno stał się ciężarem, którego należało się pozbyć.

Lennick nie czuł nic, ale z jednej rzeczy zdał sobie sprawę — do czego jest zdolny.

— Udało się wam coś znaleźć?

— Nic. Cokolwiek miał, biedaczysko zabrał to ze sobą do grobu. A wiesz, że potrafię być bardzo przekonujący. Przetrzęsaliśmy całą Łódź. Wyrwaliśmy, kurwa, blok silnika. Nic.

— Nie szkodzi. — Lennick westchnął. — Może w ogóle nic nie miał. Tak czy inaczej najwyższy czas.

Możliwe, że to tylko strach, pomyślał. Instynkt przetrwania. To doprawdy zadziwiające, co potrafi zrobić człowiek w sytuacji zagrożenia.

— Ale może być jeszcze jeden problem — powiedział Dietz, przerywając jego myśli.

— Jaki?

Lennick przypomniał sobie o policjancie.

— Charles spotkał się z żoną. Zanim go dopadliśmy. Znalazła go razem z tym gliniarzem.

— Tak — zgodził się z żalem Lennick. — To niedobrze.

— Rozmawiali na wyspie przez parę godzin. Zareagowałbym, ale roіło się od miejscowej policji. Wiedział o obu wypadkach. O Hodgesie też. No i kto wie, co twój koleżka powiedział żonie.

— Nie możemy dłużej bagatelizować sprawy — rzekł Lennick. Już zbyt długo to tolerował. — Gdzie oni teraz są?

— Wrócili — poinformował Dietz.

— Hm...

Lennick studiował na Uniwersytecie Yale. W swoim czasie był jednym z najmłodszych partnerów w Goldman Sachs.

Obecnie znał najpotężniejszych ludzi na świecie. Mógł zadzwonić do kogo chciał i każdy by odebrał. Przecież on miał w opcji szybkiego wybierania w komórce pieprzonego sekretarza stanu. Miał czwórkę kochających wnuków...

W interesach nie ma jednak czegoś takiego jak nadmiar ostrożności czy rozwagi.

— Zróbmy, co trzeba zrobić — powiedział Lennick.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘCDZIESIĄTY SZÓSTY

— Chwilowe odsunięcie od obowiązków — oznajmił Hauck w Arcadii, ogrzewając dłonie na kubku z kawą.

Karen zadzwoniła przed godziną. Powiedziała, że musi mu pokazać coś ważnego. Spotkali się na mieście. — A twoja posada? — spytała.

— Nie jestem pewien. — Hauck westchnął zrezygnowany. — Nagroda dla funkcjonariusza roku raczej mi nie grozi. Wszystko powiedziałem. — Uśmiechnął się. — Tak w ogóle. Będzie dochodzenie. Kłopot w tym, że pogorszyłem sprawę zajściem w New Jersey. Ale mamy te wypadki samochodowe... Pappy Raymond na pewno zezna, że to Dietz zmusił go do milczenia. To nam musi wystarczyć, jeśli nie pojawi się coś innego.

— Przykro mi — powiedziała Karen. Położyła dłoń na jego dłoni. Jej okrągłe oczy lśniły. Uśmiechała się. — Ale chyba mogę ci pomóc, panie poruczniku.

— Jak to? — Spojrzał na nią i serce mocniej mu zabiło.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

— Pojawiło się coś innego. — Sięgnęła do torebki. — Prezent. Od Charliego. Zostawił go dla mnie. Wspominał o tym, kiedy odprowadzał mnie do łodzi, o czymś, co chciałabym

wiedzieć, gdyby mu się coś stało. O prawdzie, która zawsze znajdowała się gdzieś w jego sercu. Podejrzewałam, że plecie bez sensu. W ogóle o tym nie myślałam, dopóki tego nie zobaczyłam.

— Czego?

— Jego serca. — Karen uśmiechnęła się triumfalnie. — Mustanga Charliego. Jego maleństwa.

Podawała mu telefon. Spojrzał na nią nieco zaskoczony.

— Był przyklejony za tylnym zderzakiem samochodu. To dlatego Charles nie chciał, żebym go sprzedała. Ten telefon był tam cały czas ukryty. Właśnie to miałam znaleźć.

— Co takiego?

Wzruszyła ramionami.

— Na początku też nie wiedziałam. Więc sprawdziłam całą książkę telefoniczną. Niewiele się dowiedziałam. Może ty znajdziesz tu parę numerów do namierzenia. Potem pomyślałam: komórka... zdjęcia! Może miał tu jakieś fotografie, wiesz, obciążające kogoś. Przecież nie ukrył tego telefonu bez powodu.

Więc weszłam w „pliki”... w „aparat” — Karen otworzyła klapkę — ale tam też nic nie było.

Hauck wziął od niej komórkę.

— Znam kogoś, kto sprawdzi to w laboratorium.

— Nie ma potrzeby, panie poruczniku. Sama znalazłam! Chodziło o nagranie głosowe. Nawet nie wiedziałam, że jest taka funkcja, ale znalazłam w opcjach, więc kliknęłam. — Karen zabrała telefon od Haucka i wybrała „nagrania”. — O tu. To jest twoje „coś innego”. Prezent od Charliego. Zza grobu.

Hauck przyjrzał się jej.

— Nie wyglądasz na zadowoloną.

— Po prostu odsłuchaj.

Uruchomiła odtwarzanie. Odezwał się metaliczny głos:

— *Myślisz, że podoba mi się, że tu jestem?*

Hauck spojrzął na Karen, a ona powiedziała:

— To Charles.

— *Wydaje ci się, że odpowiada mi moje położenie? Ale się w nim znalazłem. I to się musi skończyć.*

— *Nie, Charles* — odparł inny głos. Tym razem Hauck był przekonany, że już go gdzieś słyszał. — *Obaj w tym tkwimy.*

Karen podniosła wzrok. W jej oczach nie było już oszołomienia, ale błysk zdecydowania.

— To Saul Lennick.

Hauck zamrugał.

Nagranie trwało dalej.

— *W tym cały problem, Charles. Wydaje ci się, że tylko własne życie zrujnujesz swoją fuszerką. Ja tkwię w tym równie głęboko. Wiedziałeś, jaka jest stawka. Wiedziałeś, kim są ci ludzie. Jeśli chcesz grać przy dużym stole, musisz sypnąć żetonami.*

— *Saul, dostałem kartkę świąteczną. Kto mógł ją wysłać, do cholery? Na litość boską, wycięli twarz moich dzieci.*

— *A ja mam wnuki. Myślisz, że ty jeden nadstawiasz karku?* — Nastąpiła chwila ciszy. — *Mówiłem, co masz robić, jak to załatwić. Mówiłem, że musisz zamknąć gębę temu zasranemu prostakowi z Florydy. I co teraz?*

— *Już za późno* — westchnął Charles. — *W banku podejrzewają...*

— *Ja się zajmę bankiem! Ale ty... ty sam musisz po sobie posprzątać. W przeciwnym razie, Charles, zapewniam cię, że są inne sposoby.*

— *Jakie sposoby?*

— *On podobno ma syna, który mieszka gdzieś tutaj.*

Chwila ciszy.

— *Charles, to się nazywa środek nacisku. To pojęcie wydawało ci się znajome, kiedy ciągnąłeś nas na dno.*

— *Saul, to tylko stary dziad.*

— *On ma zamiar z tym iść do prasy. Pismaki chętnie zajmą się sprawą bezpieczeństwa narodowego. Wiadomo, co*

odkryją. Chcesz tego? Zadbam o to, żeby stary się nie wygadał. Znam ludzi, którzy się w tym specjalizują. Wyczyść bilans. Mamy miesiąc, Charles. Miesiąc i nie możemy znowu dać dupy. Rozumiesz, co mówię? Nie tylko ty masz pętlę na szyi. Odpowiedź padła szeptem:

— Rozumiem, Saul.

Hauck patrzył na Karen nieruchomym wzrokiem.

— To był Saul — powiedziała. Łzy napływały jej do oczu. — Dietz i Hodges pracują dla niego.

Mężczyzna przykrył jej dłoń swoją.

— Przykro mi, Karen.

Smutek nadawał jej twarzy mroczny wyraz.

— Charlie go uwielbiał. Saul towarzyszył nam na każdym życiowym zakręcie. Był dla niego jak starszy brat. — Zaciśnęła zęby. — Skurwiel przemawiał na uroczystości żałobnej. I on mógł mu zrobić coś takiego... Ty, to był Saul. Jezu Chryste, a ja do niego poszłam, kiedy odwiedzili nas ci z Archera. Kiedy napadli Sam. Niedobrze mi.

Hauck ścisnął jej dłoń.

— Rozmawiałam z nim przed wyjazdem. Nie powiedziałam konkretnie, dokąd jadę, ale mógł wszystko skojarzyć. — Twarz miała bladą. — Nie wiem, może nas śledzili.

— Karen, nie zrobiłaś nic złego.

— Sam mówiłeś, że ich doprowadziliśmy. — Podniosła telefon ze stolika. — To tego szukali, gdy przetrząsnęli łódź. Charles mógł powiedzieć Saulowi, że ma dowody. Przed wybuchem. Zabezpieczenie. A potem jakimś cudem dowiedzieli się, że żyje.

Odetchnęła. Była wściekła i czuła się zdradzona.

— Pojeżdż do domu — powiedział Hauck. Spojrzał na nią stanowczo. — Chcę, żebyś spakowała jakieś ubranie i poczekała na mnie. Jeśli ci ludzie dotarli za nami do Charlesa, muszą wiedzieć, że się z nim spotkałaś.

— Dobrze. A ty?

Sięgnął po telefon.

— Jadę do domu, żeby to skopiować, na wszelki wypadek. Potem zadzwonię do Fitzpatricka. Jutro będę miał nakaz. Zanim to wszystko zajdzie za daleko.

— Oni zabili Charlesa — powtórzyła Karen, lekko zaciskając pięści. Podała Hauckowi aparat. — Nie chcę, żeby zginął na próżno. Chciał, żebym to znalazła. Niech oni nie wygrają.

— Nie wygrają, obiecuję.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘCDZIESIĄTY SIÓDMY

Karen pojechała do domu.

Trzymała kierownicę drżącymi dłońmi. W żołądku jeszcze nigdy nie czuła takiej pustki, w duszy takiej niepewności. Czy groziło jej niebezpieczeństwo?

Jak Saul mógł jej to zrobić? Jak mógł to zrobić Charlesowi?

Człowiek, któremu przez ostatnie dziesięć lat ufała jak członkowi rodziny. Ktoś, u kogo sama szukała wsparcia. Zbie-rało jej się na torsje. Okłamał ją. Wykorzystał, żeby dotrzeć do Charliego, tak jak wcześniej wykorzystał jej męża. Karen wiedziała, że sama to na siebie ściągnęła. Nagle czuła się współ-winna wszystkiego, co zaszło.

Nawet śmierci Charliego.

Przypomniała sobie Saula na uroczystości żałobnej. Mówił o Charlesie z takim uczuciem. Jak to go musiało radować, myśla-ła z wściekłością, że los tak pięknie rozwiązał problem. Wyeli-minował takie zagrożenie.

A tymczasem jej mąż wciąż żył.

Czy Charlie wiedział? Czy zdawał sobie sprawę z tego, kto go goni? Myślał, że to odwet inwestorów. „Karen, to są źli lu-dzie...”. Ale Dietz i Hodges pracowali dla Saula. Od początku

chodziło o wystraszonego wieloletniego współnika, który chciał ochronić swój tchórzliwy tyłek.

Och, Charlie, ty nigdy nie byłeś w tym dobry, prawda?

Skreśliła w Shore Road, kierując się w stronę morza. Przyszło jej do głowy, by pojechać wprost do Pauli, lecz pamiętała słowa Tya. Wjechała w Sea Wall. Ani śladu żywej duszy. Zaparkowała lexusa na podjeździe domu.

W środku panowała ciemność.

Wpadła przez wejście z garażu i zapaliła światło, gdy tylko dotarła do kuchni.

Natychmiast poczuła, że coś jest nie tak.

— Tobey! — zawołała.

Wyprostowała stosik poczty, który leżał na blacie w kuchni. Kilka rachunków i katalogów. Zawsze miała wrażenie, że pod nieobecność Aleksa i Sam jest jakoś inaczej. Odkąd nie ma Charliego. Dziwnie się czuła, wracając do ciemnego domu.

Znów zawołała:

— Tobey? Gdzie jesteś, mały?

Zwykle drapał w drzwi, gdy tylko przychodziła.

Cisza.

Karen wyjęła z lodówki butelkę wody i ruszyła w głąb domu z pocztą w ręku.

Nagle usłyszała psa — ale gdzieś daleko. Skamlał.

W gabinecie na górze? Zatrzymała się, spróbowała sobie przypomnieć. Czy wychodząc, nie zamknęła go w kuchni?

Szła przez dom za głosem psa. Włączyła światło przy drzwiach frontowych.

Nagle zmroziło jej krew w żyłach.

Naprzeciw niej, w fotelu w salonie, siedział Saul Lennick z nogą założoną na nogę.

— Witaj, Karen.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘCDZIESIĄTY ÓSMY

Serce podeszło jej do gardła. Obejrzała się, zamarła, listy upadły na podłogę.

— Saul, co ty tu, u diabła, robisz?

— Chodź tu do mnie, siadaj. — Poklepał poduszki na kanapie obok siebie.

— Co ty tu robisz?! — powtórzyła Karen.

Po skórze przebiegł jej dreszcz.

Coś w duszy krzyczało, żeby czym prędzej uciekać. Stała przy drzwiach. Zjeżdżaj stąd, Karen. Natychmiast. Wstrzymała oddech. Jej wzrok podążył ku frontowemu wejściu.

— Siadaj, Karen — powtórzył Lennick. — Nawet nie myśl o wychodzeniu. Obawiam się, że los tego nie przewidział.

Z cienia korytarza prowadzącego do gabinetu, gdzie głośno szczekał Tobey, wyłoniła się jakaś postać. Karen zamarła.

— Saul, czego ty chcesz?

— Mamy parę rzeczy do omówienia, prawda, moja droga?

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Może przestańmy udawać, dobrze? Oboje wiemy, że widziałas się z Charlesem. A teraz oboje wiemy również, że on nie żyje. W końcu nie żyje, Karen. No chodź... — Poklepał kanapę,

jakby namawiał małą siostrzenicę. — Usiądź przy mnie, moja droga.

— Nie mów do mnie „moja droga”. — Karen spiorunowała go wzrokiem. — Wiem, co zrobiłeś.

— Co zrobiłem? — Lennick splótł palce. Z jego wzroku znikła dobroduszość. — To nie jest prośba.

Mężczyzna w korytarzu ruszył w jej stronę. Był wysoki, ubrany w plażową koszulę, a włosy miał spięte w krótki kucyk. Nie wiedzieć czemu, Karen odniosła wrażenie, że już go gdzieś widziała.

— Powiedziałem: chodź tutaj.

Karen powoli ruszyła w jego kierunku. Serce zaczynało jej łomotać. Pomyślała o Tyu. Jak mu dać znać? Co oni chcieli z nią zrobić? Usiadła na kanapie w miejscu wskazanym przez Lennicka.

Uśmiechnął się.

— Karen, chciałbym, żebyś spróbowała sobie wyobrazić, co właściwie oznacza „miliard”. Gdybyśmy mówili o czasie, milion sekund to mniej więcej jednaście i pół dnia. A miliard, Karen, to ponad trzydzieści jeden lat! Natomiast bilion... — Lennickowi zaświeciły się oczy. — Cóż, o tym nawet trudno myśleć. To ponad trzydzieści jeden tysięcy lat.

Karen spojrzała na niego nerwowo.

— Dlaczego mi o tym opowiadasz?

— Dlaczego? Czy masz w ogóle pojęcie, ile pieniędzy spoczywa na lokatach w bankach na Wielkim Kajmanie i Brytyjskich Wyspach Dziewiczych? Około biliona sześciuset miliardów dolarów. Trudno to sobie w ogóle wyobrazić: ponad jedna trzecia wartości wszystkich lokat w Stanach Zjednoczonych. To niemal tyle, ile wynosi produkt narodowy brutto Francji czy Wielkiej Brytanii. Nazywają to „turkusową gospodarką”. Powiedz mi zatem, jakże tak ogromna, znacząca suma może nie być słuszna?

— Co ty próbujesz przede mną usprawiedliwić?

— Usprawiedliwić. — Lennick miał na sobie kaszmirowy sweter z dekoltem w serek, a pod spodem białą koszulą. Pochylił się i oparł łokcie na kolanach. — Niczego nie muszę przed tobą usprawiedliwiać. Ani przed Charlesem. Mam dziesięciu takich Charlesów. Każdy inwestuje sumy podobnej wielkości. Czy masz pojęcie, kogo reprezentujemy? Gdybyś chciała, mogłabyś poszukać tych ludzi w Google. Znajdziesz wiele spośród najważniejszych i najbardziej wpływowych osób na świecie. Nazwiska, które na pewno znasz. Ważne rodziny, Karen, magnaci, inni...

— Przestępcy, Saul!

— Przestępcy? — Roześmiał się. — Nie pierzemy brudnych pieniędzy. My je inwestujemy. Z naszego punktu widzenia gotówka to gotówka, bez znaczenia, czy pochodzi ze sprzedaży dzieła któregoś z dawnych mistrzów, czy z powiernictwa w Liechtensteinie. Dolary równie zielone jak twoje i moje. Pieniądzy się nie ocenia. Nawet Charlie by ci to powiedział. Je się pomnaża. Inwestuje.

— Kazałeś zabić Charlesa! On cię uwielbiał!

Saul uśmiechnął się, jakby go to rozbawiło.

— Charlie mnie potrzebował. Podobnie jak ja jego.

— Jesteś padalcem! — W oczach Karen zabłyśły łzy. — Jak możesz mówić takie rzeczy? Jak mogłeś tak bardzo zbłądzić?

— Co chcesz ode mnie usłyszeć, Karen? Że popełniłem wiele złych uczynków? Musiałem. Charles też. Myślisz, że był taki święty? Okradał banki. Fałszował ich konta...

— To ty doprowadziłeś do śmierci tego chłopaka w Greenwich.

— Ja? To ja spierdoliłem sprawę z tymi tankowcami? — Zaciśnięła szczękę. — Kurwa, Karen, on stracił ponad miliard dolarów! Grał w trzy karty własnymi kredytami bankowymi. Pożyczkami, które ja dla niego uzyskałem. Ja go zabiłem? Jaki miałem wybór, Karen? Myślisz, że co robią tacy ludzie? Klepią

cię po plecach? Mówią: „Szkoda, a następnym razem będzie lepiej”? Wszyscy ryzykujemy. Każdy, kto bierze udział w tej grze. Nie tylko Charles. Karen patrzyła z wściekłością.

— Więc kim byli ludzie z Archera? Kim był ten człowiek w samochodzie Samantha? Czy oni przyszli od ciebie? Wykorzystałeś mnie, sukinsynu. Wykorzystałeś moje dzieci. Wykorzystałeś Sam, żeby dotrzeć do mojego męża, twojego przyjaciela. Żeby go zabić, Saul.

Kiwnął głową, jakby trochę poczuwał się do winy, jednak oczy miał chłodne i pozbawione wyrazu.

— Owszem, Karen, wykorzystałem cię. Dowiedzieliśmy się, że Charles jakimś cudem przeżył. Zauważyliśmy, że po jego rzekomej śmierci wybrano całe jego wynagrodzenie ulokowane na zagranicznych kontach. Kto inny mógł to zrobić? Potem znalazłem u niego na biurku kartkę z numerami tej skrytki bankowej. Musiałem się dowiedzieć, co w niej było. Namierzenie kont prowadziło donikąd. Troszkę cię zastraszyliśmy, to wszystko. Włączyliśmy cię do gry w nadziei, że Charles się z tobą skontaktuje. Nie miałem innego wyjścia, Karen. Nie możesz mnie za to winić.

— Żerowałeś na mnie? — wysapała Karen, szeroko otwierając oczy. Dlaczego, Saul, dlaczego? — Byłeś dla niego jak brat. Przemawiałeś na uroczystości żałobnej...

— Karen, on stracił ponad miliard dolarów tych ludzi!

— Nie. — Spoglądała na niego, na tego człowieka, który zawsze zdawał się tak ważny, zawsze panował nad sytuacją. W jakiś dziwny sposób nagle poczuła się od niego silniejsza i nie miało znaczenia, kto stał za jej plecami. Co mógł jej zrobić. — Tu w ogóle nie chodziło o pieniądze, prawda, Saul?

Twarz mężczyzny złagodniała. Nawet nie próbował tego ukrywać.

— Nie.

— To nie brakujących pieniędzy szukali twoi ludzie, kiedy zdemolowali łódź. — Karen się uśmiechnęła. — Znalazłeś to, Saul?

— Znaleźliśmy to, czego potrzebowaliśmy.

— Nie. — Karen pokręciła głową. Nabierała coraz większej śmiałości. — Wątpię. On cię pokonał. Może sobie z tego nie zdajesz sprawy, ale taka jest prawda. Kazałeś zabić tego chłopaka, żeby chronić własne interesy. Żeby ukryć to, co odkrył jego ojciec. Bo to ty za wszystkim stałeś, prawda, Saul? To ty jesteś tym wielkim, ważnym człowiekiem, który pociąga za sznurki. Ale potem zauważyłeś, że opróżniono konta Charliego, i nagle zrozumiałeś, że on żyje. Że gdzieś tam jest, prawda? Twój przyjaciel. Twój partner. Który znał całą prawdę o tobie. — Karen zaśmiała się pod nosem. — Jesteś żaloszny. Nie zabiłeś go dla pieniędzy. W takim wypadku zachowałbyś chociaż trochę godności. Ty go zabiłeś z tchórzostwa, Saul. Ze strachu. Bo miał na ciebie haka i nie mogłeś mu ufać. Bo pewnego dnia mógłby zeznawać. Był jak bomba z opóźnionym zapłonem. Nie mogłeś wiedzieć, kiedy to nastąpi. Pewnego dnia zmęczyłaby go ciągła ucieczka... Jak na to mówią w kręgach biznesowych, Saul? Odroczone zobowiązanie?

— Miliard dolarów, Karen! Dałem mu tyle szans. Dla niego postawiłem na szali własne życie. Życie moich wnuków! Nie... Nie mogłem go mieć na karku. Nie można mu było ufać. Nie po tym, co zrobił. Pewnego dnia, gdyby zmęczyła go ucieczka, mógł się zgłosić, zawrzeć jakiś układ. — Saul zmarszczył siwe brwi. — Człowiek się do tego przyzwyczaja, Karen. Do władzy, wpływów. Bardzo mi przykro, jeśli nie podoba ci się to, co widzisz, kiedy na mnie patrzysz.

— Co widzę? — Mierzyła go gniewnym spojrzeniem oczu lśniących od łez. — Widzę kogoś, kto nie ma władzy. Kogoś starego i zależniejszego. I żaloznego. I wiesz co, Saul? Charles wygrał. Wiedziałaś, że coś na ciebie ma. Dlatego tu dziś przyszedłeś, prawda? Żeby sprawdzić, co wiem. No to proszę

bardzo, ty tchórzliwy skurwysynu: Charles miał wyraźne nagranie. Twojego głosu. Opisywałeś szczegółowo, co zamierzałeś zrobić z tym chłopakiem. Jak to określiłeś? Że masz ludzi, którzy zajmują się takimi sprawami? Mam nadzieję, że ta wiadomość rozbawi cię tak bardzo jak mnie: w tej chwili nagranie jest w rękach policji. Właśnie przygotowują przeciwko tobie nakaz aresztowania. Więc cokolwiek wspólnie ze swoimi sługusami miałeś zamiar ze mną zrobić, to już nie ma sensu. Nawet ty to rozumiesz, Saul, chociaż wiem, że nie zmąci ci to snu. Już za późno. Oni wiedzą. Wiedzą, że to ty. Już zdobyli informacje.

W jej oczach płonęła wściekłość. I przez sekundę Saul zdał się słaby, jakby nie wiedział, co teraz począć. Jego arogancja topniała. Karen czekała, aż maska opanowania wreszcie pęknie.

Nie pękła.

Zamiast tego wzruszył ramionami, a usta wykrzywiły mu się w uśmiechu.

— Chyba nie masz na myśli tego swojego przyjaciela detektywa, prawda, Karen?

Nie odwróciła spojrzenia, ale żołądek znów skurczył się ze strachu.

— Bo jeśli to o nim mówisz, to obawiam się, że już się nim zajęliśmy. Skądinąd dobry gliniarz, zawzięty. I chyba autentycznie mu na tobie zależało. — Saul podniósł się i spojrzał na zegarek. — Niestety, w tej chwili chyba już nawet nie żyje.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Hauck ruszył do domu z kawiarni w Old Greenwich. Pięć minut w górę Post Road. Zamierzał skopiować nagranie na taśmę, a potem jeszcze tego wieczoru zawieźć je do Carla Fitzpatricka, który mieszkał niedaleko, w Riverside. Karen znalazła dokładnie to, czego potrzebował — legalne dowody. Fitzpatrick będzie musiał wznowić śledztwo.

W Stamford skręcił z Post Road w Elm Road i ruszył pod górę. Przejechał pod autostradą i wiaduktem kolei Metro-North do Cove, w stronę wody i Euclid Avenue, gdzie mieszkał. Po drugiej stronie ulicy, u Roberta i Jacqueline, renowatorów mebli, paliło się światło. Chyba trwało przyjęcie. Hauck skręcił w lewo, na jednostanowiskowy podjazd przed swoim domem.

Otworzył schowek, wyciągnął berettę, którą podczas wyjazdu dał Karen, i schował ją do kieszeni kurtki. Zatrzasnął drzwi swego forda bronco i ruszył po schodach, przystając, żeby podnieść pocztę.

Gdy wyjmował klucze, mimochodem uśmiechnął się, myśląc o Karen. O tym, co Charles powiedział jej przed śmiercią, jak to wszystko skojarzyła i znalazła telefon. Byłby z niej nie najgorszy gliniarz, zaśmiał się, gdyby nie wyszło z tymi nieruchomościami. W zasadzie...

Z ciemności wyłonił się mężczyzna. Celował mu w pierś.

Zanim wystrzelił, Hauck wbił w niego wzrok i błyskawicznie rozpoznał. W tej samej chwili pomyślał o Karen i zrozumiał, że popełnił straszny błąd.

Pierwszy strzał go powalił. Piekący ból rozniósł się po podbrzuszu. Upadając, policjant na próżno próbował sięgnąć po beretę.

Drugi trafił go w udo. Hauck przechylił się naprzód i bezradnie runął ze schodów.

W ogóle nic nie usłyszał.

W panice usiłował złapać się balustrady, a gdy nie zdołał, stoczył się aż na sam dół. Zamroczony zatrzymał się w pozycji siedzącej w przedsionku. Do umysłu przebijał się tylko jeden obraz, a wraz z nim dreszcz przerażenia.

Karen!

Napastnik zaczął schodzić po schodach.

Hauck spróbował się unieść, ale całe ciało miał jak z gumy. Obrócił się w stronę domu Richarda i Jacqueline, zamrugał oczami na widok jasnych światel. Wiedział, że zaraz stanie się coś złego. Usiłował krzyknąć. Głośno. Otworzył usta, lecz na języku poczuł jedynie metaliczny posmak. Starał się myśleć, ale w głowie miał mętlik. Pustkę.

Więc to tak...

W jego myślach pojawił się obraz córki, nie Norah, lecz Jessie, co wydało mu się dziwne. Dotarło do niego, że od czasu powrotu do niej nie zadzwonił. Na moment przypomniał sobie, że przecież w ten weekend chyba miała do niego przyjechać, prawda?

Usłyszał kroki na schodach.

Włożył rękę do kieszeni kurtki. Instynktownie czegoś tam szukał. Telefonu Charliego — nie mogą go dostać! A może beretty? Mózg miał otępiały.

Ciężko dysząc, znów spojrzął na drugą stronę ulicy, w stronę domu Roberta i Jacqueline.

Kroki ucichły. Hauck popatrzył w górę szklanym wzrokiem. Stał nad nim mężczyzna.

— Cześć, dupku, pamiętasz mnie?

Hodges.

— Tak... — Hauck kiwnął głową. — Pamiętam. Tamten przykleknął.

— Fatalnie pan wyglądasz, panie poruczniku. Taki cały spowiewierany.

Hauck namacał w kieszeni metalowy przedmiot i zacisnął na nim palce.

— Wiesz, co noszę przy sobie od dwóch tygodni? — spytał Hodges.

Zbliżył do twarzy Haucka dwa palce. Policjant jak przez mgłę dostrzegł pomiędzy nimi ciemny, splaszczony kształt. Pocisk z pistoletu. Hodges otworzył mu usta i wepchnął w nie lufę, ciepły metal cuchnął kordytem. Odciągnął kurek.

— Bardzo chciałem ci to oddać.

Hauck spojrzął w jego roześmiane oczy.

— Zatrzymaj sobie.

Pociągnął za spust beretty schowanej w kieszeni. Rozległ się ostry huk, a zaraz potem w powietrzu rozniosła się gryząca woń. Kula trafiła Hodgesa pod brodą, uśmiech wciąż miał przyklejony do twarzy. Jego głowa odskoczyła w tył, ustami trysnęła krew. Ciało mężczyzny spadło na Haucka, zupełnie jakby je ktoś szarpnął. Gałki oczne uciekły w głąb czaszki.

Policjant wysunął nogi spod nóg trupa. Pistolet Hodgesa opadł mu na tors. Hauck chciał tylko posiedzieć tak przez chwilę. Ból świdrował w całym ciele. Ale to nie to. Martwiło go coś innego.

Strach zdołał się przebić przez ból.

Karen!

Zbierając wszystkie siły, Hauck wstał. Dłoń i bok pokrywała lepka warstwa krwi.

Wziął broń Hodgesa i pokuśtykał w stronę auta. Otworzył

drzwi i sięgnął po radio. Połączył się z posterunkiem w Greenwich. Odezwał się dyżurny, ale Hauck nie poznawał jego głosu.

— Mówi porucznik Hauck — powiedział. Zaciśnął zęby z bólu. — W moim domu padły strzały. Euclid Avenue siedemset trzystaście w Stamford. Potrzebuję tu miejscowej jednostki.

Chwila ciszy.

— Jezu, pan porucznik...?

— Z kim rozmawiam? — spytał, krzywiąc się z bólu, Hauck.

Przekręcił klucz w stacyjce, zamknął drzwi, wyjechał na wstecznym z podjazdu, uderzył w samochód zaparkowany na ulicy i ruszył przed siebie.

— Mówi sierżant Dicenzio.

— Słuchajcie, sierżancie, zróbcie, co powiedziałem. Ale najpierw, i to bardzo ważne, parę najbliższych jednostek trzeba natychmiast wysłać na Surfside Road siedemdziesiąt trzy w Old Greenwich. Dom ma zostać zabezpieczony i otoczony ochroną. Rozumiecie, sierżancie? Należy odnaleźć kobietę, która tam mieszka, Karen Friedman. Może się znajdować w niebezpieczeństwie. Rozumiecie mnie, sierżancie Dicenzio?

— Słyszę pana wyraźnie, poruczniku.

— Ja tam teraz jadę.

ROZDZIAŁ SETNY

Krew odpłynęła jej z twarzy i Karen przeszył strach. Z niedowierzaniem pokręciła głową.

— Nie, blefujesz.

Ty nie mógł być martwy. Przecież dopiero się rozstali. Jechał na komisariat. Miał tu po nią przyjechać.

— Niestety nie. W domu czekał na niego stary znajomy. Możliwe, że twój przyjaciel miał przy sobie coś, co nas interesuje, prawda?

— Nie! — Wstała. Wrzały w niej wściekłość i sprzeciw. — Nie!

Chciała się rzucić na Lennicka, ale mężczyzna z kucykiem, który stał z tyłu, chwycił ją za ramiona i wykręcił jej ręce za plecami.

Usiłowała się wyszarpnąć.

— Pierdol się, Saul!

— Może później. — Lennick wzruszył ramionami. — Ale tymczasem obawiam się, że po prostu wrócę do domu na spóźnioną kolację. A ty... — Wygładził sweter i poprawił kołnierzyk. Miał niemalże smutną minę. — Karen, wiesz, że nie sprawia mi to przyjemności. Zawsze darzyłem cię sympatią. Ale musisz zrozumieć, że po prostu nie możemy cię wypuścić.

W tym momencie otworzyły się drzwi ogrodowe i do pokoju wszedł kolejny mężczyzna — niższy, ciemnowłosy, z siwiejącymi włosami.

Karen natychmiast rozpoznała go z opisów. Dietz.

— Droga wolna — powiedział. Zauważyła, że ma kurz i piach na butach.

Lennick kiwnął głową.

— To dobrze.

Karen coraz bardziej się bała.

— Saul, co ty chcesz ze mną zrobić?

— Może udasz się na wieczorną kąpiel. Zdezorientowana i zrozpaczona po otrzymaniu wieści, że twój mąż jednak przeżył... a potem zginął jeszcze raz. Każdego by to przybiło, Karen.

Pokręciła głową.

— Nikt w to nie uwierzy. Hauck już był u szefa. Wszystko powiedział. O potrąceniach, o Dietzu i Hodgesie. Będą wiedzieli, kto to zrobił. Zajmą się tobą, Saul.

— Mną? — Lennick ruszył do drzwi. Karen usiłowała się wyszarpnąć mężczyźnie, który trzymał ją za rękę. — Już ty sobie tym nie zawracaj główki, moja droga. Nasz drogi Hodges też dziś nie będzie miał łatwo. A pan Dietz, którego tu widzisz — Lennick konspiracyjnie skinął głową — no cóż, może najlepiej sam ci wyjaśni sytuację.

Karen usiłowała się wywinąć z uścisku napastnika. Piekły ją łzy, które napłynęły do oczu z wściekłości.

— Jak mogłeś się stać takim padalcem, Saul? Jak spojrzysz w oczy moim dzieciom?

— Sam i Alex. — Mężczyzna odgarnął rzadkie włosy. — Bądź spokojna, zostanie nad nimi roztoczona troskliwa opieka. Dzieciaki wkrótce znacznie się wzbogacą. Twój zmarły mąż był bardzo majątnym człowiekiem. Nie wiedziałas?

— Obyś się smażył w piekle, sukinsynu! — Karen obróciła się za nim, gdy zamykał drzwi.

Wyszedł. Kobieta zaczęła szlochać. Hauck. Charles. Nigdy

więcej nie zobaczy Sam i Aleksa. Saul będzie ją „opłakiwał”. Zapłonęła gniewem na myśl, że jej dzieci nigdy nie poznają prawdy. Pomyślała o Tyu i ogarnął ją smutek. To ona go w to wciągnęła. Jego córka także nigdy się nie dowie, jak zginął.

Potem przerażona zwróciła się do Dietza. Po twarzy spływały jej gorące łzy.

— Nie musi pan tego robić — powiedziała błagalnym tonem.

— Och, nie popadaj nam tu w taki stan — zadrwił wąsaty mężczyzna. — Mówią, że to jak zasypianie. Po prostu się temu poddaj. To trochę jak w seksie, co? Chcesz ostro czy delikatnie? — Rechocząc, zwrócił się do współnika. — Przecież nie jesteśmy dzikusami, prawda, Cates?

— Dzikusami? Nie — zgodził się ten, który ją przytrzymał.

Następnie kopnął ją kolanem w tył nóg. Karen zawyła z bólu, padając na kolana.

— No już... — mruknął Cates.

Dietz wziął ze stołu rolkę grubej taśmy. Oderwał kawałek i starannie zakleił nim usta Karen. Straciła oddech. Dłuższym kawałkiem okleił jej nadgarstki.

— No chodź, laleczko... — Wziął ją pod ramiona. — Szkoda tylko tego twojego chłopaka. Po tym, jak mi się włamał do domu, sam bym się nim chętnie zajął.

Przez otwarte drzwi do ogrodu wyciągnęli ją na patio. Słyszała, jak Tobey szczeka gdzieś z zamknięcia, szarpała się, gdy prowadzili ją w ciemność. Skowyt psa napawał ją nie tylko strachem, ale i narastającym smutkiem.

Dlaczego oni mają wygrać?

Wywlekli ją do ogródka. W ogrodzeniu była drewniana furtka, a za nią ścieżka prowadząca do miejskiej drogi na oddaloną o jedną przecznicę Plażę Teddy'ego, przeznaczoną wyłącznie dla tutejszych mieszkańców.

Plaża Teddy'ego! Nagle napłynęła nowa fala strachu. To małe i całkiem puste miejsce. Znajdował się tam kamienny

falochron i Karen zdała sobie sprawę, że z wyjątkiem nastolat-
ków, którzy nocą mogli sobie urządzić ognisko i popalać traw-
kę, nie będzie tam żywej duszy. Żaden z okolicznych domów
nie miał widoku na plażę.

Właśnie to musiał mieć na myśli Dietz, kiedy powiedział:
„Droga wolna”.

Nie, do cholery! Czubkiem buta kopnęła Dietza w goleń.
Rozwścieczony mężczyzna obrócił się i wierzchem dłoni ude-
rzył ją w twarz. Z nosa trysnęła jej krew. Zakrzuszyła się nią.

Dietz spiorunował ją wzrokiem.

— Powiedziałem: bądź grzeczna! — Przerzucił ją sobie przez
ramię jak worek mąki i ścisnął jej buty. Wepchnął lufę pistoletu
pod nos. — Słuchaj, suko, mówiłem, jaki masz wybór. Chcesz
delikatnie czy ostro? Bo ja, kurwa, mogę i tak, i tak. Radzę ci
się po prostu wyluzować. Zanim się obejrzysz, będzie po
wszystkim. Uwierz mi, masz dużo lepiej niż twój chłoptaş.

Nióśł Karen po wąskiej, zalesionej ścieżce, kolce i gałęzie
krzaków drapały ją po nogach. Mogła liczyć jedynie na to, że
ktoś ich zobaczy. Wrzeszczała, zmagając się z taśmą, ale ledwie
mogła wydać z siebie dźwięk. Błagam, niech tam ktoś będzie,
myślała, błagam...

Ale co by jej to dało? Pewnie tylko kulkę w łeb.

Wyszli z lasu na końcowy odcinek miejskiej drogi. Całkiem
ciemnej i pustej. Ani żywej duszy. W nozdrza wdzieriała jej się
słona woń morskiej bryzy. W oddali, po drugiej stronie zatocz-
ki, lśniły światła domów.

Dietz postawił ją na ziemi i pociągnął za rękę.

— Idziemy.

Nie... Karen płakała. Zaciekle usiłowała wyrwać spętane
nadgarstki z uścisku mężczyzny, lecz była bezsilna. Łzy spływa-
ły po jej policzkach. Pomyślała o Tyu, a wtedy płacz nasilił się,
nie panowała nad sobą, dusiła się łzami i nie mogła oddychać.
Och, skarbie, ty nie możesz zginąć. Błagam, Ty, błagam, usłysz

mnie... Serce niemal pękło jej, gdy pomyślała, że skrzywdzili go z jej powodu.

Ciągnęli ją po piasku, a ona kręciła głową na boki, w duchu krzycząc: Nie!

Cates, ten sukinsyn z kucykiem, włókł ją do morza.

Karen uderzyła go kolanem w krocze. Zawył i obrócił się z wściekłością.

— Niech cię szlag! — wrzasnął i kopnął ją w brzuch.

W końcu cisnął ją twarzą na płyciznę. Wyczerpana, już się nie opierała. Mężczyznę wepchnął twarz Karen pod ciepłą, morską wodę.

— Słyszałem, że o tej porze roku prądy są bardzo przyjemne — zarechotał. — Nie będzie źle.

ROZDZIAŁ STO PIERWSZY

Wystarczyło zaledwie kilka minut szybkiej jazdy na sygnale drogą numer jeden, żeby ford bronco Haucka stanął przed domem przy Sea Wall.

Na miejsce zdążyły już przybyć dwa miejscowe radiowozy.

Przed garażem Hauck zauważył białego lexusa Karen. Chwyił za broń i wysiadł z auta, starając się opierać ciężar ciała na prawej nodze. Przez drzwi frontowe wychodziło właśnie dwóch umundurowanych funkcjonariuszy, każdy z latarką w dłoni. Jednego z nich znał z komisariatu, nazywał się Torres. Porucznik podszedł do nich, trzymając się za bok.

— Jest ktoś w domu?

Torres wzruszył ramionami.

— W jednym z pokoi był zamknięty pies. Poza tym nikogo.

To nie trzymało się kupy. Przecież przed domem stał samochód Karen. Skoro tamci zajęli się nim, wydawało się nieuniknione, że jej także nie oszczędzili.

— Co z panią Friedman? Sprawdziliście na piętrze?

— Przeszukaliśmy cały dom, panie poruczniku. O'Hearn i Pallado wciąż są na górze. — Wzrok policjanta spoczął na boku Haucka. — Jezu, panie poruczniku...

Hauck minął ich i wszedł do otwartego domu, zostawiając

za sobą funkcjonariusza wpatrzonego w ciągnącą się za nim smugę krwi.

— Karen?! — zawołał.

Żadnej odpowiedzi. Serce zaczynało mu łomotać szaleńczo. Usłyszał szczekanie. Posterunkowy Pallado zszedł po schodach z bronią w rękę.

— Jebany pies. — Pokręcił głową. — Wypadł na mnie jak bolid formuły jeden. — Zaskoczył go widok Haucka. — Panie poruczniku!

— Jest tu kto? — spytał Hauck.

— Nikt. Tylko ten tam Rin Tin Tin. — Wskazał za siebie.

— Sprawdziliście piwnicę?

Policjant kiwnął głową.

— Calutką.

Cholera. Przecież tu jest jej samochód. Może poszła do przyjaciółki... Zaczął się zastanawiać. Jak ona się nazywała? Paula. Wzrok Haucka spoczął na rolce grubej taśmy klejącej na krzesle. Na ziemi leżały rozrzucone listy i gazety. Drzwi do ogrodu były uchylone. Na dworze Tobey szcekał jak szalony.

Hauck miał przeczucie, które wcale mu się nie podobało.

Wyszedł na dwór i spojrzął na ogród. Noc była jasna, przejrzysta. Czuł woń niedalekiej cieśniny. Pies stał na tarasie i szcekał bez wytchnienia. Najwyraźniej podenerwowany.

— Gdzie ona, do cholery, jest, Tobey?

Hauck wciągnął powietrze. Każdy wdech przynosił cierpienie.

Utykając, ruszył w głąb ogrodu. Znajdował się tam niewielki basen i kilka leżaków. Wszystko mu podpowiadało, że Karen jest w niebezpieczeństwie. Rozmawiała z Charlesem. Wiedziała. Nie powinien był jej samej puścić do domu. Dlaczego tylko jego mieliby chcieć uciszyć?

Nieco dalej spostrzegł coś w trawie.

Buty. Buty Karen. Te, które miała na sobie dziś wieczorem. Coraz bardziej się denerwował. Puls mu przyspieszał.

— Karen? — zawołał.

Co oni by tam mogli robić?

Spojrzał dalej. Na ziemi leżał sprzęt ogrodniczy, jakaś plastikowa konewka. Wreszcie natrafił na drewnianą furtkę — otwartą. Prowadziła na wąską, zalesioną dróżkę. Hauck wyszedł z ogrodu. Nagle zrozumiał, dokąd biegnie ta ścieżka.

Do drogi za miastem, niedaleko Surfside.

Do Plaży Teddy'ego.

Za plecami usłyszał głos:

— Panie poruczniku, potrzeba pomocy?

Ściskając broń i wypierając z myśli ból, Hauck ruszył ścieżką. Odsunął parę gałęzi. Po trzydziestu, może czterdziestu metrach dostrzegł miejską drogę wijącą się pomiędzy innymi domami przy Sea Wall.

Przyłożył dłonie do ust.

— Karen!

Żadnej odpowiedzi.

Jego wzrok przyciągnęło coś na ziemi. Przykucnął i niemal zwinął się z powodu bólu w udzie.

Strzępek materiału. Pomarańczowy.

Serce mu stanęło. Karen miała na sobie pomarańczową bluzkę.

Narastał w nim strach. Spojrzał w stronę plaży. O Jezu! Zaczął niezdarnie biec.

ROZDZIAŁ STO DRUGI

Twarz miała pod wodą, płucom brakowało powietrza. Machała rękami, ale silne dłonie Catesa przytrzymały jej głowę.

Karen walczyła z całych sił. Drapała, próbowała go ugryźć w rękę, usiłowała zaczerpnąć choć odrobinę cennego powietrza. Raz nawet ściągnęła swego dręczyciela do parteru, sprawiając, że cały się zamoczył, co bardzo rozbawiło Dietza. Tamten, rozwścieczony, pogroził Karen, przykładając jej pięść do twarzy.

— Jezu, Cates, co za kobieta! — rechotał Dietz.

Karen wypluła wodę i usiłowała krzyknąć. Mężczyzna znów podtopił jej głowę.

Teraz zbliżał się koniec. Cates wreszcie zerwał jej z ust taśmę, łykała wodę, resztkami siły próbowała łapać powietrze, krztusiła się, ale on zakrył jej twarz dłonią i ponownie wcisnął głowę pod wodę, zanim zdołała krzyknąć.

Zresztą kto by ją usłyszał? Kto by przybył na czas? Pomyślała o Tyu. Och, błagam... błagam... Woda wlewała jej się do gardła strumieniami. Dusila się. Po raz ostami spróbowała się wywinąć. To koniec. Nie była w stanie dalej walczyć. W desperacji sięgnęła w tył, daremnie usiłując wbić sukinsynowi paznokcie w nogę.

Usłyszała jego głos:

— Jak tam woda, suko? Ciepła?

Rozpaczliwie walczyła z pokusą, by po prostu otworzyć usta, poddać się. Oddać się mrocznemu przyływowi. Pomyślała o Sam i Aleksie.

Nie, Karen, nie...

Nie myśl o nich. Błagam... To by oznaczało, że już koniec. Nie poddawaj się.

Jej sprzeciw powoli słabł, a w ostatnich przebłyskach świadomości pomyślała o dość dziwnej rzeczy — wyspie z palmami uginającymi się na wietrze, po białym piasku ktoś w czapce z daszkiem szedł w jej stronę.

Machał.

Karen ruszyła ku niemu. O Boże...

Właśnie wtedy dłoń, która przytrzymywała jej głowę w ciemnej wodzie, nagle jakby puściła.

Hauck wykuśtykał z traw i zszedł z wydmy. Ból w nodze był paraliżujący.

Z odległości trzydziestu metrów dostrzegł kłęzącego nad nią mężczyznę, który wciskał jej głowę pod wodę. Ktoś inny — to na pewno był Dietz — stał na plaży kilka metrów dalej, najwyraźniej rozbawiony.

— Karen!

Zrobił krok naprzód i przyjął pozycję strzelecką, trzymając pistolet oburącz. Człowiek kłęzący nad Karen zdążył podnieść wzrok.

Pierwsza kula trafiła zaskoczonego mężczyznę w ramię. Impet szarpnął nim do tyłu. Druga i trzecia lupnęły prosto w jego plażową koszulę. Trysnęła krew. Runął do wody i już się nie poruszył.

Karen przetoczyła się na plecy wśród łagodnych fal i uniosła dłoń.

— Karen!

Hauck zrobił krok w jej kierunku, jednocześnie obracając się w stronę Dietza, który wydobył broń i biegł po piasku. Pierwszego faceta oświetlił blask księżyca, lecz wokół panowały ciemności. Dietz był jak cień w ruchu. Hauck wystrzelił. Chybił. Kiedy tamten usiłował dobiec do falochronu, następna kula trafiła go w kolano. Pokuśtykał jak żrebak ze złamaną nogą.

Ty z trudem zaczął biec w stronę Karen.

Powoli przewróciła się na brzuch, dusząc się i odkrztuszając wodę. Stała na czworakach. Z przerażeniem zauważyła obok siebie zwłoki Catesa, który wytrzeszczał martwe oczy. Odsunęła się tyłem, jak od czegoś obrzydliwego. Odwróciła się w stronę Haucka, w oczach miała łzy, na twarzy wyraz niedowierzania.

Jednak zdążył stanąć za nią Dietz, co sprawiło, że i ona znalazła się na linii strzału. Mężczyzna celował do Haucka z pistoletu, który chwilowo zasłaniała Karen.

— Puść ją — powiedział porucznik. Wciąż się zbliżał. — Wypuść ją, Dietz. Nie masz dokąd uciec. — Wymierzył w pierś mężczyzny. — W przeciwnym razie domyślasz się, że zrobię to z przyjemnością.

— Obyś był dobry — zarechotał Dietz. — Jak nie trafisz, to następną kulkę dostanie ona.

— Jestem dobry. — Hauck kiwnął głową.

Zrobił krok naprzód. W zasadzie raczej słał się na nogach. Właśnie wtedy zdał sobie sprawę z tego, że kolana mu słabną i opada z sił. Stracił dużo krwi.

— Nie ma sensu, żebyś tutaj ginął, Dietz — powiedział. — Wszyscy wiemy, że to Lennick stał za tymi zabójstwami. Masz na kogo to zwalić. Po co za niego tracić życie? Dasz radę coś załatwić.

— Po co? — Dietz przesunął się za Karen. Wzruszył ramionami. — Mam to już chyba w naturze, poruczniku.

Zasłaniając się kobietą, oddał strzał.

Kula świsnęła tuż nad ramieniem Haucka, poczuł żar. Gdy

zatonął się w tył, ranna noga ugięła się pod nim. Skrzywił się, opuścił rękę, odsłonił się.

Widząc okazję, Dietz zrobił krok naprzód, przygotowując się do kolejnego strzału.

— Nie...! — wrzasnęła Karen i rzuciła się, by go powstrzymać. — Nie!

Mężczyzna zwrócił lufę w jej stronę.

— Dietz! — krzyknął Hauck.

Pocisk trafił Dietza prosto w czoło. Ramię zabójcy odskoczyło, pistolet wystrzelił w powietrze. Mężczyzna bezwładnie opadł na ziemię, z rozłożonymi rękami i nogami wyglądał jak pajacyk. Z otworu w czole wielkości dziesięciocentówki ciekła krew wprost w napływające fale.

Karen obróciła się, twarz miała mokrą, lśniąca. Przez chwilę Hauck stał nieruchomo, ciężko dysząc. Wciąż ścisnął w dłoniach pistolet.

— Nie odszedłeś! — powiedziała, kręcąc głową.

— Nigdy — odparł i uśmiechnął się z trudem.

Następnie opadł na kolana.

—Ty!

Karen podniosła się i podbiegła do mężczyzny. Z boku wyciekała mu na dłoń ciemna krew. Gdzieś z tyłu rozlegały się okrzyki. Snopy światła latarek omiatały plażę.

Wycieńczona kobieta objęła Haucka, przytuliła, przez łzy strachu i wyczerpania przebijał uśmiech ulgi. Zaczęła płakać.

— Już po wszystkim, Ty, już po wszystkim — powiedziała, ocierając mu krew z twarzy.

— Nie — odrzekł — jeszcze nie koniec. — Opadł w jej ramiona, nie bacząc na ból. — Jeszcze jeden przystanek.

ROZDZIAŁ STO TRZECI

Telefon zadzwonił w momencie, gdy Saul Lennick właśnie zasiadał do spóźnionej kolacji w kuchni domu przy Deerfield Road.

Ida, gosposia, zanim wyszła, podgrzała mu klopsa z grzybami. Lennick nalał sobie kieliszek wczorajszego conseillante. Mimi na piętrze rozmawiała przez telefon. Omawiała listę darczyńców na tegoroczny bal Czerwonego Krzyża.

W szybie okna wychodzącego na ogród zauważył odbicie swej twarzy. Niewiele brakowało. Kto wie, co mogłoby się wydarzyć za parę dni. Ale wszystko udało się posprzątać. Sprawy całkiem nieźle się ułożyły.

Charles nie żył, a wraz z nim zniknął strach, że Lennick poniesie jakieś konsekwencje swoich działań. Wielkie straty, naruszenia warunków umów kredytowych — winą obarczy Charlesa. Biedny głupiec po prostu uciekł ze strachu. Gliniarz też stracił życie. Hodges, kolejny słaby punkt, jeszcze tej nocy przestanie przysparzać problemów. A ten stary pierdziel z Pensacoli? Jakie to miało teraz znaczenie, co będzie gadał? Z kolei Dietz i Cates, gdy tylko otrzyma telefon, staną się bogaczami i natychmiast znikną z kraju. Nikt ich więcej nie zobaczy.

Owszem, Lennick dopuścił się rzeczy, o jakie siebie nie

podejrzewał. O których jego wnuki nigdy się nie dowiedzą. Na tym polegała cała jego kariera. Zawsze trzeba pójść na pewien kompromis, ponieść jakieś straty. Czasami konieczne są określone działania dla ochrony kapitału, prawda? Niewiele brakowało, by wszystko runęło. Teraz jednak był bezpieczny, zachował nieskazitelną reputację i nienaruszoną sieć kontaktów. Rano znów będzie zarabiał pieniądze. Właśnie w ten sposób się postępuje — przechodzi się nad sprawami do porządku dziennego.

Zapomina się o stratach dnia poprzedniego.

Słyszac dźwięk telefonu, Lennick otworzył klapkę. Widząc na ekranie, kto dzwoni, poczuł ekscytację, ale także smutek. Wypił łyk wina, żeby przełknąć jedzenie.

— Po wszystkim?

Głos, który usłyszał w słuchawce, sprawił, że serce mu stanęło.

Mało powiedziane — ono wręcz pękło. Na widok migających świateł na dworze oczy Lennicka wyszły z orbit.

— Tak, Saul, już po wszystkim — powiedziała Karen, dzwoniąca z komórki Dietza. — Całkiem po wszystkim.

Trzy granatowo-białe radiowozy komendy policji w Greenwich stały na dziedzińcu należącego do Lennicka okazałego domu w stylu normandzkim, graniczącego z zalesionym terenem Greenwich Country Club.

O jedno z aut opierała się Karen, owinięta w koc. Wciąż miała przemoczone ubranie. Z poczuciem satysfakcji oddała telefon Dietza Hauckowi.

— Dziękuję, Ty.

Carl Fitzpatrick sam wszedł do środka — Hauckiem zajmował się bowiem sanitariusz. Komendant oraz dwóch umundurowanych policjantów wyprowadziło skutego kajdankami Lennicka przed dom.

Wybiegła za nim żona, ubrana w koszulę nocną. Była zrozpaczona.

— Saul, dlaczego oni to robią? O co chodzi? O czym oni mówią? Morderstwo?!

— Zadzwoń do Toma! — zawołał Lennick przez ramię, kiedy po kolistym podjeździe prowadzili go do jednego z aut. Popatrzył Hauckowi w oczy i rzucił mu pogardliwe spojrzenie. — Wrócę jutro — zapewnił żonę niemal kpiąco.

Jego spojrzenie padło na Karen. Pomimo koca drżała, ale nie odwróciła wzroku. W jej oczach błysnęła ślad niemej satysfakcji.

Jak gdyby mówiła: On wygrał, Saul. Skinęła głową. On wygrał.

Wepchnęli Lennicka do radiowozu. Karen zbliżyła się do Haucka. Wyczerpana, oparła głowę na jego osłabionym ramieniu.

To koniec.

Dźwięk dobiegł z tyłu. Tylko ostry trzask tłuczonego szkła.

Minęła chwila, nim Karen zrozumiała, co się stało. Hauck krzychał już, że ktoś do nich strzela. Pchnął ją na podjazd i zasłonił własnym ciałem.

— Ty, co się dzieje?

Wszyscy padli na chodnik albo schowali się za samochodami. Policjanci wyjęli broń, zaskrzeczały krótkofalówki. Każdy coś krzychał.

— Na ziemię! Wszyscy na ziemię!

Wszystko ustało tak nagle, jak się rozpoczęło.

Strzał padł spośród drzew, z terenu klubu. Nie słychać było uruchamianego silnika. Ani żadnych kroków.

Policjanci z bronią w ręku zaczęli szukać napastnika w ciemnościach.

Rozległy się krzyki:

— Czy ktoś jest ranny?

Nikt nie odpowiedział.

Freddy Muñoz wstał i polecił przez radio, żeby zablokowano okolicę. Istniało jednak wiele dróg ucieczki. Na Hill Street. De-erfield Road. North Street.

Gdziekolwiek.

Hauck przestał osłaniać Karen. Jego wzrok padł na radio-wóz. Ścisnęło go w żołądku.

— O Boże. Jezu...

Na tylnej bocznej szybie znajdował się pajęczynowaty ślad pękniętego szkła. Z małym otworem w środku.

Saul Lennick opierał się o szybę, jakby spał.

Na jego skroni rozrastała się ciemna plama. Siwe włosy robiły się czerwone.

ROZDZIAŁ STO CZWARTY

Bezprawne przeszukanie. Włamanie. Nieuprawnione użycie broni służbowej. Niezgłoszenie czynu przestępczego.

Leżąc w szpitalnym łóżku w Greenwich Hospital, Hauck wiedział, że to tylko niektóre wykroczenia, za które przyjdzie mu odpowiedzieć. Nie wspominając już o wprowadzeniu w błąd policjantów prowadzących śledztwo na Brytyjskich Wyspach Dziewiczych, ale przynajmniej chwilowo pozostawał poza zasięgiem tamtejszych służb.

Mimo to, kiedy leżał podłączony do kateterów i monitorów, dochodząc do siebie po operacji nogi i jamy brzusznej, zrozumiał, że w tej chwili dalsza kariera w policji była dla niego jak kroplówka z morfiną.

Następnego ranka z wizytą przyszedł Carl Fitzpatrick. Przyniósł wiązankę żonkili, które postawił na parapecie obok kwiatów przysłanych przez lokalny związek policjantów. Trochę głupkowato wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: Żona mnie do tego zmusiła.

Hauck kiwnął głową i odezwał się z kamienną twarzą:

— Szczerze mówiąc, to nieco bardziej wolę fiolet i czerwień.

— Zapamiętam na przyszłość. — Fitzpatrick uśmiechnął się szeroko i usiadł.

Pytał o rany. Na szczęście kula, która trafiła w bok, nie naruszyła żadnych ważnych narządów. Rana się zagoi. Natomiast noga — a właściwie prawe biodro — po tym całym bieganiu i kuśtykaniu podczas pogoni za Dietzem i Lennickiem będzie do niczego.

— Lekarz mówi, że rajdy od bramki do bramki to już przeszłość. — Hauck się uśmiechnął.

Szef pokiwał głową, jakby mu było bardzo przykro.

— Bobbym Orrem to ty nigdy nie byłeś. — Po chwili pochylił się do przodu. — Wiesz, chciałbym móc powiedzieć: „Dobra robota, Ty”. To była naprawdę świetna akcja. — Pokręcił głową z poważną miną. — Dlaczego nie mogłeś z tym po prostu przyjść do mnie? Zrobilibyśmy to zgodnie z zasadami.

Hauck poprawił się na łóżku.

— Chyba się zapędziłem.

— Jasne. — Komendant uśmiechnął się, jakby rozbawiony tym dowcipem. — Więc tak to nazywasz: zapędziłeś się. — Wstał. — Muszę lecieć.

Hauck wyciągnął do niego rękę.

— Bądź ze mną szczerzy, Carl, jakie mam szanse na powrót do pracy?

— Szczerze?

— Tak. — Porucznik westchnął. — Szczerze.

Komendant przeciągle odetchnął.

— Nie wiem... — Przełknął ślinę. — Odbędzie się postępowanie dyscyplinarne. Będą na mnie wywierać presję, żeby cię zawiesić.

Hauck westchnął głęboko.

— Rozumiem.

Fitzpatrick wzruszył ramionami.

— Nie wiem, Ty, jak myślisz? Może tydzień? — Uśmiechnął się krzywo. — To była naprawdę świetna akcja, poruczniku. Nie mogę pochwalić sposobu, w jaki tego dokonałeś. Ale to było piękne. Na tyle piękne, że chcę cię widzieć z powrotem. Dlatego

odpocznij, dbaj o siebie. Chyba nie wypada mi tego mówić, ale powinieneś być z siebie dumny.

— Dziękuję.

Fitzpatrick uściskał dłoń Haucka i ruszył do drzwi.

— Carl, słuchaj...

Komendant odwrócił się od progu.

— Tak?

— Gdybym to zrobił zgodnie z zasadami... Gdybym do ciebie przyszedł i poprosił o wznowienie sprawy potrącenia Raymonda. Zanim zdobyłem dowody. Powiedz mi uczciwie: zgodziłbyś się?

— Czybym się zgodził? — Komendant zamyślony zmrużył oczy. — Żeby wznowić sprawę? Niby na jakiej podstawie, poruczniku? — Zaśmiał się, wychodząc z sali. — Za cholere.

Hauck odrobinę się zdrzemnął. Czuł się wypoczęty. W porze lunchu znów ktoś zapukał do drzwi. Do sali weszła Jessie. Razem z Beth.

— Cześć, kochanie... — Hauck uśmiechnął się szeroko.

Gdy spróbował rozłożyć ramiona, aż się skrzywił.

— Och, tatusiu... — Zatrokana Jessie ze łzami w oczach podbiegła i przycisnęła twarz do jego piersi. — Tatusiu, wyzdrowiejesz?

— Nic mi nie będzie, skarbie, obiecuję. Będę zdrowy i silny jak zwykle.

Dziewczynka pokiwała głową, a Hauck mocno ją uściskał. Następnie spojrzał na Beth.

Krótkie, brązowe włosy zawięła za ucho i oparła się o framugę. Uśmiechnięta. Hauck był pewien, że zaraz powie coś w stylu: „Niezła robota, poruczniku” albo „Tym razem przeszedłeś sam siebie”.

Ale nie powiedziała.

Zamiast tego podeszła bliżej i stanęła przy łóżku. Oczy miała

wilgotne, spojrzenie głębokie i minęła chwila, zanim w ogóle się odezwała. Gdy zaś to zrobiła, mówiła z uśmiechem i czule ścisnęła mu dłoń.

— Dobrze — powiedziała. — Święto Dziękczynienia może być twoje.

Podniósł wzrok i się uśmiechnął.

Po raz pierwszy od lat miał wrażenie, że coś dostrzegł w jej wilgotnych oczach. Coś, na co czekał od bardzo dawna. Co utracił wiele lat temu, długo starał się odzyskać i teraz, przyciskając do piersi mokrą buzię córeczki, wreszcie odnalazł.

Wybaczenie.

Mrugnął do kobiety i mocno ścisnął Jessie.

— Miło słyszeć, Beth.

Tamtego wieczora Haucka nieco zamroczyły leki. W telewizji leciał mecz Jankesów, ale on nie mógł nadażyć za akcją. Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

Weszła Karen.

Ubrana była w szarą koszulkę Texas Longhorns i zarzuconą na ramiona dżinsową kurtkę. Włosy upięła do góry. Hauck zauważył, że na wardze ma rozcięcie — tam gdzie uderzył ją Dietz. Niosła w dłoni pojedynczą różę w niewielkim wazonie. Podeszła bliżej i postawiła ją obok łóżka.

— Moje serce — rzekła, wskazując na kwiat.

Uśmiechnął się.

— Ładnie wyglądasz — powiedział.

— Jasne. Jakby pociąg po mnie przejechał.

— Nie. Dla mnie wszystko jest ładne. Działanie morfiny.

Karen się uśmiechnęła.

— Byłam tu wczoraj wieczorem, kiedy cię operowali. Rozmawiałam z lekarzami. Szczęściarz z ciebie. Jak noga?

— Nigdy nie była szczególnie giętka. A teraz jest kompletnie spaprana. — Zachichotał. — Tak w...

— Nie mów tego. — Powstrzymała go Karen. — Proszę.
Mężczyzna kiwnął głową. Po chwili wzruszył ramionami.

— A co to w zasadzie znaczy, tak w ogóle?

Oczy Karen lśniły.

— Nie wiem. — Obiema rękami ścisnęła dłoń Haucka i spojrziała mu głęboko w oczy. — Dziękuję, Ty. Tak wiele ci zawdzięczam. Wszystko. Cholera, nawet nie wiem, co powiedzieć.

— Więc nie mów...

Karen zacisnęła dłonie na jego palcach i pokręciła głową.

— Nie wiem, czy potrafię dalej żyć po staremu.

Hauck kiwnął głową.

— Charlie zginął — mówiła dalej. — To zajmie trochę czasu.
A dzieci... niedługo wracają.

Spojrzała na niego, gdy tak leżał pośród tych wszystkich rupek i pikających monitorów, i zalała się łzami.

— Rozumiem.

Złożyła głowę na jego piersi. Czowała jego oddech.

— Z drugiej strony — pociągnęła nosem — chyba moglibyśmy spróbować.

Hauck się roześmiał. Przytulił ją. Poglądził po włosach. Po okrągłym policzku. Poczul, że przestała drżeć. On też się rozluźnił.

— Chybabyśmy mogli.

ROZDZIAŁ STO PIĄTY

DWA TYGODNIE PÓŹNIEJ

Hauck zatrzymał swego forda bronco przed masywną kamienną bramą.

Opuścił szybę i wcisnął guzik domofonu.

— Słucham? — odezwał się głos.

— Porucznik Hauck — oznajmił policjant.

— Proszę podjechać do domu — odrzekła osoba po drugiej stronie. — Pan Chodoszewski czeka na pana.

Hauck ruszył długim brukowanym podjazdem. Prawa noga wciąż bolała, nawet wtedy, gdy lekko naciskał gaz. Rozpoczął fizykoterapię, ale czekało go jeszcze wiele tygodni rekonwalescencji. Lekarze mówili, że może już zawsze będzie trochę utykał.

Posiadłość była ogromna. Minął wielki staw. Widział również ogrodzoną łąkę — być może dla koni. Na szczycie wzniesienia stał gigantyczny dom z czerwonej cegły, wybudowany w stylu georgiańskim. Od frontu miał wspaniały dziedziniec z ozdobną fontanną pośrodku. Woda lała się z rzeźbionych figur do marmurowego basenu.

Miliarderzy rujnują milionerów, przypomniał sobie Hauck. Nawet jak na Greenwich to był niesłychany widok.

Policjant wysiadł z samochodu. Zabrał laskę. Pomagała.

Wszedł po schodkach i stanął przed imponującymi drewnianymi drzwiami.

Wcisnął guzik. Zabrzmiały głośnie dzwony. Nie zaskoczyło go to. Drzwi otworzyła młoda kobieta wschodnioeuropejskiego pochodzenia. Może opiekunka dzieci.

— Pan Chodoszewski prosił, żebym pana zaprowadziła do pokoju dziennego — powiedziała z uśmiechem. — Proszę tędy.

Minął go mały chłopiec w wieku pięciu, może sześciu lat, w elektrycznym samochodziku.

— Pip, pip!

— Michael, nie! — wrzasnęła opiekunka. Zaraz potem uśmiechnęła się przepraszająco. — Pan wybaczy.

— Jestem policjantem. — Hauck puścił do niej oko. — Niech mu pani powie, żeby nie przekraczał sześćdziesiątki.

Kobieta poprowadziła go przez ciąg okazałych pomieszczeń do pokoju rodzinnego w bocznej części domu. Pomieszczenie miało półkolisty wykusz, którego okna wychodziły na teren posiadłości. Stała tu duża skórzana kanapa, nad nią zaś rozpoznawalny współczesny obraz, który Hauck natychmiast uznał za wyjątkowo cenny, chociaż nie do końca go przekonywał sposób, w jaki ten artysta operował błękitem. Pod ścianą stała ogromna szafka z gigantyczną wieżą stereo i sześćdziesięciocalowym telewizorem.

Na ekranie leciał stary western.

— Panie poruczniku.

Hauck zauważył nogi oparte o miękki podnózek. Po chwili z fotela uniosła się masywna postać o bujnych włosach, ubrana w luźne spodnie i za duży żółty T-shirt z napisem: „Pieniądze są najlepszą zemstą”.

— Grigorij Chodoszewski. — Mężczyzna wyciągnął dłoń. Miał mocny uścisk. — Proszę, niech pan siada.

Hauck ostrożnie usiadł w fotelu, odciążając nogę. Oparł się na lasce.

— Dziękuję.

— Widzę, że panu coś dolega.

— Drobną operacją — skłamał. — Problemy z biodrem.

Rosjanin pokiwał głową.

— Mnie parę razy operowali kolano. Narty. — Uśmiechnął się szeroko. — Nauczyłem się, że człowiek nie został stworzony do jazdy między drzewami. — Sięgnął po pilota i wyłączył dźwięk. — Lubi pan westerny?

— Jasne. Każdy lubi.

— Ja też. To mój ulubiony: *Dobry, zły i brzydki*. Tylko nigdy nie wiem, z kim się identyfikować. Oczywiście moja żona nie ma wątpliwości, że z brzydkim.

Hauck się roześmiał.

— Jeśli dobrze pamiętam, to był jeden z tematów filmu. Każdy z nich miał swoją motywację.

— Tak. — Rosjanin się uśmiechnął. — Chyba ma pan rację. Każdy z nich miał motywację. Czemu zawdzięczam wizytę, panie poruczniku?

— Pracowałem nad jedną sprawą. Pojawiło się w niej pewne nazwisko i miałem nadzieję, że może panu coś mówi. Charles Friedman.

— Charles Friedman? — Mężczyzna wzruszył ramionami. — Niestety nie, przykro mi. A powinno?

Facet jest dobry, pomyślał Hauck. Urodzony gracz. Spojrzał uważnie na Rosjanina.

— Taką miałem nadzieję.

— Chociaż po namyśle — Chodoszewski się rozpromienił — przypominam sobie kogoś o nazwisku Friedman. Zorganizował przyjęcie charytatywne, na którym byłem parę lat temu. Chyba w Muzeum Bruce'a. Dokonałem darowizny. Teraz pamiętam, że miał atrakcyjną żonę. Może i było mu na imię Charles, jeśli to o tego chodzi. Co takiego zrobił?

— Nie żyje — powiedział Hauck. — Był powiązany ze sprawą, nad którą pracowałem. Potrącenie ze skutkiem śmiertelnym i ucieczka z miejsca wypadku.

— Potrącenie. — Chodoszewski się skrzywił. — Niedobrze. Ruch w tym mieście jest nie do zniesienia, panie poruczniku. Sam pan na pewno wie. Czasami aż strach przechodzić przez jezdnię.

— Szczególnie gdy ktoś nie chce, żeby to się udało — rzekł policjant, patrząc Rosjaninowi prosto w stalowoszare oczy.

— Tak, to pewnie prawda. Czy istnieje konkretny powód, dla którego skojarzył pan tego człowieka ze mną?

— Owszem. — Hauck kiwnął głową. — Saul Lennick.

— Lennick! — Rosjanin wciągnął powietrze. — Lennicka faktycznie znałem. To straszne. Że też coś takiego mogło się wydarzyć. I to w jego własnym domu. W naszym mieście. Dla pana to z pewnością wyzwanie.

— Kilka tygodni temu pan Friedman również został zamordowany. Na Brytyjskich Wyspach Dziewiczych... Okazuje się, że on i pan Lennick byli partnerami w interesach.

Chodoszewski zrobił wielkie oczy, jakby był zdziwiony.

— Partnerami?! To, co się tutaj dzieje, to szaleństwo. Obawiam się jednak, że po tamtej imprezie nigdy więcej nie widziałem tego człowieka. Przykro mi, że pofatygował się pan do mnie tylko po to, by coś takiego usłyszeć. Żałuję, że nie mogłem być bardziej pomocny.

Hauck sięgnął po laskę.

— Całkiem na darmo nie przyjechałem. Rzadko miewam okazję widzieć taki dom.

— Chętnie pana oprowadzę.

Policjant podniósł się i skrzywił z bólu.

— Innym razem.

— Życzę powrotu do zdrowia. I niech pan znajdzie osobę odpowiedzialną za ten straszny czyn.

— Dziękuję. — Hauck zrobił krok w stronę drzwi. — Wie pan, zanim pójdę, chciałbym panu coś pokazać. A nuż coś się panu przypomni. Sam tydzień temu byłem na Karaibach. — Porucznik wyjął z kieszeni telefon. — Zauważyłem na morzu

coś interesującego. U wybrzeży takiej jednej wyspy. Aż sfotografowałem. Ciekawe, że to było zaledwie kilka kilometrów od miejsca, w którym zginął Charles Friedman.

Podał telefon Chodoszewskiemu, a ten, zaciekawiony, zaczął się przypatrywać zdjęciu. Temu, które Hauck zrobił podczas joggingu.

Był na nim szkuner Chodoszewskiego. *Black Bear*.

— Hm... — Rosjanin pokręcił głową i spojrzał policjantowi w oczy. — Zabawne, jak przecinają się ludzkie ścieżki, prawda, panie poruczniku?

— Już nie — odparł Hauck, patrząc na rozmówcę.

— Tak, ma pan rację. — Oddał telefon właścicielowi. — Już nie.

— Sam trafię do wyjścia — oświadczył Hauck, chowając komórkę do kieszeni. — I ostatnia rada, jeśli pan pozwoli. Widzę, że ma pan słabość do westernów, więc na pewno ją zrozumie.

— O co chodzi? — spytał Rosjanin z niewinną miną. Hauck wzruszył ramionami.

— Zna pan wyrażenie: „Wynoś się z Dodge City”?

— Chyba słyszałem. Szeryf zawsze tak mówi do złoczyńców. A oni oczywiście nigdy go nie słuchają.

— To prawda, nigdy go nie słuchają. — Hauck zrobił kolejny krok w stronę drzwi. — Bez tego nie byłoby westernów. Ale wie pan, ten jeden raz powinni. — Porucznik spojrzał uważnie na Chodoszewskiego. — Pan powinien. Jeśli wie pan, co mam na myśli.

— Chyba rozumiem. — Rosjanin się uśmiechnął.

— Aha, tak na marginesie — Hauck odwrócił się i oparł łaskę o framugę — cholernie piękna łódź. Jeśli wie pan, co mam na myśli!

EPILOG

— Ciało w proch się obróci i wróci do ziemi. W niej zaś, w cyklu, który ustanowił Wszechmogący, odradza się życie.

Był ciepły, letni dzień. Niebo miało barwę idealnego błękitu. Karen opuściła wzrok, by spojrzeć na trumnę Charliego w otwartym grobie. Sprowadziła go do domu, tak jak obiecała. Zaslugał na to. W kąciuku oka drżała jej łza.

Zaslugał na to i na wiele więcej.

Karen mocno ścisnęła za rękę Samanthę i Aleksa. Było im tak ciężko, ciężej niż wszystkim. Nie rozumieli. Jak mógł mieć przed nimi takie tajemnice? Jak mógł po prostu odejść? Bez względu na to, co zrobił, kim był.

— Byliśmy rodziną — powiedziała do matki Samantha. W jej drżącym głosie pobrzmiwała dezorientacja, a nawet oskarżycielska nuta.

— Tak, byliśmy rodziną — przyznała Karen.

Już mu wybaczyła. Nawet ponownie go pokochała — w pewnym sensie.

Byliśmy rodziną. Może pewnego dnia one też znów go pokochają.

Rabin odmówił ostatnie modlitwy. Karen mocniej ścisnęła dłonie dzieci. Życie stanęło jej przed oczami. Dzień, gdy się

poznali i zakochali. Dzień, gdy powiedziała sobie, że on jest tym jedynym.

Charlie jako kapitan — za sterami łodzi żeglującej po Morzu Karaibskim. I wreszcie machający jej na pożegnanie z ich prywatnej zatoczki.

We krwi tętniło gorące wspomnienie osiemnastu wspólnych lat.

— Teraz zgodnie z naszym zwyczajem oddamy cześć zmarłemu, wrzucając do grobu garstkę ziemi na znak, że życie przemija w pokorze w obliczu Boga.

Do grobu podszedł ojciec Karen. Wziął łopatę z rąk rabina i zrzucił niewielką kupkę ziemi na trumnę. Następnie zrobiła to jej matka. Potem Margery, matka Charliego, z pomocą swego drugiego syna, który przytrzymał jej ramię. Potem Rick i Paula.

Potem Samantha — szybkim ruchem, jakby z urazą, i natychmiast się odwróciła. Podała łopatę Aleksowi, który stał nad grobem bardzo długo, a w końcu spojrzął na Karen i pokręcił głową.

— Nie mogę, mam... Nie.

— Kochanie. — Kobieta mocniej ścisnęła go za rękę. — Możesz. — Któż mógłby mu się dziwić? — Skarbie, to twój ojciec, bez względu na to, co zrobił.

W końcu chłopak podniósł łopatę i zrzucił ziemię na trumnę, przelękając łzy.

Nadeszła kolej Karen. Nabrała pełną szufłę ziemi. Już wcześniej się z nim pożegnała. Co jeszcze mogła powiedzieć?

Kochałam cię, Charlie. I wiem, że ty też mnie kochałeś.

Zrzuciła ziemię do grobu.

A zatem koniec. Koniec wspólnego życia. Dziś pochowałam męża, pomyślała Karen. Ostatecznie. Nieodwołalnie. Zasłużyła sobie, by móc to powiedzieć.

Ludzie po kolei podchodzili, by ją przytulić. Cała trójka stała tam jeszcze przez chwilę, podczas gdy reszta osób zaczęła

opuszczać wzgórze. Karen wzięła Aleksa pod rękę. Drugim ramieniem objęła Samanthę i przyciągnęła do siebie.

— Pewnego dnia mu wybaczycie. Wiem, że to trudne. Sam, on wrócił. Stał na ulicy i patrzył, jak wychodzimy z twojej uroczystości. Wybaczysz mu. Na tym polega życie.

Kiedy schodzili ze wzgórza, zobaczyła go pod gęstym wiązem, nieco z boku. Miał na sobie granatową, sportową marynarkę i ładnie wyglądał. Wciąż chodził o lasce.

Ich spojrzenia się spotkały.

— Chodźcie — powiedziała do dzieci — chcę wam kogoś przedstawić.

Gdy się zbliżyli, Alex spojrzął na matkę zdezorientowany.

— Mamo, przecież my już znamy porucznika Haucka.

— Wiem o tym, kochanie — powiedziała Karen. Uniosła ciemne okulary i spojrzała na niego. — Chcę, żebyście poznali go jeszcze raz. Ma na imię Ty.

PODZIĘKOWANIA

Każda książka jest lustrem, w którym odbija się otaczający nas świat. Oto osoby, którym pragnę podziękować, ponieważ dzięki nim świat powołany do życia w *Czarnym przyływie* jest o wiele bardziej wyrazisty:

Mark Schwarzman, Roy i Robin Grossman oraz Gregory Kopchinsky pomogli mi w kwestiach funduszy hedgingowych oraz międzykontynentalnego przepływu pieniędzy — oczywiście w pełni legalnie.

Kirk Dauksavage, Rick McNees i Pete Carroll z Riverglass to projektanci zaawansowanych systemów komputerowych, daleko bardziej skomplikowanych niż te przedstawione w powieści. Wyjaśnili mi, jak wykorzystuje się Internet w celach związanych z bezpieczeństwem narodowym. Jak mówi jeden z bohaterów: „Już się czuję bezpieczniej”.

Vito Collucci Jr., były detektyw policji ze Stamford w stanie Connecticut, obecnie doradca wiadomości w telewizji kablowej oraz pisarz, służył pomocą w kwestiach związanych z policją i procedurami dochodzeniowymi.

Liz i Fred Scoponichowie, z którymi mogłem pogadać między innymi o klasycznych modelach mustangów.

Simon Lipskar z Writers House okazał mi wsparcie, za co dziękuję mu, podobnie jak mojemu zespołowi z wydawnictwa William Morrow w składzie: Lisa Gallagher, Lynn Grady, Debbie Stier, Pam Jaffee, Michael Barrs, Gabe Robinson, a przede wszystkim David Highfill, który zawsze chwali mnie tak bardzo, iż mogę uwierzyć, że wiem, co robię, zarówno wtedy, jak i dziś, a także służy mi radą, dzięki czemu unikam najgorszych błędów. Dziękuję również Amandzie Ridout i Julii Wisdom z HarperCollins z Londynu.

Maureen Sugden jeszcze raz dziękuję za jej dbałość oraz nieustępliwą walkę z kursywą.

Mojej żonie Lynn, która towarzyszy mi na każdym kroku i rozbudza we mnie to, co najlepsze.

Ale przede wszystkim dziękuję Kristen, Mattowi i Nickowi, z których dziś — za to, kim się stali jako dorośli ludzie — jestem jeszcze bardziej dumny niż ze wszystkich ich szkolnych występów, sukcesów na studiach i zwycięstw w meczach squasha, gdy byli młodszy. Wasze odbicie jest na każdej stronie.